Dzień Uchodźcy: Koczownicy z Placu Wolności ▸3-7



Sławosz Uznański: Po co Polak na Księżycu ▸24





WYSOKIE OBCASY

Dziewczyna **z gwiazdką Michelin**

FOT. GETTY IMAGES, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN wyborcza

wyborcza.pl/gazetauchodzcow

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

RADOSŁAW SIKORSKI:

Honor jest potężniejszy niż śmigłowiec szturmowy

▸8

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 25>

Bąkiewicz w Berlinie i smutny sztabowiec PiS ▸12

Czego się boi mężczyzna Raport o andropauzie ▸30

Ile naprawdę masz lat? Sprawdza genetyczka ▸32



Pogańskie święto, czyli szwedzki Midsommar ▸34

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

FOT. POMORSKI UNIWERSYTET MEDYCZNY W SZCZECINIE

Sobota – czwartek, 20-25 czerwca 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 142.11241, 1

Nakład 70 tys. + **322 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 9e613fd31b

Na urodzinach u prezydenta

Nawrockizm

Mam radę dla Karola Nawrockiego, nieproszoną, rzecz jasna. By w bezkrytycznym naśladowaniu Trumpa, gdzie przypał goni przypał, uniknął jeszcze większego blamażu.

Kublik



Prezydent Ameryki, najpotężniejszego państwa świata, robi wiele dla nadszarpywania prestiżu Ameryki, co jest paradoksalne, bo wygrał hasłem Make America Great Again. W sprawach natury globalnej – w rodzaju ataku na Iran czy osłabiania NATO w Europie – i drobnych, ale tym bardziej symbolicznych.

Donald Trump właśnie obchodził 80. urodziny i bez żenady wykorzystał 250. rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych do ich uczczenia.

Nie dość, że z 250. urodzin Ameryki uczynił wydarzenie towarzyszące swoim urodzinom, to jeszcze w jakim stylu. Na południowym trawniku Białego Domu stanęła klatka, czyli ring do mordobicia nazywanego „mieszanymi sztukami walki". Wszystko w barwach amerykańskiej flagi.

Naparzankę czternastu osiłków w klatce śledziły na miejscu ponad cztery tysiące najszacowniejszych gości prezydenta, w tym jego kolega, prezydent Rzeczpospolitej Polskiej Karol Nawrocki.

Była klatka UFC przed Białym Domem, będzie klatka MMA na Krakowskim Przedmieściu przed Pałacem Prezydenckim?

Nie żadne tam występy światowej sławy gwiazd, nie tańce primabalerin, nie poezja czy wojskowe defilady, a brutalny łomot. Czyli facet, który boi się bezpośredniej konfrontacji z równymi sobie, ale lubi dowalać słabszym, zrobił sobie wymarzony urodzinowy prezent – w Białym Domu, na szczycie świata, oglądał bijących się mężczyzn w klatce.

A przy okazji wyświadczył przysługę kumplowi. Bo Trump od dawna przyjaźni się z Daną White'em, szefem federacji UFC. Czyli trawnik Białego Domu udostępnił prywatnej firmie znajomka.

Żeby nie było, Trump miał w tym i cel polityczny, „The Wall Street Journal" zauważył, że prezydenckie poparcie topnieje – w czerwcu miał zaledwie 35 procent, to najniższe notowania w tej kadencji. Silny człowiek Trump traci wśród młodych mężczyzn. To widownia nawalających się facetów w klatce, a jednocześnie grupa, która poparła go w wyborach w 2024 roku.

Trump wierzy, że skoro jest „atrakcją numer jeden na świecie", „człowiekiem, który przyciąga znacznie większą publiczność niż Elvis w szczytowym okresie swojej kariery, i robi to bez gitary", to spadek notowań jest chwilowy, a na pewno przypadkowy. Wystarczy jakieś porządne show i znów wszyscy go pokochają.

Ale czy tak bardzo się myli? W jednym przypadku na pewno podziałało. Choć rozmowy w cztery oczy prezydentów Polski i USA nie było – a tematów nie brakuje, choćby kwestii wojsk amerykańskich w Polsce – Nawrocki wrócił Trumpem jeszcze bardziej zauroczony, niż był. Jego minister Marcin Przydacz opowiada, że szef „jako jedyny przywódca innego państwa brał udział w recepcji wydawanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych" („w recepcji", czyli na bankiecie).

Trudno się dziwić, że Nawrocki jest zauroczony trumpowską agresywną maczystowską mentalnością. Łączy ich wiele, na przykład filozofia życiowa, że jeżeli ktoś jest silny i ma władzę, to ma rację, czyli ma być, jak chce. Łączy ich nieliczenie się prawem, ze słowami, z dziennikarzami, generalnie z innymi ludźmi niż przytakiwacze.

Obaj mają siłę przebicia, emanują bezczelnością, obcesowością. Obaj lubią ostentację. Obaj nie chcą uprawiać tradycyjnej, rozsądnej, przewidywalnej polityki. Obaj nie mają stabilnego światopoglądu. Obaj prezentują z dumą brak wstydu z powodu łamania prawa, kontaktów ze środowiskami przestępczymi, afer. Obaj lubują się publicznym poniżaniu przeciwników – Trump Bidena, Nawrocki Tuska.

Konsekwencją takiej postawy życiowej przeszczepionej do wielkiej polityki już jest osłabienie NATO, podzielenie Unii Europejskiej, a Trump na tym nie poprzestaje, chce narzucić Europie swoją maczystowską filozofię władzy.

Dlatego wychwala Nawrockiego – Orban, jego niegdyś wzór, a potem przedstawiciel na Unię, stracił władzę, stał się bezużyteczny. Ale na szczęście znalazł się nowy, może ten Nowrocky pomoże rozwalić europejskie sojusze.

Nie mniej istotne są konsekwencje mentalne – a co za tym idzie, społeczne – trumpizmu, który zatruwa umysły, pokazując, że takie aspołeczne zachowania i brutalność są nie tylko akceptowalne, ale wręcz nagradzane.

Moja nieproszona rada – by w infantylnym, dziecinnym wręcz naśladowaniu Trumpa, który nie uznaje żadnych granic, sam odnalazł granicę. By podziwiając trumpizm, powstrzymał przed stworzeniem nawrockizmu.

Urodziny Nawrockiego przypadają 3 marca, w 2027 roku skończy 44 lata. Oby nie wpadło mu do głowy, by uczcić ten dzień postawieniem klatki MMA na Krakowskim Przedmieściu, przed Pałacem Prezydenckim.

Oby nie przyszło mu do głowy, że tak zawalczy o głosy młodych mężczyzn, którzy pomogą mu zdobyć przywództwo na prawicy.

Oby nie przyszło mu do głowy połączyć urodzin z Dniem Kobiet. Bo przecież nawalające się osiłki w klatce mogą pomóc mu kupić głosy tych młodych kobiet, które uwielbiają takie klimaty.

Oby nie przyszło mu do głowy zaprosić byłą żonę polityka PiS, która z takich rozrywek jak MMA zrobiła dźwignię swojego wizerunku.

Oby nie przyszło mu do głowy zaprosić swoich koleżków, takich w stylu Wielkiego Bu, zawodnika MMA i freak fightów, ściganego przez prokuraturę za prowadzenie nielegalnych agencji towarzyskich.

Oby nie przyszło mu tam ugościć Tomasza P. pseudonim „Dragon", którego tak serdecznie witał na Jasnej Górze. Przywódcę gangu pseudokibiców Jagiellonii Białystok, skazanego na 6 lat więzienia i podejrzanego w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej.

Oby nie przyszło mu do głowy coś bardziej żenującego... Że sam poboksuje w tej klatce.

Agnieszka Kublik

Andrzej rysuje

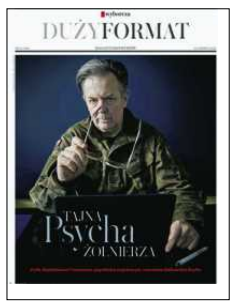




„Bąkiewicz zakuty w kajdanki w Niemczech. Mam prośbę do tamtejszej policji. Czy moglibyście już go nam nie oddawać?"

KAMILA GASIUK-PIHOWICZ
posłanka do Parlamentu Europejskiego, Koalicja Obywatelska, w serwisie X

W poniedziałek „Duży Format"



PSYCHA ŻOŁNIERZA ŚCIŚLE TAJNA

Dzisiaj często słychać głosy, że fali w wojsku już nie ma, że skończyła się wraz z epoką poborowych. To nieprawda. Ona jest dzisiaj inna. Nie polega na tym, że ktoś komuś każe czyścić kibel szczoteczką do zębów. Ale jest blokowanie awansów, wniosków o przeniesienie, wyznaczanie do najgorszych zadań, blokowanie urlopu w lipcu – mówi płk Radosław Tworus, kierownikiem Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii Wojskowego Instytutu Medycznego

Kod dostępu do Wyborcza.pl



1 RP

eprasa.pl 9e613fd31b

DZIEŃ UCHODŹCY

SYGNAŁY, KTÓRE BUDZĄ NIEPOKÓJ

Według ciągle bezkarnych przebierańców to kolor skóry staje się kryterium tego, kto może pojawiać się na polskich dworcach i na polskich ulicach.



• **Protest narodowców pod hasłem „Stop nielegalnej imigracji" na granicznym moście drogowym im. Jana Pawla II w Zgorzelcu (29.06.2025)**

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Bartosz T. Wieliński

Tegoroczne obchody Światowego Dnia Uchodźcy w Polsce (20 czerwca) będą miały szczególnie smutny charakter. W Białej Podlaskiej zamordowano Roberta Kuzowkowa, rosyjskiego opozycjonistę i happenera występującego pod pseudonimem Simon Skrepecki, który w niewybredny sposób wyśmiewał Putina i członków jego kamaryli.

Działacz miał status uchodźcy, jeździł po Europie pokazując swoje prace i demonstrując pod rosyjskimi ambasadami. Nie był pierwszo- ani drugoplanową postacią rosyjskiej opozycji i może dlatego to za nim Rosja wysłała komando zabójców, by zlikwidowali go jako przykład i przestrogę dla innych. Bo skoro Kreml podejmuje ryzyko pozbycia się nieznanego przeciwnika i robi to na terytorium NATO, to wszyscy przebywający na wygnaniu dysydenci powinni zacząć oglądać się za siebie. Bo mogą być następni.

Mroczna codzienność

Drugi niepokojący przykład pochodzi z Warszawy. Na Dworcu Centralnym pojawili się umundurowani bojówkarze, samozwańczy obrońcy Polski przed cudzoziemcami, którzy zaczęli legitymować przechodzących przez dworcową halę ludzi o ciemniejszym kolorze skóry. Na mundurach nosili polskie flagi, tak jakby byli funkcjonariuszami policji lub straży granicznej. Choć dopuścili się poważnego przestępstwa, prawdziwi policjanci nie zareagowali.

Co łączy te wydarzenia?
W Polsce pojawiły się mocne sygnały, że przybysze, bez względu na kolor skóry, nie są u nas bezpieczni.

Można powiedzieć, że Rosja od lat się nie zmienia i na długo przed napaścią na Ukrainę z dużą regularnością przeprowadzała na swoim i obcym terytorium zabójstwa przeciwników politycznych. Wystarczy wymienić nazwiska Litwinienki, Politkowskiej, Niemcowa czy Nawalnego. Ale atak na żyjącego uchodźcę w Polsce i fakt, że sprawcy w zasadzie nie zacierali śladów pokazuje, że codzienność żyjących w Polsce dziesiątek tysięcy uciekinierów z Rosji czy Białorusi staje się mroczna.

Bezkarni nienawistnicy

A skoro w centralnym punkcie polskiej stolicy pojawiają się samozwańczy strażnicy granic i są bezkarni, to oznacza to, że równie ponura może stać się przyszłość ludzi o odmiennym kolorze skóry. Nie tylko tych, którzy są w Polsce nielegalnie, ale i tych, którzy zgodnie z prawem tu pracują, płacą podatki, wiążą z naszym krajem swoją przyszłość. Według ciągle bezkarnych przebierańców to kolor skóry staje się kryterium tego, kto może pojawiać się na polskich dworcach i na polskich ulicach.

Nie ma wątpliwości, że za samozwańcami w mundurach z polską flagą stoi Kreml. Partia, przy której się afiliowali, Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna wprost wzywa do współpracy z prowadzącą w Ukrainie ludobójczą wojnę Rosją. To jej członkowie rozsiewają na platformach społecznościowych fejkowe nagrania pokazujące rzekomych ciemnoskórych najeźdźców na polskich ulicach. W rzeczywistości chodzi o ludzi, którzy pracują w polskich fabrykach, wypełniając coraz większą lukę na naszym rynku pracy. Nic tak nie pomaga Rosji jak kampanie dezinformacji, które wzmacniają wiarę w spiskowe teorie, podkopują zaufanie do państwa i pogłębiają społeczne podziały.

Uchodźcy, imigranci, przybysze także z innych kontynentów i innych kultur stają się częścią naszej codzienności i przyczyniają się do budowania naszego dobrostanu. Polska zobowiązana jest zapewnić im bezpieczeństwo. Ci, którzy podnoszą na nich rękę, bez względu na to, czy to agenci rosyjskich lub białoruskich służb specjalnych czy rodzimi polityczni nienawistnicy, nie mogą być bezkarni. ●

eprasa.pl 9e613fd31b



Koczowmicy z Placu Wolności

Afganistan nie ma przyszłości. Nie ma szkół, uniwersytetów. Nie możesz wyrażać głośno przekonań – mówi Salman, którego spotykam w centro diurno – ośrodku dziennym dla imigrantów i bezdomnych w Trieście.

Bartosz Hlebowicz

Przez dwa lata pracowałem we Francji, wysyłałem pieniądze rodzinie. We Włoszech, żyję dzięki resztkom oszczędności i darmowym posiłkom na Placu Wolności – mówi Sharif, który podróż z Afganistanu do Europy rozpoczął 4,5 roku temu.

– Najbardziej się bałem, kiedy ścigali mnie tureccy policjanci, musiałem wskoczyć do wody i płynąć w stronę Grecji, a wokół pływały trupy – wspomina Niazai, kolejny Afgańczyk.

Pod koniec maja spędziłem kilka dni wśród migrantów i uchodźców, którzy przedostają się do Włoch szlakiem bałkańskim. Triest, stolica prowincji o tej samej nazwie i regionu Friuli – Wenecja Julijska, leżący na północno-wschodnim krańcu Włoch, jest pierwszym miastem Unii Europejskiej, do którego docierają uchodźcy z Azji, Turcji czy Egiptu. Czuwają tu nad nimi organizacje pomocowe, a lokalne władze próbują ich wypłoszyć.

„Lampedusa północy"

– Od końca 2022 r. zajęliśmy się ok. 55 tys. osobami, w tym 28 tys. pochodziło z Afganistanu. Najczęściej to mężczyźni w wieku 18-35 lat, to już dwa pokolenia uchodźców – mówi 40-letni Alessandro Papes, szef organizacji International Rescue Committee (IRC) w Trieście. Działaczy IRC w tym mieście jest siedmiu.

– Większość dociera tu na piechotę wieczorem. Niektórzy odpoczywają chwilę i ruszają do innych krajów. Ci, którzy chcą zostać we Włoszech, czekają na wyrobienie dokumentów, co może trwać miesiące lub lata. Rząd się w ogóle nimi nie zajmuje. My próbujemy zapełnić tę lukę – dodaje Alessandro, który z wykształcenia jest socjologiem. Zawsze pracował w trzecim sektorze, jak określa się organizacje pozarządowe, od 12 lat działa w Trieście, gdzie IRC rozpoczęła działalność w 2021 r.

Triest zawsze był ważnym punktem wielkich migracji, począwszy od nadejścia epoki industrializacji. Jak podaje w książce „Lontano da qui" historyk Roberto Spazzali, po wojenie do Triestu ściągnęło ponad 60 tys. uchodźców z Istrii po tym, jak terytorium przeszło pod kontrolę Jugosławii. Z kolei 20 tys. Triesteńczyków, głównie chorwackiego i słoweńskiego pochodzenia, wyemigrowało do Australii, bo nie mogli sobie znaleźć miejsca w nowych Włoszech. W latach 1876-1980 z regionu Friuli – Wenecja Julijska wyemigrowało do USA i innych krajów łącznie 2,2 mln osób.

Triest zwany jest Lampedusą północy – w odróżnieniu od tej Lampedusy prawdziwej, morskiej, do której imigranci i uchodźcy dostają się z Afryki przez Morze Śródziemne – albo po prostu drugą Lampedusą. Inaczej jednak niż w przypadku tych, którzy trafiają na wyspę, gdzie od razu uruchamiana jest machina opieki państwowej, uchodźcami w Trieście zajmują się wyłącznie organizacje pomocowe, takie jak IRC. Trochę lepiej jest w Mediolanie, gdzie mieści się główna siedziba włoskiego IRC i który przyciąga migrantów nieco lepszymi perspektywami pracy – tutaj z trzecim sektorem aktywnie współpracują władze miasta.

Skąd ta różnica? W Mediolanie rządzi centrolewica, która w imigrantach widzi ludzi w potrzebie. W Trieście – prawica (burmistrzem jest Roberto Dipiazza z Forza Italia), dla której imigranci to zagrożenie.

Dlaczego Afgańczycy uciekają ze swego kraju? Bo nie mogą i nie chcą żyć w opuszczonym przez Zachód totalitarnym państwie talibów. Podobnie obywatele Pakistanu, Nepalu, Bangladeszu, Egiptu czy Sudanu, których do Triestu wygnały wojna, bieda, brak praw człowieka i perspektyw.

Dla Azjatów, podobnie jak dla Egipcjan czy Sudańczyków, głownym punktem w drodze do Europy jest Turcja – Afgańczycy czy Pakistańczycy docierają tam przez Iran. Potem przedostają się do Grecji i przez kolejne państwa bałkańskie do krajów Europy Zachodniej.

Odkąd w październiku 2023 r. Europa przywróciła kontrole na granicach wewnętrznych, władze Friuli – Wenecji Julijskiej chwalą się wyższymi statystykami osób odrzuconych wzdłuż granicy włosko-słoweńskiej. Coraz trudniej jest przejść przez Włochy lub złożyć tu podanie o azyl. Odesłani do Słowenii uchodźcy stają się ofiarami łańcuchowych readmisji do kolejnych krajów bałkańskich.

Wielu jednak nadal dociera do Włoch, a w pierwszym rzędzie do Triestu. Zdarza się, że przyjeżdżają tu nawet ci, którzy dotarli już

eprasa.pl 9e613fd31b



• **„Silos”– opuszczony hangar w starym porcie w Trieście, w którym nocują uchodźcy m.in. z Afganistanu. W języku paszto mówią na niego Khandwala, czyli „rozbity dom”'. Zazwyczaj mieszka w nim między 250 a 400 osób potrzebujących wsparcia**

FOT. BARBARA ZANON/GETTY IMAGES

wcześniej np. do Mediolanu, bo czas oczekiwania na dokumenty w stolicy Lombardii ich zniechęca. Wracają też ci, którzy bezskutecznie próbowali uzyskać ochronę międzynarodową we Francji, Belgii czy Niemczech. Włochy stają się dla nich drugą szansą na zakotwiczenie w zachodniej Europie.

Centro diurno. Lekcje włoskiego i piłkarzyki

Dwa najważniejsze dla imigrantów miejsca w Trieście – gdzie nocują, jedzą i spędzają większość czasu – są blisko siebie.

Centro diurno, czyli ośrodek dzienny, znajduje się o dwie przecznice od dworca głównego, przy via Udine 19. Na wprost dworca jest Piazza della Liberta, Plac Wolności z Pomnikiem Sissi, czyli cesarzowej Elżbiety – to właściwie niewielki park, nie ma betonu, lecz trawa. Liczne drzewa dają cień, są ławeczki.

Centro diurno prowadzi organizacja pomocowa Comunità di San Martino in Campo. Ludzie potrzebujący pomocy – nie tylko imigranci, ale też np. Włosi bez dachu nad głową – mogą przebywać tu od rana do 12 i potem znowu od 14 do 19. Kilka lat temu władze miasta próbowały (bezskutecznie) zamknąć ośrodek, bo uznały, że proporcja imigrantów do bezdomnych jest zbyt duża.

Wszyscy, którzy tu przebywają, dostają wodę i herbatę, mogą wziąć prysznic, uczyć się wspólnie włoskiego czy pograć w piłkarzyki. „Sono felice, sono stanco, sono triste” (wł. jestem szczęśliwy, jestem zmęczony, jestem smutny) – pięciu Afgańczyków powtarza za nauczycielką i notuje włoskie słówka w zeszytach. Przysiadam się z boku, jeden pyta, czy jestem głodny, i podsuwa talerz z ciastkami. Inny wstaje i wraca z plastikowymi kubeczkami herbaty – dla siebie i dla nauczycielki.

Obok mnie siedzi Yusuf, rozmawiamy po angielsku, on czasem dorzuca słowo po niemiecku, ja po włosku. Ma 28 lat, Afganistan opuścił pięć lat temu. Na pytanie: „Dlaczego?”, odpowiada: „Talibowie”. Pokonał granicę białorusko-polską. Mówi, że polscy pogranicznicy pobili go wiele razy. Jest we Włoszech od sześciu miesięcy, wcześniej był przez trzy lata w Niemczech, pracował tam, ale nie miał właściwych dokumentów, więc odesłali go do Włoch, przez które wcześniej przedostał się do Niemiec. Przysłuchuje się lekcji, ale nie uczestniczy w niej. Chce wracać do Niemiec, jak tylko wyrobi we Włoszech dokumenty.

Centro diurno to dwie duże sale. Większość, osób po prostu siedzi na krzesłach, niektórzy leżą na dwóch-trzech krzesłach ustawionych obok siebie. Niewiele tu rozrywek. Jeden chłopak układa pasjansa, niektórzy rozmawiają w grupkach, wielu milczy, odpoczywa. Najbardziej oblegany jest stół do gry w piłkarzyki: grają wszyscy, imigranci, bezdomni i ludzie z IRC.

Poza Afgańczykami i Pakistańczykami są dziewczyna ze Sri Lanki i kilku czarnych chłopaków z Afryki. I Franco, Włoch, który przyjechał z innego miasta i mówi, że go okradziono. Przyszedł, bo nie ma pieniędzy i dokumentów.

28-letni Mohammad Ali z Pakistanu siedzi przy stoliku z dwoma innymi. On języka chce się nauczyć, ale najpierw wyrobi dokumenty. Opuścił ojczyznę w 2021 r., do Włoch dotarł przed miesiącem. Najgorzej wspomina Grecję. – Do Grecji próbowałem się przedostać z dziesięć razy, ale tamtejsza policja łapała mnie i wyrzucała z powrotem.

Kilka razy go pobili, za to tureccy policjanci i medycy traktowali go dobrze. Opatrzyli skaleczone rękę i stopę. Ostatecznie udało mu się zmylić greckich pograniczników i pracował w tym kraju cztery lata. Dzięki temu mógł co miesiąc przysłać kilkaset euro rodzinie w Pakistanie. Miał nadzieję na azyl w Grecji – gdy go nie dostał, ruszył dalej: przez Macedonię, Serbię, Bośnię, Chorwację, Słowenię do Włoch. Mówi, że przy przekraczaniu granic pomagali „agenci”, za każdym razem płacił 100-200 dolarów. W sumie wydał ok. 2 tysięcy euro. Podróżowali grupą ok. 60 osób. Europa była celem, ponieważ daje dobre gwarancje.

Mohammad opowiada o rodzinnym Gujrat. Jest przepiękne, ale Pakistańczykom brakuje pieniędzy, a wszędzie panoszy się korupcja. – W Europie wypłatę dostaje się po miesiącu pracy, w Pakistanie trzeba czekać dwa-trzy miesiące.

Mówi, że Pakistańczyków nie stać na utrzymanie rodziny, bogacą się jedynie politycy, którzy trzymają pieniądze w zagranicznych bankach. W ojczyźnie pracował m.in. jako malarz i kierowca. Na razie dostał azyl we Włoszech, w przyszłym tygodniu wybiera się do Gorycji, gdzie ponoć łatwiej o papiery potrzebne do podjęcia pracy. Teraz spędza czas w ośrodku. Śpi w noclegowni prowadzonej przez Caritas. Chciałby sprowadzić tu matkę i siostrę („Włochy to dobry kraj”), ale wie, że włoskie przepisy (*raggiungimento familiare*) pozwalają starać się jedynie o ściągnięcie współmałżonka.

„Nie mieliśmy innej opcji”

Z Salmanem, Afgańczykiem, rozmowa jest najpłynniejsza, też po angielsku. Ma 29 lat, pochodzi z Laghman, mieszkał w Kabulu. Po wejściu talibów część jego rodziny schroniła się w Pakistanie – poza starszym bratem, który był rzecznikiem armii rządowej i został aresztowany. Do dziś siedzi w więzieniu bez wyroku.

Talibowie aresztowali także drugiego brata Salmana, który był studentem. Bili go prętem i sznurem. Wypuścili po dwóch miesiącach. Uciekł do Iranu, ale deportowano go z powrotem do Afganistanu. Salman także uciekł do Iranu – we wrześniu 2021 r. – ale uniknął deportacji. Stamtąd, m.in. przez Turcję, Bułgarię i Serbię, przed dwoma laty dotarł do Włoch.

– Studiowałem informatykę, ale Afganistan nie ma przyszłości. Nie ma szkół, uniwersytetów, podstawowej edukacji dla obywateli. Kobiety nie mają żadnych perspektyw, wszystko pozamykali. Nie możesz wyrażać głośno swoich przekonań. Uciekamy do Europy, bo to najbliższe miejsce. Nie mieliśmy innej opcji. W Pakistanie jesteśmy nielegalnie, deportują nas do Afganistanu. To samo w Iranie czy w Turcji. Włochy są najbardziej ludzkie. Chcemy po prostu żyć w spokoju. Włochom mówię „dziękuję”, tu ludzie są bardzo mili, pomocni.

Salman nigdy nie sądził, że będzie musiał uciekać z Afganistanu. – Brat miał wysoką pozycję, ojciec był nauczycielem, matka pracowała w szpitalu. Mieliśmy dobre życie, wszystko było dla nas dostępne. Opuszczamy kraj nie z wyboru, lecz z przymusu.

Salman otrzymał azyl we Włoszech i pozwolenie na pobyt, może szukać tu pracy. Czeka jeszcze na kolejne papiery, żeby mieć adres włoski. Przed nim wywiad w triesteńskiej kwesturze. Kiedy zalegalizuje swój pobyt, marzy o ściągnięciu żony i dzieci, których widzi tylko przez komórkę.

– Pobraliśmy się we wrześniu 2018 r. Kiedy uciekałem z Afganistanu w 2021 r., ona była w ciąży z bliźniakami, chłopcem i dziewczynką. Moja żona studiowała, kiedy nadeszli talibowie. Teraz siedzi zamknięta w domu, nie może nawet wyjść na zakupy. Zamartwia się, kiedy nie ma ze mną kontaktu. Ale nie było szans zabrać ją w taką podróż.

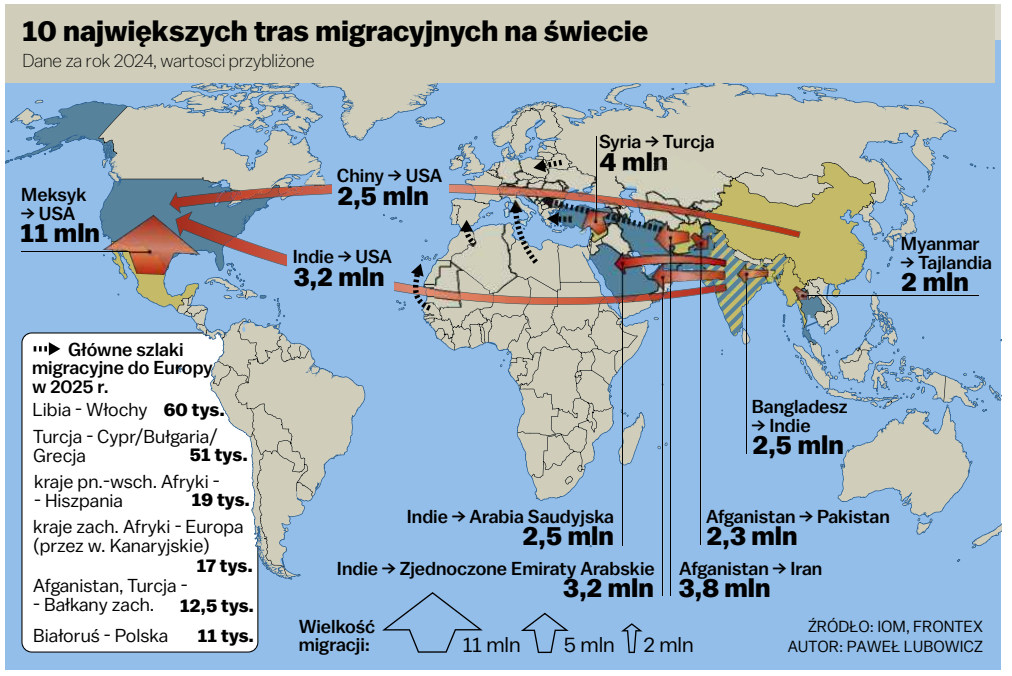
Salman opowiada, jak wygląda jego dzień. – Budzę się o szóstej. robię herbatę. O 10 przychodzimy tutaj [do ośrodka dziennego], ładuję telefon, potem idę z przyjacielem do Caritasu, gdzie o 11.30 dostajemy lunch. Potem wracamy do parku naprzeciw dworca, siedzimy tu z innymi, a o drugiej po południu znowu otwierają ośrodek i wracamy. Albo idziemy do innego ośrodka na lekcje podstaw włoskiego. Po czwartej po południu idą znów do Caritasu, gdzie o 17 dostają obiad, a potem zostają w parku. Wieczorem pomagają w rozdawaniu jedzenia przynoszonego przez wolontariuszy.

Stary port. Życie improwizowane

Salman mieszka w jednym z opuszczonych magazynów starego portu w północnej części miasta, na zachód od dworca. Kiedyś to było najważniejsze okno na świat Habsburgów, łączące ze światem arabskim, zwłaszcza po otwarciu Kanału Sueskiego. Po II wojnie światowej stary port z 23 wielkimi hangarami i magazynami – to obszar o powierzchni 62 ha – stopniowo pustoszał. Dziś cały ten teren popada w ruinę, bo obecny port jest kilka kilometrów dalej, w południowej części wybrzeża.

Jest jeszcze Silos – wielki hangar przylegający od tyłu do dworca autobusowego, który mieści się obok dworca kolejowego. W czasach imperium magazynowano tu zboże, pod koniec II wojny ze starego dworca hitlerowcy wysyłali transporty Żydów do obozów śmierci w Niemczech i Polsce. Port pustoszyły pożary. Dziś hangar nie ma dachu.

Po wojnie Silos był schronieniem tysięcy włoskich uchodźców z Istrii, w ostatnich latach koczowali tu uchodźcy z Azji i Afryki, dopóki policja nie dokonała eksmisji: w dwóch nalotach – w czerwcu 2023 r. i w czerwcu 2024 r., wyłapała i wywiozła kilkuset mieszkańców do ośrodków w Lombardii, a miejsce otoczono drutem. Prezydent regionu Massimiliano Fedriga (z prawicowej Ligi Salviniego) mówił o przywróceniu porządku i bezpieczeństwa – jedną z jego pierwszych decyzji, gdy został prezydentem w 2018 r., było wycofanie miliona eu-





FOT. BARTOSZ HLEBOWICZ

Ismail, były uchodźca, obecnie pracownik IRC w Trieście: . „Jesteśmy pierwszym punktem pomocy. Informujemy, jak zorganizowane są: jedzenie, spanie, pomoc medyczna

eprasa.pl 9e613fd31b

ro na przyjmowanie imigrantów i przeznaczenie ich „na potrzeby obywateli" Triestu. Zdjęcia z namiotami w zrujnowanym budynku, które wtedy obiegły cały świat, pochodzą właśnie z Silosu.

Migranci jednak wciąż napływają – po prostu zajmują inne porzucone budynki w porcie, z których próbuje wyrzucać ich policja.

Od Alessandra Papesa dowiaduję się, że co miesiąc policja urządza naloty w starym mieście i próbuje przeganiać uchodźców. Kiedy funkcjonariusze zamykają jeden budynek, uchodźcy przenoszą się do następnego.

– To trwa od dwóch lat. Obszar jest zbyt duży, nie sposób zamknąć całego. Ludzie zawsze znajdą jakieś miejsce, muszą gdzieś spać. Władze nie mają pomysłu, jak im pomóc ani co zrobić z tym obszarem – komentuje Papes.

Mówi, że obecnie zamieszkane są nie więcej niż trzy-cztery budynki, ale zaznacza, że sytuacja cały czas się zmienia.

Idę tam z Afgańczykiem Sherem Khanem, innym pracownikiem IRC. Kolejno wskazuje budynki, w których mieszkali i do których musieli się przenieść Afgańczycy, Pakistańczycy, Bengalczycy, Tunezyjczycy, Marokańczycy, Algierczycy i Rumuni. To ponure miasteczko pełne wielkich, opuszczonych, czteropiętrowych magazynów, z pustymi oczodołami okien. Na obrzeżach parkują samochody, na chodnikach wytyczono ścieżki do joggingu, ale przede wszystkim to terytorium szczurów, gołębi, mew oraz imigrantów.

Zwiedzamy kolejne piętra: olbrzymia betonowa przestrzeń, napisy na ścianach, łachmany suszące się na sznurze i framudze okna, ubrania porozrzucane na środku, w niektórych kątach legowiska z zakurzonych kurtek, stół zrobiony z deski i dwóch opon, na nim płyn do mycia naczyń, miska, butelka z resztką wody i płaski garnek do góry dnem. Widzę prymitywną huśtawkę z liny przyczepionej do sufitu, deski i szmaty obwiązanej wokół drewna, przy rozbitym lustrze żyletka do golenia, gdzieniegdzie ułożone na betonie szmaty, którą robią za łóżka. W oddali przechodzą śniadzi lokatorzy z zakupami w reklamówkach.

Nie ma prądu ani bieżącej wody. Nie ma namiotów, jak kiedyś w Silosie, które pochodziły z darów różnych organizacji i obywateli.

– Silos to jedna przestrzeń, bez odrębnych pokoi czy sal. Namioty dawały namiastkę prywatności i chroniły przed deszczem – tłumaczy 27-letnia Carlotta Benussi, także oficer terenowa IRC.

Jesienią i zimą wrogiem imigrantów jest bora, ostry zimy wiatr z zachodnich Bałkanów.

Od kilku lat organizacje pomocowe i centrolewicowe partie opozycyjne zwracają się do władz Triestu, aby jeden z tych budynków, przy via Gioia naprzeciwko Silosa, wyremontować i zrobić z niego prawdziwe dormitorium dla imigrantów. Obecnie budynek jest zamknięty. Są w nim duże sale, łazienki, jest światło i prąd. Renowacja nie wymagałaby wiele wysiłku. Kilka lat temu prawicowy burmistrz Dipiazza mówił, że to dobry pomysł, potem jednak zmienił zdanie. W wywiadzie dla lokalnych mediów w listopadzie 2022 r. wyjaśnił, że przerobienie budynku na noclegownię dla imigrantów byłoby dla nich magnesem.

– Dlaczego nie proszą o azyl na Węgrzech i Słowenii, tylko tutaj? – pytał burmistrz i twierdził, że „kryje się za tym wielki biznes".

Za pozorną naiwnością tego pytania stoi cynizm polityka populisty, który dobrze wie, że – poza tym, iż uchodźcy próbują dotrzeć do zachodniej Europy, gdzie mają lepsze widoki na pracę – system azylowy w Słowenii i na Węgrzech jest tak restrykcyjny, że trudno tam w ogóle złożyć podanie o ochronę (Węgry przyjmują tylko te składane w jej ambasadach w innych krajach).

Budynek pozostaje więc zamknięty, a imigranci śpią w zrujnowanych magazynach obok, co też nie podoba się burmistrzowi, który powtarza, że „trzeba ich stąd wywieźć".

– Usunęli nawet przenośne toalety publiczne w pobliżu Placu Wolności zaledwie trzy miesiące po ich instalacji – opowiada Alessandro. – Pretekst: ktoś je uszkodził. Nie wiadomo kto, ale miasto uważa, że uchodźcy. Dla władz toalety to pull factor – czynnik przyciągający imigrantów, podobnie jak przejście podziemne z dworca, gdzie uchodźcy się chronili, gdy padał deszcz. Dlatego przejście też zamykają.

– Afgańczycy uciekają przed talibami i ruszają w wielomiesięczną lub kilkuletnią podróż do Europy zachęceni perspektywą skorzystania z toalety publicznej w Trieście? – pytam z przekąsem.

Tajemnica czarnych koszul

Park na Placu Wolności to centrum życia imigrantów w Trieście. Tutaj koczują ci, którzy przeszli szlak bałkański, zdarzają się też tacy, którzy dotarli tu przez Morze Śródziemne albo pokonawszy granicę białorusko-polską.



FOT. BARTOSZ HLEBOWICZ

• **Triest. Na pierwszym planie opuszczone po wojnie budynki starego portu, w których szukają schronienia uchodźcy z Azji. Ten bez dachu nazywają „Silosem"**

Co miesiąc policja urządza naloty i próbuje przeganiać uchodźców. Kiedy zamykają jeden budynek, oni przenoszą się do następnego

Tutaj opiekują się nimi pracownicy organizacji pomocowych, takich jak IRC. Część z nich to zresztą byli uchodźcy, którzy dzięki podobnemu doświadczeniu łatwo znajdują wspólny język z przyjezdnymi. W triesteńskim IRC takich pracowników jest trzech: wspomniany Sher Khan, Pakistańczyk Ismail Swati (ten od piłkarzyków) i Safiullah Azizi z Afganistanu.

W parku rozmawiam z 30-letnim Sherem Khanem. Płynnie mówi po angielsku i włosku. Jego uśmiech, namysł, z jakim odpowiada, oraz uważność na innych są ujmujące.

Opuścił Afganistan w 2015 r.. Rok później dotarł do Włoch przez Pakistan, Iran, Turcję, Bułgarię, Serbię, Węgry, a stamtąd taksówką do Niemiec. Spędził tam 7 miesięcy. Niemcy zamierzali odesłać go na Węgry, wyjechał więc do Włoch. Najpierw trafił do Mediolanu, potem do Triestu. – Przez pierwsze trzy miesiące mieszkałem w Silosie, potem włączono mnie do oficjalnego systemu goszczenia (*accoglienza*), organizacje pomocowe znalazły mi mieszkanie, które dzieliłem z imigrantami z innych krajów. W jednym domu było nas kilkunastu. Nie było problemów, szanowaliśmy się.

Potem zaczął pomagać jako tłumacz, aż wypatrzyli go ludzie z IRC, dla których pracuje od 2022 r., najpierw jako mediator kulturowy, potem jako field protection officer, czyli specjalista od pracy z imigrantami w terenie. Kieruje też najbardziej potrzebujących do placówek, które znajdują im dach nad głową. Wraz z innymi oficerami terenowymi patrolują Plac Wolności i okolice, monitorując, czy są nowi przybysze. W ten sposób przez większość dnia ludzie z IRC mają oko na przyjezdnych.

Pytam, dlaczego wszyscy przybysze na Placu Wolności – jest ich ze 40 – mają czarne t-shirty. – Podróżują głównie w nocy i nocą przekraczają granice, starają się być niewidoczni, dlatego nie noszą białych czy kolorowych strojów. Poza tym na czarnych najmniej widać brud – nie mają tego komfortu, żeby codziennie wziąć prysznic, zmienić ubranie. Tygodniami mają tę samą koszulę, spodnie i buty. Dopiero gdy dotrą do jakiegoś ośrodka pomocy, jak centro diurno w Trieście, dostają nowe.

Przepływałem obok zwłok"

Grupę czarnych koszul, kilkunastu młodych mężczyzn z Afganistanu, spotkałem rankiem 27 maja na Placu Wolności. Jeden z nich, 25-letni Sharif Ullaf Mohammadi, był pierwszym uchodźcą, z którym rozmawiałem w Trieście. Sher Khan tłumaczył.

– Pochodzę z prowincji Nangarhar, z dystryktu Khogyani. Ruszyłem w stronę Europy 4,5 roku temu. Rodzina została w Afganistanie. Mam mamę, troje rodzeństwa, ojca zabito.

Przez dwa lata pracował w fabryce w Turcji, rozładowywał transporty maszyn. Kiedy Turcja zaczęła odsyłać ludzi do Afganistanu, poszedł dalej. Najcięższy etap był w Bułgarii, gdzie spędził 12 dni, bo przemytnikom, którzy mieli przeprowadzić jego grupę, kilka razy nie udawało się dotrzeć na umówione miejsce.

Najpierw przez Włochy dotarł do Francji, gdzie spędził dwa lata. Nie dostał papierów, więc wrócił do Włoch. Przyznano mu ochronę specjalną, czyli zezwolenie na pobyt na dwa lata. Do Triestu przyjechał tylko po to, żeby złożyć dokumenty, teraz czeka na decyzję MSW, w którym mieście i w której placówce w ramach włoskiego systemu przyjmowania i integracji (SAI) będzie mieszkał.

Ma pozwolenie na pracę. Chce ją znaleźć jak najszybciej, bo tylko on utrzymuje rodzinę.

24-letni Niazai Tak Muhammad jeszcze wczoraj był w Chorwacji. Opuścił Afganistan w 2021 r., kilka dni po odejściu Amerykanów. Uciekli z bratem, który teraz jest we Francji. – W moim kraju jest wiele problemów, panuje bieda, nie ma pracy. Nie chodziłem do szkoły, jestem analfabetą. Mam zamiar nauczyć się języka i pracować w zdrowym otoczeniu.

Opowiada o najbardziej dramatycznej części podróży: – Kiedy próbowałem się przedostać z Turcji do Grecji, musiałem przepłynąć jakiś kanał. Mocno padało i woda była bardzo głęboka. Widziałem ludzi unoszących się na wodzie, którzy nie zdołali się uratować. Za plecami byli tureccy policjanci. Mnie się udało.

Ojciec Niazaia nie żyje podobnie jak inny z jego braci. W Afganistanie ma jeszcze dwóch braci i dwie siostry. Liczy, że we Włoszech zdobędzie jakąś formę ochrony międzynarodowej.

Abdul ma 38 lat, także on do Włoch przybył wieczorem poprzedniego dnia. Podróżował prawie 40 dni. Wspomina, że na Węgrzech uciekał samochodem przed policją. Miał wypadek, musiał porzucić samochód, noga wciąż go boli. Jego rodzina po wejściu talibów uciekła do Iranu, potem została deportowana, teraz ukrywa się w Kabulu. Dla niego nie ma tam powrotu, bo przez 13 lat służył w wojsku afgańskim, które współpracowało z NATO. Nie zamierza starać się o papiery we Włoszech, chce się dostać do Niemiec, gdzie ma krewnych i znajomych.

Przyjezdni młodzi i starzy

Na obrzeżach Parku Wolności stoją w grupkach włoscy policjanci. Są dyskretni, nie sprawdzają dokumentów, tylko obserwują. Od Alessandra dowiaduję się, że nie zawsze tak jest. Poza nalotami na portowe hangary przeprowadzają znienacka kontrole dokumentów imigrantów w parku, wiozą do kwestury tych, którzy ich nie mają.

Park jest głównym miejscem, gdzie przyjezdni mogą zdobyć informację i otrzymać pomoc. Opowiada o tym Ismail, Pusztun z Pakistanu, pośrednik kulturowy w IRC, który przybył do Włoch w 2017 roku, gdzie jako aktywista polityczny i obrońca praw człowieka otrzymał azyl. Ma 36 lat. Rozmawiamy wieczorem w parku: – Wieczór to najważniejszy czas. Wtedy przybywa tu wiele rodzin.

Pracownicy IRC pomagają im znaleźć dach nad głową choć na kilka dni, choćby w noclegowni Caritasu.

– Widzisz, ci nowi zwykle siedzą tu w rzędzie. – Ismail wskazuje grupę po prawej. Ich niewielkie plecaki stoją równo ustawione wzdłuż brzegu chodnika.

Po lewej zaś są starzy, którzy przybyli wcześniej, np. poprzedniego dnia, i IRC lub inna organizacja już się nimi zajęły.

Najpierw dostają jedzenie. Przygotowują je wolontariusze, którzy zjeżdżają się z całych Włoch. Jak Fornelli Resistenti (Wytrzymałe Kuchenki) z Mantowy – grupa, która gotuje i rozdaje na Placu Wolności około dwustu posiłków dziennie. Albo organizacja Linea d'Ombra (Linia Cienia). Któregoś wieczoru widziałem na placu, jak współzałożycielka organizacji Lorena Fornasir, emerytowana

eprasa.pl 9e613fd31b



FOT. BARTOSZ HLEBOWICZ

• **Uchodźcy na Placu Wolności przed dworcem kolejowym w Trieście. Pobliski park jest głównym miejscem, gdzie przyjezdni mogą zdobyć informacje i otrzymać pomoc. Pracownicy IRC pomagają im znaleźć dach nad głową, choćby na kilka dni np. w noclegoni Caritasu**

psycholożka kliniczna, opatrywała jednemu z uchodźców poranioną stopę.

– W zeszłym tygodniu przyjechali studenci ze szkoły hotelarskiej w Brescii. Przywieźli imigrantom ryż, pieczoną paprykę, ziemniaki i kurczaka – wylicza Carlotta Benussi. – IRC nie zajmuje się rozdawaniem jedzenia na placu, ale w czwartki dostajemy z supermerkatów jedzenie, którego termin się kończy, ale wciąż jest dobre, i roznosimy je na terenie starego portu.

Ismaila wszyscy tu znają. Zaczął pomagać imigrantom jako wolontariusz w 2019 roku, a od stycznia 2021 pracuje dla IRC. – Jesteśmy pierwszym punktem przyjmowania i pomocy. Rozmawiamy z uchodźcami, szacujemy, skąd pochodzą, i tworzymy „grupy lingwistyczne", żeby łatwiej przekazać informacje na temat ich praw i tego, jak zorganizowane są rzeczy tutaj; jedzenie, spanie, pomoc medyczna. Tym, którzy zamierzają pozostać we Włoszech, wyjaśniamy jeszcze wszystko indywidualnie.

– Dzięki temu, że mam bardzo elastyczne godziny pracy, mogę być tutaj codziennie, od mniej więcej 19.30 do 22 – wyjaśnia i dodaje, że jest to istotne, ponieważ zadaniem ludzi z IRC jest także monitorowanie i zbieranie informacji na temat przekroczeń granicy.

Alessandro mówi, że w ubiegłych latach około 65 proc. z uchodźców zmierzało przez Włochy do innych krajów, najczęściej Francji i Niemiec. Proporcje zmieniły się nieco od ubiegłego roku, kiedy trochę ponad połowa zadeklarowała chęć pozostania we Włoszech. Jego zdaniem wynika to z zaostrzenia antyimigracyjnej polityki innych krajów.

Według statystyk IRC przez okolice Dworca Głównego przewija się rocznie 13 tys. uchodźców. W zeszłym roku nieco mniej – 10 tys., ale po pierwszym półroczu tego roku zanosi się znowu, że będzie ich więcej.

Przed zejściem do miasta, w lesie na płaskowyżu Carso (Kras) otaczającym Triest od północy i wschodu, uchodźcy masowo porzucają strzępy ubrań, które służyły im dotąd, duże torby, a nawet przedmioty osobistego użytku, takie jak szczoteczki czy nożyczki, a także dokumenty, np. z napisem „PRIVREMENA KARTICA" – wydanym w Chorwacji tymczasowym pozwoleniem na pobyt. Wyrzucają wszystko, co uważają już za nieprzydatne, i chcą, docierając do miasta, jak najmniej rzucać się w oczy.

– Porzucają w lasach dokumenty i inne przedmioty, żeby wejść do Włoch jak nowi – tłumaczy Alessandro. – Nie chcą, żeby znaleziono przy nich jakikolwiek dokument, który by ich wiązał z innymi krajami.

Międzynarodowa Organizacja ds. Uchodźców (IOM) podała, że od 2014 r. na Zachodnich Bałkanach zginęło 440 imigrantów

Dormitorium na sytuacje awaryjne

Wieczorem, podczas rozdawania jedzenia, wśród imigrantów pomagających innym wyróżnia się Afgańczyk w średnim wieku. Podchodzi do mnie, przedstawia się jako Yusef. Na wieść, że jestem z Polski, od razu mówi, że wiele razy słyszał od tych, którzy dotarli tu nie szlakiem bałkańskim, lecz m.in. przechodząc przez granicę białorusko-polską, że byli brutalnie traktowani przez polskich pograniczników.

On sam dotarł do Włoch przez Bałkany. Najgorzej wspomina doświadczenie z policją bułgarską. – Dopadli nas dwa razy, kazali się wszystkim rozbierać, także kobietom. Zostawili nas w slipach, zabrali wszystkie ubrania i komórki.

Yusef był wojskowym, walczył z talibami. Gdy objęli władzę w Afganistanie, musiał uciekać. Rodzina złożyła się na jego podróż. W Iranie wpadł w ręce „mafii", która zabrała mu wszystko. Rodzina wysłała mu pieniądze jeszcze raz, dzięki którym mógł się przedostać do Turcji i przez Bałkany do Włoch. Nie ma pracy, śpi w starym porcie, liczy na to, że otrzyma pozwolenie na pobyt.

Alessandro i Carlotta prowadzą mnie do miejsca, o którym już mówiliśmy: dormitorium Caritasu im. św. Anastazego, z którym ludzie IRC ściśle współpracują.

Przebywają tu nie tylko imigranci i uchodźcy, ale także Włosi. Są tu 24 miejsca, a schronisko ma dwie sale: w jednej śpią rodziny i osoby wymagające szczególnej opieki, druga jest zarezerwowana dla kobiet. Otwierają je o 20 i zamykają o 8 rano. Ludzie dostają tu śniadanie i kolację, mogą skorzystać z toalet, wziąć prysznic.

W noclegowni rozmawiam z 18-letnim Mohammadem z Egiptu. Jest tu od 15 dni. Opowiada, że jego podróż trwała dziewięć miesięcy. Najpierw dostał się do Turcji, gdzie jakiejś kobiecie zapłacił 10 tys. euro, żeby przejść przez Bałkany do Włoch. Wiele razy miał problemy z policją. Wspomina, że w Chorwacji funkcjonariusze zabrali mu telefon i ubrania. W Egipcie ma dwóch braci i siostrę, deklaruje, że zamierza zostać we Włoszech.

Bezpieczna przestrzeń. Zbudować życie od zera

IRC prowadzi też „bezpieczną przestrzeń dla kobiet i dziewcząt" w budynku przy via Filzi 8, 600 metrów od dworca w stronę centrum. Kieruje nim Irini Kontogiannis.

Wewnątrz jest przytulnie, kilka pokojów biur i jedna większa sala, w której „klienci" przychodzą na lekcje włoskiego, wspólne tańczenie zumby czy lekcje szycia. Idą też razem do kina (Irini dodaje, że dla niektórych kobiet był to pierwszy raz).

– Mamy to miejsce od niedawna, wcześniej gnieździliśmy się w skromnym biurze razem z kilkoma innymi organizacjami – opowiada. Wyjaśnia, że głównym celem działania „bezpiecznej przestrzeni" jest integracja imigrantów. Przychodzą tu przede wszystkim kobiety, które przyjechały do Włoch w ramach łączenia rodzin, te, które przebywają w ośrodkach dla uchodźców, oraz te, które pozostają poza systemem opieki społecznej.

Ale przychodzą też Włosi, na przykład emeryci, bo – jak wyjaśnia Irini – „potrzebują miejsca, żeby spotykać się z innymi ludźmi. Być może czują się samotni i szukają zajęć, by trzymać się zdrowo, przebywając z innymi".

Irini obserwuje wielką izolację społeczną: – Owszem, kobiety zdołały przyjechać tu do swoich mężów, ale nie znają nikogo innego. To miejsce jest bardzo ważne, jest punktem spotkań, a także uzyskiwania informacji.

Dodaje, że do jej „przestrzeni" przychodzi więcej Pakistanek, bo Afganki częściej „łączą się ze światem" za pośrednictwem swoich mężów. Te drugie też się jednak pojawiają, co dla Irini stanowi dowód odwagi i próby przełamywania niedobrej tradycji, od której przecież postanowiły uciec.

Irini jest też pracowniczką socjalną zajmującą się indywidualnymi przypadkami osób w największej potrzebie, nie tylko kobiet. Od 2022 roku, kiedy IRC zaczęło działać w Trieście, miała do czynienia z mniej więcej 800 osobami.

Opiekuje się m.in. kilkoma rodzinami z Palestyny, które dotarły tu dzięki państwowemu korytarzowi medycznemu w czasie trwającej wojny. Są też i Ukrainki, i Rosjanki.

–Między tymi dwiema grupami czasem dochodzi do spięć, ale moim zadaniem jest ich łagodzenie i szukanie tego, co łączy ludzi.

Opowiada o Ukraińcach: – Wielu z nich przybyło tu z poważnymi niepełnosprawnościami lub rzadkimi chorobami genetycznymi. Od początku znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji, bo nigdy nie trafili do oficjalnego systemu przyjmowania uchodźców. Mogą liczyć jedynie na pomoc parafii, przyjaciół lub rodziny.

Irini tłumaczy, że obecnie większość z Ukraińców w Trieście pracuje i wynajmuje mieszkania, ale wciąż borykają się ze skomplikowaną biurokracją włoską. – Pomagam im przygotowywać podania o zasiłki. Np. ubieganie się o orzeczenie o niepełnosprawności to skomplikowana procedura nawet dla Włochów.

Jednym z pomocników Irini w „bezpiecznej przestrzeni" jest Atakan Kayatekin, uchodźca z Turcji, który obecnie w ramach programu Digital Horizon organizuje szkolenie z tworzenia oprogramowania dla imigrantów w wieku od 16 do 30 lat. – Kurs trwa 600 godzin, z czego 250 odbywa się w przedsiębiorstwach – informuje Atakan.

Twierdzi, że współpraca z IRC dała mu szansę na przekwalifikowanie się, a ludzi z IRC nazywa aniołami. Wcześniej zajmował się sprzedażą.

– Dzięki temu projektowi zacząłem budować moje życie od zera. Projekt ma pokazać, że przybywają tu imigranci, którzy mają umiejętności, ale nie mogą ich wykorzystywać, bo wielu z nich musi podejmować nisko płatną pracę. Mówimy: „Nie, mamy ludzi o błyskotliwych umysłach, którzy mogą się wiele nauczyć i wiele wnieść, nie muszą pracować w knajpie". A wynagrodzenia osoby zajmującej się tworzeniem oprogramowania różni się od zarobków tego, kto pracuje w restauracji.

Wolność otoczona murem

W sierpniu ub. r. burmistrz Dipiazza w wywiadzie dla telewizji TG Trieste powiedział, że „organizacje pomocowe wyrządzają krzywdę, pomagając »im«, bo w ten sposób ściągają innych do Triestu".

– Moja recepta to usunąć ich z miasta. Organizacje pomocowe protestują, bo biorą kasę na pomaganie – wykłada swój życiowy pogląd burmistrz. Dotąd nie powiedział, gdzie chciałby „ich" usunąć.

Słowa Dipiazzy to typowe dla populistycznej prawicy kryminalizowanie solidarności. To jednak nie wina imigrantów, że muszą miesiącami czekać na decyzję prefektury o swoim dalszym losie czy na przeniesienie do innego miasta. Tymczasem muszą jakoś żyć.

Od Alessandra dowiaduję się, że prawicowe władze Triestu wyasygnowały 1,2 mln euro na ogrodzenie Piazza della Libertà. Miałby być otwierany tylko w ciągu dnia.

– Urządzą prawdziwy Plac Wolności – mówię.

– Kto wie, może zmienią też nazwę – ironizuje Alessandro. ●

• W dniach 25-29 maja autor rozmawiał z uchodźcami i osobami ubiegającymi się o azyl w Mediolanie i Trieście oraz pracownikami włoskiego oddziału International Rescue Community. Reportaż jest częścią tego projektu.

eprasa.pl 9e613fd31b

KRAJ



Na temat mojej wiary nie będę się spowiadał

Honor w polityce i w życiu społecznym jest znacznie ważniejszy, niż się ludziom wydaje

Z **RADOSŁAWEM SIKORSKIM,**
MINISTREM SPRAW ZAGRANICZNYCH
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Ma pan potrzebę metafizycznych dociekań?
– Wszyscy szukamy prawdy i sensu, który jest większy od nas samych. Stąd potrzeba systemów filozoficznych i religii, które mają pomagać w zmierzeniu się z pytaniem, dlaczego jest coś, a nie nic. Skąd się wzięliśmy i dlaczego.

W rozmowie z dominikaninem Wojciechem Giertychem akurat na to ostatnie pytanie pan odpowiada.
– W przeciwieństwie do niego nie mam wątpliwości, że jesteśmy produktem ewolucji. Ale pytania o sens wykraczają poza ewolucję, fizjologię i zaspokajanie podstawowych potrzeb materialnych.

Przeżył pan mikrosekundy pewności albo przeczuć na temat „skąd przybywamy, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy"?
– Kiedy się jest na wojnie i kule świszczą nad głową, to człowiek myśli szybciej i zadaje sobie podstawowe pytania.

Co ja tu robię?
– To jedno, a drugie – czy jestem gotów zginąć za to, co robię.

To nie są pytania o Boga, tylko o wartości.
– Tak, ale ludzkość odpowiadała sobie na nie poprzez systemy etyczno-metafizyczne. Istnieją religie bez figury Boga. Konfucjanizm, buddyzm czy taoizm nie postulują Boga jako takiego. Można inspirować się życiem Buddy, który za Boga się nie uważał, ale długo i intensywnie myślał o tym, jak żyć. Podobnie jak filozofowie.

W ludzkiej naturze leży pytanie o sens bytu?
– Prawdopodobnie, chociaż nie wiem, skąd się biorą w nas te pytania. Jaka struktura mózgu za nie odpowiada. Ojciec Giertych uważa, że człowiek jest homo religiosus, co oznacza, że naturalnie dochodzi do przekonania o istnieniu jakiegoś stwórcy, absolutu czy praprzyczyny.

Nie sądzi pan, że nasza samotność i przypadkowość we wszechświecie jest tak rozpaczliwa, że kojące jest myślenie, że Ktoś jest ponad tą beznadzieją?
– Wielu filozofów, ludzi Kościoła czy poetów próbowało zmierzyć się z myślą, że kluczowe momenty egzystencji – w tym przede wszystkim śmierć – przeżywamy w pojedynkę. Pojęcie Boga i myśl, że zawsze jest ktoś z nami, że jest boski plan, pomaga zmierzyć się z poczuciem osamotnienia.

O tym, jak bardzo pragniemy czyjejś obecności – niekoniecznie drugiego człowieka – świadczy to, że dziś ludzie gotowi są przyjaźnić się, czy nawet wchodzić w romantyczne związki, z awatarami tworzonymi przez sztuczną inteligencję.

W pana życiu istotne jest poszukiwanie wiedzy, doświadczeń, czy transcendencji?
– Wiedza jest drogą do spełnienia ambicji i zaspokaja ciekawość, którą mamy wbudowaną w naszą naturę również jako mechanizm samozachowawczy. Może stoi za tym duma? Nie chcemy się pogodzić z tym, że jesteśmy tutaj tylko kolejnym gatunkiem, który jest, a którego mogłoby równie dobrze nie być.

Duma własna nam podpowiada, że musimy być inni od reszty stworzenia, z zastrzeżeniem, że nie daje nam to prawa do wywyższania się nad innymi zwierzętami i uprzedmiotowiania ich, o czym również rozmawiamy w książce.

Tak, jesteśmy wytworem ewolucji, ale dzięki ewolucji mamy dar myślenia abstrakcyjnego i zadawania pytań wykraczających poza tu i teraz.

W „Rozmowach rzymskich" przedstawia pan siebie jako człowieka należącego do pokolenia, które zmaga

eprasa.pl 9e613fd31b

się z wiarą, rolą Kościoła w życiu człowieka, narodu i państwa.
– Mój stosunek do Kościoła instytucjonalnego jest ambiwalentny, czemu daję wyraz w rozmowie z teologiem Domu Papieskiego. Mamy odmienne zdania w niektórych kwestiach dotyczących wiary i nauki Kościoła, ale zgadzamy się na przykład co do tego, że Kościół jest od dawna w kryzysie, co większość polskich hierarchów wypiera.

Może nie mają powodów do zmartwień? Wszak o. Giertych wyznaje, że o ów kryzys modlił się od dawna.
– Twierdzi, że kryzysy są ozdrowieńcze, a Kościół wyjdzie z niego mniej liczny, ale bardziej wierzący. W tej kwestii również się z nim zgadzam, odwołując się do swoich doświadczeń politycznych. Jeden z najważniejszych urzędników administracji Baracka Obamy powtarzał, że „żaden kryzys nie powinien pójść na marne".

Po lekturze waszych rozmów mam wrażenie, że pana naprawdę martwi, że laicyzacja pochłonie polski Kościół w całości. Mylę się?
– Społeczeństwo, w którym ludzie nie wyznają żadnej religii, może funkcjonować według etyki chrześcijańskiej, która kulturowo odpowiada za porządek społeczny. Obawiam się jednak, że miejsce religii i poszukiwania odpowiedzi na trudne pytania zastąpią pasje plemienne, które bez moderującego głosu bywają niebezpieczne.

Polskę zalewa w tej chwili fala retoryki faszyzującej. Kościół może odgrywać rolę autorytetu, religia może odpowiadać nie tylko na indywidualne potrzeby, ale pełnić pozytywne funkcje społeczne – łączyć ludzi, zwłaszcza w czasie kryzysu. Ale i Kościół, i religia może być siłą, która społeczeństwo rozsadzi...

Skoro dostrzega pan, że polski Kościół jest niemy, bo nie zabiera głosu w kwestiach tak istotnych jak demokracje, ekologia i obecność Polski w Unii Europejskiej, to dlaczego miałby okazać się moderatorem relacji społecznych? Tym bardziej że według pana „polski katolicyzm skazuje Polskę na prowincjonalizację i jest to cywilizacyjna wartość ujemna".
– W Polsce powstało wrażenie, że faktyczną wiarą Kościoła jest nacjonalizm. Perspektywa o. Giertycha jest ciekawa, bo jest powszechna.

Kościół pełni w społeczeństwach funkcję konserwatywną, co nie oznacza, że musi się wypowiadać na każdy temat, a my mamy realizować jego wszystkie nakazy. Możemy jednak z uwagą wysłuchać jego racji. Rozmawiamy w dniu, w którym Leon XIV ogłosił swoją pierwszą encyklikę. O czym?

Nie wiem.
– Nie o sprawach łóżkowych, tylko o sztucznej inteligencji. To dojrzała refleksja na temat wpływu nowych technologii na nasze stosunki międzyludzkie, społeczeństwa, na stan demokracji, umysłów naszych dzieci i nawet na relacje międzynarodowe.

Każda technologia ma, jak mówi klasyk, plusy dodatnie i ujemne. Jako społeczeństwo mamy prawo regulować i minimalizować plusy ujemne. Brakowało mi głosu Kościoła na ten temat.

Nie dajmy się omamić technologicznym bilionerom, którzy wprowadzają nas w różne stany emocjonalne po to, żeby jeszcze więcej zarabiać. Jeśli Kościół wzmacnia moją intuicję, że w obecnej formie te technologie są zagrożeniem dla tradycyjnie rozumianych stosunków międzyludzkich i godności człowieka, to nastawiam uszu, bo wreszcie mówi coś dla mnie ciekawego.

Czy Leon XIV budzi w panu równie silne emocje co „nasz papież"?
– Największym cudem naszego papieża było to, że zrobił wielką karierę międzynarodową, ale nie wzbudził zawiści rodaków.

Jedną z teorii za wyborem Leona XIV jest, że kardynałowie chcieli dać opór podnoszącemu głowę agresywnemu nacjonalizmowi – a takie podejście jest mi bliskie. Nie byłem jeszcze u Leona XIV, ale byłem u Jana Pawła II zarówno prywatnie, jak i służbowo, i obydwa spotkania były dla mnie ważne.

Odwiedził go pan z powodów religijnych?
– Nie tylko. Pierwszy raz osobiście spotkałem Jana Pawła II w Rzymie w 1984 roku podczas Uniwersytetu Polonii Wolnego Świata. Po raz pierwszy od mojego wyjazdu i azylu w Anglii komuniści wydali mojej rodzinie paszporty i po kilku latach zobaczyłem się z mamą i tatą. Po mszy w kaplicy w Castel Gandolfo mieliśmy krótkie rodzinne przywitanie z papieżem.

W 1992 roku spotkałem się z nim jako wiceminister obrony w rządzie Jana Olszewskiego. To był trudny czas przemian i trudnych decyzji w naszym kraju, i papież był pewnego rodzaju latarnią. Rząd był w konflikcie z prezydentem Wałęsą.

Przyszedł do mnie szef Wojskowych Służb Informacyjnych kontradmirał Czesław Wawrzyniak i proponował, aby wypłacić milion dolarów z funduszu operacyjnego na zakup pięciu ukraińskich głowic atomowych. Kontradmirał uspokajał, że pieniądze tylko pokażą sprzedającym, ale ostatecznie ich nie przekażą. Towar zgarną, a cała kwota wróci do ministerstwa.

Czemu służył ten przekręt?
– Moim zdaniem chodziło o skompromitowanie rządu.

Mój ówczesny szef, minister Jan Parys, zapytał mnie, co o tym sądzę. Odpowiedziałem, że aspiracje aspiracjami, ale szansa na sukces wydaje mi się nikła. Jednym z celów posiadania broni atomowej jest potencjał odstraszania wroga, a trzymanie jej w tajemnicy, i to w małych ilościach, ani nikogo nie odstraszy, ani nas przed nikim nie obroni. A jeśli sprawa wyjdzie na jaw, to zdyskredytuje rząd i może mieć niebezpieczne konsekwencje dla naszego kraju.

Miał pan 29 lat i pojechał z misją, by wybić Wałęsie ten pomysł z głowy?
– Jechałem do Rzymu na konferencje do college'u NATO-wskiego i miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Ojca Świętego. Rzeczywiście, porozmawialiśmy na osobności. Po moim powrocie do kraju temat głowic już nie istniał.

W kwestii oceny pontyfikatu Jana Pawła II nie jest pan zgodny ze swoim rozmówcą. Wprawdzie obaj godzicie się co do faktów ukrywania w Kościele pedofilii, ale odnoszę wrażenie, że trudno się panu zgodzić z tłumaczeniem, że papież dbał o interes instytucji, a nie pokrzywdzonych.
– Przez całe dekady papież był dla mnie i większości mojego pokolenia autorytetem. Nikt nie miał wątpliwości, że jest nie tylko przywódcą Kościoła, ale i polskim patriotą. Ale nie sposób nie rozmawiać o kontrowersjach jego pontyfikatu, w którym prócz tuszowania pedofilii i przenoszenia księży pedofilów z parafii do parafii do rangi niemalże dogmatu urosła kwestia zakazu stosowania środków antykoncepcyjnych. W tej kwestii także mam inne zdanie niż o. Giertych.

Pedofilia, przestępstwa i nadużycia seksualne, hipokryzja, chciwość i oczekiwania, że państwo będzie egzekwowało poszanowanie zasad moralnych przez obywateli i życie zgodnie z nakazami Kościoła, sprawiły, że Kościół przestał być autorytetem. Mówiąc wprost – podatnicy mogą mieć dość jego obecności w każdej sferze życia. Tymczasem pana niepokoją „gorące głowy", które chciałyby rozwiązania konkordatu. Dlaczego nie?
– Byłby to akt symboliczny, który nie rozwiązałby większości problemów w stosunkach Państwo–Kościół. Dwóch lekcji religii tygodniowo nie ma zapisanych w konkordacie. Funduszu kościelnego również nie ma. Zakazu aborcji i zakazu in vitro też nie.

Wypowiedzieć konkordat byłoby proceduralnie łatwo, ale wywołałoby to olbrzymie napięcie społeczne. Ludzie wierzący uznaliby taki gest ze strony państwa za złamanie umowy społecznej, a nie rozwiązałby on kwestii, na których zależy niewierzącym, tzn. na bardziej precyzyjnym rozgraniczeniu sacrum od profanum.

Powiada pan, że może sobie „wyobrazić sytuację, w której Kościół nie wyrazi gotowości do dyskusji politycznej, co zmusi rząd do taktyki zwycięstwa symbolicznego, jakim byłoby wypowiedzenie konkordatu". Gdybym ja wygłosiła podobną kwestię, można by ją odnieść do mojej wyobraźni, ale jeśli mówi to pan, mogę spekulować, że rząd rozważa lub rozważy taki krok.
– Powtórzę – uważam, że trzeba rozwiązać kwestie, które są nadwyżką ponad ustaleniami konkordatu. Wypowiedzenie tej umowy przez państwo nie przynależy do wyobraźni. Jeśli pełnię władzy zdobyłaby lewica, to nie wiem, jakie decyzje podjąłby przewodniczący Zandberg.

Ojciec Giertych zgadza się ze mną, że jeśli stan faktyczny nie jest zgodny z ustaleniami konkordatu, to należy o tym w dobrej wierze rozmawiać, żeby rozładować napięcia, które mogą eskalować.



Radosław Sikorski i Wojciech Giertych OP **„Rozmowy rzymskie. Pytania na czas niepokoju"** Wydawnictwo Znak Horyzont (2026)

Radosław Sikorski w Chobielinie, grudzień 1999 r.
FOT. DAMIAN KRAMSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Radosław Sikorski

• Urodził się w Bydgoszczy w 1963 r., dziennikarz i polityk. W latach 80. korespondent w Afganistanie i Angoli, za zdjęcie ofiar sowieckiego bombardowania zdobył World Press Photo. W latach 2005-07 Minister Obrony Narodowej; w latach 2007-14 Minister Spraw Zagranicznych (ponownie sprawuje ten urząd grudnia 2023 r.). Wraz z żoną Anne Applebaum mieszkają w Chobielinie.

Czyli państwo powinno renegocjować umowę z Watykanem?
– Trzeba postawić sobie pytanie – jaki jest cel. Każdą umowę międzynarodową można renegocjować, ale albo możemy się wdać w wielomiesięczne lub wieloletnie renegocjacje konkordatu, albo zmienić to, czego konkordat nam zmienić nie zabrania.

Przypominam, Fundusz Kościelny powstał za PRL-u jako fundusz dla opłacenia emerytur duchownych. Komuniści zarekwirowali kościelne majątki, z których utrzymywał się kler, a w zamian dali księżom emerytury.

Wolna Polska majątki zwróciła, z nawiązką.
– A Fundusz Kościelny zamiast maleć, rośnie. Teraz wynika to głównie z waloryzacji emerytur i rent czy podnoszenia płacy minimalnej, ale podatnik ma prawo uważać, że coś tu jest nie tak.

W tegorocznym budżecie zarezerwowano na ten cel ponad 272 miliony złotych, z czego 90 procent przeznaczonych jest na składki emerytalne i zdrowotne duchownych.
– Nasz rząd proponował Kościołowi zastąpienie Funduszu Kościelnego jednoprocentowym odpisem podatkowym, co byłoby finansowo korzystne, ale mogłoby się skończyć dla Kościoła wzrostem liczby apostazji. Chęć uniknięcia płacenia podatków może być głębiej zakorzeniona niż wiara.

Pana rozmówca uważa, że ów czarny scenariusz niekoniecznie musiałby się w Polsce ziścić.
– Jego zdaniem wprowadzenie podatku kościelnego byłoby wręcz korzystne dla Kościoła i jego wiernych, którzy czuliby się odpowiedzialni za swoją wspólnotę i płaciliby na utrzymanie swoich kościołów i instytucji kościelnych. Nie jestem do końca przekonany, czy tak by było.

Uważam jednak, że finanse Kościoła powinny być zorganizowane w inny sposób niż obecnie i podobnie jak w innych krajach parafie katolickie powinny być zarządzane przez rady parafialne, a nie przez księży. Wierni mieliby poczucie, że współzarządzają wspólnotą, a księża uwolniliby się od oskarżeń o to, że źle zarządzają pieniędzmi rzucanymi przez wiernych na tacę, co w efekcie byłoby korzystne dla autorytetu Kościoła.

Przywołuje pan dane, że jedna czwarta księży żyje w związku z kobietami. Pana bulwersuje, że ksiądz jest w nieformalnej relacji z kobietą?
– Niespecjalnie. Pastorzy protestanccy mogą się żenić i mieć dzieci. Dlaczego podobnie nie miałoby być w katolicyzmie? Wydaje mi się, że i Polacy są pragmatyczni pod tym względem. Bardziej bulwersuje mnie to, że ktoś próbuje narzucać innym ścisłe normy obyczajowe, a jednocześnie nie przestrzega własnych.

Podatnicy też mają prawo być oburzeni, że dwa miliardy złotych rocznie przeznaczamy na pensje dla osób uczących w szkołach religii, która podobnie jak teologia wykładana na uniwersytetach nie przynależy do nauki.
– Dlatego proponuje posłuchać teologa Domu Papieskiego, który stawia retoryczne pytanie, czy główny wysiłek Kościoła winien iść na katechizowanie wszystkich dzieci i młodzieży, czy może powinien być skierowany do tych młodych dorosłych, którzy naprawdę chcieliby w niej uczestniczyć?

Dziś dzieci przystępują jeszcze do pierwszej komunii, ale w starszych klasach masowo wypisują się z religii. W niektórych krajach religia jest przedmiotem obowiązkowym, ale uczniowie nie zgłębiają swojej wiary, tylko uczą się religioznawstwa.

Mój syn, który uczył się w Anglii, miał na takiej lekcji napisać esej o stosunku do aborcji w kilku religiach. Wprawdzie w nauczaniu religioznawstwa wciąż większy akcent stawia się tam na chrześcijaństwo, ale do programu nauczania włączone są inne religie, bo dobrze jest rozumieć inne punkty widzenia.

Czy państwo powinno zajmować się formowaniem wiary?
– Ta rola należy do kleru, ale błądzi ten, kto uważa, że jest to tylko jego zadanie. Za formację religijną swoich dzieci odpowiadają rodzice i parafia, co podkreśla mój rozmówca. Nauka religii powinna się odbywać w parafiach, a w szkole państwowej powinna być nauka o re-

eprasa.pl 9e613fd31b

ligiach. Mam nadzieję, że doceni pani te odważne stwierdzenia teologa Domu Papieskiego.

Doceniam, że nie broni stanu posiadania Kościoła, krytykuje sakralizację państwa i oczekiwań, że państwo będzie stało na straży przykazań. I uważa, że drogą na skróty jest zaprzęganie państwa do utrzymania ładu moralnego. Jest to dla Kościoła łatwiejsze niż praca nad formacją duchową ludzi.
– Ojciec Giertych jest jedynym znanym mi polskim duchownym, który zwraca uwagę na powszechny charakter Kościoła i chrześcijaństwa. Jego szeroki ogląd wynika ze znajomości zakonów i kościołów katolickich na całym świecie. W Polsce mamy jednak węższą perspektywę narodową. Uważam, że perspektywa ojca Giertycha powinna być zauważona także przez nasz Kościół.

Chciałbym widzieć w Kościele rolę stabilizatora społecznego i obrońcy wartości w tym demokracji i naszej przynależności do społeczności europejskiej, a nie ideologii nacjonalistycznej, która nas z Zachodu i z Europy wyprowadza.

I dlatego polski Kościół, przynajmniej do niedawna, był dla mnie rozczarowaniem. Kościół nie jest od wykonywania życzeń polityków. Jak można np. uznać za nieważny kościelny ślub Jacka Kurskiego – 30-letni związek, z którego ma troje dzieci – i w asyście biskupów udzielić mu drugiego ślubu kościelnego?

Przyszło mi do głowy, że celem waszej rozmowy jest przygotowanie rodzimych katolików na rozdział Kościoła od państwa. Podpieranie się w tej kwestii autorytetem teologa Domu Papieskiego to PR-owy majstersztyk, również z uwagi na zblatowanych z Kościołem polityków.
– To nie jest żaden zabieg PR-owy, ale rozmowa dwóch różnych ludzi realnie zainteresowanych swoimi poglądami. Gros naszych rozmów z o. Giertychem miała miejsce, kiedy byłem posłem do Parlamentu Europejskiego. Poseł do Parlamentu Europejskiego ma trochę więcej czasu niż minister spraw zagranicznych w polskim rządzie.

Czytam aluzję, ale proszę, nie kończmy jeszcze. Dlaczego panu zależy na autorytecie Kościoła?
– Religie w większości społeczeństw mogą być źródłem refleksji etycznej i pokoju społecznego. Oczywiście znamy historię setek religii, które nadużywały swojej władzy, o czym również w „Rozmowach rzymskich" mówię.

Uważam, że dla pokoju społecznego ludzie wierzący powinni się czuć bezpieczni. Nie powinni myśleć, że państwo czy niewierzący dybią na ich prawo do praktyk religijnych. Nabyte przez nich prawa powinny być szanowane, ale uregulowane w nowoczesny sposób, zgodnie z racjonalną gospodarką pieniędzmi podatników.

Mam nadzieję, że pani też nie ma nic przeciwko temu, żeby dotować z budżetu remonty obiektów sakralnych, które są częścią naszej kultury. Tym bardziej że w Polsce większość niesakralnych zabytków została zniszczona.

Mam wrażenie, że jest odwrotnie, niż pan mówi. Zakaz aborcji i in vitro, obraza uczuć religijnych, klauzula sumienia, święcenie otwieranych sklepów, wodociągów i stacji benzynowych, krzyże w szkołach, księża przy osobach umierających, które wcale nie życzyły sobie ostatniego namaszczenia. Jeśli niewierzący mówią „dość", to znaczy, że dybią na prawa wierzących?
– To trochę pomieszanie tematów i o każdym można rozmawiać oddzielnie. Niektóre z nich to kwestia tradycji czy wolnej woli, jak np. święcenie sklepu – jak ktoś sobie tego życzy, to proszę bardzo. A niektóre można zmienić decyzjami rozsądnego rządu, np. in vitro; dzięki przywróceniu finansowania urodziło się już blisko 20 tysięcy dzieci.

Z drugiej strony mamy sytuację, kiedy osoba niewierząca wchodzi w czasie mszy do kościoła i urządza tam performance polityczny. O takim szacunku mówię.

To był eksces. Wynikający prawdopodobnie z bezsilności, że religijni fundamentaliści uważają, że ich przekonania powinny być prawnie narzucone osobom świeckich.
– Czy ekscesem jest też bazgranie po budynkach sakralnych? Możemy tak się dalej przerzucać.

Po żadnych budynkach nie powinno się bazgrać.
– No właśnie, a na świątyniach tym bardziej, obojętnie czy mówimy o kościele, synagodze czy pagodzie, bo trzeba szanować wrażliwość drugiego człowieka, dla którego to sfera sacrum.

Pan jest konserwatystą, prawda? Ale właściwie nie wiem, co to dziś oznacza.
– Jestem konserwatystą, ale nie w potocznym rozumieniu, zgodnie z którym jak ktoś chodzi do Kościoła, to już jest konserwatystą.

Pan swoją drogą chodzi.
– Bywam. Lubię rozmawiać z księżmi, bo lubię rozmawiać o ideach. Dobrych kilka lat temu ksiądz z naszej parafii zaprosił mnie na kawę. Powiedziałem, co mi się podobało w jego kazaniu i z czym bym się nie zgodził.
– To pan słuchał kazania? – zapytał przyjemnie zdziwiony.

Uważam, że gościom wolno mniej, a jeśli naruszają zasady pokoju społecznego, to nie należy się patyczkować

A odpowiadając na pytanie, czym jest konserwatyzm, to jest on temperamentem, który cechuje podejrzliwość wobec entuzjazmów politycznych. Jestem podejrzliwy wobec zbyt nagłych zmian. Lubię przeszłość, widzę wartość w tradycji i nie liczę na zbawienie świata poprzez ideologię.

W obiegowym pojęciu konserwatyzm to wstecznictwo, czyli próba cofnięcia koła historii na przykład do dziewiętnastowiecznych stosunków damsko-męskich czy rodzinnych. To nie jest moim zdaniem konserwatyzm. Jeśli ktoś sprzeciwia się wszystkim zmianom, albo Polskę XXI wieku chciałby wrócić do średniowiecza, to nie jest konserwatystą, tylko reakcyjnym radykałem.

Dzieli się pan ze swoim rozmówcą obserwacją, że poprawność polityczna poszła za daleko. Jak mam to rozumieć?
– Poprawność polityczna miała skłaniać do refleksji nad tym, jakiego języka powinniśmy używać, żeby nie ranić innych ludzi. Dziś bywa wykorzystywana jako narzędzie do eliminowania przeciwników politycznych. Jestem zwolennikiem ustanowienia konstytucji europejskiej, ale chciałbym, aby było w niej zapisane, że Unia nie będzie stanowiła prawa w dziedzinach, które powinny być zastrzeżone dla państw członkowskich.

Dlaczego nie ujednolicić unijnego prawa?
– Społeczeństwa rozwijają się wedle różnych rytmów wynikających z ich historii, kultury i tożsamości. Nie można narzucać zmian społeczno-obyczajowych odgórnie, ponieważ powoduje to konflikty, a przeforsowana zmiana jest nietrwała.

Wystarczy przypomnieć Afganistan, gdzie po 20 latach rządów Zachodu talibowie odzyskali władzę. Próbowaliśmy zaszczepić tam normy zachodnioeuropejskie, ale nam się nie udało. I mam ogromne poczucie winy wobec afgańskich kobiet, którym daliśmy iluzję, że doczekają równości, dostępu do edukacji i prawa do normalnego życia.

Widzę podobne ryzykowne skutki bitew ideologicznych – nie można narzucać ludziom prawa, na które nie są gotowi. Trzeba ich najpierw przekonać. Inaczej skończy się buntem, kompromitacją instytucji państwa, prawa, i samej idei, której miało bronić.

Znów zapytam, dlaczego?
– Ustawę o związkach partnerskich powinniśmy wygrać w kraju. Jesteśmy blisko.

Teraz to mnie pan zaskoczył swoją wiarą. Przecież wiadomo, że prezydent zawetuje.
– Na razie prezydent wetuje prawie wszystko, ale każda seria musi mieć jakiś koniec.

Martwię się decyzją ETPC w sprawie transkrypcji aktów małżeństwa zawartego w Unii Europejskiej przez osoby tej samej płci. Badania pokazują, że większość Polaków jest za uregulowaniem związków partnerskich, ale jeśli chodzi o transkrypcję, to zdania są podzielone.

To może paradoksalnie uderzyć w społeczność i zahamować zmiany, bo jeśli Polacy uznają, że prawo to zostało nam narzucone z zewnątrz, a nie jest wynikiem organicznego rozwoju społeczeństwa i zgody społecznej, że czas dojrzał, by okazać ludziom szacunek i pozwolić im normalnie żyć, to ja się boję, że nacjonalistyczna strona sporu wykorzysta to jako argument przeciwko Unii Europejskiej. A tego bym nie chciał.

Ojciec Giertych spekuluje, że niechęć Polaków do Unii bierze się z zawiści o sukces tych, którym „się udało". Z tego powodu kwestionują wszystkie osiągnięcia Polski, jakie były możliwe dzięki naszej przynależności do europejskich struktur. Wprawdzie zawiść jest cechą uniwersalną, ale jednak zgodnie ze stereotypem wydaje się naszą cechą narodową.
– Pojawiające się oznaki niechęci to w dużej mierze emocja podbijana przez szarlatanów, którzy chcą na tym zbić kapitał polityczny za wszelką cenę. Z drugiej strony, mamy też prawo do zmęczenia trybem pracy nad sobą, jaki musieliśmy przyjąć – w duchu doganiania Zachodu sprintem, i poprzez adaptację zachodnich instytucji i wzorców. Można widzieć w tym coś upokarzającego.

Upokarzające? Dlaczego?
– Bo nikt nie lubi czuć się niewystarczająco dobry i zamożny. A my przystąpiliśmy do Unii późno, kiedy Zachód miał całe dekady rozwoju gospodarczego i prawnego za sobą. Musieliśmy przejąć dorobek prawny wypracowany przez innych i gospodarczo nadganiać. To jedna z cen, którą zapłaciliśmy za komunizm.

Gdybyśmy nie przegrali II wojny światowej – bo chociaż formalnie byliśmy po stronie koalicji antyhitlerowskiej, to jednak de facto przegraliśmy demokrację – to byśmy byli członkiem założycielem Unii Europejskiej i od początku mieli poczucie sprawczości.

Mamy prawo czuć się zmęczeni?
– Tak, ale to zmęczenie da się pokonać. Niedawno miałem spotkanie z grupą francuskich studentów, którzy byli zachwyceni Polską: wow, jak tu jest czysto, bezpiecznie, zielono, jaką macie nowoczesną infrastrukturę, jaki tu jest dynamizm.

Skoro własną dumę czerpiemy także z przeglądania się w oczach innych, to zmęczenie mija, a poczucie niższości znika. Bo skoro inni tak bardzo doceniają Polskę, to może jest coś na rzeczy, prawda?

Zmęczeni tym biegiem mogą być Anglicy i Francuzi. Jeśli przez dwie dekady ich państwa odnotowują minimalny wzrost gospodarczy, to naprawdę mogą mieć poczucie rozczarowania.

A wie pan, dokąd gnamy? Gdzie jest meta?
– Tu dochodzimy do różnicy między ideologami a prawdziwymi liberalnymi konserwatystami, jak ja. Uważam, że państwo ma zapewnić ludziom ramy i kontekst, w którym swoje szczęście realizują indywidualnie.

Marzy się panu indywidualizm, co można nazwać społecznym egoizmem?
– Nie. Marzę o systemie, który nie będzie obywatela zbawiał, tylko pozwoli mu żyć zgodnie z własnym sumieniem, przy jednoczesnym poszanowaniu wrażliwości innych.

Chciałbym, żebyśmy żyli w normalnym kraju, który ma partnerów i interesy, rozwija się, a nie musi się zastanawiać, czy jego sąsiad szykuje się do kolejnej wojny. Kraju, który pozwala swoim obywatelom się bogacić i rośnie w hierarchii narodów.

Dla mnie idealnym krajem byłaby synteza Szwajcarii ze Skandynawią. W Polsce jest za dużo gadania o polityce. Wszędzie ze wszystkich stron, ze wszystkich przekaźników gadają non stop politycy.

Wspomnę, że i pan do nich należy, z czego korzystam.
– Staram się ograniczać liczbę wywiadów, za co wielu dziennikarzy ma do mnie żal. Wie pani, co mówią o Szwajcarii?

Nerwowo myślę o zegarku.
– Nie. Nikt nie wie, jak się nazywa prezydent czy ministrowie, a wszystko działa. A Skandynawia to bardzo konkurencyjna, innowacyjna gospodarka i jednocześnie mądrze skonstruowane zabezpieczenia społeczne. Wspaniały system edukacyjny i opieka zdrowotna. I jak komuś się powinie noga, to nie spada na dno, jak w Stanach.

Nie wiem, czy to się uda, bo mogą temu przeszkodzić nacjonaliści, którzy odwołują się do resentymentu. Ojciec Giertych mówi, że według ich ideologii społeczeństwo nie musi się rozwijać. „Zamiast się rozwijać mamy czuwać, najlepiej ze sztandarami i proporcami – przy grobach, przy pomnikach, na akademiach i w kościołach". I dalej: „To jęczenie nad swoim losem, ale z podniesioną głową".
– Tak jak powiedziałem, takie „jęczenie" za Ojczyznę odrzuca od patriotyzmu. Kult cierpiętnictwa i wyuczona pasywność to cecha, która zbliża nas do Rosji. Wywodzi się z lękowego podejścia do władzy, co hamuje w ludziach podejmowanie własnych inicjatyw.

Ludzie nie powinni się bać własnego państwa, jak to się dzieje w Rosji i do czego, mam wrażenie, chciały doprowadzić rządy Zjednoczonej Prawicy. Polacy mieli bać się Pegasusa, CBA i wywlekania z domu w kajdankach o 6 rano pod sfingowanymi zarzutami. Było czego się obawiać, bo mieliśmy u władzy hipokrytę pseudoszeryfa, który chciał wszystkich zastraszać.

Z Rosji i z komunizmu wywodzi się też narracja o zgniłym Zachodzie, co dziś powtarza kandydat prawicy na premiera Przemysław Czarnek. Traktowanie państwa jako łupu partii politycznych to nie jest wpływ Zachodu. Wręcz przeciwnie, to kod typowy dla Moskwy i krajów, których władze są od niej zależne. Główną ambicją rządzących powinno być dążenie do bycia dobrze zapamiętanym i zostawienie swo-

eprasa.pl 9e613fd31b

jej dziedziny działalności w lepszym stanie, niż ją zastali.

Ładnie to brzmi, tylko tyle powiem. Zatrudnieni z klucza politycznego przy zmianie klucza tracą pracę, a w ich miejsce wchodzą kolejni. Z klucza.
– Myślę o tym, jak zatrzymać to wahadło, i dochodzę do przekonania, że tylko przywrócenie merytorycznych zasad jest w stanie przerwać to błędne koło. Jeśli ktoś był zrekrutowany w czasach poprzedniego rządu, ale w trakcie pracy udowodnił, że ma odpowiednie kompetencje, to pozostaje na stanowisku.

À propos merytorycznych zasad i obcokrajowców zachwyconych Polską, to ostatnio nasze państwo wlepiło dwóm zakaz wjazdu na pięć lat. Do nas i do krajów wspólnoty Schengen. To jest populizm w czystej postaci, panie ministrze.
– Uważam, że mamy prawo do takiej reakcji.

To nie jest pierwszy raz, przypominam. Dziewczyna poszła na mecz piłki nożnej, wdała się w bójkę na trybunach i została deportowana.

Każdy za granicą jest reprezentantem swojego kraju i mówię to jako były emigrant. Uważam, że gościom wolno mniej, a jeśli naruszają zasady pokoju społecznego, to nie należy się patyczkować. Pomagasz nielegalnym migrantom, co jest przestępstwem? Dziękujemy, do widzenia. Dla większości Polaków kluczowe jest poczucie, że są w swoim domu gospodarzami.

Deportacja za rajd do Morskiego Oka? Albo za złowienie suma? To jest przesada. Nie mówiąc już o pomocy ludziom przekraczającym w desperacji granicę z Białorusią.
– Proszę nie powielać fałszywej narracji. Jeśli prawdziwy uchodźca chce się dostać z Białorusi do Polski, to zgłasza się do naszego konsulatu i tam ubiega się o azyl, a nie jest przywożony pod granicę przez białoruskie KGB. Poza tym mamy prawo do różnicy poglądów. Jak ktoś jedzie wypasionym samochodem...

...czy boli pana ten wypasiony samochód?
– Pani doskonale wie, że tu nie chodzi o samochód. Mężczyzna, o którym pani wspomniała, influencer, jest atencjuszem, który robił sobie zasięgi, naigrywając się z naszego prawa. Najpierw śmiał się, że jako pierwszy wjechał samochodem nad Morskie Oko i „widoki były warte 100 złotych", potem twierdził, że to nawigacja go oszukała, a teraz, że zakaz wjazdu jest bezpodstawny. Przecież to kpina, szanujmy się.

Kiedy wyjeżdża pani do krajów, które mają inne prawa i obyczaj, to wolno pani zachować się po swojemu czy ma pani obowiązek szanować wrażliwość i prawa innego kraju? Dla ułatwienia powiem, że w naszych rekomendacjach konsularnych mówimy, że absolutnie trzeba szanować prawa i obyczaje miejsca, w którym się pani znajduje.

Wystarczyło ukarać go mandatem, podobnie jak wędkarza, który, jak czytam w komunikacie Straży Granicznej, „zagraża porządkowi publicznemu".
– Jeśli proszą panią o zdjęcie butów, kiedy pani wchodzi do meczetu, to je pani zdejmuje, prawda? Jeśli w jakimś kraju jest bezwzględny zakaz jedzenia w środkach transportu, to nie wchodzi tam pani z kanapką – nawet jeśli jest pani głodna. I to jest dokładnie to samo. Wymagamy szacunku dla naszych norm.

Ciekawe, czemu nikt nigdy nie wpadł na pomysł deportowania pijanych Brytyjczyków szalejących w Krakowie czy we Wrocławiu. Może mogłabym to obśmiać, ale jestem zniesmaczona, że rząd urządza popisówkę na potrzeby antyukraińskich braunowców i z całą surowością angażuje się w taką, mówiąc po ludzku, bzdurę. Człowiek przez pięć lat nie ma prawa wjazdu do Polski i strefy Schengen za taką głupotę?
– Państwo musi reagować na takie zachowania także po to, by radykałowie nie czerpali z nich politycznego paliwa. To nie jest ukłon w stronę radykałów. To jest działanie prewencyjne wobec radykałów.

A co do Brytyjczyków, to także oni w trybie przyspieszonym byli skazywani przez polskie sądy. A po wyjściu z więzienia lub zapłaceniu gigantycznej grzywny Straż Graniczna standardowo wszczyna procedurę wydalenia z wpisem o zakazie wjazdu do Polski i strefy Schengen. Większość takich spraw nie trafia na pierwsze strony, bo dla Straży Granicznej to rutynowe procedury wobec uciążliwych cudzoziemców.

Przebywanie w Polsce jest przywilejem, a nie prawem. A atencjusz od pozyskiwania zasięgów zamiast naśmiewać się z zasad kraju, z którego gościnności korzysta, powinien być na froncie, tak między nami mówiąc.

Uważa pan, że wszyscy młodzi Ukraińcy...
– ...Młody mężczyzna powinien bronić swojej ojczyzny w czasie wojny. Tak uważam.

A może powinien się kształcić, a nie dać się zabić. Będzie potrzebny, gdy skończy się wojna.
– Uważa pani, że jego eskapada dla lajków służyła edukacji? No to się dowiedział, że należy przestrzegać prawa. Powinien bronić ojczyzny i pomóc wygrać wojnę. A jego przygoda w żaden sposób temu nie pomogła, wręcz odwrotnie.

Zaskoczył mnie pan uwagą, że lepiej się dać zabić niż wykształcić dla dobra swojego kraju.

Młody mężczyzna powinien bronić swojej ojczyzny w czasie wojny. Tak uważam

– Stawianie na równi obrony ojczyzny i pewnego pójścia na śmierć jest błędem. Nie każdy jest Gombrowiczem, który też dał dyla, ale się przynajmniej tego wstydził.

Bo trzeba „z honorem lec". To czym jest dla pana honor?
– Miliony Ukraińców zostały w kraju i walczą – oni też mieli ambicje, plany, marzenia. Pani zdaniem to frajerzy, którzy chcą „z honorem lec"?

Honor to gotowość do stawiania wymagań samemu sobie, to poczucie godności i poczucie obowiązku wobec innych. Jego znaczenie w polityce i w życiu społecznym jest znacznie ważniejsze, niż się ludziom wydaje. Honor to nie kodeks Boziewicza z 1919 roku, pojedynki i zblazowani dżentelmeni.

Chciałby pan, żeby w imię honoru pana synowie walczyli na wojnie?
– Widziałem, co znaczy wojna i z jakim cierpieniem się wiąże. Też chciałbym, aby na świecie nie było wojen, ale są. I obawiam się, że nic tego nie zmieni. Dobrze, że są ludzie, którzy są gotowi stanąć w obronie swojego domu, kiedy ktoś go atakuje. Ci którzy się dekują, żerują na poświęceniu tych, którzy za wolność gotowi są ryzykować.

Co panu dał wyjazd do Afganistanu? Czego dowiedział się o sobie i o bliźnich?
– Świadomość, że mocarstwa też przegrywają wojny. Ludzie są w stanie dokonać cudów, kiedy w coś wierzą, i właśnie honor jest wtedy potężniejszym orężem niż śmigłowiec szturmowy.

Jak wspominałem – kiedy kilka metrów od ciebie wybucha pocisk artyleryjski, kiedy widzisz nad sobą rosyjskie Mi-24 polujące na ofiary, to człowiek myśli szybciej i zadaje sobie podstawowe pytania. Z drugiej strony jest się świadkiem cierpienia i rozpaczy. Widzi się krzywdę wyrządzaną bogu ducha winnym ludziom.

Zaczęliśmy rozmowę od mojej najnowszej książki „Rozmowy Rzymskie", ale tu muszę zaproponować pani przeczytanie mojej pierwszej książki „Prochy świętych. Afganistan – czas wojny".

Pana rozmówca twierdzi, że dobro jest silniejsze niż zło. Nie ma pan wątpliwości, że on błądzi?
– Co prawda na kursie filozofii poległem intelektualnie na Heglu, ale pamiętam, że dobro urzeczywistnia się w rozumnej wolności, jest działaniem zgodnym z etycznym porządkiem społecznym i towarzyszy mu rozwój ducha i świadomości. Już u Kanta pojawiło się domniemanie, że świat zmierza jednak ku większej wolności i ku lepszemu. Jak spojrzymy na świat w odstępach stuletnich, to jednak te proporcje między dobrem i złem zmieniają się na korzyść dobra. Mimo II wojny światowej wydaje mi się, że zła jest w świecie mniej, a nie więcej. Kiedyś ludzie nie mieli żadnego problemu z uprzedmiotawianiem drugiego człowieka, tresowaniem go jak zwierzę i wykorzystywaniem do swoich celów.

Do XIX wieku niewolnictwo miało się dobrze, ale teraz ludzkość się wzdraga przed nim. „Łuk historii jest długi, ale zagina się w kierunku sprawiedliwości" – mówił Martin Luther King Jr.

Czy kapitalizm nie jest korporacyjnym wyzyskiem i współczesną formą niewolnictwa?
– Z tym się nie zgodzę. Kiedy powstały pierwsze fabryki, nikt do nich nie zaganiał robotników jakąś branką we wsiach, tylko chłopi szli do fabryk, bo był to dla nich awans społeczny. I z biedy absolutnej trafiali w biedę relatywną. Krzywa dobrobytu ludzkości do XVIII wieku jest mniej więcej płaska, a dzięki gospodarce rynkowej i wystrzeleniu zdolności produkcyjnych polepszyły się standard i długość życia.

Problem z oceną kapitalizmu jest taki, że oceniamy go po efektach, a socjalizm i inne utopijne ustroje po obietnicach.

Nierówności osiągnęły poziom niespotykany wcześniej. Chciwość, zysk, niebezpieczna dominacja big techów, które wpływają na demokrację – gdzie pan tu widzi dobro?
– Zgadzam się i musimy zadziałać tą samą metodą, którą wolny świat zabezpieczył się przed komunizmem. To znaczy ingerencją polityczną w monopole. Mieliśmy je już w XIX wieku i marksistom się wydawało, że kapitał nadal będzie się w nich koncentrował, co doprowadzi do rewolucji.

Tylko nie wzięli pod uwagę, że systemy parlamentarne mogą monopole rozbić. W Stanach Zjednoczonych tak zwane trusty były podzielone aktami Kongresu. Jeszcze w latach 70., za mojej pamięci, istniała tylko jedna firma telekomunikacyjna dla całych Stanów Zjednoczonych, Bell. Wkroczył Departament Sprawiedliwości i powołując się na ustawę sprzed blisko stu lat, doprowadził do rozbicia tego monopolu. Współcześnie można zrobić to samo.

Nie wiem, czy na ingerencję państwa nie jest za późno.
– I tu jest problem. Wtedy te monopole nie miały aż tak przemożnego wpływu na parlamentarzystów.

I takiej władzy nad ludźmi przez wpływ na relacje społeczne.
– Dlatego uważam, że w Polsce i w Europie nie doceniamy tego, co mamy. Instytucje Parlamentu Europejskiego i polskiego nie są skorumpowane. Nie wszyscy nasi posłowie wiszą na łasce wpłat od korporacji. Mamy przykłady lobbingu, ale nie mamy jeszcze kontroli firm nad ustawami.

Mówicie z o. Wojciechem Giertychem różnymi językami. On używa języka wiary i teologii, zaś pan języka nauki i doświadczenia, które rzadko do siebie przystają, czego dowodzą zadawane przez pana pytania. Odpowiedzi pana intelektualnego partnera świadczą z kolei, że prowadzi zakrojoną ewangelizację.
– Byłbym rozczarowany, gdyby teolog Domu Papieskiego nie próbował używać wobec mnie tonu duszpasterskiego. Byłoby mi przykro, jeśliby uznał, że w tej kwestii wszystko już jest stracone.

Czasami rozmawiacie jak przekonany z przekonanym, a czasami nie możecie się zgodzić, bo pan próbuje do wiary zaprząc intelekt. Nie przekonuje mnie o. Giertych, który twierdzi, że jest to oznaka braku pokory umysłu, by przyjąć to, co Bóg objawił. Pana przekonał?
– To dobrze, że się nie zgadzamy, inaczej to byłaby nudna rozmowa. Skoro rozmawialiśmy wcześniej o filozofach, to zgodzę się z Pascalem, że są dwie skrajności: wykluczyć rozum i przyjmować tylko na rozum. A myślę, że ani o. Giertych, ani ja nie zaliczamy się do skrajności.

Jest kwestia, w której bardzo panu kibicowałam, bo tak jak pan, nie potrafię przyjąć racji Kościoła. Prof. Jacek Leociak napisał całą książkę, w której tak jak i pan zadaje pytanie, jak to możliwe, że Rudolf Höss, komendant obozu Auschwitz, wyspowiadał się i dostał rozgrzeszenie.
– We mnie również wywołuje to radykalny sprzeciw.

Potrzeba wydobycia z kogoś przed śmiercią jakiejś skruchy to jest tak mały interes dla Kościoła w porównaniu z oceanem zła, którego ten człowiek się dopuścił, że ja nie rozumiem, jak komuś mogło wyjść, że on zasługuje na przebaczenie i wpuszczenie do raju. Uważam, że coś jest nie tak z doktryną, która doprowadza do tak absurdalnego wniosku. Chciałem wiedzieć, czy zgodnie z nauczaniem Kościoła Rudolph Höss poszedł do nieba, a ponad milion jego ofiar, w szczególności żydowskich, niekoniecznie.

Kościół uważa, że zbawieni będą nawet ci, którzy nigdy nie słyszeli o Chrystusie i judeochrześcijańskim Bogu.
– To jest dość liberalna interpretacja, szlachetna uważam, ale generalnie religie zawężają nagrodę pośmiertną do swoich wyznawców, bo to jest jeden ze sposobów na jednoczenie swojej wspólnoty wyznaniowej. A Höss raczej o Chrystusie słyszał, bo pochodził z katolickiej rodziny, a w młodości był ministrantem.

Jak pan, stawiając tyle pytań, mieści się we wspólnocie, której odpowiedzi na te pytania nie są przekonujące?
– We wstępie do książki piszę, że nie wierzę w tradycyjnie katolicki sposób. Ale na temat mojej wiary nie będę się tutaj wobec pani spowiadał. ●

O. WOJCIECH GIERTYCH OP
Ur. w Londynie w 1951 roku, młodszy syn Jędrzeja Giertycha. Wyświęcony w Krakowie w 1981 roku, przez wiele lat zajmował się formacją młodych dominikanów. Od 2005 roku jest teologiem Domu Papieskiego. Autor książek z teologii moralności. Mieszka w Watykanie.

eprasa.pl 9e613fd31b



• Prezes Kaczyński w tłumie członków i sympatyków PiS na Placu Piłsudskiego w 194. miesięcznicę katastrofy smoleńskiej (10.06.2026)

KOMBAJN SIĘ ZACIĄŁ

W sondażach PiS wreszcie rośnie, sztab na wybory poukładany jak w kampanii prezydenckiej, a nastroje na zapleczu PiS coraz gorsze.

Arkadiusz Gruszczyński

PiS jako jedyna partia w Polsce potrafi wygrywać. Jarosław Kaczyński od 2015 r. przegrał tylko raz z KO – dwa lata temu Donald Tusk okazał się lepszy w bitwie o Parlament Europejski.

W innych rozgrywkach było odwrotnie. Kaczyński wskazał dwóch prezydentów, Andrzej Duda i Karol Nawrocki wygrali z Rafałem Trzaskowskim. PiS dostawało najwięcej głosów we wszystkich wyborach parlamentarnych w ciągu ostatnich 11 lat. Włącznie z jesienią 2023 – bo Zjednoczoną Prawicę, której postanowiło zaufać blisko 36 procent wyborców, odsunęła od władzy koalicja KO, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy. Sama KO miała 30,7 procent. Prawda jest brutalna: KO od 2011 roku wyraźnie nie wygrała żadnych ogólnokrajowych wyborów. Z czego bierze się przewaga Kaczyńskiego?

Ale to rytualne już pytanie można odwrócić: skąd bierze się obecny brak przewagi Kaczyńskiego? Czy jego magiczny eliksir wyparował?

Bo sondaże, w których PiS odbija się od dna i brośnie – z 18,2 do 22,1 pkt.proc., nastroje w partii to drugie. Niewykluczone, że dajemy się zahipnotyzować słupkom, które nie pokazują tła. A ono jest takie, że – szepcą w PiS – Przemysław Czarnek jako kandydat PiS na premiera odwróci trend i podaruje w przyszłym roku zwycięstwo Tuskowi.

•

Poważne strukturalne problemy KO opisałem na początku czerwca na przykładzie rywalizacji prezydenckiej: podczas najważniejszej kampanii sztab Trzaskowskiego miał w rękach wszystkie narzędzia, pieniądze, sprzyjające sondaże, mądrych ludzi pościąganych z rynku, ekspertów, którzy zjedli zęby na kampaniach wyborczych – a na koniec przegrał z Karolem Nawrockim.

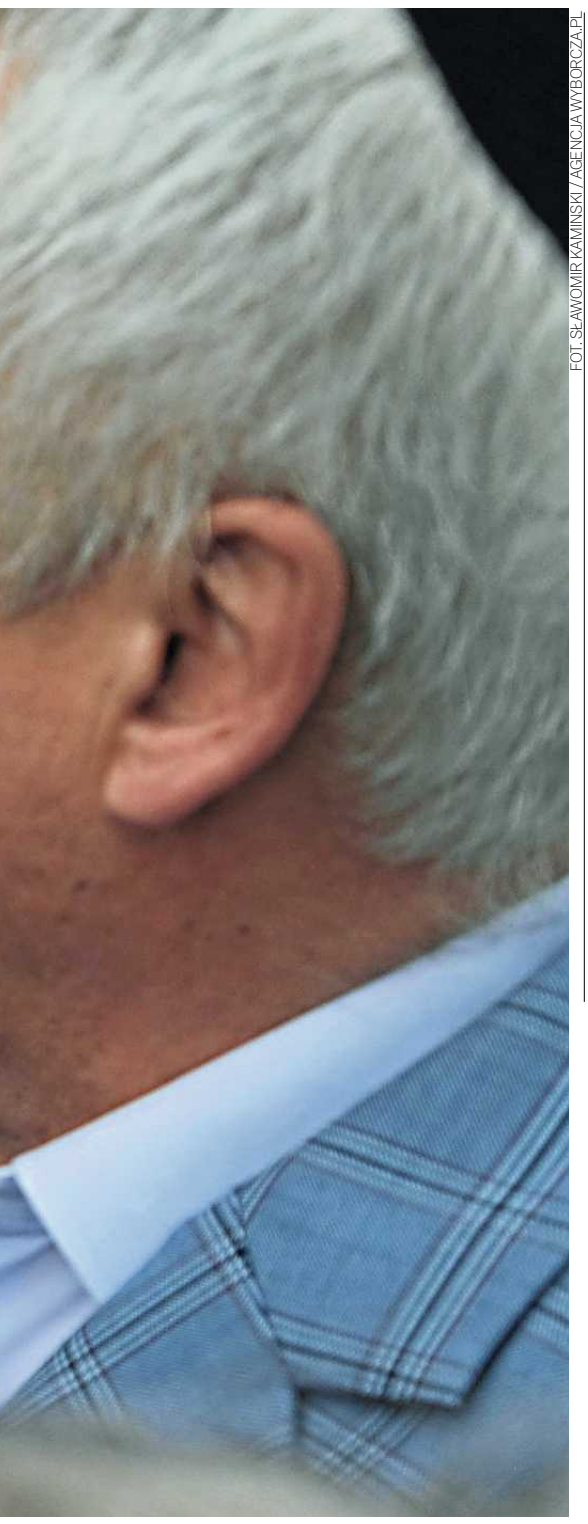
Czyli kandydatem niemal nieznanym, wystawionym na chybcika, obciążonym niejednoznaczną przeszłością, bez doświadczenia politycznego i z zestawem poglądów, które nijak pasują do aspiracji polskiego społeczeństwa.

– Zazdrościmy stronie rządowej takich mediów jak „Wyborcza” – mówił mi w ubiegłym tygodniu na sejmowym korytarzu jeden z bardziej rozpoznawalnych posłów PiS. „Oho, zaczyna się kokietowanie”, pomyślałem od razu, ale nie przerywałem.

– Czy pan sobie wyobraża, że TV Republika albo tygodnik „Do Rzeczy” publikuje podobny tekst o kulisach naszej kampanii z 2023 r.? Przecież Tomasz Sakiewicz jest nastawiony na zarabianie kasy, a Krzysztof Stanowski ma takie same poglądy jak nowe mieszczaństwo z Wilanowa – rozkręca się poseł. „I jak się zmienią algorytmy na YouTube, to zacznie robić liberalną telewizję”, dodaję w myślach.

– Zazdrościmy tego, że jesteście wierni stronie rządowej, jeśli chodzi o wartości, ale nikt nie jest w stanie was przekupić, nikt nie miałby odwagi zatrzymać takiego tekstu jak pański ani go podyktować – dodaje mój rozmówca, mimochodem potwierdzając wszystko opinie, jakie przez osiem lat rządów Kaczyńskiego liberalni dziennikarze wyrażali o prawicowych kolegach.

eprasa.pl 9e613fd31b



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wykorzystując chwilowy szacunek, jaki zyskałem po prawej stronie („Panie redaktorze, na chwilę wszyscy zapomnieliśmy o własnych problemach", śmieje się kolejny poseł PiS), pytam, jak partia ocenia kampanię Przemysława Czarnka. Ale tak na serio, nie w przekazie dnia.

– No cóż, nie jest dobrze – mówi poseł, który przed chwilą wychwalał niezależność „Wyborczej". – Kampania Nawrockiego była ułożona, przemyślana, choć kandydat nie był najłatwiejszy. Sam pan wie, co tydzień wybuchały bomby z jego przeszłości, kolejne afery naruszały jego wizerunek. Ale sztab był zdyscyplinowany, pracowity, zadania precyzyjnie podzielone między ludzi – opowiada. I rysuje przede mną sztabową mapę. – Ludzie Mateusza Morawieckiego dbali o kampanię w internecie i podrzucali propozycje gospodarcze. Nasi posłowie z Warszawy atakowali non stop Trzaskowskiego za skandale w stolicy. Mieliśmy człowieka od rolników i małych miasteczek. Ludzie w terenie wiedzieli, kto wyśle im banery, ktoś na bieżąco spotykał się z prezesem, inny układał Nawrockiemu przemówienia. Zamawialiśmy badania, słuchaliśmy ekspertów, a raz w tygodniu spotykaliśmy się wszyscy z kandydatem i wszystko omawialiśmy – słyszę.

I czuję, jak udziela mi się fascynacja, z jaką niektórzy publicyści, nazywani za czasów PiS „symetrystami", opisywali efektywność i elastyczność różnych, nie tylko wyborczych, kampanii prawicy. Choć od razu zdaję sobie sprawę, że to zwycięzcy piszą historię, więc gdyby „Nowogrodzka" przegrała, te epatujące chłodnym profesjonalizmem techniczne opisy byłyby mniej oczywiste.

– Teraz ten kombajn się zaciął – dodaje ten sam polityk.

– Zdążmy do tego wrócić – przerywam mu, bo interesuje mnie, jak sztab Nawrockiego radził sobie z aferami w czasie kampanii: dziennikarze ujawnili, że przyszły prezydent jako młody chłopak brał udział w ustawkach kibicowskich, ochraniał dyskoteki, miał pomagać w sprowadzaniu seksworkerek do sopockiego Grand Hotelu. A później przejął podstępem kawalerkę od schorowanego sąsiada i za darmo zajmował apartament w Muzeum II Wojny Światowej, choć mieszkał kilka ulic dalej. A przy okazji utrzymywał relacje, już jako osoba publiczna – historyk robiący karierę w Instytucie Pamięci Narodowej, a później jego prezes – z członkiem „gangu sutenerów", oskarżanym również o handel narkotykami „Wielkim Bu".

Słyszę, że „tych afer było tak dużo, że w pewnym momencie ludzi przestało to ruszać".

– Myśmy to widzieli w bieżących badaniach: w poniedziałek coś wybuchało, a w środę nikt o tym nie pamiętał oprócz komentatorów w telewizjach informacyjnych. Przyjęliśmy zasadę, że Nawrocki miał sobie nic nie robić z tej kumulacji skandali. Jasne, sztab był przerażony, o wielu sprawach dowiadywaliśmy się z mediów, ale nasze zaplecze pracowało na innych emocjach – tłumaczy mi jeden ze sztabowców.

– Nie mogliśmy wymienić kandydata ani wprost bagatelizować afer. Zagraliśmy więc inną bronią: wykupowaliśmy krótkie reklamy na YouTube, które wypuszczaliśmy w soboty w ciągu dnia. Żona wynajętego montażysty czytała beznamiętnym tonem, że według najnowszych badań ceny wzrosły o 20 procent, a sytuacja gospodarcza pogarsza się z miesiąca na miesiąc. Odpowiada za to rząd, dodawała. Małym druczkiem dopisaliśmy, że chodzi o Szwecję, żeby nikt nam nie zarzucił kłamstwa. W reklamie ani razu nie pojawiało się nazwisko Nawrockiego ani nazwy partii – opowiada.

Po co to robili? – Żeby wywołać konkretne emocje i niechęć do rządu. Sobota była kluczowym dniem: sprząta pan wtedy dom, włącza z telewizora muzykę, która leci z YouTube'a i nie chce się panu szukać pilota, żeby przewijać reklamy.

– I to działało, ponieważ wybory prezydenckie stały się plebiscytem o rządzie Tuska – ciągnie sztabowiec. – Narrację podbijał Nawrocki, który na każdym kroku przypominał, że Trzaskowski jest wiceprzewodniczącym PO, a za całe zło w kraju odpowiada rząd, który miał w tamtym czasie fatalne notowania.

Kolejny polityk: – Rozrysowaliśmy trzy obszary kraju: powiaty, gdzie mamy pewne zwycięstwo, te, w których na pewno przegramy i te wahające się. Najpierw jeździliśmy do tych pierwszych, a pod koniec odpaliliśmy 9-sekundowe filmiki, na których Karol Nawrocki mówił wprost do kamery: zagłosuj na mnie, chcę zostać twoim prezydentem, dzięki mnie zapłacisz mniej za prąd. I te filmiki szły do gmin wahających się.

W PiS są przekonani, że to była ta wartość dodana, która dała im zwycięstwo. Bo owszem, wielu obserwatorów podkreślało, że Nawrocki jeździł po kraju, spotykał się z różnymi środowiskami, brał udział w debatach – ale to samo robili Trzaskowski czy Szymon Hołownia.

●

– Teraz ta machina się zacięła – słyszę na Nowogrodzkiej.

– Europoseł Tobiasz Bocheński się obraził, ponieważ chciał zostać szefem sztabu. I nie pracuje dla Czarnka. Ale nawet jakby pracował, to co z tego, skoro media nie interesują się naszym kandydatem, ponieważ nie proponuje niczego sensownego – mój rozmówca popada w minorowy ton, choć pociesza się: „przynajmniej w ostatni weekend rzucił ciekawe propozycje podatkowe". Czyli przejęty postulat Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z Polski 2050: Nawrocki chciałby podwyższyć drugi próg podatkowy, w który wraz ze wzrostem płac i inflacją wpadają kolejne, coraz mniej zamożne grupy, takie jak nauczyciele.

– W sztabie nie ma atmosfery z ubiegłego roku. Co prawda ludzie od Morawieckiego pojawiają się na zebraniach, coś tam robią, ale nie będą wspierać kandydata, który jest ich politycznym przeciwnikiem. A co by nie mówić o współpracownikach byłego premiera, to potrafią prowadzić kampanie w internecie, są młodsi od kierownictwa, lepiej czują trendy – mówi mi znany poseł.

W partii zastanawiają się, co właściwie robi Czarnek. Tak liczono na jego energię, swojski humor, ujmowanie trudnych tematów w proste, chwytliwe słowa. A tymczasem nie wiadomo, gdzie prowadzi kampanię, z kim się spotyka, jaki ma pomysł na swój rząd. Krąży po salkach w gminach i ryneczkach, ale co z tego wynika? – Głośniej jest o kolejnych ruchach Morawieckiego niż o kampanii Przemka – narzekają moi rozmówcy.

Oceniając na chłodno rząd Tuska muszę przyznać, że premier jest lepszy od nas. Proszę zobaczyć na kryzys paliwowy – mówi poseł PiS

Premier, złote dziecko PiS, nie ogranicza się do krytykowania strategii partii, która nie odcina się od ziobrystów i stawia na twardą polaryzację i zakłada odzyskanie wyborców dziś deklarujących głosowanie na obie Konfederacje. Były delfin nie ukrywa, że zamierza iść po swoje – czyli obiecany mu niegdyś fotel po Kaczyńskim – i buduje pokaźną, aktywną medialnie i zdeterminowaną frakcję wokół siebie.

– A z dwiema jawnie zwalczającymi się frakcjami nie da się wygrać żadnych wyborców – mówi ten sam polityk. – Doszło do sytuacji, w której Czarnek prowadzi własny objazd po kraju, a w tym samym momencie inne miejscowości odwiedza Morawiecki.

Kandydat PiS na premiera objeżdża kraj, to fakt. W Kaliszu ogłosił postulat o podwyższeniu progu podatkowego, a także wyjście Polski z ETS-u, czyli unijnego programu handlu emisjami, który ma spowolnić ocieplenie klimatu. Zgodnie z nim kraje muszą płacić za szkodliwe zanieczyszczenia, Polska najprawdopodobniej zapłaci w tym roku ponad 12 miliardów euro.

W Kaliszu rzucił też inną propozycję: pracujący seniorzy zarabiający do 2,5 tysiąca miesięcznie nie będą musieli płacić podatku. PiS testuje więc pomysły sprzed dekady, kiedy w kampanii wyborczej 2015 roku opowiadał o programie 500 plus.

Na spotkaniach w Nowym Targu, Poniatowej, Gdańsku czy w Łukowie jako twarz nurtu bogoojczyźniano-ludowego chwali się projektem ustawy potępiającej ukraińskie „ludobójstwo" na Wołyniu, puszcza oko do leśników, obiecując zatrzymanie „humanizacji" roślin i zwierząt, idzie w procesji Bożego Ciała. I przy każdej okazji atakuje rząd. Na pozór same sprawdzone melodie. Ale...

– Czy to działa? Co mogę panu powiedzieć: Czarnek nie zażarł, nie wzbudza emocji, działa gdzieś na uboczu, media się nim nie interesują – mówi szczerze poseł PiS.

A może rzutki eksminister edukacji, który zapisał się w pamięci uczniów i rodziców jako konserwatywny radykał, ma inne zadanie, a zwycięstwo w wyborach nie interesuje dziś Kaczyńskiego tak samo jak spójność i kontrola nad partią? Bo i takie opinie krążą wśród znawców PiS.

– To by oznaczało, że w przyszłym roku zdobędziemy mniej niż 20 procent. Na końcu tej ścieżki jest zjazd poniżej 15 procent oraz koniec Prawa i Sprawiedliwości. Już według obecnych szacunków 40 naszych posłów musi szukać sobie nowego zajęcia od jesieni 2027. Te emocje, wewnętrzne niezadowolenie, gra frakcyjna nas zniszczą. Czarnek tego nie poskłada, ponieważ jest zbyt radykalny – słyszę od znanego polityka prawicy.

Zadaję więc kolejne pytanie: czy w PiS jest osoba, która mogłaby pogodzić frakcje, stanąć na czele kampanii i stworzyć rząd po wyborach? – Tak, Jarosław Kaczyński – mówią zgodnie wszyscy. Poseł: – Przypuszczam, że jesienią wymienimy Czarnka na kogoś innego. Trudno dzisiaj mówić o nazwiskach, bo kto wie, kto będzie bliżej ucha prezesa po wakacjach.

●

Od zwolenników byłego ministra edukacji i obecnej linii PiS pod hasłem „zaostrzać kurs" słyszę inne głosy.

– Przemek otrzymał kilka zadań. Po pierwsze, ma obudzić wiarę wśród wyborców, że nasza partia jest nadal prawicowa. Przy okazji obecnego sporo o Ukrainę powoli widać odwracający się trend: nasi byli wyborcy widzą, że PiS jest wiarygodny w tym, jak opowiada o pomocy cywilom z Ukrainy i jakie decyzje zamierza podjąć prezydent, który pochodzi z naszego obozu politycznego – mówi mi „maślarz", jak ochrzczono grupę skupioną wokół Czarnka, Bocheńskiego i Jacka Sasina, zaufanego Kaczyńskiego i potężnego kadrowego z rządów PiS, który trzymał rękę nad spółkami skarbu państwa.

„Maślarze" od masła, rzecz jasna niemieckiego, którym poczęstowano na pokładzie LOT-u Tobiasza Bocheńskiego, na co natychmiast poskarżył się w serwisach społecznościowych.

Karol Nawrocki zapowiedział odebranie Wołodymirowi Zełenskiemu Order Orła Białego za nadanie nazwy UPA jednemu z oddziałów ukraińskiej armii. Awantura wymknęła się spod kontroli, ponieważ politycy prawicy – na czele z Januszem Kowalskim i Czarnkiem – tropią Ukraińców w polskim rządzie i administracji publicznej. Atmosfera zaczyna przypominać 1968 rok, kiedy komuniści szukali Żydów w instytucjach państwa i w samej partii.

Z tego, co słyszę, PiS gra z premedytacją tą nutą, ponieważ chce uwiarygodnić się w oczach prawicowego wyborcy nie tylko krytykując Zełenskiego, ale wprost nawołując do odebrania wszelkich przywilejów Ukraińcom mieszkającym i pracującym w Polsce.

– Drugim zadaniem Czarnka jest konsolidacja partii, skupienie się wszystkich frakcji wokół strategii, wspólna praca na wynik w wyborach. I to też się powoli udaje: w Gorzowie Wielkopolskim na wspólnym wiecu wystąpili Czarnek i Morawiecki, których przekaz doskonale się dopełnia. Jeden mówi do wyborców Konfederacji, a drugi do sierot po Polsce 2050. Choć śmiejemy się w partii, że Morawiecki spotkał się z Przemkiem, ale się nie uśmiechał – opowiada ten sam poseł.

Dopiero trzecim zadaniem jest zwycięstwo w wyborach. – Rozumiem, że Czarnek nie przebija się do pańskiej bańki, ale ostatnie sondaże pokazują, że nasza strategia przynosi efekty: PiS rośnie, a Konfederacja słabnie.

– Z naszej perspektywy Przemek konsekwentnie wykonuje plan: najpierw wrócimy do naszych wyborców, a następnie odsuniemy

eprasa.pl 9e613fd31b

ten szkodliwy rząd – słyszę od kolejnego rozmówcy.

Słowa o „szkodliwym rządzie" padają na propagandowy użytek, więc puszczam je mimo uszu, ale po chwili słyszę coś naprawdę zaskakującego.

– Oceniając na chłodno rząd Tuska, muszę przyznać, że premier jest lepszy od nas. Proszę zobaczyć na kryzys paliwowy: myśmy też to przeżyli, po ataku Rosji na Ukrainę w Europie zabrakło benzyny. Różnica polega na tym, że za nas na stacjach dochodziło do dantejskich scen, brakowało benzyny, nikt nie potrafił sobie z tym poradzić. A Tusk wyszedł, powiedział, że rząd będzie dopłacał, problem został rozwiązany w pół godziny i mamy najniższe ceny w Europie. Odebrał nam tlen – przyznaje poseł.

Ten sam polityk zastanawia się, jakimi tematami Czarnek może wygrać wybory.
– Sporo mówi się u nas o ochronie zdrowia w zapaści. Ale może już pod koniec roku premier dorzuci coś do NFZ, choć przypuszczamy, że raczej tuż przed wyborami. Drożyzny nie ma, inflacja jest opanowana, w bezpieczeństwo inwestuje się na potęgę, większych afer ten rząd nie ma – wylicza mój rozmówca. – Nawet z tym lekarzem z warszawskiego szpitala, co to w rok zarobił 1,5 miliona, a nam spadł z nieba, bo jest członkiem KO, trudno będzie nam przekonać ludzi, że kraj jest w ruinie, a rząd sobie z niczym nie radzi. I widzą to na Nowogrodzkiej wszyscy.

Ale lepszych pomysłów na razie w PiS brakuje, Czarnek ma więc przede wszystkim wykorzystywać popularność Nawrockiego. A poza tym atakować rząd za zapaść w szpitalach, szukać marnotrawienia pieniędzy pochodzących z KPO, przypominać, że mamy w Polsce jedne z najwyższych rachunków za prąd, wyśmiewać ministrę kultury Martę Cienkowską, której stowarzyszenie otrzymało kiedyś z warszawskiego ratusza hojną dotację na spacery dendrologiczne, przypominać o kontraktach lekarzy („ludzie już teraz porównują swoje zarobki i są wkurzeni", mówią na Nowogrodzkiej z ekscytacją).

Żadnego wielkiego hitu, same jętki jednodniówki – jak historia z dawną działalnością ministry kultury – albo tematy zgrane i takie, które okazały się kapiszonami – jak dotacje z KPO – albo samograje tylko pozorne, jak NFZ, bo z kategorii „zawsze tak było, taki kraj".

– Jednocześnie Przemek będzie składał obietnice aspirującej klasie średniej. Przypomnimy ludziom, że to za naszych rządów ich portfele stały się grube – nieco ożywia się sztabowiec.

„Według szacunków 40 naszych posłów musi szukać nowego zajęcia od jesieni 2027. Te emocje, wewnętrzne niezadowolenie, nas zniszczą. Czarnek tego nie poskłada"

Ale choć żadne paliwo nie działa, to działacze nie poddają się i podejmują próby „zdominowania przekazu", jak mówią na medialne wydarzenia spece od wizerunku politycznego i kampanii wyborczych.

We wtorek Robert Bąkiewicz, a więc lider narodowców - obecnie raczej samozwańczy, bo skonfliktowany z innymi organizatorami Marszu Niepodległości - wybrał się do Berlina, by pod pomnikiem upamiętniających polskie ofiary drugiej wojny światowej postawić krzyż. Bąkiewicza wraz z innymi przedstawicielami Ruchu Obrony Granic szybko spacyfikowała niemiecka policja, Polaków zakuto w kajdanki i rozgoniono zgromadzenie.

Obrazki jak z prawicowego snu: obrońcę polskości skuwają niemieccy policjanci, w tle widać krzyż, słychać okrzyki o Gestapo. Republika nadaje na żywo, do akcji włącza się Czarnek, który domaga się natychmiastowej reakcji rządu Tuska. Który trochę psuje zabawę, bo reaguje naprawdę szybko: wysyła na miejsce konsula i publikuje komunikat rzecznika MSZ.

Dzwonię więc do posła PiS z frakcji sprzyjającej Czarnkowi i pytam, czy akcja Bąkiewicza była konsultowana z Nowogrodzką. Bo przecież były lider Marszu Niepodległości na wezwanie Kaczyńskiego bronił kościołów w czasie czarnych protestów, a potem dostał miejsce na liście PiS do Sejmu. - Wątpię, ponieważ cała praca partii skupia się na podkręcaniu afery wokół lekarza zarabiającego miliony. Akcja Bąkiewicza odwraca uwagę od tego skandalu - słyszę.

Ale pewności nie ma - więc równie dobrze to może być propagandowa gra na dwóch fortepianach. „Lekarz milioner od Tuska" obsłuży „normalsów" bardziej centrowych czy niezaangażowanych, a berlińskie przygody ąkiewicza mogą mieć znaczenie dla najtwardszego elektoratu prawicy, zwłaszcza tych rozproszonych, których mierzi „bankster" technokrata Morawiecki i teraz sprzyjają Grzegorzowi Braunowi.

Ale i tego paliwa może nie starczyć na długo, bo choć połączenia Niemców i obrony jeszcze nie grano, to temat nie rokuje, ponieważ winien musi być rząd - a nie da się w prosty sposób połączyć Tuska z działaniami berlińskiej policji.

●

Kaczyński ma jednak wiele innych problemów, które mogą odcisnąć się na wyniku PiS.

Pierwszy problem nazywa się Ziobro. Bezkompromisowy szeryf, pryncypialny niby Robespierre minister sprawiedliwości, który ukrywa się w USA przed wymiarem sprawiedliwości, to obciążenie dla partii, która ma „sprawiedliwość" w nazwie. Najzabawniejsze są te momenty konferencji prasowych Czarnka, kiedy nie chce odpowiadać na pytania o Ziobrę. A tych będzie coraz więcej.

Drugi problem ma na nazwisko Nawrocki. Popularność prezydenta maleje z miesiąca na miesiąc a spadki notowań nakręcają niezrozumiałe decyzje takie jak weto SAFE.

Prezydent nie kryje niechęci wobec rządu i ma prawo, ale jak wytłumaczyć własnym hurapatriotycznym, ceniącym mundur i armię wyborcom, dlaczego nie współpracuje z Tuskiem w sprawach bezpieczeństwa narodowego. A obronność to jedyna dziedzina, w której Polacy premiują polityków za jedność.

Widać też, że prezydent wpada w kolejne pułapki premiera: rząd mógłby sobie poradzić z SAFE z pomocą przepisów mniejszej rangi, bez ustawy wymagającej podpisu prezydenta – lecz w tej grze z niemal pewnym wetem chodziło o osłabienie Nawrockiego.

To samo dzieje się z projektem ustawy o kryptowalutach: rząd wysyła kolejne projekty, Nawrocki je wetuje, a na koniec dnia Tusk oskarża prezydenta o działanie na szkodę Polaków i ich oszczędności.

Trzecim problemem są wszystkie afery z czasów rządów Zjednoczonej Prawicy, które koalicja rządząca będzie sprawnie przypominała w kolejnych miesiącach.

Nawet wskaźniki ekonomiczne, na które po ataku USA na Iran liczono na Nowogrodzkiej, nie sprzyjają PiS. Polacy dosyć dobrze oceniają swoją sytuację finansową i doceniają posunięcie, za które tak niedawno opozycyjna KO potępiała rządzący PiS, czyli zaniżanie cen paliw. A proste programy wypuszczone przed przyszłorocznymi wakacjami w rodzaju wyższego bonu turystycznego, darmowych wycieczek dla dzieci, otwartych boisk i świetlic weekendy czy przywracanie połączeń kolejowych docenią nawet wyborcy instynktownie nieufni wobec wielkomiejskich liberałów, do których trafia narracja o „opcji niemieckiej, która hamuje rozwój ojczyzny".

– Radykalizacja naszej partii to prosty pomysł na porażkę: Czarnek nie będzie twarzą modernizującej się Polski, a takiej partii, z chrześcijańskim zacięciem i patriotycznej, ale pragmatycznej, unikającej awantur, wypatrują dzisiaj Polacy – odpowiada zwolennik Morawieckiego.

To właśnie czwarty problem Kaczyńskiego: otwarty konflikt wewnętrzny.
– Ludzie od Morawieckiego kierują się prostą zasadą: im gorzej wiedzie się w kampanii Czarnkowi, tym lepiej dla nich – rozkłada ręce zrezygnowany zwolennik „Przema".

Jeśli ktoś jest wciąż naprawdę zachwycony Czarnkiem, to otoczenie Tuska. Eks-minister, który próbując wycisnąć coś jeszcze z zużytych straszydeł – Niemcy, Unia, ekoterroryści – plecie o „OZE-sroze", kompromitując się w oczach własnego elektoratu zakochanego w fotowoltaice, jest idealnym przeciwnikiem na czas kampanii wyborczej.

– Ponieważ symbolizuje to wszystko, z czym walczymy i co mobilizuje demokratycznych elektorat. A więc zaściankowość, radykalizm, krzykliwość, oczernianie grup społecznych i złodziejstwo z czasów PiS – uśmiecha się posłanka KO.

Na Nowogrodzkiej zdają się tego nie widzieć. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34438697

DO 23 CZERWCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na lipiec u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł**
OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 64 zł





Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
**Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

2 RP

eprasa.pl 9e613fd31b

Rycerz Kaczyński z konikiem Nawrockiego

Mało kto zapisuje się na kurs śpiewu przed pójściem na koncert czy bierze lekcje tańca przed pójściem na balet. Prezydent Nawrocki przed galą u Trumpa wziął udział w treningu z Mariuszem Pudzianowskim, zwanym pieszczotliwie Pytonem.



Michał Rusinek

Prezydent Karol Nawrocki został zaproszony na obchody 80. urodzin Donalda Trumpa. To wspaniała wiadomość, bo dostać się na te obchody nie było łatwo, a przecież było warto – nawet na minutę i 20 sekund rozmowy z prezydentem USA. Jak ustalił Michał Sznajder z TVN 24 BIS należało np. zapłacić 1,5 mln dolarów, albo być żołnierzem interesującym się mieszanymi sztukami walki i mieć odpowiednie proporcje ciała (obwód pasa podzielony przez wzrost nie może przekroczyć 0,55). I słusznie: jeśli zapraszamy na urodziny nieznajomych, to powinniśmy przecież zastosować jakieś kryteria doboru. Zwłaszcza jeśli tak się zdarzy, że wielu znanych aktorów i muzyków zaproszenia nie przyjmie.

●

Główną atrakcją urodzin była gala MMA, czyli właśnie mieszanych sztuk walki, odbywająca się w oktagonie wybudowanym na trawniku przed Białym Domem. Zaproszenie na te urodziny musiało ucieszyć Karola Nawrockiego nie tylko z powodów politycznych, ale i dlatego, że sporty walki są mu bliskie. Wyobraźmy sobie, jak by cierpiał, gdyby prezydent Trump zorganizował koncert muzyki klasycznej, spektakl operowy czy widowisko baletowe. Ale na prezydenta Trumpa można liczyć: nic podobnego nie wchodziło przecież w grę.

Wiele wskazuje na to, że już dwa miesiące temu do kancelarii prezydenta RP dotarły przecieki o głównej urodzinowej atrakcji, bo w kwietniu prezydent Nawrocki wziął udział w treningu z samym Mariuszem Pudzianowskim (zwanym pieszczotliwie Pudzianem, Dominatorem, Pytonem lub Pudzillą), polskim zawodnikiem MMA. Ze strony prezydenta to wyraz wielkiego profesjonalizmu i zaangażowania w budowanie relacji polsko-amerykańskich: mało kto zapisuje się na kurs śpiewu przed pójściem na koncert czy bierze lekcje tańca przed pójściem na balet. Pudzianowski tak skomentował wspólny trening: „Kilka dni temu miałem okazję potrenować z Prezydentem Polski i muszę przyznać – ma charakter chłop! Mimo że umowa była taka, żeby »nie cisnąć« na maksa, to nie odpuścił i 150 kg na ławce pękło! Jak na kogoś, czyim konikiem jest boks, to naprawdę zacny wynik. Szacun!”.

●

Nie znamy się na ciśnięciu, zwłaszcza na maksa, ale wierzymy, że 150 kg zasługuje na szacun. Mamy nadzieję, że nic panu prezydentowi nie pękło i że to raczej zapożyczenie ze slangu alkoholowego: „pękło pół litra” oznacza, że poradziliśmy sobie z taką ilością płynu. Zachwyciło nas natomiast metaforyczne stwierdzenie, że boks jest „konikiem” (czyli hobby) pana prezydenta, zwłaszcza w kontekście słynnych koni w historii świata: Aleksander Wielki miał Bucefała (*Bukefalos*), cesarz Kaligula – Incitatusa, Napoleon Bonaparte – Marengo, marszałek Józef Piłsudski – Kasztankę. Natomiast prezydent Nawrocki, zdaniem Mariusza Pudzianowskiego, ma konika. Cóż, dobre i to.

Mieszane sztuki walki wywołały mieszane uczucia nawet wśród prawicowych polityków. Jarosław Kaczyński stwierdził, że nie ceni MMA: „Ja nawet lubię oglądać sporty walki, ale takie, w których funkcjonują jakieś zasady związane z tradycją rycerską [...]”. Trudno jednak wyobrazić sobie, że prezydent Stanów Zjednoczonych z okazji 250-lecia swojego kraju i 80-lecia swoich urodzin organizuje turniej rycerski nawiązujący do wesołych zabaw sprzed mniej więcej 750 lat, kiedy to jeszcze USA nie istniały: kruszenia kopii w pełnym galopie (tzw. szranki), walk grupowych (tzw. *melée*), czy pojedynków na miecze, topory lub maczugi. Zresztą w czasie ataku na Kapitol w styczniu 2021 Amerykanie udowodnili, że poradziliby sobie z rekonstrukcją walk średniowiecznych.

●

Kaczyńskiemu nie chodziło niestety o historyczne rekonstrukcje. Twierdzi on, że rycerskie zasady panują w boksie: „Bokser, który obala na ziemię uderzeniem innego boksera, nie rzuca się na niego i nie bije go dalej. Bo to jest właśnie ta tradycja. Natomiast tego nie ma w MMA i ja, że tak powiem, nie poważam tego sportu”. Na słowa Jarosława Kaczyńskiego zareagował Krzysztof Bosak, który stanął w obronie mieszanych sztuk walki: „MMA może i wygląda brutalniej, ale w wydaniu zawodowym jest mniej szkodliwe dla zdrowia niż boks. Jest też bardziej wszechstronne jeśli chodzi o wymagane umiejętności [...]. Nie należy demonizować MMA, a idealizować boksu”. Czy jest to ukłon w stronę konika Nawrockiego, czy uszczypliwość wobec rycerskości Kaczyńskiego – trudno orzec.

Demonizować MMA rzeczywiście nie warto. Warto natomiast zwrócić uwagę na symboliczny charakter wyboru akurat takiej dyscypliny sportu na obchodach podwójnego święta: USA i Trumpa. Owszem, MMA jest sportem jakoś uregulowanym (łaskawie zabronione są ciosy w kręgosłup i w tył głowy, atakowanie leżącego przeciwnika łokciami i wkładanie mu palców w oczy), ale warto pamiętać, że wywodzi się on z tzw. wolnej amerykanki. Chodzi w niej o specyficznie rozumianą wolność. Jest to bowiem dosłownie nazwa walk zapaśniczych, w których wszystkie chwyty są dozwolone (*catch-as-catch-can*), a metaforycznie – sposób postępowania polegający na nieprzestrzeganiu żadnych zasad.

Walki MMA na uroczystościach przed Białym Domem były nie tylko pokazem męskiej siły, ale przede wszystkim symbolizowały pewien rodzaj uprawiania polityki, z którym już mamy do czynienia – nie tylko w USA – i na który powinniśmy się przygotować w najbliższych latach. Jak? To wie przede wszystkim Mariusz Pudzianowski. ●

Artysta „pracujący”

Już od dłuższego czasu zadaniem niektórych polskich polityków jest czyhanie na kolejny, dobry, polaryzujący temat – i właśnie się taki znalazł.



Marcin Matczak

W nowej książce o średniowiecznej epidemii czarnej śmierci jest wzmianka, że w jej czasie Florencja zmniejszyła podatki nakładane na artystów, żeby fiskalnie wesprzeć działalność, która daje ludziom radość. Czytam to, gdy u nas otwiera się właśnie kolejny front wojny polsko-polskiej i znowu podżega do niej Konfederacja.

Chodzi o wojnę „normalnie” pracującego człowieka z „nienormalnie” pracującym artystą. Jak wiele tego typu wojenek, także i ta jest oparta na tak zwanym zdrowym rozsądku, którego posiadacz patrzy na jakąś elitę – tym razem muzyków, malarzy czy rzeźbiarzy – a także na ich wytwory i nie może uwierzyć, że „za takie coś” ludzie mogą płacić. A już tym bardziej nie może uwierzyć, że „to coś” ma wspierać państwo.

Wróg zamiast programu

Ten mechanizm działa mniej więcej tak: stoję przed obrazem, którego nie rozumiem, słucham muzyki, która mnie nie wzrusza, czytam wiersz, który wydaje mi się bełkotem – i z mojej prywatnej obojętności wyprowadzam publiczny wniosek: skoro ja tego nie potrzebuję, to znaczy, że nie potrzebuje tego nikt. A skoro nie potrzebuje tego nikt, to dlaczego mam za to płacić ze swoich podatków? To rozumowanie ma w sobie pozór nieodpartej logiki i właśnie dlatego jest groźne. Nie bierze jednak pod uwagę, że między „mnie się to nie podoba” a „tego nie powinno być” jest przepaść.

Już od dłuższego czasu zadaniem niektórych polskich polityków jest czyhanie na kolejny, dobry, polaryzujący temat – i właśnie się taki znalazł. Polaryzacja to dziś cenna waluta w polityce: nie trzeba mieć programu, wystarczy mieć wroga. Artyści i naukowcy nadają się do tej roli znakomicie.

Nie oceniam w tym miejscu projektu zmian emerytalnych dla twórców sztuki. Interesuje mnie sama dyskusja wokół tego projektu i to, jak bardzo przypomina ona inne dyskusje prowadzone zazwyczaj w ustrojach, które nie tylko artystów, ale każdego chcą wziąć za twarz. I zadziwia mnie, jak bardzo Konfederacja, partia według deklaracji wolnościowa, znowu pokazuje swoją zamordystyczną twarz. No dobrze, to, że jej twarz jest zamordystyczna, wiadomo od dawna. Zadziwia mnie raczej łatwość, z jaką wyborcy gotowi są w imię wolności poprzeć tych, którzy chcieliby decydować, co wolno tworzyć i co warto badać.

Bo dzisiaj Konfederacja odkrywa idee rewolucji kulturalnej. Z jednej strony Bosak kwestionuje sens niektórych dziedzin nauki. Z drugiej Mentzen ocenia wartość sztuki finansowanej z publicznych pieniędzy. Dyskusja nad konkretnymi rozwiązaniami jest sprawą normalną.

Co innego jednak rozmawiać o mechanizmie finansowania, a co innego podawać w wątpliwość, czy dana dziedzina sztuki albo nauki w ogóle ma rację bytu.

Tradycja socrealizmu

A tu spór o pieniądze łatwo przechodzi w spór o to, kto ma prawo decydować, które ludzkie aktywności są wartościowe. A gdy raz uznamy, że może o tym rozstrzygać głosowanie albo gust ministra, nie ma już powodu, by zatrzymać się akurat na sztuce – następna w kolejce będzie dowolna dziedzina, która komuś wyda się zbędna.

Język Konfederacji „artyści i naukowcy kontra pracujący lud” ma swoją tradycję – to tradycja socrealizmu, nie wolnego rynku. Historia pokazuje, że ruchy autorytarne niemal zawsze zaczynały od pytania: „A po co nam taka sztuka albo nauka?”, i szybko odpowiadała: sztuka ma służyć narodowi, klasie, rewolucji albo państwu. W ZSRR towarzysz Żdanow piętnował „formalizm” w muzyce, a kompozytorzy tej miary co Szostakowicz musieli publicznie kajać się za to, że ich dzieła były rzekomo oderwane od estetyki bliskiej ludowi. W Chinach Mao intelektualistów wysyłano na wieś, do pracy fizycznej, żeby oduczyli się tego oderwania od mas. W nazistowskich Niemczech urządzono wystawę „sztuki zdegenerowanej”, na której pokazywano dzieła awangardy po to, by tłum mógł się z nich naśmiewać. Łysenko z kolei ogłosił genetykę „burżuazyjną pseudonauką” i uwstecznił radziecką biologię, bo prawdziwa nauka nie pasowała do ideologii.

Te działania łączyło jedno: zakazywały „bezużytecznej” muzyki, „kosmopolitycznej” nauki czy „nieproduktywnej” kultury, bo mierzyły człowieka wyłącznie miarą jego doraźnych potrzeb. Wolność badań naukowych i wolność twórcza są tymczasem warunkami rozwoju cywilizacji. Można – i trzeba – dyskutować o tym, według jakich procedur je finansować. Ale polityk nie ma żadnych narzędzi, żeby oceniać treść nauki czy sztuki. A u nas znowu podważa się ich sens, co jest typowe dla ludzi, którzy mówią, że są za wolnością, ale ciągle chcieliby coś kontrolować. Na przykład potępić grafikę z genitaliami, zbyt odległą od pięknego jelenia na rykowisku.

Wrogowie wolności

Filozof John Finnis uznaje wiedzę i doświadczenie estetyczne za podstawowe dobra ludzkie. Bo pokazują, co znaczy żyć w pełni ludzkim życiem – świadomym i opartym na wrażliwości. Poznawanie świata i obcowanie z pięknem nie są luksusem, na które trzeba najpierw „normalną pracą” zasłużyć, lecz częścią tego, czym jest udane ludzkie życie – tym, co dawni filozofowie nazywali życiem szczęśliwym, a nie tylko życiem opłacalnym. Ten, kto mówi artystom: „Weźcie się do normalnej pracy!”, redukuje człowieka do siły roboczej.

Jest w tym zresztą gorzka ironia: Konfederacja, partia, która tak zdecydowanie odżegnuje się od marksizmu, w istocie przejmuje jego najbardziej toporną intuicję: że wartość człowieka mierzy się jego produktywnością. Czy nie możemy jako społeczeństwo doceniać nie tylko ludzi, którzy produkują i konsumują, ale także tych, którzy poznają, tworzą, odkrywają i pomagają nam zachwycać się światem.

To nie przypadek, że każdy polityk zamordysta chce kontrolować muzykę, obrazy i wiersze. Dlatego jazz uchodził kiedyś za wywrotowy, a Iran zakazuje słuchania muzyki. Bo doświadczenie estetyczne kształtuje kreatywność i krytyczne myślenie – zdolności, które każą pytać „dlaczego?” tam, gdzie władza woli słyszeć: „Tak jest!”.

Sztuka uczy też nie znosić brzydoty, a jedną z jej form jest kłamstwo i manipulacja. Dlatego właśnie wrogowie wolności są zawsze wrogami sztuki. ●

eprasa.pl 9e613fd31b

ŚWIAT

Czy Izrael popełnia ludobójstwo?

Ludobójstwo bywa narzędziem do narzucania narracji, zdobycia przewagi w walce o emocje, która obecnie toczy się na X, Instagramie, TikToku i Facebooku.

Klaus Bachmann



• **Strefa Gazy. Kobieta z dzieckiem próbuje się schronić w czasie izraelskiego nalotu na dzielnicę Ridwan w mieście Gaza (23.10.2023)**
FOT. ALI JADALLAH/ ANADOLU VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 9e613fd31b

Okopy są wykopane, obie strony mają sporo amunicji i jasny obraz wroga: kto wymienia wyraz „Izrael" w jednym zdaniu ze słowem „ludobójstwo", ten jest antysemitą; kto zaczyna swój wywód od 7 października i „prawa Izraela do samoobrony", zaprzecza ludobójstwu w Strefie Gazy.

„Hasbara" przeciwko „propagandzie Hamasu". Pola do kompromisu nie ma, bo w walce o prawdę kompromisu być nie może.

Tę logikę można stosować do wszystkich listów otwartych na ten temat, do wszystkich apeli, wezwań do protestu i manifestacji od Londynu po Berlin, Nowy Jork, Paryż i teraz też Polskę.

Walka dotarła też do nas, okopy, amunicja i fanatyzm walczących są podobne, tylko antagoniści inni. Natężenie emocjonalne tych tekstów jednak sugeruje, że tu wcale nie chodzi o prawdę, lecz o tożsamość walczących, dla których stosunek do konfliktu na Bliskim Wschodzie jest papierkiem lakmusowym, czy ktoś stoi „tam, gdzie ZOMO", czy „tam, gdzie »Solidarność«".

Nie chodzi o prawdę, nie chodzi w ogóle o Bliski Wschód, chodzi o stosunek Polaków do innych Polaków, o „naszą" i „ich" przeszłość. Nic tego lepiej nie pokazuje niż „List ludzi kultury" i reakcje jego najzagorzalszych krytyków.

Im list ten jawi się jako powtórka antysyjonistycznej kampanii późnych lat 60. Oskarżenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich o ludobójstwo w Sudanie – gdzie one popierają Rapid Support Forces – takich wybuchów emocji nie powoduje.

Oskarżeniami Demokratycznej Republiki Konga o ludobójczą politykę wobec rwandojęzycznej ludności jej wschodnich prowincji (ani też oskarżeniami Konga wobec Rwandy) nikt w Polsce się nie przejmuje.

Oba te konflikty trwają co prawda dłużej niż wojna o Gazę i spowodowały więcej ofiar, ale ich nie da się odnieść do niedawnej przeszłości czy do wewnętrznych podziałów Polski.

Ludobójstwo i jego negacja

Najważniejszą bronią w tej walce jest zarzut ludobójstwa. Nie ma żadnych racjonalnych przesłanek ku temu, aby uważać ludobójstwo za gorszą zbrodnię niż zbrodnie wojenne albo zbrodnie przeciwko ludzkości.

Ludobójstwo w Srebrenicy trwało kilka dni i spowodowało około 8 tys. ofiar, podczas gdy „zwykłe zbrodnie wojenne" w Syrii trwały 13 lat i pociągnęły za sobą mniej więcej pół miliona ofiar. Tam stosowano broń chemiczną wobec ludności cywilnej, a ofiary umierały w potwornych mękach.

Ale i tak światowa opinia publiczna uważa ludobójstwo za swoistą królową wszystkich zbrodni; zarzut ludobójstwa przekształca każdy konflikt między dwiema stronami w nierówną walkę niewinnej zbiorowej ofiary z nikczemnym zbiorowym katem.

Reputacja jakiejś grupy, jakiegoś narodu albo państwa jako „ofiary ludobójstwa" gwarantuje uwagę, uznanie, respekt, moralną przewagę nad sprawcami i tymi, „którzy nic nie robili, aby temu zapobiec", czasami nawet możliwość dochodzenia reparacji i prawo do wysuwania innego zarzutu, który w podobny sposób nie występuje w przypadku zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości.

Chodzi o zarzut negacjonizmu: kto podaje w wątpliwość, że dane wydarzenie miało miejsce, było ludobójstwem, albo opisuje lub nazywa je łagodniej, niż ofiary to robią, spotyka się z moralnym, politycznym, dyplomatycznym ostracyzmem, a często nawet z zarzutami karnymi.

Prawo co prawda zna też zakaz zaprzeczenia innym ciężkim zbrodniom, ale w sferze publicznej tylko negacjonizm wobec ludobójstwa przyciąga uwagę.

Dlatego zarzut ludobójstwa jest tak ważny w obecnym sporze o konflikt na Bliskim Wschodzie. Jedni mają go niemal nieustannie na ustach, wywołując wrażenie, jakoby był już ostatecznie udowodniony i jakoby wątpliwości stanowiły przypadki negacjonizmu.

Nawet gorzej: kto nie potępia „ludobójstwa w Gazie", ten jest izraelskim propagandystą. W pierwszym apelu „ludzi kultury" do minister Marty Cienkowskiej „ludobójstwo" pojawia się aż cztery razy, w drugim, który jest reakcją na niego – ani razu.

Ten sam schemat można obserwować w debatach online, podczas rytualnych manifestacji i kontrmanifestacji w Berlinie, Londynie i Paryżu. „Ludobójstwo" działa nie jak koncepcja z Międzynarodowego Prawa Karnego, lecz jak krzyk bojowy, dzięki któremu członkowie zwaśnionych obozów rozpoznają szybko i sprawnie, kto jest sprzymierzeńcem, a kto wrogiem.

To, czym jest ludobójstwo, nie odgrywa tu żadnej roli. Ludobójstwo jest tu tylko narzędziem do narzucania narracji, zdobycia przewagi w krajowej i globalnej walce o emocje, która obecnie toczy się na X, Instagramie, TikToku i Facebooku.

Czy Holokaust był ludobójstwem?

W tej walce istnieją dwie skrajne argumentacje. Jedna z nich stawia poprzeczkę bardzo wysoko: ludobójstwem jest tylko to, co jakiś międzynarodowy trybunał prawomocnie uznał za ludobójstwo.

Argument ten ma sporo zalet: jest niezwykle precyzyjny i łatwy do zweryfikowania. Problem polega na tym, że nawet Holokaust nie spełnia tych kryteriów, bo Trybunał Norymberski nie znał jeszcze pojęcia ludobójstwa.

Oskarżeni tam – i przed trybunałem w Tokio – mieli zarzuty zbrodni wojennych, spisku przeciwko pokojowi i zbrodni przeciwko ludzkości. Holokaust został tam uznany za zbrodnię wojenną, jeśli dotyczył Żydów bez obywatelstwa niemieckiego, a za zbrodnię przeciwko ludzkości – jeśli niemieckich Żydów.

Nie było mowy o ludobójstwie, odpowiednia konwencja o ludobójstwie powstała dopiero później, a Rafał Lemkin swoją koncepcję wymyślił właśnie dlatego, że wyniszczenie całych grup etnicznych i narodowych nie było jeszcze kodyfikowane.

Jak epatowanie ludobójstwem prowadzi do jego relatywizacji

Druga skrajna strategia polega na bardzo niskim ustawieniu poprzeczki dla ludobójstwa: każda większa masakra staje się wtedy ludobójstwem. Izrael (albo Rosja) bombardują miasta, bardzo dużo ludzi ginie – mamy ludobójstwo.

Problem w tym, że wtedy dzieje się bardzo dziwna rzecz: pojęcie się kompletnie dewaluuje i relatywizuje, w podobny sposób jak obecnie określenie „antysemityzm". Kiedyś oznaczało to nienawiść wobec Żydów, przypisanie im takich samych cech niezależnie od tego, gdzie żyją, jakie mają obywatelstwo, czy są religijni lub nie.

Dla antysemity wszyscy Żydzi są tacy sami, mają – obojętnie, co faktycznie robią – złe cechy, zawsze trzymają się razem i spiskują przeciwko nam. Przy czym antysemici sami i kompletnie arbitralnie decydują o tym, kto jest Żydem i kto jest „nasz". Dzięki temu „Żydów" jako zbiorowego aktora na świecie można jednocześnie winić za kapitalizm, liberalizm, komunizm i socjalizm.

Dziś już nie sposób ustalić, co jest antysemityzmem. Na skutek propagandy rządu Izraela każdy, który krytykuje jego politykę, staje się antysemitą. W ten sposób w tym samym worku znajdują się politycy jak Grzegorz Braun, prezydent RPA Cyril Ramaphosa, sędziowie i oskarżyciele MTK, agendy ONZ, a nawet niektórzy intelektualiści żydowscy z izraelskimi paszportami, którym nie po drodze z obecnym rządem Izraela.

Masakra 7 października nosiła wszystkie cechy „zbrodni przeciwko ludzkości" i tak też figuruje w nakazach aresztowania MTK

Zgodnie z tak wysoką poprzeczką ani rzeź Ormian w Turcji, ani eksterminacja Afrykanów w Darfurze nie są ludobójstwami. Ludobójstwo na Jezydach w Iraku też jest tylko ludobójstwem w świetle wyroków kilku europejskich sądów krajowych – żaden sąd międzynarodowy o tym nie orzekał. W sprawie ludobójstwa na Ormianach mamy rezolucje wielu parlamentów, ale one nie są wiążącym prawem. Tylko kilka krajów penalizuje zaprzeczanie ludobójstwu na Ormianach.

W sprawie Darfuru Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK) wydał nakazy aresztowania za ludobójstwo wobec sudańskich polityków i wojskowych, ale jak dotąd nikt nie został skazany.

W ten sposób mielibyśmy właściwie tylko dwa przypadki ludobójstwa w historii świata – ten w Rwandzie w 1994 roku i ten w Srebrenicy rok później. Nawet o ludobójstwie Niemiec na Herero i Nama na terenie dzisiejszej Namibii mowy być nie może, mimo że przedstawiciele niemieckich rządów przyznają się do niego. Ale żadnego wyroku międzynarodowego trybunału na ten temat nie ma.

Zaletą ustawienia poprzeczki tak wysoko jest przede wszystkim to, że Izrael wychodzi z tego bez szwanku. Nie ma wyroku, który skazałby Izrael za ludobójstwo. MTK nie oskarżył dotychczas żadnego izraelskiego polityka o ludobójstwo.

Premier Beniamin Netanjahu i były minister obrony Yoav Gallant mają nakazy aresztowania za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości, ale nie za ludobójstwo. Podobnie zresztą jak rosyjscy wojskowi i politycy, wobec których istnieją nakazy aresztowania.

Dotychczasowe decyzje Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości (MTS) dotyczące Strefy Gazy mają jedynie charakter środków tymczasowych, ale nie rozstrzygają i jeszcze przez kilka lat nie będą rozstrzygać o meritum zarzutów, jakie Republika Południowej Afryki wysuwa przeciwko Izraelowi.

To samo dotyczy zresztą Rosji: żadnemu rosyjskiemu politykowi ani wojskowemu nie postawiono dotychczas zarzutu ludobójstwa. Jeśli można mówić o ludobójstwie tylko po międzynarodowym wyroku przeciwko danemu państwu albo jego politykom i wojskowym, to taki zarzut obecnie nie jest uzasadniony ani wobec Izraela, ani wobec Rosji.

Kiedy kilka lat temu na łamach prasy, w telewizji albo w portalach społecznościowych pojawił się zarzut antysemityzmu, to zazwyczaj wiedziałem, co on obejmuje. Dziś w Niemczech obcokrajowiec ubiegający się o azyl albo obywatelstwo może dostać odmowę, jeśli nie „uznaje prawa Izraela do istnienia jako państwo", nie wystarczy, jeśli na ten temat nie ma opinii. Musi „uznać". A organizacje, które nie mają pozytywnego nastawienia wobec Izraela, tracą dotacje.

Kilka tygodni temu rząd kraju związkowego Hesji przedstawił w Bundesracie (który ma inicjatywę ustawodawczą) projekt ustawy penalizującej „publiczne zaprzeczenie prawa Izraela do istnienia".

Kiedy dziś ktoś komuś zarzuca „antysemityzm" – obojętnie, czy w USA, w Niemczech, czy w Polsce – to nie wiem, czy winowajca malował gwiazdy Dawida na szubienicy na elewacjach jakiegoś budynku, rzucił koktajlem Mołotowa w okna synagogi, zarzucił Izraelowi ludobójstwo czy po prostu uważa, że Netanjahu powinien zostać aresztowany, kiedy przyleci do Polski.

Określenie „antysemityzm" przestało cokolwiek znaczyć. Ludobójstwu grozi to samo, jeśli każde większe okrucieństwo tak określamy.

Ludobójstwo bez żadnych ofiar śmiertelnych

W międzyczasie również do dziennikarzy, aktywistów i lobbystów dotarła świadomość, że to wcale nie liczba ofiar decyduje o tym, czy jakaś masakra jest ludobójstwem, lecz zamiar sprawców.

Mniej znanym faktem jest to, że można zostać skazanym za ludobójstwo, nie zabijając ani jednej osoby. Ludobójstwo to bowiem każdy z pięciu czynów wymienionych w Konwencji w sprawie ludobójstwa i w Statucie Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Tylko jeden z nich dotyczy „zabijania członków" grupy narodowej, rasowej, etnicznej lub religijnej. Pozostałe dotyczą wyrządzania „poważnych szkód fizycznych i psychicznych", „narzucania warunków życia, które mogą doprowadzić do całkowitego lub częściowego zniszczenia grupy", „uprowadzania dzieci z grupy" oraz „uniemożliwiania urodzeń w grupie". Wszystkie te przestępstwa można popełnić bez zabijania kogokolwiek, a część nawet bez przemocy.

Jeśli robi się to z zamiarem „całkowitego lub częściowego" zniszczenia grupy rasowej, narodowej, etnicznej

eprasa.pl 9e613fd31b

lub religijnej, popełnia się ludobójstwo – nawet jeśli nikt przez to nie umiera.

Wszyscy, którzy ostatnie miesiące i lata spędzili z kalkulatorami w ręku przed ekranem laptopa, skrupulatnie obliczając stosunek zabitych kobiet i dzieci do wojowników Hamasu, mogli to sobie darować: obojętnie, jaka relacja im wychodzi, wynik i tak nie daje odpowiedzi na pytanie: Czy Izrael dopuścił się ludobójstwa?

Argumenty, które ciągle powracają w sieciach społecznościowych – że Izrael nie mógł popełnić ludobójstwa w Strefie Gazy, bo w przeciwnym razie wszyscy Palestyńczycy byliby martwi – w ogóle nie mają sensu. Izrael może tam popełnić ludobójstwo, nawet jeśli nie zginie przy tym ani jeden Palestyńczyk.

Dla influencerów, lobbystów i blogerów, którzy chętnie powołują się na prawo międzynarodowe, nie znając go, jest jeszcze więcej złych wiadomości. Prawo międzynarodowe czasami uznaje za przestępstwo czyny, nawet jeśli nie mają one żadnych konsekwencji.

Ogłoszenie, że „nie będzie się brało jeńców", jest karalne nawet wtedy, gdy armia mimo to bierze jeńców. A przestępstwo „podżegania do ludobójstwa" można popełnić nawet wtedy, gdy w rezultacie do ludobójstwa w ogóle nie dochodzi. Wystarczy, że podżeganie ma miejsce podczas konfliktu zbrojnego.

Dowodów na to jest aż nadto, sami politycy izraelscy wygłosili takie mowy publicznie, a Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości uwzględnił część już w uzasadnieniu środków tymczasowych, które nałożył na Izrael. Od tego czasu pojawiły się kolejne wypowiedzi.

Na przykład pod koniec kwietnia 2024 roku minister finansów Becalel Smotrich wezwał do „całkowitego zniszczenia Strefy Gazy" i kilku palestyńskich osad. 6 maja tego roku zażądał „skoncentrowania ludności najpierw w strefie humanitarnej", a następnie deportowania jej do krajów trzecich. Nawet jeśli nie kryje się za tym zamiar ludobójstwa, stanowi to „podżeganie" do kilku czynów stanowiących „zbrodnię przeciwko ludzkości" (deportacja i pozbawienie wolności).

Podobnie jest zresztą z zakazem „głodzenia ludności cywilnej", którego naruszenie może być zbrodnią wojenną (podczas konfliktu zbrojnego), zbrodnią przeciwko ludzkości (jeśli takiego nie ma) albo nawet elementem ludobójstwa.

Jest to karalne nawet wtedy, gdy nikt faktycznie nie głoduje na przykład dlatego, że ludzie mają jeszcze zapasy. Izraelscy politycy publicznie zapowiedzieli wstrzymanie pomocy humanitarnej, aby spowodować powstanie ludności Gazy przeciwko Hamasowi, i potem wstrzymali tę pomoc.

Czy niektórzy Palestyńczycy potem głodowali, czy wyglądali tylko na głodnych, bo mieli jakieś choroby albo kłamali, mówiąc, że nie mają, co jeść, jest kompletnie nieistotne dla oceny prawnej polityki izraelskiej.

W niedawnym wywiadzie główny prokurator Karim Khan przyznał, że nie ma dowodów na ludobójstwo w Strefie Gazy. Proizraelskie konta natychmiast rozpowszechniały tę informację z entuzjazmem jako ostateczny dowód na to, że Izrael nie dopuścił się ludobójstwa.

Jest to nieco pochopne, ponieważ z braku dowodów na popełnienie czynu przez określoną osobę nie można wywnioskować, że sam czyn nie miał miejsca. A tak naprawdę nie chodzi tu wcale o dowody na popełnienie czynu, ale o dowody na motywy sprawców.

Jednym z problemów związanych z rzekomym ludobójstwem w Strefie Gazy jest bowiem to, że ci, którzy wzywali do ludobójstwa, nie mieli wpływu na operacje wojskowe. Smotrich jako minister finansów i Ben-Gvir jako minister spraw wewnętrznych nie są odpowiedzialni za Strefę Gazy.

Ci, którzy mieli kontrolę operacyjną, jak ministrowie obrony Gallant i Katz oraz premier Netanjahu, wypowiadali się zazwyczaj nieco bardziej wstrzemięźliwie. Międzynarodowy Trybunał Karny nie ściga jednak rządów i państw, a jedynie indywidualnych sprawców. Dlatego w nakazach aresztowania przeciwko Netanjahu i Gallantowi brakuje zarzutu ludobójstwa – Khan nie może udowodnić, że mieli oni taki zamiar. W przypadku Ben-Gvira i Smotricha może to zrobić – ale oni nie mieli władzy, by ten zamiar zrealizować.

Można jednak – choć dopiero od niedawna – zgłosić do tej argumentacji dwa duże „ale". Od rozpadu gabinetu wojennego w czerwcu 2024 roku rząd Netanjahu jest bowiem uzależniony od głosów małych partii Ben-Gvira i Smotrich. Bez nich rząd upadnie. Są niezastąpieni i dyktują rządowi kierunek działania, mają więc znacznie większy wpływ na prowadzenie wojny, niż wynikałoby to z ich formalnych pozycji w rządzie.

Po drugie, brak dowodów na zamiar popełnienia ludobójstwa nie chroni ich przed oskarżeniami o podżeganie do ludobójstwa.

Skazany za ludobójstwo, którego nie było?

Można bowiem podżegać do ludobójstwa nawet bez jego faktycznego popełnienia, na przykład, gdy z przyczyn niezależnych od podżegacza do ludobójstwa nie dochodzi. Wystarczy, że w ramach zbrojnego konfliktu wzywa się bezpośrednio i publicznie do „częściowego lub całkowitego zniszczenia grupy". Wypowiedzi obu ministrów bez problemu spełniają te kryteria; obaj włączyli je do publicznych przemówień, które wygłosili przed swoimi zwolennikami.

To jednak nie wszystko. Izrael ratyfikował Konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa". Tylko dzięki temu Republika Południowej Afryki mogła „pozwać Izrael przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości za ludobójstwo", jak donosiły media.

Nie jest to jednak do końca zgodne z prawdą. RPA pozwała Izrael za „naruszenie konwencji", która nie tylko zakazuje ludobójstwa, ale także wymaga od państw zapobiegania ludobójstwu i karania za nie, a także zakazuje podżegania do ludobójstwa. Skarga nie dotyczy indywidualnych oskarżonych, ale obowiązków państwa.

Nie ma tu już znaczenia, czy ten, kto wzywał do wyniszczenia innej grupy „w części lub całości", ma również władzę, by to zrealizować. Przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości nie są oskarżeni ani Smotrich, ani Ben-Gvir, lecz państwo Izrael. A ono ma obowiązek podjąć całą listę działań, które nakazał MTS w swoich decyzjach tymczasowych, aby zapobiec ludobójstwu: dopuścić więcej pomocy humanitarnej, jedzenia, wody, elektryczności i leków – wszystko to, co izraelski rząd potem zignorował.

Jeśli przy tej okazji ktoś pyta, dlaczego MTS nie potępił Hamasu, nie nakazał mu nic, to odpowiedź jest prosta: Hamas nie jest państwem. Jego liderów nie trzeba sankcjonować, oni już żyją pod sankcjami. A jako zbrojna milicja (według prawa międzynarodowego) albo terroryści (według Izraela) nie podlegają rygorom, jakie obowiązują państwa i nie mogą ani skarżyć, ani zostać pociągnięci do odpowiedzialności przed MTS. MTK zaś wystosował kilka nakazów aresztowania przeciwko ich liderom.

Dlaczego MTS domaga się, aby Izrael dostarczył swoim wrogom (Hamasowi) jedzenie? Otóż wcale się nie domaga. Decyzje tymczasowe dotyczą ludności cywilnej, nie Hamasu. A w świetle prawa międzynarodowego Izrael okupuje Strefę Gazy, według konwencji haskich (które izraelski sąd najwyższy sam uznaje za wiążące dla Izraela) ma obowiązek „traktowania ludności cywilnej humanitarnie".

Zgodnie z konwencją przeciwko ludobójstwu Izrael ma również obowiązek karać nawoływania do ludobójstwa. Tak się jednak nie stało między innymi dlatego, że ukarani wtedy wyszliby z rządu i Netanjahu straciłby władzę.

Jest więc więcej niż prawdopodobne, że MTK w pewnym momencie skaże Izrael za naruszenie konwencji o ludobójstwie, ale niekoniecznie za ludobójstwo. Nie byłby to pierwszy raz. W wyroku MTK z 2007 roku skazano również Serbię (wówczas jeszcze wraz z Czarnogórą) za to, że nie zapobiegła ludobójstwu w Srebrenicy i sprzeciwiła się wydaniu jednego ze sprawców, ale nie została skazana za samo ludobójstwo, którego dopuściła się armia bośniackich Serbów (a więc armia innego państwa niż Serbia).

Innymi słowy, to, że RPA wygra w MTS przeciwko Izraelowi i że Izrael zostanie skazany „za naruszenie konwencji o ludobójstwie", jest niemal pewne. Czy zostanie również skazany za popełnienie ludobójstwa wobec Palestyńczyków w Strefie Gazy – jest mniej pewne, ale dla wizerunku Izraela i dla tej globalnej walki o rząd dusz nie ma to większego znaczenia. Łatka ludobójstwa przylepi się do Izraela podobnie jak do Serbii, której politycy i wojskowi też nigdy nie zostali skazani za to.

Ten proces jest już w toku, i to dość zaawansowany.

Jak Izrael przegrał walkę o rząd dusz na świecie

Proizraelskie grupy lobbingowe, think tanki, poszczególni blogerzy i influencerzy mogą się wysilać, jak chcą, ale Izrael nie pozbędzie się już etykietki „ludobójstwa". Widać to na przykładzie Google Trends: jesienią ubiegłego roku, kiedy temat ten najbardziej zajmował internautów, hasło „ludobójstwo" w połączeniu z Izraelem było wyszukiwane ponaddwukrotnie częściej niż w połączeniu z „Gazą" i ponad 20 razy częściej niż w połączeniu z „Hamasem". Dotyczy to całego świata.

Dziś już nie sposób ustalić, co jest antysemityzmem. Na skutek propagandy rządu Izraela każdy, kto krytykuje jego politykę, staje się antysemitą

Sondaże również odzwierciedlają ten trend. Według badania PEW od października 2023 roku poparcie dla Izraela spadło w 43 badanych krajach o 18,5 punktu procentowego w porównaniu z okresem przed 7 października.

Nawet w USA, gdzie po masakrze Hamasu w październiku 2023 roku opinia publiczna przez długi czas bardzo mocno sympatyzowała z Izraelem, obecnie 60 proc. jest przeciwnych polityce Izraela wobec Strefy Gazy. Rząd Donalda Trumpa może mimo wszystko nadal wspierać Izrael, bo 78 proc. Republikanów popiera Izrael, a wśród Demokratów – zaledwie 8.

Niektórzy obarczają nawet politykę Joego Bidena wobec Izraela odpowiedzialnością za porażkę Kamali Harris z Trumpem. Co znamienne, w najnowszej wewnątrzpartyjnej analizie porażki z 2024 roku temat ten w ogóle się nie pojawia.

Duże zachodnie stacje telewizyjne i gazety unikają terminu „ludobójstwo" w odniesieniu do wojny w Strefie Gazy jak diabeł święconej wody. W „New York Timesie", „FAZ", „Le Monde", „Guardianie", w mediach publicznych od BBC po ARD, ZDF i amerykańskie stacje telewizyjne pojawia się on jedynie jako cytat. Cytowani są eksperci z think tanków, obrońcy praw człowieka, prawnicy, demonstranci, którzy twierdzą, że Izrael dopuszcza się ludobójstwa w Strefie Gazy – ale prawie nikt (z wyjątkiem mediów lewicowych i skrajnie lewicowych) nie przyjmuje tego terminu za swój.

W tym zgiełku propagandowym znika mały, lecz istotny szczegół, który przewraca argumentację obu obozów – tego proizraelskiego z bardzo wysoką poprzeczką wobec ludobójstwa, i tego antyizraelskiego z bardzo niską poprzeczką – do góry nogami.

Problem z przypisaniem motywacji ludobójczej politykom izraelskim bez odpowiedniej władzy (i odwrotnie) w ogóle nie występuje w przypadku Hamasu.

Po pierwsze, jest to skrajnie hierarchiczna i autorytarna organizacja, która od swoich członków i wojowników egzekwuje absolutne posłuszeństwo – problem, że „góra nie wie, co wojownicy na dole robią", nie zachodzi w ogóle. W świetle orzecznictwa dowodzący i tak mają obowiązek karania zbrodni, jeśli nie mogli im zapobiec, inaczej sami za nie odpowiadają. Hamas swoich zbrodniarzy nagradza jako bohaterów, zamiast ich karać.

Masakra 7 października nosiła wszystkie cechy „zbrodni przeciwko ludzkości" i tak też figuruje w nakazach aresztowania MTK. W swojej Karcie z 1988 roku Hamas otwarcie (choć w dość zawiłych sformułowaniach) wzywa do zniszczenia Izraela, przy czym niemal zawsze utożsamia Żydów z Izraelem, co sprawia, że całość staje się wypowiedzeniem wojny całemu narodowi, a nie tylko państwu.

Najostrzejsze sformułowania przeciwko Żydom i odwołania do „Mędrców Syjonu" zniknęły po nowelizacji Karty w 2017 roku. Nowa co prawda twierdzi, że Hamas zwalcza „syjonistyczny projekt", a nie Żydów, ale nie zostawia złudzeń co do tego, że Hamas nie widzi żadnej organizacji żydowskiej w „wyzwolonej od rzeki do morza" Palestynie.

Warto tu zaznaczać, że definicja ludobójstwa w statucie MTK nie chroni życia poszczególnych członków jakiejś grupy, lecz „istnienia grupy jako takiej". Jeśli zatem Izrael zamierza pozbawić Palestyńczyków w Strefie Gazy ich przywódców, tak aby stali się oni niezdolną do podejmowania decyzji bezwładną masą, to świadczy to tak samo o zamiarze ludobójczym, jak starania Hamasu do tworzenia „wolnej Palestyny", w której Żydzi mogą żyć w rozproszeniu pośród Arabów, ale bez własnej organizacji z odrębną hierarchią i zdolnością do podejmowania zbiorowych decyzji.

W ten sposób „rozległy lub systematyczny atak na ludność cywilną" na południu Izraela, który Hamas rozpoczął 7 października, staje się aktem ludobójstwa, mimo że pochłonął znacznie mniej ofiar niż izraelskie bombardowanie Strefy Gazy.

Fakt, że ofiarami masakry z 7 października padli również nie-Izraelczycy i nie-Żydzi, niczego tu nie zmienia – z prawnego punktu widzenia w przypadku ludobójstwa nie chodzi o to, co sprawcy zrobili, ale o to, co chcieli zrobić. To zaś sami zapisali w swojej Karcie.

Tu mała dygresja. Postulowane przez Hamas i wielu zwolenników „prawo do oporu" faktycznie istnieje, ale tylko w dokumentach, które dla krajów Bliskiego Wschodu nie są wiążące, na przykład w rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ albo w Karcie Unii Afrykańskiej, do której ani Państwo Palestyńskie, ani Izrael nie należą.

Oba dokumenty dodatkowo zastrzegają, że owo prawo do oporu może być urzeczywistnione tylko w ramach prawa międzynarodowego, co oczywiście wyklucza dokonania masakry na ludności cywilnej.

To jest ten punkt, w którym ta cała walka o rząd dusz na świecie gryzie własny ogon. Jeżeli bowiem wolno mówić o ludobójstwie tylko w przypadku, kiedy ostatnie słowo wypowiedział trybunał międzynarodowy, to nie wolno Izraelowi zarzucić ludobójstwa. Ale Rosji i Hamasowi też nie.

Wtedy również mówienia o ludobójstwie w Katyniu oraz rokrocznych uchwał Sejmu o „ludobójstwie" albo „czystkach etnicznych o znamionach ludobójczych" Polaków z rąk „ukraińskich nacjonalistów" należałoby zaniechać – żaden sąd międzynarodowy o nich nie orzekł.

Jeśli zaś poprzeczkę dla tego zarzutu ustanawiamy tak nisko, że przeskoczą ją i Izrael, i Hamas, i Rosja, to prawie każdemu państwu i każdej milicji uczestniczących w jakimkolwiek konflikcie zbrojnym też można zarzucić ludobójstwo.

Wtedy też „Katyń", „Wołyń", „Wola" staną się zwykłymi masakrami, jakich wiele w historii ludzkości. I jednocześnie przestaje to wtedy znaczyć cokolwiek. ●

eprasa.pl 9e613fd31b

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W SPRZEDAŻY





Faworyci turnieju: Kylian Mbappe, Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA „Za pięć dwunasta”

Rozmowy z Janem Urbanem i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w punkcie sprzedaży prasy (magazyn dostępny m.in: w salonach Empik, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w Żabce, w Lidlu i w innych dobrych punktach sprzedaży prasy) lub zamów z bezpłatną dostawą na **prenumerata24.pl**

eprasa.pl 9e613fd31b

NIE SKOŃCZY SIĘ ŚWIAT, TYLKO NASZ ŚWIAT



FOT. GETTY IMAGES

Nie będzie fali zwolnień w korporacjach. Sztuczna inteligencja wykończy tych, co zawsze.

Mateusz Mazzini

Nowy, być może już świadomy byt, który zaraz zdominuje człowieka? Czy tylko bardzo zaawansowany algorytm, który żongluje przewidywanymi słowami na niewyobrażalnie wielką skalę, dzięki czemu udaje myślenie? W dyskusji o AI dominują te dwie narracje – choć rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana.

Sztuczna inteligencja już teraz jest niesamowicie zaawansowaną, skuteczną technologią, zmieniającą zasady funkcjonowania całych instytucji, wpływającą na logikę zarządzania państwem czy kierowania korporacjami.

Jest także technologią ogromnie wadliwą, nieprecyzyjną, produkującą często w pełni błędne odpowiedzi na banalne pytania, nieradzącą sobie z zadaniami wykraczającymi poza powtarzanie uprzednio już rozwiązanych problemów, oczywiście przez człowieka.

Oba te zdania są prawdą. I właśnie zestawienie dwóch pozornych sprzeczności, skrajnych ocen technologii, która polaryzuje ekspertów, polityków, aktywistów i społeczeństwa w sposób nieporównywalny z poprzednimi wynalazkami ery gospodarki internetowej, pozwala oddać naturę obecnej debaty.

Nie ma wątpliwości, że rozpowszechnienie sztucznej inteligencji w kolejnych dziedzinach gospodarki, administracji, a przede wszystkim – życia codziennego i praktyk konsumenckich, zmieni sposób funkcjonowania wolnego rynku i całych społeczeństw. Być może doprowadzi ostatecznie do końca kapitalizmu i powrotu gospodarki feudalnej – czyli takiej, w której zasoby są skoncentrowane w rękach wąskiej grupy posiadaczy, a cała reszta populacji wykonuje czynności dające przetrwanie, a nie zarobek. W takim scenariuszu zniknęłaby podmiotowość jednostki i jej polityczna reprezentacja, bo ludzie staliby się biomasą dostarczającą dane techno-oligarchom. O wolnościach osobistych można byłoby zapomnieć.

Na pewno ta technologia nie wyeliminuje problemów dzisiejszego świata. Do kosza już teraz można wyrzucić deklaracje Elona Muska, że dzięki AI „bieda zniknie, a praca będzie opcjonalna". Jeśli ta technologia rzeczywiście okaże się rewolucyjną, na pewno podzieli świat na wygranych i przegranych – w końcu na tym polegają rewolucje.

Niewykluczone jednak, że konsekwencje – czy, jak chcą zwolennicy AI – korzyści z jej upowszechnienia okażą się znacznie skromniejsze od zapowiadanych przez liderów spółek technologicznych z Doliny Krzemowej.

Wiadomości są dwie, obie złe – każda dla kogo innego. Przegrają masy, bezimienna większość społeczeństw – ale nieliczni wygrani niekoniecznie zyskają tyle, ile przewidują lobbyści, neofici oraz zwykli oszuści zarabiający na pseudoszkoleniach z wdrażania systemów AI w spółkach i obiecujący złote góry, jeśli chodzi o wzrosty produktywności i optymalizację funkcjonowania zespołów.

Kłopot jest już z samym określeniem na to, co nadciąga – nawet jeśli wiemy, że nadciąga coś o ogromnej sile. W końcu, jak niedawno przypomnieli we wspólnej rozmowie słynny brytyjski politolog David Runciman i jedna z najważniejszych dziś europejskich myślicielek, albańska historyczka idei Lea Ypi, definicją rewolucji jest odwrócenie relacji władzy – ci, którzy byli na dole, przechodzą na górę, uciśnieni zaczynają dyktować warunki, a rządzący muszą przyjąć cudze zasady gry. Tymczasem pod tym względem trwający obecnie wyścig na moc obliczeniową przyniesie raczej zabetonowanie dzisiejszego układu sił, a nie jego zburzenie.

Tak wracamy do początku tego tekstu i dwóch opinii na temat AI, obu prawdziwych. Wszystko zależeć będzie od tego, kto do jakiej wersji sztucznej inteligencji będzie miał dostęp.

●

W ostatnich kilkunastu dniach wśród technooptymistów, osób zajmujących się polityką publiczną, ale też wśród zwykłych obserwatorów tej dziedziny zawrzało kilkukrotnie.

Najpierw Antrhopic, w tej chwili niekwestionowany lider rynku usług w zakresie AI i posiadacz najbardziej zaawansowanego wielkiego modelu językowego – Fable – ogłosił, że jest blisko osiągnięcia tak zwanego Recursive Self-Improvement (RSI), czyli momentu, w którym model się samodoskonali.

Zasadniczo termin ten odnosi się do uczenia maszynowego w pętli. Program pisze własny kod, identyfikuje niedociągnięcia, szkoli się na własnych danych i po prostu wymyśla nowszą, a więc lepszą i potężniejszą, wersję samego siebie. Jack Clark, współzałożyciel Anthropica, były dziennikarz związany z redakcją „Bloomberg BusinessWeek", napisał, że w tej chwili Claude, model Anthropica, „generuje ponad 80 procent własnego kodu". Oznaczałoby to, że do pełnego RSI zostało bardzo niewiele. Tyle tylko, że takie stwierdzenia mówią nam wszystko i nic.

Warto zatrzymać się chwilę nad tyleż dumnym, co enigmatycznym obwieszczeniem Anthropica i wpisać je w szerszy kontekst, a najlepiej kilka kontekstów jednocześnie – na czele z mitami założycielskimi całej Doliny Krzemowej i firm zajmujących się sztuczną inteligencją.

Po deklaracji Clarka i jego zespołu część ekspertów weszła w dobrze znany ton apokaliptyczny. Bo jeśli AI lada moment zacznie produkować lepsze AI, logicznym następstwem będzie zerwanie się z ludzkiego łańcucha. Wkrótce systemy sztucznej inteligencji dojdą do tak olbrzymich zdolności, że żadne zabezpieczenia, wbudowane bezpieczniki, o jakichś tam wskazaniach etycznych, o których lubi mówić Geoffrey Hinton, fizyk noblista zwany „ojcem chrzestnym AI", nie będą miały żadnego znaczenia. Model po prostu sam wyznaczy sobie cele ostateczne i będzie dążył do ich realizacji – nawet kosztem wyniku apokaliptycznego, jak zagłada ludzkości. Ten scenariusz straszy od tak dawna, od jak dawna istnieje samo pojęcie „sztuczna inteligencja", a im częściej dochodzi do przełomu – który potem okazuje się ograniczony – w osiągach modeli, tym bardziej poczytni autorzy zaczynają brać go na sztandary.

Dobrym przykładem jest Yuval Noah Harari, czyli chyba najbardziej medialny narrator naszych czasów i diagnosta cywilizacji. Ten izraelski mediewista, dawniej naukowiec zajmujący się historią wojen i dziejowym kontekstem decydujących bitew, jest dzisiaj główny piewcą teorii, że AI zniszczy ludzkość. Już na początku 2023 roku, kilka miesięcy po upo-

eprasa.pl 9e613fd31b

wszechnieniu się ChataGPT od OpenAI, opublikował na łamach „The Economist" esej o przyszłości sztucznej inteligencji, nazywając ją technologią znacznie bardziej niebezpieczną od bomby atomowej. „Różnica jest zasadnicza, głowice jądrowe nie potrafią same produkować lepszych głowic – sztuczna inteligencja z kolei do tego doprowadzi" – wieszczył.

Czy zatem sensacyjny artykuł opublikowany na początku czerwca na stronie Anthropica przyznaje historykowi-celebrycie rację? Niekoniecznie. Jest bowiem wiele powodów, by słowa Jacka Clarka przyjmować ze zdrową dawką sceptycyzmu.

Otóż tekst „Kiedy sztuczna inteligencja buduje siebie samą" jest niczym innym jak wpisem na firmowym blogu. Choć sporo osób określa go angielskim słowem *„paper"*, tradycyjnie odnoszącym się do artykułów naukowych pisanych w zinstytucjonalizowanym ekosystemie edukacji wyższej i podlegających zewnętrznej recenzji eksperckiej, ten tekst nie był weryfikowany przez innych badaczy.

Rzecz jasna Anthropic to firma prywatna i nie ma obowiązku udostępniać innym ludziom wglądu do wnętrza swoich najcenniejszych komercyjnych produktów – ale w takim razie, dlaczego ufać Anthropicowi, że jego model osiąga świętego Graala informatyków?

Zwłaszcza że uważna lektura nasuwa wątpliwości – przypis w bardzo ogólnym tekście zastrzega, że „ponad 80 procent własnego kodu" to „zachowawczy szacunek dotyczący linijek kodu trafiających na produkcję, które można przypisać Claude'owi". „Zachowawczy" to sugestia, że być może Claude jest jeszcze lepszy, jednak nie wiadomo, ile z tych linijek okazuje się wadliwych, ile trzeba poprawiać. Firma odmawia też komentarza na temat stopnia i dokładnego miejsca ludzkiej ingerencji w kod. Kiedy dokładnie ludzie wspomagają Claude'a i w czym? O tym Anthropic milczy.

Znaków zapytania jest bardzo wiele. Nie oznacza to, że Anthropic kłamie, na pewno ich model jest niesamowicie zaawansowany. Ale znów: w świecie nowych technologii wiele pozornie sprzecznych rzeczy może być jednocześnie prawdą, a wszystko zależy od kontekstu.

●

Bo druga prawda na temat tej firmy jest już czysto finansowa. Anthropic, tak samo zresztą jak OpenAI czy inne *frontier labs*, laboratoria z najbardziej zaawansowanymi modelami AI, nie generuje zysku. Albo, mówiąc wprost, przepala olbrzymie ilości pieniędzy.

Oferowane przez te spółki produkty konsumenckie w postaci planów subskrypcyjnych dla użytkowników indywidualnych i biznesowych były dotychczas znacznie tańsze niż wynosi koszt produkcji i utrzymania modeli. AI pochłania niewyobrażalne ilości prądu, wody, potrzebuje coraz to większej i większej mocy obliczeniowej, nowych chipów i centrów danych – a mimo tych nakładów porównywalnych z atomowym projektem Manhattan czy księżycową misją Apollo, nadal nie przynosi spodziewanych zysków. Jak podał niedawno „The Financial Times", koncern Meta, właściciel Facebooka, Instagrama i WhatsAppa, wydał na inwestycje związane ze sztuczną inteligencją 230 miliardów dolarów przy zaledwie 3 miliardach przychodów.

OpenAI Sama Altmana znajduje się w jeszcze gorszej sytuacji. Według danych przytoczonych przez Paolo Carvao z amerykańskiej redakcji magazynu „Forbes", firma zakończy rok stratą 14 miliardów dolarów. Na subskrypcjach do ChataGPT nie zarabia, bo 95 procent wszystkich użytkowników aplikacji zatrzymuje się na opcji darmowej.

Im dalej, tym prognozy gorsze, a liczby jeszcze większe. Strata w 2028 roku ma wynieść 74 miliardy dolarów, prawie tyle samo, ile wynosi całe PKB Luksemburga. Dopiero w 2030 roku OpenAI może wyjść na plus. Pod warunkiem, uwaga, że sztuczna inteligencja przeniknie do wszystkich gałęzi gospodarki, że ChatGPT będzie miał dominującą, niemal monopolistyczną pozycję na rynku, i że nowe modele nie będą już tak energochłonne i kosztowne jak obecna generacja. Jednocześnie mowa o firmie, której wycena rynkowa w maju wynosiła 730 miliardów dolarów i która zaraz chce wejść na giełdę. Po rozpoczęciu notowań wartość spółki ma skoczyć do biliona – jedynka i 12 zer – dolarów.

Ten sam ruch niebawem planuje wykonać Anthropic. On znajduje się w nieco lepszej sytuacji finansowej – koszty trenowania nowych modeli, czyli moce obliczeniowe, energia, czipy, ma sporo niższe niż OpenAI, przychody w ujęciu rocznym przez ostatnie cztery miesiące urosły z 9 do 30 miliardów dolarów i firma ma osiągnąć rentowność dwa lata wcześniej niż największy rywal.

Przede wszystkim jednak Anthropic, którego prezesem jest Dario Amodei, uciekinier z OpenAI i prywatnie chłodny krytyk Altmana oraz jego podejścia do sztucznej inteligencji, ma zupełnie inną strategię rynkową. 85 procent klientów korzysta z subskrypcji dla przedsiębiorstw i planów dla deweloperów, programistów, specjalistów IT. Jak wylicza „Forbes", Anthropic ma już 52 procent udziałów w tym rynku.

W dodatku firma skupia na sobie uwagę nie tylko bańki technologicznej, a całego świata. Z powodu ciągu znaczących zdarzeń – lutowej awantury z Pentagonem wokół możliwości inwigilacji obywateli USA z pomocą Claude'a oraz przyznania sterowanym przezeń broniom autonomii w zabijaniu, wpisu Clarka na temat samodoskonalenia się modeli oraz ostatniej wielkiej rozgrywki, czyli wychodzącego z Departamentu Handlu nakazu odcięcia dostępu obcokrajowcom do modelu Fable – wszyscy mówią dzisiaj o tej właśnie spółce.

Anthropic pokonuje OpenAI na wszystkich frontach – technologicznym, finansowym, a przede wszystkim – wizerunkowym i narracyjnym.

●

Te ostatnie są być może najważniejsze, bo w dyskusji o sztucznej inteligencji praktycznie niemożliwe stało się odróżnienie marketingowej opowieści od realnych scenariuszy i społecznych ludowych panik. Nie przypadkiem, wręcz przeciwnie – to świadoma strategia firm technologicznych, które umiejętnie wykorzystują dominujące narracje do własnych celów. A dokładniej – do zebrania jak największych środków finansowych i uzyskania jak największego wpływu politycznego, by za wszelką cenę uniknąć regulacji czy prawnych ograniczeń.

Póki w USA panuje nowa gorączka złota, a pełnię władzy ma administracja Trumpa, dominująca nad całkowicie pasywnym kongresem, laboratoria AI mogą jeszcze robić, co chcą. Lecz ten stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie. Po pierwsze, Demokraci mają coraz większe szanse na przejęcie kontroli nad przynajmniej jedną izbą Kongresu po listopadowych wyborach połówkowych. A po drugie, nawet ważniejsze – ujawnił się olbrzymi i wciąż rosnący społeczny opór wobec dalszego rozwoju AI, zarówno pod względem żarłocznej, pochłaniającej prąd i wodę infrastruktury, jak i możliwości technologicznych.

Więc OpenAI czy Anthropic inwestują miliardy dolarów rocznie w marketing, lobbing i operacje wpływu, żeby uruchomić maszynę, której potem nie będzie dało się zatrzymać.

Na tym polu firma, którą kieruje Dario Amodei, też rozkłada konkurencję na łopatki. Przez lata budowała wizerunek bardziej etycznego młodszego brata spółki Sama Altmana. Ta opowieść była prosta i przekonująca – bo wszyscy lubimy opowieści o tym dobrym wyjątku w zbójeckiej branży, ale też dlatego, że do pewnego stopnia była prawdziwa.

Karen Hao, dziennikarka i badaczka zajmująca się nowymi technologiami, w bestsellerowej książce „Imperium Sztucznej Inteligencji" poświęca sporo miejsca konfliktowi pomiędzy Amodei a Altmanem. Ten pierwszy miał być głęboko zaniepokojony postawą szefa OpenAI, jego skłonnościami do kłamstw i manipulacji oraz nieprzywiązywaniem wagi do kwestii bezpieczeństwa w rozwoju nowych modeli. Między innymi dlatego założył konkurencyjną spółkę, dlatego od lat jeździ po konferencjach i po telewizjach, wygłaszając przestrogi z bardzo zatroskaną miną, dlatego gdzie tylko może, powtarza, że nie śpi po nocach z lęku przed apokalipsą AI. Jednocześnie nigdy nie zrobił nic, by taką apokalipsę powstrzymać.

W podobnym, wywołującym dysonans poznawczy tonie o samodoskonaleniu AI, pisze Jack Clark. Stwierdza na przykład, że „Anthropic uważa, że globalna pauza w rozwoju sztucznej inteligencji byłaby dobrym ruchem". Tyle tylko, że to pustosłowie. Bo albo zgodzą się na to wszyscy wiodący gracze na rynku, w tym spółki chińskie, albo nastąpi odgórna regulacja sektora przez międzynarodowe porozumienie na poziomie rządowym.

Na pierwsze nie ma szans, bo ktoś musiałby zrobić pierwszy krok – a nikt go nie zrobi, bojąc się, że konkurencja go oszuka i popędzi dalej. Drugie rozwiązanie jest jeszcze bardziej abstrakcyjne, biorąc pod uwagę rozkład systemu międzynarodowego, paraliż wewnątrz ONZ, wzajemny sceptycyzm USA i Chin oraz korupcję i klientelizm w administracji Trumpa.

■

Apokalipsa AI, powszechne bezrobocie, zepchnięcie człowieka do roli szympansa – Dolinie Krzemowej bardzo pasuje taka narracja. Sama ją podkręca

Wygląda więc na to, że świat skazany jest na wyścig technologicznych gigantów. Jednocześnie Anthropic może spokojnie i bez żadnych konsekwencji tworzyć narrację o jedynym laboratorium martwiącym się o losy ludzkości. W bieżących warunkach politycznych i ekonomicznych nikt i tak nigdy nie krzyknie „sprawdzam".

●

A trzeba przyznać, że Amodei jest w działaniach wizerunkowych piekielnie skuteczny.

Najpierw w lutym przywdział pelerynę superbohatera, wchodząc w bezpośrednie starcie z sekretarzem wojny Petem Hegsethem. Pentagon domagał się pozwolenia na używanie Claude'a bez ograniczeń, w tym do autonomicznych – czyli bez udziału człowieka – działań wojennych i ewentualnej inwigilacji obywateli USA na terytorium kraju. Amodei zaprotestował i, co ciekawe, administracja natychmiast użyła opcji ostatecznej.

Pentagon zagroził wpisaniem Anthropica na listę podmiotów stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego w łańcuchu dostaw gospodarczych. W praktyce oznaczałoby to, że firma nie tylko nie może realizować żadnych kontraktów z administracją publiczną, ale traci też możliwość zawierania umów z innymi podmiotami, które dostarczają rządowi swoje produkty. Trochę jak z amerykańskimi sankcjami na Iran, gdzie srogie kary obejmują nie tylko amerykańskie firmy robiące interesy z Iranem, ale każdego – czy to europejski bank, czy japońskiego producenta elektroniki – kto próbuje je robić.

Krótko mówiąc, zaledwie po jednym wierzgnięciu Anthropica Hegseth zażądał szkarłatnej litery – całkowitego napiętnowania i wykluczenia tej firmy. Liczył, że Amodei się przestraszy – i się przeliczył. Anthropic nawet nie mrugnął, wzruszył ramionami i kontynuował pracę nad nowymi modelami. Decyzję Pentagonu zaskarżył w sądzie, w pierwszej instancji przegrał, ale proces trwa i firma ma bardzo duże szanse na cofnięcie zakazu współpracy z rządem.

Tamten spór pokazał prawdziwą relację, a raczej asymetrię władzy pomiędzy administracją a sektorem technologicznym w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych. Doskonale opisał to w głośnym eseju na swoim blogu Hyperdimensional Dean Ball.

Były doradca Trumpa do spraw AI, dziś ekspert technologiczny związany z konserwatywnymi think-tankami, w tym z Heritage Foundation, zauważył, że to, co zrobił Hegseth, jest zachowaniem typowym dla instytucji w fazie schyłku, miotającej się z wściekłością jak pies na łańcuchu. Sekretarz wojny chciał zachowania wyłącznej prerogatywy jego urzędu, czyli kontroli nad amerykańską technologią wykorzystywaną na wojnie.

Tak było zawsze, sektor technologiczny w USA prawie wszystko zawdzięczał armii, bo to ona go napędzała i głównie jej miał służyć, upowszechnianie tych rozwiązań w społeczeństwie było mile widzianym skutkiem ubocznym. Teraz jednak te spółki są tak potężne i bogate, że nie muszą słuchać rozkazów z Waszyngtonu, co dla wielu polityków jest nie do zaakceptowania. Ball jednoznacznie stwierdza, że ta tendencja będzie tylko przybierać na sile, a suwerenność państwowa coraz szerszą strugą wycieka do sektora prywatnego.

Wykorzystanie sztucznej inteligencji to świetny przykład – Anthropic bez kontraktów rządowych poradzi sobie doskonale, ale rząd bez Anthropica już nie. Pokazała to wojna w Iranie. W ciągu pierwszych 24 godzin bombardowań Amerykanie unieszkodliwili ponad 1000 celów na terenie Republiki Islamskiej właśnie dzięki wykorzystaniu Claude'a, który przyspieszał proces ich namierzania i identyfikacji. Bez sztucznej inteligencji takie tempo byłoby niemożliwe, a najlepszą sztuczną inteligencję ma właśnie Anthropic, więc Hegseth jest skazany na porozumienie z Amodeim.

●

A to był dopiero początek wizerunkowej ofensywy firmy. W jej pułapkę wpadł nawet wielki krytyk AI, domagający się moratorium na budowę nowych centrów danych Bernie Sanders.

Słynny lewicowy senator wypuścił do sieci film, w którym siedzi przy biurku, sam w ciasnym pokoju, rozmawiając na głos z Claude'm. Rozmowa dotyczy zdolności sztucznej inteligencji i jej wpływu na rynek pracy. Sanders chciał pokazać, że sektor technologiczny musi zostać uregulowany, a prawa pracownicze wzmocnione, bo w przeciwnym razie Amerykę czeka załamanie rynku pracy, jakiego nie widziała nawet w Wielkim Kryzysie. Niechcący jednak podbił narrację o wszechpotężnych zdolnościach wielkich modeli językowych, zapisał się do kościoła apokaliptycznych wizji i przede wszystkim antropomorfizował sztuczną inteligencję. A tego nie należy robić pod żadnym pozorem, bo antropomorfizacja jest tym, o czym marzą producenci AI – należy raczej przypominać, że nawet najbardziej rozwinięty model to nie człowiek, nie odczuwa świata sensorycznie i nie akumuluje wiedzy przez empiryczne doświadczenia.

Nie ma też świadomości, chociaż w tym zakresie Anthropic też odniósł wielkie zwycięstwo marketingowe. Jako byt całkowicie świadomy Claude'a określił Richard Dawkins, sławny biolog ewolucyjny, filozof, etyk i krytyk religii. Po spędzeniu trzech dni na intensywnej interakcji z modelem stwierdził, że „nawet jeśli Claude nie wie, że jest świadomy, to na pewno taki jest".

Cały eksperyment wyglądał z naukowego punktu widzenia dość zabawnie, bo Dawkins nie przedstawił żadnych dowodów na świadomość czatbota. Po prostu stwierdził, że ona istnieje, bo Claude dawał mu bardzo elokwentne odpowiedzi. „Guru ateistów" niespecjalnie przejął się faktem, że całą karierę zbudował na wymaganiu rygorystycznych dowodów naukowych na potwierdzenie tez innych i na krytyce nieempirycznych systemów religijnych – a sam jedną z bardziej kontrowersyjnych opinii wygłosił na podstawie własnych impresji. No i nie wziął pod uwagę faktu, że model AI nie ma pa-

eprasa.pl 9e613fd31b

mięci ani tożsamości, jest tylko odbiciem swojego interlokutora. Im mądrzejsza osoba zadaje pytania i im bardziej są skomplikowane, tym mądrzejsze są odpowiedzi czatbota.

Jedni naukowcy Dawkinsa krytykowali, inni zauważali, że to ciekawe, że nawet ktoś tak przenikliwy jak Dawkins dał się złapać w kognitywną pułapkę – ale to były już tylko sprostowania, na które nikt nie zwraca uwagi. W świat poszło i zapadło w pamięć hasło, że sztuczna inteligencja ma świadomość.

Jakby tego było mało, Anthropic zaistniał nawet w Watykanie. Jego przedstawiciel stał obok Leona XIV, gdy papież ogłaszał „Magnifica Humanitas" – swoją pierwszą encyklikę poświęconą właśnie człowieczeństwu w erze sztucznej inteligencji. Firma współpracuje zresztą ze Stolicą Apostolską przy tworzeniu dokumentów i rekomendacji na temat bezpiecznego użycia tej technologii.

To ruch ciekawy, ale znowu, bez konsekwencji. Leon XIV nie ma żadnej mocy sprawczej, by nakazać uregulowanie AI, więc Anthropic może grzać się w jego blasku, nic nie ryzykując.

Perłą w koronie zabiegów marketingowych jest jednak awantura wokół modelu Mythos – oprogramowania podobno tak silnego, że Dario Amodei nie zdecydował się na powszechne, komercyjne udostępnienie go użytkownikom. Mythos bowiem w testach znalazł ponoć dziesiątki uchybień i dziur w najważniejszych systemach bezpieczeństwa i programach informatycznych, potencjalnie rozwalając całą globalną architekturę cyberbezpieczeństwa. Anthropic zamknął go więc w klatce dla dobra świata. Ale dokładnie to samo – że jest zbyt niebezpieczny, by ludzie go używali – o pierwszym modelu GPT mówili szefowie OpenAI w 2019 roku.

Dolina Krzemowa stała się po prostu fabryką narracji apokaliptycznych. Firmy technologiczne nie tylko nie próbują przeciwdziałać alarmistycznym opowieściom o końcu świata, one same przywołują takie wizje.

Ten paradoks objaśnia Samantha Oltman w przenikliwym eseju o tak zwanym „absolutyzmie AI". Mieszkająca w San Francisco szefowa działu technologii „The Guardian" wskazuje na kluczowe słowo we wszelkich narracjach o AI: nieuchronność.

Sektor technologiczny na każdym kroku podkreśla, że wszystko na temat sztucznej inteligencji jest zawsze nieuchronne. Mniejsza, czy to będzie koniec świata, zniknięcie klasy średniej, zapaść społeczna i automatyzacja ekonomii wiedzy, czy eksplozja powszechnej kreatywności, eliminacja biedy i przełom większy niż okiełznanie ognia – ważne, że to nieuniknione. Każda z tych rzeczy na pewno się wydarzy, w większości przypadków już za chwilę, za rok albo dwa.

A więc, jak usiłują nas przekonać technologiczni ewangeliści, w zasadzie nic nie da się zrobić. A skoro uwolnienie AI jest, niezależnie od konsekwencji, nieuniknione jak ewolucja, to nie ma co dyskutować o regulacjach, nacjonalizacjach, rozwiązaniach, bo sprawy zaszły za daleko, mleko się rozlało.

Tymczasem, zauważa Oltman, nic z tego nie jest przesądzone, bo to, jak sztuczna inteligencja wpłynie na funkcjonowanie społeczeństw i państw, jest jedynie wypadkową konkretnych decyzji konkretnych ludzi. Tych z bardzo starego, analogowego świata: biznesmenów, deputowanych, ministrów, sekretarzy, premierów, prezydentów i sędziów.

●

Póki co Dolina Krzemowa sprzedaje marzenia, na czele z opowieścią o AGI – Artificial General Intelligence, ogólnej sztucznej inteligencji, która przekroczy zdolności człowieka we wszystkich możliwych zadaniach i z czasem stanie się odrębnym gatunkiem.

Z tym pojęciem też jest jednak problem, bo nie ma definicji AGI, nie ma precyzyjnych kryteriów i wyznaczników naukowych. Jest tak jak z Dawkinsem i świadomością czatbota: jeśli ktoś o wystarczająco dużej sile autorytetu coś powie, pół świata przyjmie to za prawdę, fakt obiektywny. I spirala narracyjno-marketingowa się nakręci. Co bardzo pomaga zwłaszcza w zbieraniu pieniędzy od inwestorów. Jeśli przekona się świat, że ma się w ręku model najsilniejszy, wręcz ostateczny, jak Mythos, ma się większe szanse na udany debiut na giełdzie i jeszcze więcej pieniędzy do przepalania.

Tak samo pomaga opowieść o samodoskonaleniu. Jeśli kod pisze się sam, Anthropic zaraz nie będzie potrzebować programistów, produktywność eksploduje, a firma będzie po wsze czasu kurą znoszącą złote jaja.

Jeśli rzeczywiście zniknie praca najemna, a z czegoś przecież trzeba żyć, należy zainwestować w Anthropic jeszcze dziś, zanim apokalipsa się zmaterializuje.

Natomiast jeżeli dla kogoś kluczowe są aspekty etyczne – tu też firma ma ofertę podpartą autorytetami papieża i Sandersa.

Listę można ciągnąć w nieskończoność, wszystko, co robią firmy technologiczne, ma na celu zebranie większych kwot na rynku. Co potem z tymi pieniędzmi zrobią – nie wiadomo. Pewne jest jednak, że bez pieniędzy nie zrobią nic.

Tymczasem rzeczywistość rzekomej rewolucji AI jest znacznie bardziej banalna.

Firmy konsumują zasoby naturalne i przepalają miliardy, ale technologia sprawdza się tylko w niektórych obszarach. Jest świetna w pisaniu kodu, namierzaniu celów dla rakiet, diagnozowaniu raka czy w badaniach archeologicznych. Ale już na poziomie darmowego użytkownika czy podstawowego abonamentu ogólnego zastosowania jest słaba, miejscami bezużyteczna. Na przykład dziennikarzowi przydaje się właściwie w takim samym zakresie jak wyszukiwarka Google'a – a nawet mniej, bo w czatbotach trzeba weryfikować wielokrotnie wszystkie informacje.

Jak na niedawnej globalnej konferencji ludzi mediów WAN-IFRA mówił wydawca „The New York Timesa" A.G. Sulzberger, wielkie modele językowe poprawnie identyfikują źródła i wyświetlają do nich linki tylko w 4 procentach przypadków, a sugerują pogłębienie informacji tylko w 1 procencie. W praktyce zwielokrotnia to czas potrzebny na pisanie i pracę dziennikarza. Wydajność spada, a nie wzrasta.

Dlatego pora skończyć z mówieniem o jednej sztucznej inteligencji czy o masowej apokalipsie rynku pracy. Co nie znaczy, że przyszłość jest optymistyczna i ofiar nie będzie – po prostu gigantyczne rozwarstwienie technologiczne obserwujemy już teraz.

Karen Hao zauważa, że 75 procent badaczy zajmujących się AI w Dolinie Krzemowej uważa AGI za niemożliwą. Za „matematycznie nieosiągalną przy bieżącej technologii" uznaje ją Ilya Sutskever, genialny informatyk, który odszedł z OpenAI, żeby założyć własną firmę, Safe Superintelligence, a noblista z ekonomii Daron Acemoglu kwituje, że AGI „to po prostu marzenie". Zamiast więc zajmować się marzeniami lub groźbami, które mogą, ale wcale nie muszą się spełnić, warto przyjrzeć się, co już dzieje się z powodu sztucznej inteligencji – choć niekoniecznie przebija się do medialnych nagłówków tak, jak polityczne reklamy Sandersa czy chwytliwe deklaracje Dawkinsa.

Otóż już teraz zarówno firmy, jak i jednostki zaczynają żyć w różnych rzeczywistościach technologicznych, w zależności od tego, do jakich modeli AI mają dostęp. Niedługo to rozwarstwienie może okazać się tak duże, że ludzie z tego samego kraju czy nawet miasta w praktyce będą żyli w różnych stuleciach.

Mniej więcej to – tylko na razie na poziomie państw – oznacza choćby ubiegłotygodniowa decyzja Departamentu Handlu o zablokowaniu obcokrajowcom dostępu do najnowszego modelu Anthropica – Fable'a powstałego na podstawie Mythosa. Technologia będzie coraz częściej elementem nacisku w relacjach międzypaństwowych, materiałem do szantażu i wymuszeń takim samym, jak dostawy ropy i gazu czy kluczowego sprzętu wojskowego. Były premier Francji Gabriel Attal stwierdza obrazowo, że modele sztucznej inteligencji nie różnią się niczym od cieśniny Ormuz – kto kontroluje wrażliwy element globalnych współzależności, ten urasta do rangi mocarstwa.

Zakładając więc scenariusz optymistyczny, w którym AI rzeczywiście doprowadza do ogromnego wzrostu produktywności i do gwałtownego postępu naukowego, w tym związanego z medycyną i długowiecznością, dostęp do kluczowych modeli może decydować o przetrwaniu konkretnych gospodarek, konkretnych społeczeństw, a niżej – życiu i śmierci, zdrowiu lub chorobie konkretnych ludzi.

Obserwatorzy sceptycznie podchodzący do europejskiej suwerenności technologicznej rozumianej jako odejście od amerykańskich platform wieszczą Staremu Kontynentowi taką właśnie przyszłość. Ich narracja jest prosta: zgoda, że powinniśmy być niezależni, ale mamy za duże zaległości, do wyboru została nam jedynie kolonizacja ze strony USA lub to samo, ale w wersji chińskiej.

Ze wszystkich apokalips, które może na nas sprowadzić sztuczna inteligencja, najbardziej realna jest śmierć z przepracowania. Oraz koniec konsumpcji

Argumentują tak: Amerykanie są hegemonem i nie mają czystych intencji, ale jeśli nie skorzystamy z ich produktów, nasze gospodarki staną się całkowicie niewydolne, wskutek czego zawali się europejskie państwo dobrobytu. I sami zmienimy się w Amerykę: spółki z dostępem do najlepszych modeli będą rosnąć i zarabiać, pozostałe czeka stagnacja. Jeśli z powodów politycznych albo finansowych kogoś nie będzie stać na porządną AI, będzie musiał wytwarzać swoje produkty czy usługi rękami ludźmi. A ci będą tylko coraz mniej wydajni względem coraz doskonalszych maszyn.

A na poziomie indywidualnym konsekwencje mogą być jeszcze bardziej drastyczne. Dobrze zilustrował to niedawno w „The New York Times" Ian Bremmer, prezes firmy doradczej Eurasia Group. Ci, którzy opłacą dostęp do coraz doskonalszych modeli, będą korzystać z mądrego, etycznie poprawnego, zaawansowanego modelu, który wesprze ich w pracy intelektualnej. Biednych czeka technologiczna tandeta i chłam: fake news, dezinformacja, syntetyczna erotyka oraz iluzja bliskości czy intymności, u wielu prowadząca do psychozy i poważnych zaburzeń zdrowia psychicznego.

●

Póki co jednak nie ma żadnych przesłanek, by sądzić, że sztuczna inteligencja naprawdę przyniesie eksplozję produktywności – przynajmniej nie w najbliższych latach, a prognozowanie poza horyzont jest bez sensu.

Świeżą – co nie znaczy, że optymistyczną – perspektywę w dyskusji o gospodarczych skutkach AI proponuje Carl Benedikt Frey, szwedzko-niemiecki ekonomista z Oksfordu. Jego zdaniem wzrost produktywności z powodu zmian technologicznych będzie ograniczony. Owszem, przyniesie ogromne zmiany na rynku pracy – lecz z powodów całkowicie innych, niż te prognozowane przez Sama Altmana i jego akolitów.

Otóż AI może doprowadzić do wzrostu bezrobocia od strony konsumenckiej. Świat patrzy na masowe zwolnienia w firmach technologicznych, na rzeź księgowych czy doradców klienta – ale to tylko jedne z wielu sektorów gospodarki i wcale nie najważniejsze ani najliczniejsze.

Jak by to bezdusznie nie brzmiało, mało znaczące w skali całej gospodarki i ładu społecznego jest też tak naprawdę zniknięcie najniższych szczebli drabiny korporacyjnej, przeznaczonych dla ludzi zaraz po studiach, bez doświadczenia. Zresztą tu nie ma nawet pewności, czy winna jest sztuczna inteligencja. Niedawno opublikowane badania zespołu ekonomistów z The London School of Economics wskazują, że na wycinanie biurowych prac entry level dużo większy wpływ mogło pandemiczne masowe przejście na pracę zdalną.

Rzecz w tym, że sztuczna inteligencja robi coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się dobre, egalitarne, dające szanse: radykalnie obniża bariery wejścia. Do praktycznie wszystkich obszarów aktywności ekonomicznej.

Dobrze ilustruje to przykład kancelarii prawniczej. Łatwo wyobrazić sobie zwolnienia wielu prawników i automatyzację pracy w wielkich firmach prawnych – ale to proces stopniowy, mimo redukcji etatów kosztowny, a przede wszystkim trudny, bo, wbrew pozorom, zwalnianie ludzi jest skomplikowane nie tylko w obwarowanej socjalnie Europie.

Za to kancelaria może łatwo upaść – z braku klientów. Po pierwsze – bo ludzie sami piszą sobie pisma, konsultują się z asystentem AI i sami reprezentują się w sądzie. Po drugie – jeśli ktoś jednak chce lub potrzebuje żywego profesjonalisty, pójdzie do tańszego. Czyli na przykład do jednego obrotnego prawnika, który z pomocą programisty zbuduje od zera niemal całkowicie automatyczną kancelarię. Taką, w której większość spraw załatwi model językowy, a te nieliczne wymagające intuicji, wyczucia, subtelności psychologicznej czy fortelu ogarnie człowiek.

Przekładając to na codzienne doświadczenie: z rynku najszybciej wypadną małe lokalne kancelarie prawne. Znikną szyldy „usługi prawne", tak jak znikły „Usługi fotograficzne, zdjęcia, portrety".

Zawody manualne, które miały przetrwać automatyzację i cyfryzację, też nie są wolne od tej prawidłowości, pisze Frey. Jeśli mogę zrobić zdjęcie wnętrza pralki i poprosić AI o diagnozę i instrukcję naprawy, po co mi serwisant? Oczywiście najbardziej ryzykowne czy skomplikowane czynności nadal będą wykonywane przez zewnętrznych specjalistów, ale zapotrzebowanie na nich spadnie drastycznie.

W ten sposób zbliżymy się gospodarki, w której będziemy wszyscy pracować więcej i bardziej dla siebie samych. Oznacza to jednak koniec kapitalizmu, w której pracę wykonuje się dla zarobku, a nie dla przetrwania. Od tej reguły będą rzecz jasna wyjątki, tak jak były w feudalnej gospodarce średniowiecznej Europy. Ale dla zdecydowanej większości ludzi nadejście ery sztucznej inteligencji nie będzie oznaczać mniej pracy. Wręcz przeciwnie, będziemy pracować więcej, w zasadzie cały czas – ale nie po to, żeby kiedyś konsumować jej owoce i cieszyć się życiem. To będzie praca taka, jaką przez dekady i stulecia była praca domowa kobiet – ciężka, niekończąca się, angażująca, ale nigdzie nieodnotowana. Na papierze wzrośnie produktywność, spadną koszty firm. W praktyce zwiększy się liczba obowiązków, które sami będziemy realizować – bo na zewnętrznych wykonawców nie będzie nas stać.

Dlatego ze wszystkich apokalips, które może na nas sprowadzić sztuczna inteligencja, najbardziej realna jest śmierć z przepracowania. Oraz koniec konsumpcji w jej niewypaczonym, emancypacyjnym sensie związanym z relaksem czy podróżowaniem. Zniknie w ogóle pojęcie stylu życia, bo nie będziemy mogli go wybrać.

Będziemy robić więcej wszystkiego, omamieni iluzją, że to nas wyzwala. Ale więcej zostanie nam odebrane niż dane. I w codziennym komforcie, i w polityce, we wpływie na rzeczywistość – bo staniemy się niewidzialnymi przedmiotami w rozgrywce kilku podmiotów czy ludzi o ogromnej koncentracji kapitału.

Jeśli coś zabije ludzkość, to jej własna chciwość. Innego końca świata naprawdę nie będzie. ●

eprasa.pl 9e613fd31b

LEPIEJ SIĘ ROZMAWIA BEZ POLAKÓW

Gdyby Zełenski chciał obecności Tuska przy stole negocjacyjnym, Brytyjczycy i Francuzi musieliby to przełknąć

Bartosz T. Wieliński

Na razie między Kijowem a Warszawą panuje cisza. Pytanie, czy to cisza po burzy, czy dopiero przed.

Spór pozostaje bowiem nierozwiązany. Batalion ukraińskich sił specjalnych dalej nosi nadaną mu przez Wołodymyra Zełenskiego nazwę „bohaterów UPA". Nic nie zapowiada, by prezydent Ukrainy miał, a w zasadzie – by mógł tę decyzję zmienić, mimo że dla Polski to policzek. Członkowie UPA podczas wojny prowadzili czystki etniczne na Wołyniu, mordując tysiące Polaków.

Zapowiedź prezydenta Karola Nawrockiego o odebraniu Zełenskiemu Orderu Orła Białego – ogłoszona pochopnie, bez przemyślenia konsekwencji, na złość rządowi Tuska – też jeszcze wisi w powietrzu. Pytanie, czy dlatego, że Nawrocki dostrzegł konsekwencje tego kroku, czy po prostu nie znalazł sojuszników we własnym obozie.

Nad odebraniem ukraińskiemu przywódcy najwyższego polskiego odznaczenia w zeszłym tygodniu w prezydenckim ośrodku w Juracie debatowali członkowie Kapituły Orderu Orła Białego. Z nieoficjalnych doniesień wynika, że przeciwko była Zofia Romaszewska, zasłużona opozycjonistka z czasów PRL, i znany prawicowy publicysta Bronisław Wildstein, który zresztą ostatnio ostro potępił prawicę za flirt z eks-premierem Leszkiem Millerem głoszącym skrajnie antyukraińskie poglądy, będące wręcz kopią rosyjskich przekazów propagandowych.

Romaszewska i Wildstein to postacie cieszące się po prawej stronie sporym autorytetem, Nawrocki ich sprzeciwu nie mógł zignorować. Nawet jeśli w Polsce nastroje społeczne były bliskie wrzenia – widzieliśmy przemarsz skrajnej prawicy przez Toruń z wulgarnymi przyśpiewkami o Stefanie Banderze i obrady rady miasta w Kielcach, na której radni z PiS sprzeciwiali się przekazania Winnicy starych autobusów, bo jeździłby po ulicy Bandery. Tak więc czekamy.

25 czerwca w Gdańsku rozpocznie się Ukraine Recovery Conference, kolejna konferencja poświęcona powojennej przyszłości Ukrainy. Przed wybuchem awantury o UPA liczono, że organizowana przez obydwa rządy impreza przypieczętuje znaczący udział Polski w powojennej odbudowie Ukrainy. Jeśli prezydent Ukrainy faktycznie przyjedzie do Gdańska, będzie to sygnał, że chce zakończyć spór, a dawne ustalenia pozostają w mocy. A jeśli nie przyjedzie?

Mamy kolejny już przedsmak odcinania Polski od współdecydowania o kształcie ewentualnych porozumień, jakie zakończą wojnę z Rosją i zapewnią Ukrainie skuteczne gwarancje bezpieczeństwa. 7 czerwca w Londynie z Zełenskim spotkali się przywódcy Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec, by rozmawiać o wojskowym i finansowym wsparciu dla Ukrainy oraz o pomysłach na zakończenie wojny. Kolejny raz padło pytanie: gdzie jest Polska.

Pierwszy szczyt tak zwanej grupy E3 odbył się w październiku zeszłego roku. Wówczas również na spotkaniu zabrakło premiera Polski Donalda Tuska.

Grupa E3 to jedno z wielu forum, na których omawia się przyszłość Ukrainy. Wyrasta jednak na najważniejsze grono. Amerykanie, po sporych, acz bezowocnych wysiłkach Trumpa, by siłą zmusić Zełenskiego – poprzez dyplomatyczną presję i odcięcie od danych wywiadowczych oraz dostaw sprzętu – do pokoju z Rosją, ostatnio stracili do sprawy Ukrainy zapał. Pochłonęła ich wojna z Iranem, nadchodzące połówkowe wybory do Kongresu i przygotowywanie planów wycofania znacznej części sił wojskowych z Europy.

Zresztą jeszcze przed inauguracją Trumpa stało się jasne, że ciężar zapewnienia pokoju w Ukrainie spadnie na Europejczyków i to oni będą musieli wystawić siły pilnujące zawieszenia ognia na linii demarkacyjnej. Wobec coraz większej amerykańskiej pasywności nie ma się co dziwić, ze Europejczycy biorą sprawę w swoje ręce. Wątpliwości budzi skład, w jakim to się odbywa.

Powodów nieobecności Polski wymienia się wiele. Jesienią zeszłego roku słyszałem, że pretekstem miała być niejasność, kto w Polsce odpowiada za politykę zagraniczną.

W tej dziedzinie próbował rozpychać się prezydent Nawrocki, który jednocześnie – inaczej niż Tusk – prezentował twardą i nieprzejednaną linię wobec Ukrainy, wykluczając członkostwo Kijowa w Unii i NATO. Partnerzy w Londynie czy Paryżu mogli czuć się zagubieni w meandrach polskiego systemu konstytucyjnego i nie chcieli wchodzić między Tuska i Nawrockiego. Ale po ośmiu miesiącach widać jednoznacznie, że Nawrocki w polityce zagranicznej nie odgrywa większej roli, nie licząc blokowania nominacji dla ambasadorów. Tłumaczenie skreśleniem Polski z listy uczestników trudną polską kohabitacją nie brzmi wiarygodnie.

Tym bardziej że Polska ma stabilniejszą sytuacją polityczną niż inne kraje E3. W sondażach niepopularność kanclerza Friedricha Merza osiąga rekordowe poziomy, notowania jego partii są też rekordowo niskie, a skrajnie prawicowa AfD stałą się największą siłą polityczną w Niemczech. Premier Keir Starmer jest w jeszcze gorszej sytuacji, Emmanuel Macron kończy prezydencką misję i całkiem prawdopodobne, że w Pałacu Elizejskim zastąpi go Jordan Bardella, młody lider skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego. I Zjednoczenie – dawny Front Narodowy Marine Le Pen – i Alternatywa Dla Niemiec to partie wspierane przez Rosję. Więc dlaczego przy niemiecko-brytyjsko-francuskim stole nie ma więc Polski?

Dyplomaci, z którymi rozmawiała „Wyborcza", wskazują na postawę pokutujące w zachodnich stolicach poczucie wyższości wobec Polski i przekonanie, że palące dla całej Europy kwestie trzeba załatwić bez babrania się w wschodnioeuropejskim bagnie.

Mimo że wojna w Ukrainie trwa piąty rok, pełnego zrozumienia i wiedzy o naszym regionie ciągle na Zachodzie nie ma. Nienajlepsze są za to bezpośrednie relacje między Tuskiem a Starmerem. Pogorszyły się jego relacje z Macronem. Francuski prezydent miał dosłownie obrazić się, gdy w zeszłym roku Polska wybrała Szwecję, a nie Francję jako producenta okrętów podwodnych dla Marynarki Wojennej.

A nie jest to pierwszy zgrzyt w relacjach polsko-francuskich wokół kwestii wyborów uzbrojenia. Po anulowaniu przez rząd PiS kontraktu na dostawę helikopterów Caracal ówczesny prezydent Francji François Hollande odwołał wizytę w Warszawie. Lecz tym razem decyzja nie była polityczna. Polska wybrała szwedzkie okręty, bo w odróżnieniu od francuskich sprawdziły się w służbie w specyficznym akwenie, jakim jest Bałtyk.

Ale pytanie o brak Polski przy stole rozmów trzeba zadać również Ukraińcom. Gdyby Zełenski chciał obecności Tuska, Starmer z Macronem musieliby to przełknąć. Ale Zełenskiemu bez Polski też się lepiej rozmawia.

W sumie sami daliśmy mu powody. Od 2025 roku obecny rząd dystansuje się od Ukraińców. Obcina pomoc, zapowiada walkę z „nadużyciami", każdą drobną sprawę stawia ostro. Ukraińcy w Polsce ciężko pracują, bez nich nasza gospodarka dawno by się zatarła. Podatków płacą tyle, że wychodzi 4 procent polskiego PKB. Liczba nadużyć i wyłudzeń pieniędzy „na socjal" jest znikoma. A mimo to niemal od początku wojny w Polsce trwa na nich nagonka, podsycana przez Rosję i pracujących na nią pożytecznych idiotów. Przed wyborami parlamentarnymi 2023 roku, by ratować skórę, jadąc na wyczuwalnych nastrojach w społeczeństwie, przyłączył się do niej PiS i ówczesny prezydent Andrzej Duda, wcześniej największy przyjaciel Zełenskiego. A przed wyborami w 2025 roku, by przejąć część głosów skrajnej prawicy, przyłączył się do nich Rafał Trzaskowski. Niczego nie zwojował, antyukraiński program Nawrockiego był dla sympatyków Konfederacji bardziej przekonywujący – a antyukraińskie odium pozostało.

Nie można wykluczyć, że na końcu to nie Trump będzie wykręcać Zełenskiemu ręce, tylko zrobi to ktoś z trio Starmer, Macron, Merz. Dlatego dobrze, by podczas rozmów był ktoś, kto lepiej rozumie sytuację i będzie w stanie Ukrainę przed szantażem obronić. Taką rolę powinna odegrać Polska. Ale w dobie nagonki, wzajemnych żali i oskarżeń nic z tego nie wyjdzie

Zełenski ma pełne prawo zżymać się, że jego rodaków, którzy przelewają krew, powstrzymując Rosjan i broniąc w ten sposób także i Polski, w naszym kraju uważa się za ludzi gorszej kategorii.

Jest też inna kalkulacja. Nasze obciążone historią i uprzedzeniami sąsiedztwo jeszcze bardziej się skomplikuje, gdy skończy się wojna i zacznie gospodarcza rywalizacja.

Jeśli chodzi o rolnictwo i transport samochodowy, Polska i Ukraina będą zażarcie ze sobą konkurować. Gdy negocjacje akcesyjne z Kijowem wejdą na poziom rozmów o konkretnych sektorach gospodarki, Warszawa będzie robić, co tylko jest w stanie, by opóźnić i utrudnić otwarcie europejskiego rynku dla taniego zboża z Ukrainy.

Każdy walczy o swoje interesy. Wejście Ukrainy do Unii nie może odbywać się naszym kosztem, choć pewnie z czasem okaże się, że nasze obawy były przesadzone, tak jak przesadzone były francuskie strachy przed polskimi hydraulikami. Niemniej w połowie 2026 roku Zełenski zaczął odczuwać, że z Polską mu nie po drodze i lepiej dogadywać się z krajami zachodniej Europy. Mam déjà vu.

W 2014 roku, gdy ze stanowiska prezydenta ustąpił Wiktor Janukowycz przegrywając – okupioną dziesiątkami zabitych – próbę sił z proeuropejskim Majdanem, a Rosja w odwecie anektowała Krym i wydarła Ukrainie część Donbasu, politycy z Kijowa także uznali, że ich sprawa zasługuje na lepszych adwokatów niż Polacy. No i wpakowali się w „format normandzki", grono, w którym Niemcy i Francja usiłowały wynegocjować kompromis między Ukrainą a Rosją.

Latem 2014 roku sytuacja była jasna. Rosja pogwałciła prawo międzynarodowe, zaatakowała sąsiedni kraj i nie zamierzała poprzestać na Krymie, Doniecku czy Ługańsku. Tylko stanowczy opór mieszkańców Charkowa i Odessy uniemożliwił powstanie w tych miastach kolejnych „ludowych republik". W lipcu obsługa rosyjskiej wyrzutni pocisków ziemia-powietrze strąciła nad Donbasem malezyjski samolot pasażerski, zabijając 298 pasażerów i członków załogi. Mimo to Niemcy i Francuzi dalej mówili o „separatystach" i naciskali na Kijów, by zaczął się układać z rosyjskimi najemnikami udającymi sfrustrowanych obywateli Ukrainy, którzy zatęsknili za Rosją.

To wtedy w ustach zachodnich dyplomatów pojawiła się narracja, że Ukraina to kraj wewnętrznie podzielony i że wschodnia część nie chce do Europy. Niewiele się to różniło od tyrady Putina na szczycie NATO w Bukareszcie w 2009 roku, gdzie przekonywał, że Ukraina to sztuczne państwo. Sankcje, jakie nałożono na Rosję, były symboliczne, Niemcy dalej rozbudowywali ułożone na dnie Bałtyku rurociągi do importu taniego rosyjskiego gazu. A gdy w 2015 roku po wielogodzinnych negocjacjach w Mińsku udało się uzgodnić zawieszenie broni, ani Paryż, ani Berlin nie kiwnęły palcem, gdy Rosja od początku je łamała.

I tak to się ciągnęło i gniło, aż nadszedł 24 lutego 2022 roku i rosyjskie czołgi zaczęły wlewać się do Ukrainy.

Putin nie próżnuje, kusi Berlin, Paryż, Londyn. Obiecuje między innymi, że w zamian za wywarcie „mądrego" wpływu na Ukraińców przestanie wspierać zachodnioeuropejskich populistów i może uda się ich powstrzymać od przejęcia władzy.

Swoje robi zmęczenie wojną i obawa, że Rosja przyparta do muru, może rozpocząć trzecią wojnę światową. Nie można wykluczyć, że na końcu to nie Trump będzie wykręcać Zełenskiemu ręce, tylko zrobi to ktoś z trio Starmer, Macron, Merz. Dlatego dobrze, by podczas rozmów był ktoś, kto lepiej rozumie sytuację i będzie w stanie Ukrainę przed szantażem obronić.

Taką rolę powinna odegrać Polska. Ale w dobie nagonki, wzajemnych żali i oskarżeń nic z tego nie wyjdzie. Pogłębiający się konflikt z Ukrainą grozi doprowadzeniem do sytuacji, że o warunkach zawieszenia broni z Rosją mocarstwa zadecydują ponad naszymi głowami.

Do tego nie można dopuścić. ●

eprasa.pl 9e613fd31b

NAUKA KULTURA OBYCZAJE

Po co Polak



Czy nie lepiej wydać te pieniądze na coś innego?

Z **SŁAWOSZEM UZNAŃSKIM-WIŚNIEWSKIM** POLSKIM ASTRONAUTĄ I INŻYNIEREM ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Największe osiągnięcie życia – lot w kosmos – już za tobą. Co teraz?

– Nie patrzę na to w ten sposób. Przemysł kosmiczny rozwija się niesłychanie szybko. Będzie coraz więcej możliwości oraz w przyszłości być może lotów: i komercyjnych, i realizowanych z dużymi agencjami kosmicznymi. Powstaną nowe komercyjne stacje orbitalne. Wracamy też na Księżyc. NASA razem z partnerami, w tym z Europejską Agencją Kosmiczną, chce budować tam stałą infrastrukturę.

To nie jest koniec. Raczej początek kolejnego etapu.

Czyli myślisz o powrocie w kosmos?

– Jeżeli Polska wybrałaby taki kierunek, żeby uczestniczyć w najbardziej ambitnych projektach, to oczywiście z radością i dumą chciałbym współtworzyć polski udział w eksploracji kosmosu. Mam nadzieję, że wiedza i doświadczenie przydadzą się w kolejnych misjach kosmicznych, również załogowych. I że przyjdzie taki moment, w którym Polska zabezpieczy sobie stałe miejsce w europejskim korpusie astronautów.

Ciebie już tam nie ma?

– Gdy zostałem wybrany do rezerwowego korpusu astronautów ESA, nie do końca było wiadomo, co to oznacza. Czy ktokolwiek z tej rezerwy kiedykolwiek poleci. Historia pokazała, że było to możliwe. Pierwszym astronautą projektowym z naszej selekcji był Marcus Wandt ze Szwecji. Ja byłem drugim. Oboje polecieliśmy na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Ale mimo potencjalnych możliwości miejsca dla Polaka w podstawowym korpusie astronautów po wykonanej misji, podczas ostatniej rady ministerialnej Polska nie podjęła takich kroków, więc w tym momencie nie mamy Polaka w gronie europejskich astronautów.

Uważasz, że to błąd? Że Polska powinna zainwestować w programy eksploracyjne, związane z lotami załogowymi?

– To pytanie raczej do Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Ja mogę powiedzieć tyle: obecność w korpusie astronautów jest bardzo ważnym sygnałem. I przede wszystkim narzędziem.

Myślę, że jako dwudziesta gospodarka świata, kraj z dużym potencjałem gospodarczym w Europie, dostrzeganym też w wielu dziedzinach na świecie, powinniśmy mieć silną reprezentację, włączając w to również reprezentację w europejskim korpusie astronautów. To pokazuje zarówno ambicje państwa, jak i poziom rozwoju technologicznego, a także potwierdza przynależność do klubu elitarnych krajów, które uczestniczą w najbardziej zaawansowanych projektach.

Tu się różnimy. Moim zdaniem loty załogowe są w pewnym sensie pawim ogonem. Pokazują ambicje, prestiż, technologiczny splendor. Ale kiedy mówimy o realnej użyteczności technologii kosmicznych, to korzystamy przede wszystkim z systemów bezzałogowych: satelitów obserwacyjnych, telekomunikacyjnych, nawigacyjnych, sond. Do większości tych rzeczy człowiek w kosmosie nie jest potrzebny.

– Loty załogowe są najtrudniejszymi programami technologicznymi w całym sektorze kosmicznym. Właśnie dlatego, że w grę wchodzi życie człowieka. A to oznacza najwyższe wymagania, najtrudniejsze kwalifikacje sprzętu, najbardziej złożone systemy bezpieczeństwa, niezawodności i kontroli. Tak było dekady temu przy pierwszym wyścigu kosmicznym – „efekt Apollo" to gigantyczny rozwój amerykańskiej gospodarki, w wielu sektorach. Ten efekt obserwujemy też obecnie, przy programie Artemis, ale i przy konkurencji w innych obszarach eksploracji kosmosu, także z udziałem innych światowych potęg oraz przy znacznym wzroście znaczenia sektora prywatnego.

Loty załogowe są ogromnym kołem zamachowym budowania innowacji. Pokazują, co jest możliwe, ale przede wszystkim budują kompetencje w najtrudniejszych systemach, jakie potrafimy tworzyć w przestrzeni kosmicznej.

Oczywiście dzisiaj ogromny rynek kosmiczny to szerokie zastosowania w obserwacji Ziemi, w bezpiecznej telekomunikacji, szerokopasmowym dostępie do internetu, rozwiązaniach telekomunikacyjnych radiowych i telewizyjnych na orbicie geostacjonarnej, nawigacji satelitarnej czy precyzyjnej synchronizacji oraz referencji czasu. To wszystko są systemy bezzałogowe. Ale loty załogowe były jednym z głównych motorów napędowych tych technologii do przodu. I wciąż tak jest.

Można oczywiście wchodzić na rynek kosmiczny od tyłu. Budować kompetencje w rozwiniętych gałęziach rynku, realizować najpierw niewielkie projekty, stopniowo przenosić wiedzę do kraju, a potem próbować konkurować z dużymi przedsiębiorstwami na rynku. Tylko że to jest droga bardzo powolna i bardzo trudna. Wchodzimy wtedy na dojrzały, silnie obsadzony rynek, gdzie są potężni gracze: Airbus, Leonardo, SpaceX, Northrop Grumman, Lockheed Martin.

A druga droga?

– Polega na tym, żeby pytać, gdzie ten rynek będzie za kilka lat. Gdzie dziś rodzą się innowacje? Które technologie będą tworzyły nowe rynki za dwa, pięć, dziesięć lat? I właśnie tam budować własną siłę oraz kompetencje kadr.

Polska powinna dywersyfikować. Musimy być obecni na rynkach komercyjnych: obserwacji Ziemi, telekomunikacji, bezpieczeństwa. Czasem jako klient,

eprasa.pl 9e613fd31b



na Księżycu

ale przede wszystkim jako partner, który buduje własne kompetencje a później własne rozwiązania. Na całym świecie droga do znajdowania takich nisz prowadzi właśnie przez eksplorację.

Jednocześnie powinniśmy szukać nisz technologicznych, w których możemy wejść wcześniej niż inni. Nie mamy dziś ambicji ani zasobów, żeby zbudować największy na świecie program obserwacji Ziemi i konkurować z największymi graczami. To wymagałoby dziesiątek czy setek miliardów euro. Możemy jednak rozwijać bardziej wyspecjalizowane obszary, związane właśnie z eksploracją kosmosu i technologiami, które dopiero będą tworzyć nowe rynki.

Czyli?

– Na przykład mapowanie minerałów na Księżycu albo rozwiązania infrastruktury krytycznej dla misji księżycowych, które później będzie można przenieść na gospodarkę niskiej orbity okołoziemskiej. I tu widzę sens udziału w programach eksploracyjnych. Nie tylko jako prestiżowego symbolu, ale jako sposobu wejścia w technologie przyszłości.

• Sławosz Uznański-Wiśniewski je pierogi podczas swojego pobytu na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej

FOT. ESA-S. UZNAŃSKI-WIŚNIEWSKI

Czyli proponujesz technologiczną ucieczkę do przodu?

– Proponuję przede wszystkim inwestycję w innowacje i w ludzi, którzy będą w stanie budować produkty przyszłości. To lepsza droga niż kupowanie gotowych produktów, a nawet niż rozwijanie własnych rozwiązań w segmentach, w których globalny rynek jest już bardzo konkurencyjny i mocno dofinansowany. To w większości przypadków znacząco obniży efektywność naszych inwestycji. Możemy oczywiście latami próbować ten rynek dogonić, ale on często ucieka szybciej, niż my jesteśmy w stanie nadrabiać dystans. Nie mówię, że to zła droga. Uważam tylko, że trzeba taką drogę dywersyfikować, a jednocześnie świadomie inwestować w technologie przyszłości.

Warto popatrzeć, jak to robią inni. Indie są mi bliskim przykładem, bo podczas misji miałem okazję bardzo dużo rozmawiać z Shubhanshu Shuklą, pilotem naszej misji, o ich planach.

Rozwijają własny program lotów załogowych.

– Mają za sobą robotyczne lądowanie na Księżycu, budują własną rakietę nośną dla misji załogowych, własną kapsułę, planują własną stację na niskiej orbicie okołoziemskiej, a w dalszej perspektywie także obecność na Księżycu. Ich udział w misji Axiom-4 nie był jednorazowym wydarzeniem oderwanym od rzeczywistości. Był elementem dużo większej strategii. Chodziło o zdobycie doświadczenia operacyjnego na orbicie, sprawdzenie, jak działają inne platformy i przeniesienie tych kompetencji do kraju. Do tysięcy inżynierów, którzy będą budować później własne, suwerenne zdolności.

Indie nie chcą tych kompetencji u siebie tylko odtworzyć, ale docelowo chcą być w stanie tworzyć zupełnie nowe. Dlatego równolegle do misji Axiom-4 powstały i rozwijają się liczne szkoły inżynierskie kształ-

eprasa.pl 9e613fd31b

cące specjalistów technologii kosmicznych. To inwestycja w ludzi, kompetencje i długofalowy plan.

Myśmy zainwestowali w ciebie, ale teraz pracujesz dla ESA. Dlaczego nie w Polsce?
– Nie otrzymałem do tej pory w Polsce strategicznej propozycji budującej przyszłość innowacyjnych projektów w sektorze kosmicznym wykorzystującej moje doświadczenie i kompetencje. Miałem kilka propozycji, w dużej części ze Stanów Zjednoczonych.

Żartujesz?
– Moja specjalizacja to budowa projektów badawczo-rozwojowych i wdrożeniowych bezpośrednio dla przemysłu. W ten sposób pracowałem przez całe życie: dzieląc się kompetencjami, ale przede wszystkim doprowadzając produkty od specyfikacji do etapu produkcji, jak również zapewniając ich operacyjność.

Cieszę się, że dostałem propozycję w Europejskiej Agencji Kosmicznej. Mogę blisko współpracować z Polską jako polski astronauta, były astronauta projektowy ESA, a jednocześnie spełniać się jako inżynier w paneuropejskich projektach technologicznych, zwłaszcza związanych z eksploracją.

Jak to możliwe, że w Polsce nikt nie powiedział: „mamy dla pana zadanie"?
– Nie mnie to oceniać.

Oczywiście, polski rynek kosmiczny, choć rozwija się od ponad dziesięciu lat, a szczególnie szybko od 2023 roku, kiedy został mocno dofinansowany, nadal jest mały w skali europejskiej. Widzę swoją rolę w dzieleniu się wiedzą i transferze kompetencji do polskiego sektora kosmicznego, stymulacji dialogu odnośnie strategicznych kierunków rozwoju polskiego i europejskiego sektora kosmicznego, jak i reprezentacji Polski w obszarze kosmicznym na arenie międzynarodowej. I stale staram się to robić.

Czyli nie było dla ciebie miejsca. Może wrócisz, gdy ESA otworzy w Polsce zapowiadaną placówkę technologiczną?
– Nie wykluczam. Po powrocie z orbity pracowałem nad pierwszą strategiczną koncepcją placówki ESA w Polsce – nie w jednym z tradycyjnych kosmicznych centrów Europy, lecz w kraju, który dopiero buduje pozycję w tym sektorze. W listopadzie 2025 podpisano list intencyjny między Polską a Europejską Agencja Kosmiczną na Radzie Ministerialnej w Bremie.

Takie nowe centrum miałoby unikalną szansę odegrać kluczową rolę w rozwoju technologii kosmicznych w stronę bezpieczeństwa Europy: z kosmosu i w kosmosie. Mogłoby stać się hubem innowacji w kraju, miejscem, w którym najzdolniejsi i najambitniejsi inżynierowie mogliby uczestniczyć w budowie największych programów kosmicznych Europy.

Jestem zaangażowany w uruchomienie placówki, ale to złożony wieloetapowy proces, wymagający zaangażowania wielu decydentów w Polsce i Europie. Agencja przechodzi dziś dużą transformację, największą od powstania w 1975 roku. Po raz pierwszy tak mocno wchodzi w technologie podwójnego zastosowania, bezpieczeństwo i suwerenność technologiczną Europy. A ta polska placówka ESA ma uczestniczyć w rozwoju technologii istotnych dla bezpieczeństwa Europy.

Ale najbardziej chciałbym pozostać blisko eksploracji kosmosu. Zwłaszcza że Europa także coraz mocniej mówi o własnym dostępie do przestrzeni kosmicznej – dla europejskich astronautów, z użyciem europejskich rakiet i statków. Celem jest to, żebyśmy mogli być prawdziwym, silnym partnerem NASA w perspektywie stałej obecności człowieka na Księżycu.

Masz nadzieję, że Polska weźmie w tym udział?
– Te plany będą się konkretyzowały w najbliższych miesiącach, ale kierunek już widać: Europa znów chce odgrywać większą rolę w eksploracji kosmosu. Weźmy francuskie misje. Sophie Adenot, astronautka z mojej selekcji ESA z 2022 roku, jest właśnie na orbicie na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) na długoterminowej misji. Thomas Pesquet został ogłoszony pierwszym europejskim dowódcą komercyjnej misji na ISS, którą tym razem zrealizuje firma Vast. Z kolei Arnaud Prost, mój kolega z rezerwowego korpusu astronautów ESA, ma polecieć na pierwszą komercyjną stację orbitalną tej firmy – Haven-1. Niemcy z kolei ogłosiły, że to Niemiec będzie pierwszym Europejczykiem na Księżycu. A włoch Luca Parmitano został wybrany do misji Artemis III, w której będzie testował jeden z najbardziej skomplikowanych manewrów orbitalnych w historii lotów kosmicznych – dokowania na orbicie księżycowej. Także Czesi niedawno podpisali umowę z ESA na lot Aleša Svobody w ramach komercyjnej misji Vast na ISS. Wybrali więc podobną drogę, co my.

Za chwilę pierwsza rocznica twojej misji. To dobry moment na bilans. Co mogło pójść lepiej?
– Zacząłbym od przypomnienia, że to była naprawdę niezwykła misja. Po raz pierwszy Polak poleciał na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Trzynaście polskich zespołów badawczych, wiele firm, kilkaset osób w Polsce pracowało nad eksperymentami, które zostały dostarczone na orbitę i wykonane w kosmosie. Każdy z tych trzynastu eksperymentów został zrealizowany z sukcesem. Misja wzbudziła bardzo duże zainteresowanie międzynarodowe. Podziwiano nas – że byliśmy w stanie przeprowadzić tak złożone przedsięwzięcie.

Tylko czy to był jednorazowy strzał, czy przełożyło się na coś dalej: wdrożenia, kontrakty, kontynuację badań, rozwój firm?
– Żeby naprawdę dobrze wykorzystać rezultaty misji, zwłaszcza te bardziej innowacyjne eksperymenty badawczo-rozwojowe, potrzebne jest strukturalne wsparcie, ciągłość i strategia. Z nimi trzeba budować rynek. Niektóre eksperymenty z misji Ignis mają taki potencjał. Trzeba jednak stworzyć warunki, żeby mogły się rozwinąć w technologie, produkty albo kolejne programy.

Możesz podać przykład?
– Bardzo lubię eksperyment, w którym polska grupa badawcza z Lublina z firmy Cortivision po raz pierwszy w historii pokazała działający interfejs mózg–komputer na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Tego nie dokonał jeszcze nikt wcześniej. Ale warto powiedzieć, że nie był dla tej firmy pierwszy lot. Jej rozwiązania były już testowane w misjach Axiom-2, Axiom-3 jako dostawca sprzętu. Sprzęt tej firmy znajduje się także dziś na ISS.

Natomiast podczas misji Axiom-4 wraz z polskim astronautą otworzyły się zupełnie nowe możliwości: zaproponować własne badania, zaproponować dużo bardziej ambitny eksperyment, który przeprowadzą polskie firmy. Zatem również cały sprzęt, wszystkie wyniki oraz należą do polskiej grupy badawczej, a ich możliwości współpracy międzynarodowej niesamowicie rosną. Jestem przekonany, że będzie wykorzystywany w kolejnych misjach europejskich i międzynarodowych, a badania będą kontynuowane.

To przykład jasnego kierunku rozwoju: mamy technologię, mamy doświadczenie lotne – tak zwane Flight Heritage – mamy sprzęt na orbicie i możemy budować dalej.

Pytam o to dlatego, że twoja misja była jednak przygotowywana na wariackich papierach. Najpierw zapadła decyzja: lecimy w kosmos. A dopiero potem zaczęto szukać, jakie eksperymenty można tam zabrać.
– Zgadzam się. Zacznijmy od tego, że Polska strategia kosmiczna z 2017 roku w ogóle nie zakładała załogowej misji. To przedsięwzięcie nie było więc efektem długiej, strukturalnej budowy rynku i kosmicznego ekosystemu.

Grupy badawcze wykorzystały szansę najlepiej, jak potrafiły, ale teraz w dużej mierze potrzebują wsparcia instytucjonalnego, żeby rezultaty z misji przełożyły się we wzrost gospodarczy oraz naukowy. A możliwości są duże. Wiele eksperymentów, które wykonywaliśmy, ma potencjał na przykład podwójnego zastosowania, także w obszarze bezpieczeństwa.

Weźmy dozymetrię radiacyjną. To system pomiaru promieniowania, który może być wykorzystany znacznie szerzej, także na Ziemi. Na przykład jako rozwiązanie instalowane w polskich myśliwcach, żeby piloci mieli własne, suwerenne i autonomiczne możliwości pomiaru promieniowania w obszarach, w których wykonują misje.

Inny eksperyment dotyczył medycyny i fizjologii. Chodziło o system, który zbiera dane medyczne astronauty i na ich podstawie potrafi automatycznie przygotować efektywny czasowo i kosztowo trening fizyczny. Taki system może być użyteczny nie tylko dla astronautów, ale też dla pilotów, wojska, marynarki wojennej, sił powietrznych czy szeroko pojętych służb mundurowych oraz w zarządzaniu kryzysowym.

Możliwości są szerokie. Ale żeby je wykorzystać, potrzebne jest zainteresowanie i wsparcie. Bez szerszej strategii w Polsce te eksperymenty będą raczej przynosiły korzyść innym krajom. Już tak się dzieje.

Co masz na myśli?
– Kolejnym przykładem mógłby być eksperyment dotyczący przeżywalności glonów w stanie nieważkości i przy ekspozycji na promieniowanie. Okazało się, że glony radzą sobie lepiej, niż przewidywały teoretyczne modele opracowane na Ziemi. Z tego, co wiem, ta grupa badawcza złożyła trzy wnioski o kolejne eksperymenty na misjach europejskich i dwa zostały wybrane do realizacji w ramach czeskiej misji na ISS w 2027 roku.

Przy odpowiednim wsparciu i jasnej wizji tego, co chcemy osiągnąć technologicznie i naukowo, moglibyśmy zyskać znacznie więcej. Inaczej polskie firmy i naukowcy będą dostawcami technologii dla cudzych programów, zamiast budować przyszłość polskiej nauki i polskiego sektora kosmicznego, a w efekcie polskiej marki technologicznej na świecie.

Jesteśmy dzisiaj już gotowi, żeby wyjść z roli małego dostawcy komponentów do koordynacji dużych programów, zatem należałoby się przyjrzeć jak wykorzystać tę szansę i skalować nasze ambicje.



• **Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Premier Donald Tusk ogląda start misji Axiom-4 z polskim astronautą na pokładzie (25.06.2025)**
FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 9e613fd31b

Gdybyś miał napisać strategię kosmiczną dla Polski, co znalazłoby się na samej górze?
– Na pewno te rynki, które dopiero się tworzą. Na przykład dziś nie ma jeszcze w pełni rozwiniętego rynku autonomicznego serwisowania infrastruktury na orbicie: systemów, które same podejmują decyzje, diagnozują problem i naprawiają albo obsługują satelity. Ale taki rynek powstaje. W Unii Europejskiej w ciągu dekady może być wart kilka miliardów euro. Polska mogłaby zagarnąć część tego rynku.

Drugi obszar to obronność i technologie podwójnego zastosowania. Przez najbliższą dekadę one będą zdecydowanie priorytetowe. Trzeba się zastanowić, w jakich dziedzinach obserwacji, łączności, bezpieczeństwa albo analizy danych chcemy budować własne zdolności i gdzie możemy być liderem.

Dopiero stawiamy pierwsze kroki w zakresie większych platform telekomunikacyjnych. Trzeba zdecydować, które technologie są strategiczne technologicznie i powinny być budowane w kraju, a w efekcie należy zbudować te produkty.

Ale same decyzje nie wystarczą. Jeśli chcemy rozwijać technologie krytyczne, musimy inwestować w kompetencje. Z mojego doświadczenia inżynierskiego wynika, że mniejsza część inwestycji w technologie przyszłości to budowa produktów, ich komercjalizacja i industrializacja. Większość to inwestycja w ludzi oraz utrzymanie ich kompetencji. Bez nich nie da się zbudować innowacyjnej gospodarki.

Kupiony dziś produkt technologiczny za dwa lata może być przestarzały. Natomiast wiedza, kadry i kapitał ludzki dają ciągłość rozwoju. Ogromnym wyzwanie w szybko zmieniającym się ekosystemie technologicznym jest instytucjonalny management wiedzy do zapewnienia ciągłości rozwoju. To jest szczególnie ważne w tak zaawansowanym sektorze jak kosmiczny. Największą bolączką nie jest już tylko brak pieniędzy. Coraz większym problemem jest niedobór wykwalifikowanych kadr.

Nowa placówka ESA w Polsce, jeśli będzie realizowała ambitne projekty, może odegrać tu ogromną rolę. Takie projekty przyciągają talenty. A eksploracja kosmosu porywa najbardziej.

No właśnie. Jest „efekt Sławosza"? Twoja misja porwała młodych ludzi?
– Zainteresowanie było gigantyczne. I powiem szczerze: wracając z orbity, nie miałem o tym pojęcia. Podejrzewałem, że ludzie śledzą misję, że jest zainteresowanie, ale trudno było mi to poczuć, bo byłem po drugiej stronie kamery.

Tak naprawdę po raz pierwszy się o tym przekonałem, kiedy reprezentowałem Polskę na Expo w Osace jako ambasador Pawilonu Polski. Warszawski Instytut Bankowości we współpracy z Polską Agencją Inwestycji i Handlu i przy wsparciu New Space Foundation zorganizował wtedy lekcję online ze szkołami polonijnymi. Pomyślałem: nie ma problemu, jestem w Japonii, są polskie szkoły na całym świecie, mogę opowiedzieć im o misji świeżo po powrocie z kosmosu. Okazało się, że podłączyło się prawie 45 tysięcy osób, Polacy z całego świata! To pokazało skalę zainteresowania i potencjał edukacyjny misji Ignis.

Miałeś potem trochę spotkań, głównie na uczelniach, ale co dalej?
– Zdecydowanie warto te spotkania kontynuować, ale w sposób zorganizowany. Lekcja zorganizowana przez Warszawski Instytut Bankowości była świetna, ale powstała oddolnie, właściwie przypadkiem. Jestem też bardzo wdzięczny za trasę po uczelniach, sfinansowaną dzięki Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Uważam, że była bardzo potrzebna.

Najgorsze, że przez pierwsze 100 dni po misji nie miałem zorganizowanego żadnego publicznego wystąpienia ani w szkołach, ani na uczelniach. Ten kluczowy moment trochę nam więc uciekł.

Dlaczego tak się stało?
– Nie wiem, to pytanie do Polskiej Agencji Kosmicznej. W tym roku nie miałem żadnego wystąpienia publicznego zorganizowanego przez agencję. Od wylądowania na Ziemi zarząd agencji nie skontaktował się ze mną w sprawie budowania konkretnych programów edukacyjnych.

Znowu się narażasz. Niedawno wyciekło pismo prezes Polskiej Agencji Kosmicznej, z którego wynikało, że chciałaby ograniczyć twoje wypowiedzi dotyczące działań POLSA. O co poszło?
– Wszystko wyjaśniałem już w osobnym oświadczeniu. To nie jest spór personalny. Po prostu starałem się zadać kilka merytorycznych pytań w oparciu o ustawę o Polskiej Agencji Kosmicznej.

A o co pytałeś?
– Dlaczego nie wykorzystujemy szans, które stworzyła ta misja? Polska nigdy w historii nie miała większej szansy informacyjnej i promocyjnej, ale środki przeznaczone na promocję, edukację i rozwój polskiego sektora kosmicznego w zeszłym roku nie zostały wydane. Z tego, co wiem, do połowy tego roku nie zostały jeszcze złożone wnioski o dotacje celowe na jakąkolwiek działalność merytoryczną agencji.

W maju 2025, tuż przed startem misji, odwołano rzecznika agencji. Do dziś nie ma nowego, a przecież jednym z zadań agencji powinno być wykorzystanie misji w komunikacji, edukacji, promocji nauki i technologii.

Część eksperymentalna misji została wykonana bardzo dobrze. Implementacja eksperymentów leżała przede wszystkim po stronie Europejskiej Agencji Kosmicznej i tutaj rezultaty były bardzo dobre. Natomiast jeśli chodzi o wykorzystanie misji w kraju, szczególnie jej wpływ edukacyjny i społeczny, nadal zadaję pytania. I do dziś nie usłyszałem merytorycznej odpowiedzi.

Czego oczekujesz od POLSA?
– Aby wykonywała ustawowe zadania.

Nie chodzi tylko o moją misję. Rok 2025 był przełomowy w historii polskiego sektora kosmicznego. Mieliśmy rekordowe kontrakty: na cywilną konstelację satelitów obserwacyjnych CAMILA oraz wojskowe konstelacje mikroGlob i MikroSAR, związane z obserwacją optyczną i radarową. I właśnie w takim momencie zabrakło odpowiedniej obsługi instytucjonalnej ze strony Polskiej Agencji Kosmicznej.

Dlaczego agencja nie angażuje się w przygotowania do Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego, który w przyszłym roku odbędzie się w Polsce? To największy kongres kosmiczny na świecie. Cały globalny sektor kosmiczny przyjedzie do Polski. To ogromne osiągnięcie, Polska walczyła o organizację tego kongresu w Poznaniu przez kilka lat, ale żeby wykorzystać takie wydarzenie, potrzebny jest plan. Uważam, że można byłoby postawić twarde, merytoryczne wskaźniki: ile kontraktów dla polskich firm powinno być rezultatem tej konferencji? Na jaką kwotę? Jakie partnerstwa mają z tego wyniknąć?

Kolejna sprawa – POLSA nie reprezentuje Polski w największym programie eksploracyjnym tej dekady.

O jaki program chodzi?
– Jesteśmy sygnatariuszem „Artemis Accords", czyli porozumienia określającego zasady pokojowej współpracy przy eksploracji Księżyca, Marsa, komet i asteroid. Polska była pierwszym krajem, który zorganizował warsztaty dla nowych sygnatariuszy tego porozumienia. Ale z tego, co wiem, POLSA nie pojawiła się na żadnym spotkaniu Artemis Accords. Na konferencji w marcu tego roku


FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polska firma pokazała na stacji kosmicznej działający interfejs mózg-komputer. Polski system dozymetrii radiacyjnej może być instalowane w polskich myśliwcach. Polski system medyczno-fizjologiczny zbierający dane astronauty byłby użyteczny dla pilotów, wojska, marynarki i w zarządzaniu kryzysowym

reprezentowanych było ponad 40 agencji kosmicznych z całego świata. Nasza agencja nie wzięła w niej udziału. Trudno to zrozumieć. Mamy możliwość współpracy przy budowie technologicznej przyszłości, ale jej nie wykorzystujemy.

Warto te pytania postawić publicznie, zwłaszcza w pierwszą rocznicę misji.
– Zależy mi, żeby nie zatrzymać się na sporze. Najważniejsze jest wyciągnięcie wniosków i spojrzenie w przyszłość: jak chcemy, żeby polski sektor kosmiczny wyglądał za pięć lat.

Wróćmy choćby do eksploracji. Europejska Agencja Kosmiczna jest partnerem programu księżycowego Artemis. To europejski przemysł buduje moduł serwisowy statku Orion, który utrzymuje astronautów przy życiu: zapewnia zasilanie, napęd, część atmosfery czy wodę pitną. Bierze w tym udział 11 krajów europejskich. Pytanie brzmi: jaką rolę Polska chce odgrywać w kolejnych etapach? Przy budowie europejskiej kapsuły załogowej? Europejskich rakiet nośnych? Przyszłych stacji kosmicznych na niskiej orbicie okołoziemskiej albo wokół Księżyca? Technologii działających na powierzchni Księżyca?

W których obszarach polskie firmy mają budować swoje kompetencje i zdobywać kontrakty? Jakie strategiczne kierunki wybieramy, żeby za pięć lat Polska była w zupełnie innym miejscu? To bardzo ważne pytania dzisiaj, żebyśmy mogli uczestniczyć w rozwoju kompetencji przyszłości Europy.

Kolejny raz wracasz do tego, że Polska nie ma aktualnej strategii kosmicznej.
– Ta, która obowiązuje od 2017 roku, nie przystaje dziś do polskiego rynku. Ogromnie potrzeba nowego dokumentu, który odpowie na pytanie o cele rozwojowe Polski: technologiczne, naukowe, edukacyjne, przemysłowe i związane z reprezentacją międzynarodową. To musi być projekt szeroki, wieloresortowy, oparty na współpracy, regularnie przeglądany i aktualizowany. Jeśli chcemy realizować duże cele rozwojowe, nie da się tego zrobić jednym programem ani jedną decyzją.

Popatrzmy na ostatnie 30 lat. Rozwój gospodarczy Polski był unikalny w Europie, a nawet na świecie. Wynikał oczywiście także z tego, jak biednym krajem byliśmy na początku lat 90. i gdzie jesteśmy dzisiaj. Ale nadal w dużej części opieramy się na usługach dla innych gospodarek europejskich. Jeśli nie zaczniemy budować własnego ekosystemu technologicznego, własnych produktów o dużej wartości dodanej, które można licencjonować i sprzedawać, to nasza gospodarka w pewnym momencie wyhamuje. Albo przynajmniej pozostanie bardzo zależna od gospodarek, których nie będzie mogła dogonić.

A mamy innowacyjność. Mamy kompetencje. Musimy tylko nauczyć się szerzej współpracować i przenosić te kompetencje do polskiego sektora, do polskich firm. Jesteśmy w unikalnym momencie rozwoju. Następne lata pokażą, czy dobrze go wykorzystaliśmy. Kiedy przyjdzie kolejna perspektywa finansowa Unii Europejskiej i Polska stanie się zapewne płatnikiem netto, zobaczymy, czy będziemy już wystarczająco silni, zdolni generować wzrost w oparciu o nowe technologie i nasze rodzime rozwiązania.

Od kilku tygodni jesteś ojcem. Czy dziecko bardziej wywraca życie niż lot w kosmos?
– Mówię, że w zeszłym roku miałem krótkoterminową misję kosmiczną, a w tym roku zaczynam misję bardzo długoterminową: jako rodzic.

Chciałbyś, żeby poszedł w twoje ślady?
– Chciałbym przede wszystkim, żeby dokonywał świadomych wyborów. Żeby sam wybrał, co chce robić w życiu. Czy będzie astronautą, czy pójdzie zupełnie inną drogą, to będzie jego decyzja. Najważniejsze, żeby miał możliwość rozwijania się. Ja będę starał się wspierać go jako rodzic najlepiej, jak potrafię. Ale wybory będą należały do niego.

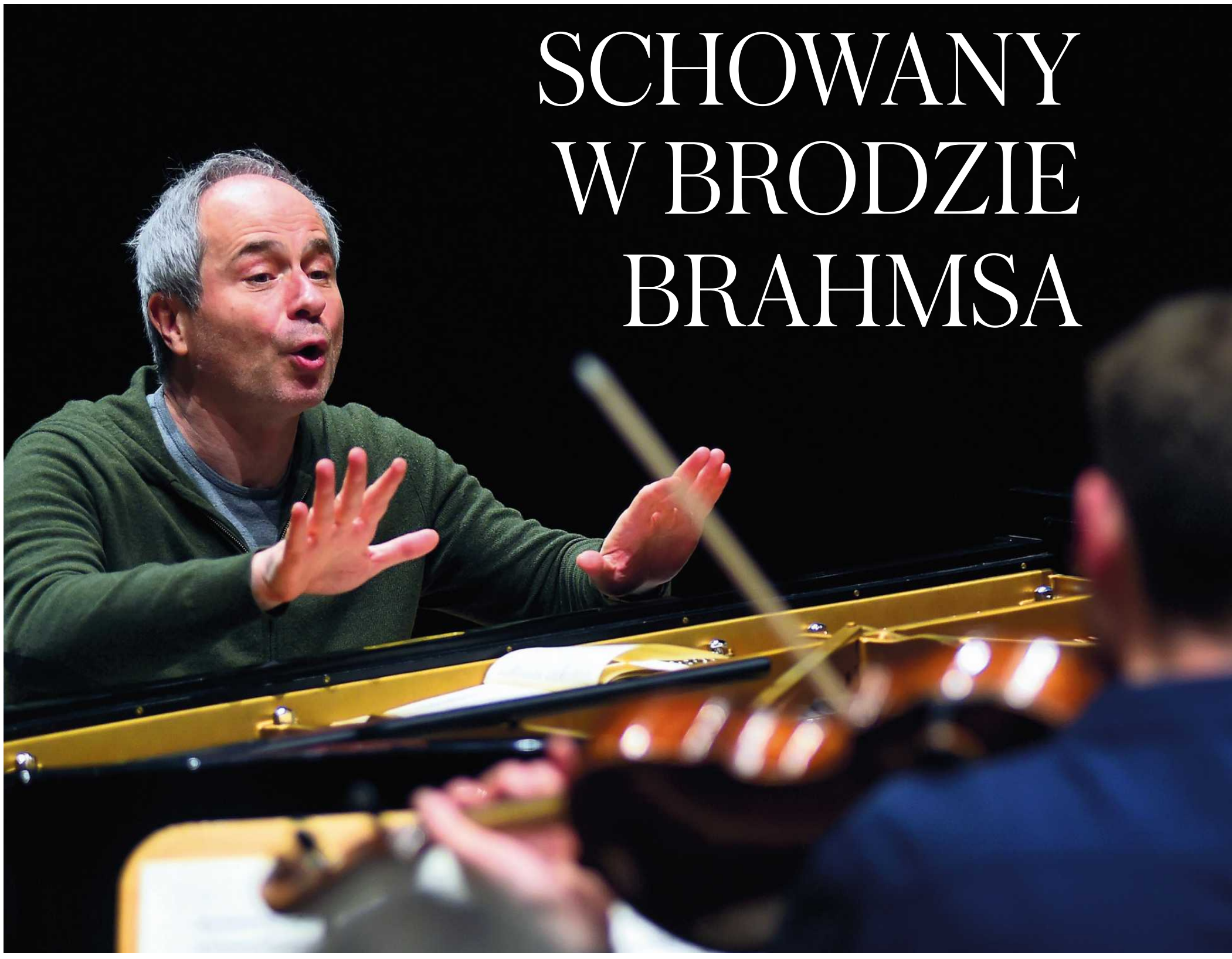
Dostaję bardzo dużo pytań od dzieci, nastolatków i studentów: w którą stronę pójść, jakie studia wybrać, jak realizować się zawodowo. Trudno mi bezpośrednio odpowiedzieć, bo świat rozwija się bardzo szybko. Dlatego najważniejsze, żeby młodzi ludzie zadawali pytania, szukali własnej drogi i chcieli budować coś wartościowego oraz mieli zdolność krytycznego myślenia i wyciągania wniosków.

Myślę, że zadaniem naszej generacji jest otwieranie im drzwi. Tak, żeby oni mogli zajść dalej niż my.
– Kiedy byłem małym chłopcem, bycie astronautą nie było realną ścieżką. Nie mieliśmy takich możliwości. Kiedy kończyłem doktorat, Polska nie była jeszcze członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej. Kiedy zaczynałem studia, nie byliśmy w Unii Europejskiej. Dopiero na pierwszym roku studiów otworzyły się dla nas granice i ja karierę mogłem realizować szerzej w Europie.

Mam nadzieję, że stworzymy taki świat, w którym mój syn, ale też cała nowa generacja, dzieci dziś chodzące do podstawówki, licealiści i studenci, będą mogli realizować marzenia znacznie szerzej. Że będą mogli budować to, co sami uznają za wartościowe i mam nadzieję, że tę przyszłość będą mogli realizować właśnie w Polsce.

A na pytanie o to, co będzie wartościowe, już oni będą musieli odpowiedzieć. ●

eprasa.pl 9e613fd31b



SCHOWANY W BRODZIE BRAHMSA

„Są dni, w których czuję opór materii nie do przeskoczenia. Fortepian nie reaguje na moje intencje. Dłonie są lodowate i nic nie mogę z tym zrobić.

Z **PIOTREM ANDERSZEWSKIM,** WYBITNYM POLSKIM PIANISTĄ, ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Na początku roku wydał pan płytę z muzyką Johannesa Brahmsa, a niedawno zapowiedział trzymiesięczną przerwę w koncertowaniu. Dokąd pan ucieknie przed światem?
– Japonia. Chciałbym lepiej zrozumieć ten kraj. Szaleństwo Japończyków. Jeśli w ogóle to możliwe. W zeszłym roku zafascynowała mnie wizyta u lakiernika w Kioto, który z bardzo precyzyjnie rzeźbionego drewna tworzy małe pudełka na herbatę.

Wyjaśniał mi ten wiekowy proces: na dwa lub trzy milimetry drewna nakłada się lakier, szlifuje i następnie nakłada kolejne warstwy. Te warstwy muszą schnąć w odpowiedniej temperaturze i wilgotności, powoli, tak aby drewno zachowało wilgoć.

Ona musi być wyczuwalna w dotyku, tak jakby drewno pozostało żywe. I jak najbardziej gładkie, aby powstało wrażenie, że rozpływa się w dłoni. Praca lakiernika jest więc sposobem na konserwację drewna, na uczynienie go „wiecznym". Lakiernik ma ponad rok na wykonanie takiego jednego małego cudu.

Chcę tam wrócić. Spędzić więcej czasu.

W ogóle od lat marzę, żeby przerwać koncertowanie. I zajmowanie się muzyką. I jakoś nie przerywam. Ale robię sobie co jakiś czas odpoczynek od tego wszystkiego. Najdłuższy trwał półtora roku. Trudno było wrócić. No i dwa lata temu wziąłem się do pisania.

Tak coś czułam!
– Mam pomysł na książkę. Właśnie grzebię w tym. Całymi nocami!

To książka autobiograficzna, wspomnieniowa?
– To się wzięło głównie z chęci podzielenia się tym wszystkim, co się dzieje wokół koncertów, poza ścisłym rozdziałem czasowym, kiedy wchodzę na scenę i po godzinie czy półtorej ją opuszczam. O samolotach, pociągach, hotelach... A na końcu będzie o Chopinie!

Czyli jednak Chopin, którego wypierało się od lat?
– Chopin rzeczywiście nie jest kluczowym kompozytorem w moim repertuarze, ale nigdy się go nie wypierałem! Chopina uwielbiam!

Skądinąd jest w Polsce problem z Chopinem. Jest on na co dzień wtłaczany do tego stopnia, że zadaję sobie od dawna pytanie, jak to wytrzymać. No i jak sobie poradzić z tą unikalną chopinowską polskością, która nasyca prawie każdą nutę jego muzyki? Żeby nie stała się standardem?

To chyba jest jakieś marzenie o Polsce, nie Polska prawdziwa. Rycerska, sielska. Niczego takiego tu dziś nie dostrzegam.
– Nie wiem, co to znaczy Polska prawdziwa. To temat rzeka. U Chopina była to na pewno tęsknota za jakimś polskim ideałem. I pewnie też prosta tęsknota za domem, w którym się wychował.

Czasem mam wrażenie, że ja również szukam swojego miejsca na Ziemi. W pewnym sensie pozostaje nim Warszawa, jestem emocjonalnie strasznie mocno związany z tym miastem. Jest nim w pewnym sensie Londyn, gdzie miałem swoje pierwsze koncerty. A jednocześnie czuję się tam kulturalnie obcy.

Z Paryża, gdzie spędzam dużo czasu, od dawna chcę się wyprowadzić. Nowy Jork się dla mnie skończył – mam coraz większą alergię na Amerykę.

Lizbona, gdzie przez pewien czas mieszkałem, została zalana turystami, standardem. A kiedyś była ojczyzną różnych dziwaków, marzycieli i można było przynajmniej tam, w tym ostatnim europejskim porcie, znaleźć schronienie.

Co dalej, nie wiem.

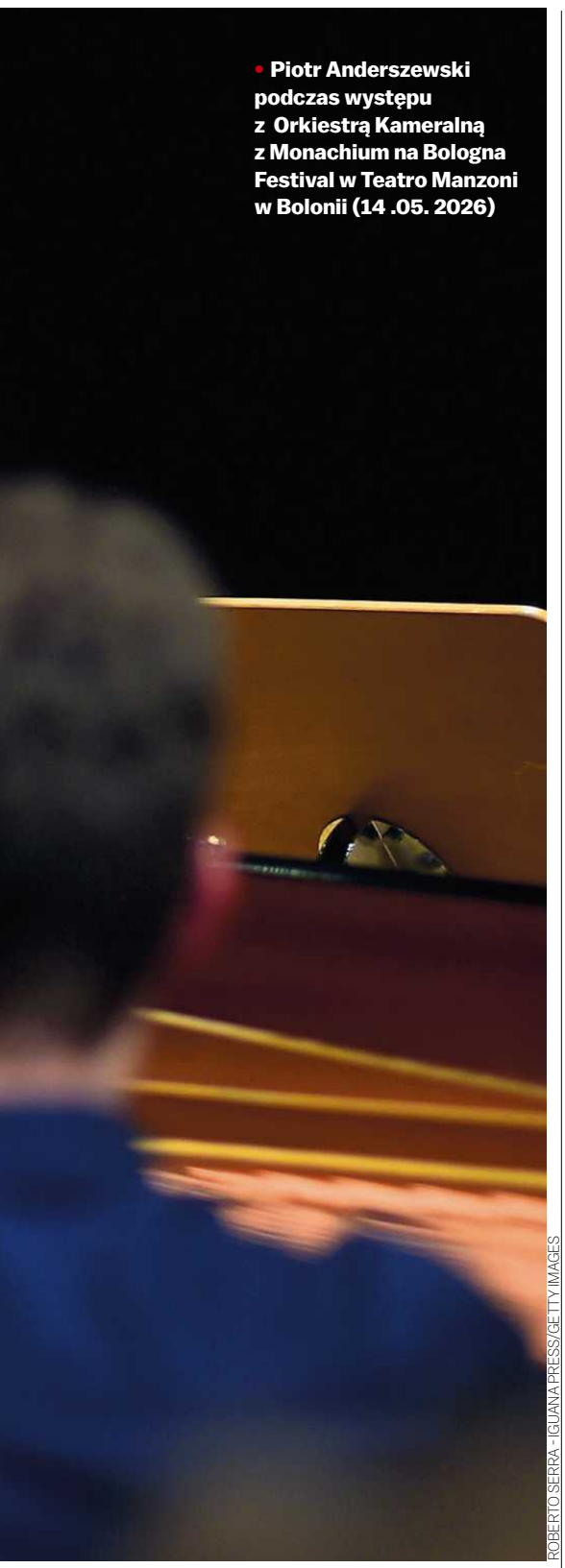
Czy trudno jest zapanować nad salą, gdy jest na niej kilka tysięcy słuchaczy, a na estradzie jest się samemu?
– Zbiorowa energia, która się wytwarza w sali, jest zjawiskiem ode mnie niezależnym. Ona żyje własnym życiem, za każdym razem jest inna. Są wieczory, kiedy naprawdę nic się nie da z nią zrobić.

Pamiętam koncert w Hamburgu kilka lat temu, na którym zaraz na początku zaczął piszczeć jakiś mikrofon, a potem ruszyła lawina kasłania ze strony publiczności. Walczyłem, jak mogłem, ale do końca koncertu czułem dekoncentrację na sali.

Są też koncerty, kiedy od pierwszych nut czuję totalną koncentrację. Dlaczego akurat wtedy? Nie wiem.

Jak może od pana zależeć to, w jaki sposób ludzie się zachowują na widowni?
– Chodzi o to, żeby te godziny, tygodnie, lata samotnego obcowania z muzyką, wchodzenia w jej najciemniejsze zakamarki, ta cała akumulacja energii, którą się w sobie nosi konkretnego dnia, o konkretnej godzinie

eprasa.pl 9e613fd31b



ROBERTO SERRA - IGUANA PRESS/GETTY IMAGES

• **Piotr Anderszewski podczas występu z Orkiestrą Kameralną z Monachium na Bologna Festival w Teatro Manzoni w Bolonii (14 .05. 2026)**

– zaraziła salę. To jak najbardziej zależy ode mnie. Ale są dni, w których czuję opór materii nie do przeskoczenia. Fortepian nie reaguje na moje intencje. Dłonie są lodowate i nic nie mogę z tym zrobić.

Jak ważne jest dla pana dzielenie się muzyką z innymi?
– Kiedyś najważniejsza była dla mnie sztuka dla sztuki. Mało interesowało mnie to, co inni o tym wszystkim myślą. Teraz, gdy ktoś do mnie podchodzi i mówi mi na przykład, że słuchając mojego koncertu, zapomniał o świecie przez dwie godziny, mam poczucie, że muzyka nabiera innej wartości. Może właśnie tej najważniejszej.

Mój znajomy jest zachwycony pana dłońmi, że są takie smukłe. To chyba efekt ciągłego ćwiczenia, tej gimnastyki palców?
– Smukłe? Ja tego tak nie widzę. No i proszę spojrzeć, jaka jest między nimi różnica, gdy je ze sobą złączę.

Lewa wydaje się większa od prawej.
– Ma większą rozpiętość. Wyćwiczyła się w inny sposób niż prawa. Więcej oktaw, non, decym, szeroko rozpiętych akordów. Nieraz mam wrażenie, że moje dłonie są niezależne ode mnie. To takie konie robocze, które ciągną ciężki wóz. Na ogół uginają się pod tresurą, ale czasem bywają niepokorne.

Chcą odpocząć?
– Jakby dawały do zrozumienia: „Dosyć już mamy tego, daj nam święty spokój". Jest też coś takiego, że z wiekiem ręce wolniej się dostosowują do fortepianu. Gdy nie gram przez parę dni, trudniej wrócić do klawiatury.

Ale skończmy o rękach! Muzyka siedzi przecież w głowie, a dłonie, technika nie są żadnym celem samym w sobie.

Wczoraj grał pan recital, a dzisiaj już jest pan przy fortepianie. Jak ten japoński lakiernik.
– Nie zawsze tak robię. Ale w tych dniach mam jeszcze dużo pracy nad Sonatą op. 111 Beethovena, więc wykorzystuję każdą wolną chwilę.

Muzyka siedzi w głowie, a ostatnie utwory Johannesa Brahmsa na fortepian solo to chyba niezła łamigłówka. Tylko że to nie jest kompozytor z pana osobistego kanonu, więc trochę pan zaskoczył fanów tą płytą.

Parę lat temu coś mnie popchnęło, żeby zajrzeć do ostatnich dzieł Brahmsa na fortepian solo. Zajrzałem więc do nut i coś mnie zaczęło w tej muzyce ujmować

– Pięć lat temu zapowiadałem „Wariacje Goldbergowskie" Bacha, a ukazał się Brahms. Ale u mnie często jest tak, coś się dzieje, nie wiadomo za bardzo czemu.

Brahmsa kochałem w młodych latach. W naturalny sposób był mi bliski. Wychowałem się na jego symfoniach, na muzyce kameralnej. W połowie lat 90. XX wieku z Viktorią Mullovą nagraliśmy jego trzy sonaty na fortepian i skrzypce. Z biegiem lat zacząłem się jednak od niego oddalać, aż przestał mnie poruszać i stał mi się obcy.

Bardzo mnie ciekawi dlaczego.
– Czułem w tej muzyce wyrachowanie, układankę bardzo mądrze ułożoną i wyważoną, nie zawsze szczerą. Nigdy nie miałem takiego poczucia z Beethovenem czy Bachem, a tym bardziej z Schumannem, który jest dla mnie kompozytorem chyba najszczerszym.

Schumann nieraz wpada w jakieś dziury i wertepy, ale zawsze pozostaje prawdziwy. A Brahms na ogół jest taki *non troppo* – nie za bardzo, nie za dużo.

Ale parę lat temu coś mnie popchnęło, żeby zajrzeć do jego ostatnich dzieł na fortepian solo, które skomponował kilka lat przed śmiercią [opusy od 116 do 119].

To miniatury, które nazywają się najczęściej intermezzami, a niektóre kaprysami, fantazjami i rapsodiami. Zajrzałem więc do nut i coś mnie zaczęło w tej muzyce ujmować.

Co takiego?
– Zagadkowość. W tych utworach Brahms zostawia nam rodzaj testamentu, w którym właściwie nic nie jest napisane lub bardzo mało – akurat tyle, żeby rozbudzić ciekawość i pragnienie odkrycia prawdy.

Brahms jest w tych utworach skrajnie introwertyczny, chowa się za gęstą brodą.

To muzyka mgły, surowej Północy.

Granie jej to próba odgadnięcia czegoś, o czym wiadomo, że się tego nie odgadnie, bo Brahms to wszystko tak skrupulatnie i mądrze schował jak najbardziej wstydliwy sekret.

Efekt jest wspaniały w pana wykonaniu. Pozwolę sobie na własną refleksję, bo Brahms to również „mój" kompozytor, kiedyś jedna z wielkich fascynacji. Z czasem zaczęłam słyszeć w jego muzyce smutek i melancholię, coś schyłkowego. Zaczęłam od tego uciekać. Musiałam sobie Brahmsa dawkować ostrożnie, choć wcześniej słuchałam bez umiaru.
– Na pewno jest w jego muzyce poczucie żalu. Pasuje mi tutaj po francusku słowo „deuil".

Strata, utrata?
– To jest chyba dobre słowo. Konstatacja, że całe życie jest jedną wielką stratą. Do końca życia tracimy. Nie jest to muzyka nadziei, raczej rezygnacji.

Zdecydowałem się wybrać 12 spośród 20 miniatur, po trochu z op. 116, 117, 118 i 119. Wybierałem je drogą powolnej analizy, destylacji, intuicji, co mi zajęło w sumie rok. No i zdecydowałam się na nagranie.

Ta płyta jest bardziej osobista od wcześniejszych?
– Nie wiem. Ale na pewno mam poczucie, że przyszedł na nią czas. Prawdopodobnie wcześniej te utwory nie przemówiłyby do mnie z taką siłą. To się musiało stać teraz.

Może doszedłem do takiego momentu w życiu, w którym bardzo wyraźnie pojawia się poczucie utraty. W młodości człowiek często ma przeświadczenie, że wszystko przed nim. Ta muzyka na pewno o tym nie jest.

Świat się przed nami już tak nie otwiera jak kiedyś?
– Raczej wyraz rezygnacji. Ale i akceptacji. A z tego wynika pewna radość. To wszystko siedzi w tej muzyce.

Usłyszał pan w niej własne doświadczenie?
– Na pewno. Ja też jestem skryty.

To może dlatego nie mam odwagi zapytać pana o coś bardziej osobistego.
– Proszę tak nie mówić, bo się zaraz zaczerwienię. Jestem nieśmiały. Ale bywają sytuacje, że otwieram się za prędko, to jest taki właśnie dziwny paradoks. Nieraz później tego żałuję.

Zastanawiam się, jak bardzo takie wmyślanie się w czyjeś teksty obciąża wykonawcę. Ktoś zapisał w nutach część swojej psychiki, prawda?
– Oczywiście, że tak.

I czasem wykonanie takiego tekstu może przypominać wywoływanie duchów. Na pana recitalach miewałam wrażenie, że pan jest medium, przez które przechodzi muzyka, czyjeś dawne myśli i uczucia ujęte w formę muzyczną. Nie brzmi to pretensjonalnie?
– To jest duży komplement, jeśli rzeczywiście pani tak to czuje. Spędzanie czasu z nutami, z fortepianem to tak, jakby się wsiadło w maszynę do cofania czasu.

Nuty, ręce, fortepian stają się tą maszyną, za pomocą której można nieraz mieć iluzję dotarcia do źródła tajemnicy, mianowicie: co się stało w sercu, w głowie kompozytora, zanim te nuty napisał?

To trochę tak jak z pracą japońskiego lakiernika. Bierzemy do ręki drewniane pudełeczko i widzimy, że pod warstwami lakieru drewno pozostało żywe.

Niech ta paralela z lakiernikiem nie idzie jednak za daleko. To delikatne sprawy. W zawodzie muzyka jest przecież moment koncertu, publicznego wykonania. To wszystko zmienia.

A czy można tak bardzo ingerować w pewną całość stworzoną przez kompozytora jak pan? Brahms miał pewien zamysł, ustawiając swoje utwory z ostatnich opusów w określonym szyku, a pan tworzy z tego własną mozaikę.
– Nie myślę, że te utwory są napisane jako cykle, coś zamkniętego. Może w jakimś sensie op. 118, ewentualnie 116, ale nie pozostałe dwa.

Zupełnie inaczej niż na przykład 24 Preludia op. 28 Chopina, gdzie nigdy w życiu bym nie zmienił ich kolejności – to jest absolutna całość. Od otwierającego cykl preludium w C-dur do zamykającego go – w d-moll z jego tragicznym zakończeniem, trzema ostatecznymi, śmiertelnymi ciosami.

Wracając do Brahmsa, od początku wiedziałem, że zacznę moją „suitę" Intermezzem h-moll op. 119 nr 1. A więc nie po kolei i właściwie – chronologicznie – od końca.

Brahms wysłał ten utwór świeżo skomponowany Clarze Schumann. Tłumaczył, do jakiego stopnia pragnie, aby dysonanse z pierwszych taktów było wyraźnie słychać i aby nie przechodzić nad nimi za łatwo. W tych dysonansach, w tym bólu, on odnajdywał dziwną zmysłową przyjemność.

Nie przypadkiem wysłał to właśnie jej, być może tytułem wyznania. Tak jakby chciał jej powiedzieć: „Stałem się szanowanym kompozytorem. Mam życie ustatkowane, wygodne. A właściwie to tak naprawdę je sobie zmarnowałem".

A gdyby pan miał napisać takie życiowe podsumowanie?
– Mam jednak nadzieję, że to jeszcze nie czas! ●

Rozmowę przeprowadziłam 18 maja 2026 roku, w dzień po recitalu Piotra Anderszewskiego w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

• **Piotr Anderszewski** „Brahms. Late Piano Works", wyd. Warner Classics 2026



*Piotr Anderszewski

• Rocznik 1969. Jeden z najwybitniejszych współczesnych pianistów. Wychował się w Warszawie i częściowo we Francji w polsko-węgierskiej rodzinie. Jego międzynarodowa kariera zaczęła się w 1991 roku recitalem w Wigmore Hall w Londynie, podczas którego wykonał „33 wariacje na temat walca Diabellego" i Bagatele op. 126 Ludwiga van Beethovena. „Wariacje" w jego wykonaniu wzbudziły sensację rok wcześniej, podczas Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w Leeds.
• Znany jest z genialnych interpretacji, ceniony za ich intensywność i oryginalność. Nagrał ponad 20 płyt, większość z nich wydała wytwórnia Virgin Classics, obecnie Warner Classics.
• O jego życiu i muzyce opowiada godzinny film dokumentalny Brunona Monsaingeon „Piotr Anderszewski. Podróżujący fortepian".

eprasa.pl 9e613fd31b



FOT. GETTY IMAGES

Mężczyzna mówi: boję się

W raporcie o andropauzie wśród największych męskich lęków pojawiają się: niemoc, śmierć, pustka, samotność. I detronizacja.

Artur Nowak

Facet potrafi bezrefleksyjnie sięgnąć po paczkę papierosów z ostrzeżeniem o zawale, raku płuc czy przedwczesnej śmierci. Ale wystarczy napisać na niej, że palenie osłabia erekcję, i nagle robi się poważnie. Zagrożenie tego atrybutu męskości, sprawczości i ego zarazem brzmi jak alarm. Przy okazji tego prostego triku otwiera się potencjał, by trochę o siebie zadbać.

Jest w tych absurdach zadziwiająca konsekwencja. Ten sam facet, który latami omija lekarza, potrafi bez wahania wydatkować czas i niemałe pieniądze na serwis samochodu. Okazuje się, w tym akurat przypadku, że nie potrzebuje aplikacji, przypomnienia ani kampanii społecznej, bo doskonale pamięta, kiedy jego ukochane cacko ma trafić do mechanika. Wie, kiedy wymienić olej, klocki hamulcowe, filtr powietrza. Wie, że zaniedbanie drobiazgu może się skończyć poważną awarią.

Gdyby niektórzy mężczyźni dbali o własne zdrowie tak, jak dbają o swoje samochody, motocykle i rowery elektryczne, żyliby prawdopodobnie dłużej, spokojniej i znacznie lepiej.

Polki żyją siedem lat dłużej niż Polacy

To statystyka: WHO Europe pisze wprost, że mężczyźni rzadziej chodzą do lekarza, a 86 procent wszystkich męskich zgonów w regionie europejskim wiąże się z chorobami niezakaźnymi i urazami.

W Polsce różnica długości życia także pozostaje uderzająca. Według GUS w 2024 r. przeciętne mężczyźni żyli 74,93 roku, a kobiety – 82,26 roku.

Podobny wzór widać w całej Europie: w 2024 r. w Unii Europejskiej kobiety żyły przeciętnie 84,1 roku, a mężczyźni 78,9 roku, choć polska różnica – ponad siedem lat – pozostaje wyraźnie większa od średniej unijnej.

Zresztą mężczyzna rzadko dba o siebie dla siebie. Częściej robi to dla kogoś. Dla partnerki, dzieci, rodziny, pracy, obowiązku. Jakby własne ciało i własna psychika same w sobie nie były wystarczającym powodem, żeby się nimi zająć.

Myślę, że to nie tylko moje wrażenie, że teksty, książki i materiały o męskich kryzysach, męskiej samotności czy męskich grupach częściej niż sami mężczyźni czytają kobiety.

To im chce się zrozumieć, co dzieje się z ich mężami, partnerami, ojcami i synami. To one częściej próbują naprawić i nazwać coś, czego mężczyźni sami często jeszcze nie potrafią albo nie chcą dotknąć.

Andropauza, czyli męska samotność

16 maja skończyłem 52 lata. Od niedawna wraca do mnie obraz tych zamyśleń ojczyma przysiadającego na chwilę, dając sobie prawo do przerwy w byciu zdobywcą, którego nogi pchają dalej i wyżej.

Myślę, że wreszcie czuję ten niepokój istnienia. Tę bezsilność człowieka, który wiedział, gdzie iść, co robić. Który nagle poczuł, że go coś boli, że mu się nie chce. Rozumiem, bo to trudno powiedzieć naszym żonom, partnerkom, córkom: „Słuchaj, coś niedobrego się dzieje, potrzebuję pomocy. Nie umiem już ustać w tej pomnikowej pozie. Obalił mnie wiek. Czy będę wam jeszcze potrzebny?”.

Nie tak dawno ukazał się raport „Andropauza bez tabu” przygotowany przez Difference dla Kulczyk Foundation. Jak znam życie, studiują go pewnie przede wszystkim kobiety. To mocny dokument, bo pokazuje nie tyle jednostkowe zaniedbania, ile społeczną lukę w opowieści o męskim starzeniu się.

Z raportu wynika, że – aż! – dwie trzecie społeczeństwa nie zna pojęcia andropauzy, a 72 procent mężczyzn po czterdziestce nie przypomina sobie, by w ostatnich latach zetknęło się z informacjami dotyczącymi zdrowia mężczyzn około pięćdziesiątego roku życia.

Ludzie, którzy wiedzą, jak uzdrowić polski futbol, i rozbierają na atomy niuanse polityki, całe życie szerokim łukiem obchodzili swoje zdrowie.

Tylko 30 procent mężczyzn po czterdziestce deklaruje regularne badania. Co czwarty próbuje radzić sobie sam, a 12 procent nie reaguje w ogóle, licząc, że problem sam minie. Do lekarza najczęściej prowadzą ból albo partnerka. Często za późno.

To właściwie gotowy portret męskiej samotności zdrowotnej: ciało wysyła sygnały, ale mężczyzna nie ma mapy, języka ani nawyku, by pójść za nimi wcześniej niż w chwili, gdy nie da się już ich zignorować. On dalej chce być pomnikiem. Siada w fotelu i milczy. Zły na ciało, które przeszkadza mu pozostać nieśmiertelnym bohaterem. Prędzej zdemontuje go zawał, niż się przyzna, że jakaś rola w jego odysei się kończy.

Raport Kulczyk Foundation pokazuje, że 40 procent mężczyzn po czterdziestce czuje się osamotnionych w zmaganiach z problemami zdrowotnymi, a 37 procent nie rozmawia z nikim o swoich trudnościach. To nie jest tylko prywatna powściągliwość. To społecznie wytrenowane milczenie, które z czasem zaczyna kosztować zdrowie, podważa relacje i każe zweryfikować dotychczasowe poczucie sensu życia.

Archetyp wojownika, wbrew biologii i faktom, trzyma się mocno: mężczyzny silnego, nieustraszonego, wychowanego w komunikatach: „chłopaki nie płaczą”, „nie bądź beksą”, „jesteś facet, dasz radę”. Jakby miłość, szacunek czy jakiekolwiek wrażenie, które w życiu sprawiał, miał zawdzięczać roli, na którą nie ma już siły.

W raporcie, o którym mowa, wśród największych lęków mężczyzn pojawiają się: niemoc, śmierć, detronizacja oraz pustka i samotność.

To słowo „detronizacja” wydaje mi się kluczowe.

Próba męskości

Mężczyzna boi się, że przestanie być królem własnego świata. Tym, który zarabia, broni, wie, decyduje, niesie zakupy, naprawia kran, prowadzi samochód nocą, załatwia sprawy, milczy i jeszcze mówi, że „wszystko w porządku”.

A przecież w pewnym wieku ta korona zaczyna uwierać. Ciało już nie reaguje tak szybko. Praca nie daje tej samej pewności. Dzieci dorastają. Partnerka przesta-

eprasa.pl 9e613fd31b

je wierzyć w rytuał milczenia. Świat nie pyta o zgodę, tylko idzie dalej.

I wtedy zaczyna się prawdziwa próba męskości. Nie ta z reklam samochodów, whisky i zegarków. Nie ta od napinania szczęki i udawania, że nic nie boli.

Prawdziwa próba nie zaczyna się jednak na polu walki. To się dzieje w, wydawałoby się, przyjaznej scenerii domowego zacisza, kiedy trzeba przyznać: „Boję się. Starzeję się. Nie wiem, co dalej. Potrzebuję rozmowy. Potrzebuję pomocy".

Dzieje się to zazwyczaj na rozdrożu dwóch krzyżujących się perspektyw rozumienia męskości: zranionych niemocą adamów i wielkiej opowieści kobiet o tym, że prawdziwy mężczyzna płacze i okazuje uczucia.

Ale mężczyźni nie chcą tej opowieści słuchać. Nie dowierzają, że naprawdę już pora usiąść i pomyśleć, co dalej. Jakie to życie ma teraz być? Gdzie poszukać nowych map? Ciągle wierzą, że życie można naprawić kluczem nasadowym. Próbują dziesiątki razy, oczywiście bezskutecznie, wyładowując swoje frustracje na bliskich, nim uznają swoją bezsilność wobec tego, co już nie działa.

Programów profilaktycznych skierowanych do kobiet jest znacznie więcej. Są lepiej rozpoznawalne, częściej obecne w przestrzeni publicznej, mocniej osadzone w języku kobiecej codzienności. Kobieta wie, że są: ginekolog, cytologia, mammografia, rozmowa o menopauzie. Wie, że pewne etapy życia mają swoje nazwy, procedury, badania, specjalistów.

Tymczasem wielu mężczyzn nie wie nawet, gdzie zacząć.

Do kogo pójść, kiedy ciało zaczyna wysyłać sygnały, że coś się zmienia? Do urologa? Endokrynologa? Seksuologa? Psychoterapeuty? Lekarza rodzinnego?

Fantazje o testosteronie

System nie bardzo wie, jak rozmawiać ze starzejącym się mężczyzną. Nie znaczy to, że nie ma kompetentnych lekarzy. Są. Istnieją wytyczne, diagnostyka, urolodzy, endokrynolodzy, psychiatrzy, seksuolodzy, psychoterapeuci. Problem polega raczej na tym, że brakuje spójnej, łatwo rozpoznawalnej ścieżki dla mężczyzny po czterdziestce, pięćdziesiątce, sześćdziesiątce.

Brakuje rozmowy o zmęczeniu, libido, śnie, nastroju, lęku, poczuciu utraty siły. O tym wszystkim, co nie mieści się w prostym pytaniu: „Co pana boli?".

Sama „andropauza" też jest słowem kłopotliwym. Medycznie nie jest prostym odpowiednikiem menopauzy. Nie ma tu jednego gwałtownego przejścia, wspólnego dla wszystkich mężczyzn. Spadek testosteronu bywa stopniowy, objawy są różne, a zmęczenie, gorszy sen czy obniżony nastrój mogą mieć wiele przyczyn.

Ale jako skrót kulturowy to słowo ma pewną siłę: pozwala zacząć rozmowę o czymś, co dotąd często nie miało nazwy. Kulczyk Foundation sama opisuje andropauzę jako społecznie potrzebny temat, który pomaga mówić o męskim starzeniu się, choć wymaga medycznej precyzji.

No i co robi nasz mężczyzna?

Coraz częściej zaczyna fantazjować o testosteronie.

Nie zawsze jako o leku po spokojnej diagnostyce, ale jako o obietnicy powrotu. Jakby w jednej ampułce, żelu albo tabletce dało się zamknąć i zaimpregnować dawną wersję siebie: szybszą, twardszą, bardziej sprawczą, mniej zmęczoną.

„Testosteron" brzmi jak chemiczna tęsknota za czasem, kiedy ciało działało szybciej, a noc była krynicą nieskończonych orgazmów. Problem w tym, że za tym gestem często stoi nie diagnoza, tylko panika. Lęk przed utratą męskości ubrany w język suplementów, hormonów i internetowych poradników.

Medycyna jest tu znacznie mniej romantyczna niż internet. Endocrine Society zaleca rozpoznawanie hipogonadyzmu tylko u mężczyzn, którzy mają objawy zgodne z niedoborem testosteronu oraz jednoznacznie i powtarzalnie niskie stężenia tego hormonu; diagnozę powinno się potwierdzić powtórnym porannym badaniem na czczo.

Tu ważne zastrzeżenie: zarówno zmęczenie, spadek energii, gorszy sen, jak i obniżony nastrój nie muszą oznaczać jednego problemu hormonalnego. Mogą być skutkiem: otyłości, bezdechu sennego, cukrzycy, przewlekłego stresu, depresji, leków, wypalenia albo zwykłego życia prowadzonego latami na kredyt.

Płaczący wojownik

Najtrudniej jest okazać emocje. Mit prawdziwej męskości, za którym tęsknią kobiety, dojrzewa powoli, czekając na rozpad złudzeń. A przecież świat doskonale ten mit zna. Zna Achillesa – to największy wojownik Greków, który płacze po Patroklosie i razem z Priamem opłakuje zmarłych wrogów. Gilgamesza, króla i herosa, który po śmierci Enkidu rozpada się z żalu i po raz pierwszy naprawdę rozumie, że jego także czeka śmierć. Odyseusza, wzór sprytu i przetrwania, który, słuchając pieśni o Troi, nie potrafi powstrzymać łez.

Trudno powiedzieć naszym żonom, partnerkom, córkom: „Słuchaj, coś niedobrego się dzieje, potrzebuję pomocy"

Antyczny mężczyzna miał prawo lamentować. Mógł rozedrzeć szaty, paść na ziemię, płakać nad przyjacielem, synem, utraconą młodością, przegraną wojną, własnym losem. Mógł być wojownikiem i człowiekiem jednocześnie.

To dopiero nowoczesny bohater zostaje sam z własną słabością, której nikt wcześniej nie nauczył go nazywać.

Narodowy Instytut Zdrowia Psychicznego w USA przypomina, że problemy psychiczne u mężczyzn nie zawsze wyglądają jak smutek w potocznym sensie. Mogą się objawiać: drażliwością, gniewem, agresywnością, zmianami energii, zaburzeniami snu, wycofaniem, nadużywaniem alkoholu lub innych substancji, zachowaniami ryzykownymi czy dolegliwościami fizycznymi bez jasnej przyczyny.

To ważne, bo wiele domowych awantur, milczeń i chłodów zaczyna się właśnie tam, gdzie mężczyzna sam nie umie jeszcze powiedzieć, że cierpi. Nie dostał instrukcji obsługi własnej kruchości. Dostał za to całe życie treningu w udawaniu, że jej nie ma.

W „Śmierci komiwojażera" Arthura Millera Willy Loman się rozpada, bo przestał pasować do własnej legendy. Przez lata wierzył, że wystarczy być pracowitym, lubianym, potrzebnym. A potem przychodzą starość, zmęczenie, zawodowa bezużyteczność i dom, w którym jego autorytet brzmi już bardziej jak skarga niż rozkaz.

W „Drodze do szczęścia" Richarda Yatesa i filmie Sama Mendesa małżeństwo nie rozpada się od jednej zdrady, jednego krzyku, jednej awantury. Ono gnije powoli: od niespełnienia, od pogardy, od niemożności powiedzenia sobie prawdy. On chce nadal widzieć siebie jako człowieka większego niż codzienność. Ona nie chce już uczestniczyć w jego teatrze. I nagle dom staje się sceną wzajemnego rozczarowania.

Gry małżeńskie

Oto obrazy, które do nas trafiają. Kodują mechanizmy, które doskonale znamy.

Ten wzorzec gier małżeńskich: nacisk – wycofanie: jedna osoba próbuje rozmawiać, druga ucieka w milczenie.

Ten układ wiąże się z niższą satysfakcją w relacji, a metaanalizy dotyczące komunikacji seksualnej pokazują dodatni związek między umiejętnością rozmowy o seksie a satysfakcją z relacji i życia seksualnego.

Gramy w to: w milczenie, uniki, by tego nie dotknąć, zmiany tematu, szukanie pretekstów, by od siebie uciec: przy stole, w łóżku, w samochodzie i na urlopie, w sobotnie popołudnie, kiedy ktoś znowu mówi za ostro, a przebodźcowujący serial gasi zagrożenie przed prawdziwą relacją i szczerą rozmową. Kiedy dwoje ludzi mieszka ze sobą, ale już nie wie, jak do siebie wrócić.

W „Dniu świra" Marka Koterskiego śmiejemy się z neurotycznego mężczyzny, ale ten śmiech szybko grzęźnie w gardle. Adaś Miauczyński jest śmieszny tylko do pewnego momentu. Potem staje się boleśnie rozpoznawalny: samotny, rozczarowany, pełen pretensji do świata, zraniony własną niespełnioną wersją siebie. Nie umie kochać spokojnie, nie umie być blisko, nie umie wyjść po za rytuał żalu. Jest jak mężczyzna, który całe życie czekał, aż ktoś wreszcie zrozumie jego cierpienie, ale sam nigdy nie nauczył się mówić o nim inaczej niż przez złość.

Transformacja mężczyzn bywa większym wyzwaniem dla kobiet niż dla nich samych. Nie dlatego, że kobiety mają wykonywać za mężczyzn emocjonalną pracę. Przeciwnie – często wykonywały ją zbyt długo. Raczej dlatego, że kiedy mężczyzna zaczyna się naprawdę zmieniać, zmienia się cały układ domowy.

Jeśli przez lata jego milczenie było fundamentem pozornego spokoju, rozmowa może zabrzmieć jak trzęsienie ziemi.

Jeśli przez lata partnerka musiała się domyślać, tłumaczyć, łagodzić, prowadzić do lekarza, przypominać o badaniach, pilnować leków i emocji, to jego spóźniona dojrzałość może budzić nie tylko ulgę, ale też gniew.

Bo można kochać człowieka i być zmęczonym jego niedostępnością.

Można mu współczuć i jednocześnie mieć dość tego, że przez lata każda rozmowa o jego zdrowiu, smutku, lęku czy seksualności kończyła się ścianą.

Dlatego męska przemiana nie może polegać na tym, że kobiety staną się jeszcze lepszymi tłumaczkami męskiego milczenia. Nie może być kolejnym zadaniem do wykonania przez partnerki, żony, córki, przyjaciółki. Mężczyzna po pięćdziesiątce nie potrzebuje opiekunki własnej niedojrzałości. Potrzebuje języka, odpowiedzialności i odwagi, żeby wreszcie stanąć po stronie własnego życia.

Starzenie się nie musi być stratą

To nie znaczy, że ma zrobić wszystko sam. Właśnie w tym rzecz: nie musi sam. Ale musi przestać udawać, że nikt nie widzi, jak bardzo jest samotny. „Jakoś będzie" nie jest strategią.

Raport Kulczyk Foundation pokazuje coś więcej niż niski poziom wiedzy o andropauzie. Pokazuje społeczną lukę w opowieści o męskim starzeniu się. Mężczyzna po czterdziestce czy pięćdziesiątce często ma tylko żart, wstyd i zdanie: „jakoś będzie".

Tylko że „jakoś będzie" nie jest strategią zdrowotną.

W badaniu Kulczyk Foundation co drugi respondent popierał specjalną wizytę andropauzalną u internisty dla mężczyzn w wieku 45-60 lat, a 45 procent wskazywało na potrzebę publicznie finansowanych programów profilaktycznych. To pokazuje, że problem nie sprowadza się do indywidualnej decyzji: „idź do lekarza". Potrzebna jest ścieżka, którą mężczyzna będzie umiał rozpoznać, zanim jego ciało zacznie krzyczeć.

Nie chodzi o nowy projekt „lepszego faceta", który teraz ma być jednocześnie silny, wrażliwy, przebadany, wysportowany, terapeutyczny, seksualnie sprawny i wiecznie pogodny. To byłaby tylko kolejna przemoc w elegantszym języku.

Chodzi o coś prostszego i trudniejszego: o prawo do bycia człowiekiem w ciele, które się zmienia. O prawo do męskości, która nie kończy się w chwili, gdy ciało przestaje działać jak maszyna.

A przecież starzenie się nie musi być wyłącznie opowieścią o stracie.

Może być także momentem, w którym człowiek zaczyna odróżniać rzeczy ważne od hałasu. Przestaje mylić kontrolę z bliskością. Przestaje udawać, że autorytet polega na nieomylności. Przestaje wierzyć, że wartość mężczyzny mierzy się wyłącznie wydajnością, zarobkami, sprawnością, seksualną gotowością i zdolnością do noszenia wszystkiego samemu.

Po pięćdziesiątce, a często parę lat przed, można już wiedzieć, że siła bez czułości bywa tylko maską. Że milczenie nie zawsze jest godnością. Że praca nie zastąpi rozmowy. Że ciało nie jest wrogiem, tylko archiwum życia. Że lekarz nie jest upokorzeniem. Że psychoterapia nie jest kapitulacją. Że powiedzenie „boję się" wymaga czasem więcej odwagi niż wszystkie udawane pewności razem wzięte.

Przy okazji książki „Adwokaci. Zraniony zapał" odbyłem dziesiątki rozmów z kolegami z branży. Zrozumiałem, że męski kryzys połowy życia nie musi być katastrofą. Andropauza nie musi oznaczać końca energii, sprawczości i sensu.

Może być początkiem nowego życia: spokojniejszego, głębszego, mniej pokazowego. To czas, w którym mężczyzna może przestać być gladiatorem własnej próżności, a stać się mentorem – kimś, kto dba o pamięć, przekazuje doświadczenie i wreszcie ma czas, by poznać siebie. Nie wersję siebie stworzoną dla klientów, sądu, środowiska i rodziny, ale tę najtrudniejszą: prywatną, nieuzbrojoną, prawdziwą. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 9e613fd31b



FOT. GETTY IMAGES

ILE NAPRAWDĘ MASZ LAT?

Genetyczka: Sprawdzam, jak spowolnić starzenie i złapać mordercę.

OPOWIEŚĆ **DR HAB. EWELINY POŚPIECH** Z ZAKŁADU GENOMIKI I GENETYKI SĄDOWEJ POMORSKIEGO UNIWERSYTETU MEDYCZNEGO W SZCZECINIE
NOTOWAŁA **KATARZYNA STASZAK**

Informacje zapisane w genach można badać w różny sposób. Mnie już w czasie studiów zafascynowało wykorzystywanie DNA w kryminalistyce.

Im bardziej zagłębiałam się w genetykę, która ma służyć policji i prokuraturze, tym częściej się okazywało, że to, co robię, ma też znaczenie w diagnostyce i medycynie. Szukałam sposobów na znalezienie przestępców, a to nieoczekiwanie zaprowadziło mnie w kierunku ogólnych badań związanych ze zdrowym starzeniem się, stylem życia, wpływem środowiska na nasze zdrowie.

Typowanie winnego na podstawie śladu DNA

Zajmowałam się dyscypliną, która nazywa się kryminalistycznym fenotypowaniem DNA. To stosunkowo nowa metoda śledcza, która pozwala wywnioskować cechy wyglądu zewnętrznego sprawcy na podstawie materiału genetycznego pozostawionego na miejscu zbrodni. Wyobraźmy sobie, że mamy ofiarę zbrodni albo miejsce kradzieży i ślad, który prawdopodobnie zostawił przestępca. Może być to kropla krwi, ślina albo nasienie. Chodzi o to, żeby na podstawie DNA nakreślić portret sprawcy. Określić jego kolor oczu, włosów, skóry i wiek.

Jeśli podejrzany został już zatrzymany lub tymczasowo aresztowany, jego DNA można porównać z materiałem genetycznym zabezpieczonym na miejscu przestępstwa. Taki dowód z DNA jest bardzo silnym dowodem wykorzystywanym w sądzie. Jeśli w policyjnej bazie jest DNA podejrzanego, też wystarczy porównanie. Często jednak nie ma osoby podejrzanej, jest tylko mały ślad genetyczny przestępcy. Wtedy sprawa staje w martwym punkcie.

W takich sytuacjach ma pomóc kryminalistyczne fenotypowanie DNA. Śledczym brakuje wskazówek, więc staramy się wyciągnąć jak najwięcej informacji o osobie, która stanowi źródło próbki biologicznej.

To nie są proste analizy, bo żeby w ogóle móc przewidywać cechy wyglądu, musimy dobrze rozumieć, jak te cechy są determinowane. Na przykład, jak determinowane jest to, że mamy brązowy kolor oczu i kręcone włosy.

Dzisiejsze technologie pozwalają nam przebadać cały genom człowieka. Problem tkwi w interpretacji tych informacji. Cechy wyglądu człowieka są warunkowane przez wiele różnych genów, które wzajemnie ze sobą oddziałują.

Genetyk jest więc biologiem, statystykiem i bioinformatykiem. Muszę umieć połączyć tysiące małych wskazówek zapisanych w DNA i zrozumieć, co razem oznaczają. Jak to się przełoży na fenotyp? Czy ta osoba będzie miała oczy ciemnobrązowe czy raczej piwne? Musimy rozumieć, jak z oczu potencjalnie niebieskich powstają jednak zielone.

Istnieje narzędzie IrisPlex, które dzięki analizie zaledwie sześciu genów pozwala przewidzieć koloru oczu z dokładnością do 90 proc. To narzędzie bardzo dobrze sobie radzi z przewidywaniem niebieskiego i brązowego koloru oczu. Gorzej jest z kolorami pośrednimi jak zielony czy piwny. Co to oznacza? Że liczba genów zastosowana w tym modelu nie jest wystarczająca, żeby to narzędzie działo na 100 proc.

Badania na myszach wykazały, że genów zaangażowanych w fenotyp pigmentowy, czyli kolor oczu i włosów, jest ponad 120. To pokazuje, z jakim ogromnym zestawem informacji pracujemy.

Czy szybko osiwieję?

Kluczem do sukcesu w badaniach nad genetycznym uwarunkowaniem cech człowieka są biobanki. To ogromne zbiory danych zawierające informacje genetyczne oraz dane o zdrowiu i cechach nawet setek tysięcy osób. Dzięki nim możemy sprawdzać, czy określone warianty DNA częściej występują u osób o piwnych oczach, kręconych włosach czy większej skłonności do określonych chorób. Im większy taki zbiór danych, tym większa szansa na odkrycie nowych genów i lepsze zrozumienie biologii człowieka.

Brałam udział w badaniach, dzięki którym powstał pierwszy na świecie model do predykcji kształtu włosów i pierwszy model do predykcji wczesnego siwienia. Miałam również swój udział we współtworzeniu narzędzia HIrisPlex-S do przewidywania koloru oczu, włosów i skóry. Warto podkreślić, że tego typu osiągnięcia zawsze są wynikiem pracy zespołowej, często prowadzonej we współpracy międzynarodowej.

Takie narzędzia można stosować nie tylko w kryminalistyce. Przydają się też antropologom do przewidywania wyglądu osób, których szczątki odnaleźli.

Dane dotyczące predyspozycji do wczesnego siwienia czy łysienia mogą w przyszłości pomóc w rozwoju medycyny spersonalizowanej.

W miarę tego, jak poznajemy warianty genetyczne odpowiedzialne za te procesy, otwiera się droga do lepszego zrozumienia mechanizmów biologicznych i potencjalnie bardziej ukierunkowanych terapii.

Geny to zapis predyspozycji, a wiemy już, że ogromny wpływ na aktywację poszczególnych genów mają środowisko, styl życia czy

eprasa.pl 9e613fd31b

stres. Tym wpływem na aktywność genów zajmuje się epigenetyka.

Jeśli ktoś się dowie, że ma podwyższone genetyczne predyspozycje do danej choroby, może świadomie lepiej dbać o zdrowie i ograniczać czynniki środowiskowe, które zwiększają ryzyko jej rozwoju. W wielu przypadkach to właśnie styl życia i środowisko wpływają na to, czy predyspozycje genetyczne przekładają się na chorobę.

Dlaczego starzejesz sie wolniej?

Kluczową informacją dla śledczych jest wiek sprawcy. Jeśli dzięki kropli krwi znalezionej na miejscu przestępstwa, wiemy, że szukamy osoby 25-letniej, to bardzo zawęża się krąg potencjalnych sprawców.

Grupa, w której działałam, opracowała pierwszy model do predykcji wieku dla celów kryminalistycznych.

Te ustalenia łączą się z badaniami nad starzeniem. Przełomem było wykrycie związku metylacji DNA z wiekiem. Metylacja to zmiana działania jakiegoś fragmentu DNA – dzięki metylacji komórki dostają informację, czy jakiś gen jest aktywny czy nie. Te zmiany w aktywności genów bada właśnie epigenetyka.

Okazało się, że około 30 proc. miejsc w genomie, w których obserwuje się zmiany metylacji DNA, wykazuje związek z wiekiem. Te ustalenia pozwoliły stworzyć modele przydatne w kryminalistyce. Jesteśmy współautorami modeli do przewidywania wieku w różnych tkankach – jeśli badamy krew, to musimy korzystać z innego modelu niż wtedy, gdy badamy ślinę.

Wciąż doskonalimy te narzędzia, robimy to w ramach współpracy z innymi ośrodkami z Europy. W przyszłości takie modele będzie można wykorzystywać na przykład do określania wieku migrantów, którzy przekraczają granicę bez dokumentów. Młodym osobom przysługują szczególne prawa, które mają je zabezpieczać.

Narzędzia matematyczne, które przekładają informację płynącą z metylacji DNA na przewidziany wiek, to zegary epigenetyczne. Na początku szukaliśmy takich miejsc w naszym genomie, których metylacja korelowała ściśle z wiekiem chronologicznym, czyli z naszą datą urodzenia. Bo właśnie wiek chronologiczny chcieliśmy przewidywać w kryminalistyce. Musieliśmy więc znaleźć takie miejsca w genomie, które są jak najmniej wrażliwe na działanie czynników środowiskowych. Tak powstały zegary epigenetyczne pierwszej generacji.

Jednocześnie na świecie trwały badania, które pokazały, że nasz organizm starzeje się szybciej lub wolniej w zależności od stylu życia.

Osoba urodzona 40 lat temu może być biologicznie młodsza, czyli mieć np. 34 lata, bo prowadzi zdrowy styl życia.

A rówieśnik tej osoby może być biologicznie starszy, bo pali, nie dba o dietę, nie jest aktywny i ma na przykład biologicznie 50 lat.

W ten sposób z zegarów pierwszej generacji rozwinęły się zegary drugiej i trzeciej generacji, które dużo lepiej przewidują wiek biologiczny. Dziś mamy dostęp do kilku takich zaawansowanych zegarów. Pozwalają określać wiek biologiczny organizmu, który koreluje ze stanem zapalnym, chorobami lub odwrotnie – ze świetną kondycją zdrowotną.

Po co nam wiek biologiczny?

Proces starzenia jest bardzo złożony. Na starzenie składa się wiele różnych mechanizmów zachodzących w naszym organizmie jednocześnie. Skoro nie ma jednej obiektywnej miary wieku biologicznego, to skąd wiemy, że jakiś zegar epigenetyczny jest lepszy lub gorszy?

Sprawdzamy, jak wyniki uzyskane z zegarów wiążą się z ryzykiem rozwoju chorób, z ryzykiem śmiertelności, z funkcjami poznawczymi itp.

Z grupą naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, Uniwersytetu Łódzkiego i Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji połączyliśmy siły i po raz pierwszy szeroko przebadaliśmy zegary epigenetyczne wśród Polaków.

W badaniach wzięło udział około tysiąc osób. Chcieliśmy zbadać, jakie cechy stylu życia Polaków korelują z wyższym, a jakie z obniżonym wiekiem epigenetycznym.

Niektóre zegary podają średni wiek biologiczny danej osoby, inne rozbijają te informację na konkretne układy organizmu. Czyli raport podaje informację, jaki jest wieku układu sercowo-naczyniowego, wiek mózgu czy wiek metaboliczny.

Zegary epigenetyczne mogą identyfikować obszary naszego zdrowia, które wymagają interwencji. Mogą motywować ludzi do zmiany stylu życia, do walki o obniżenie swojego wieku biologicznego, czyli obniżenie ryzyka zawału, udaru czy cukrzycy. Idea jest taka, że zegary będą elementem wczesnej diagnostyki.

Najnowsze zegary epigenetyczne pokazują tempo starzenia organizmu. To tempo może być równe z wiekiem chronologicznym albo szybsze, a najlepiej, jeśli jest wolniejsze. Wtedy mamy największe szanse na uniknięcie chorób.

Ustaliliśmy, że czynnikiem, który mocno wiąże się z szybszym tempem starzenia u Polaków, jest palenie papierosów, widać było też negatywny wpływ małej liczby godzin snu i wysokiego spożycia mięsa. To były najsilniejsze korelacje.



Dane dotyczące predyspozycji do wczesnego siwienia czy łysienia mogą w przyszłości pomóc w rozwoju medycyny spersonalizowanej

DR HAB. EWELINA POŚPIECH

Z kolei czynnikami, które wpływały na odmłodzenie epigenetyczne u Polaków, była aktywność fizyczna, zwłaszcza codzienna. Wykazaliśmy też pozytywny związek z dietą bogatą w warzywa. I jako pierwsi na świecie wykazaliśmy, że joga ma pozytywny wpływ na odmłodzenie epigenetyczne. Joga to coś więcej niż tylko niż tylko aktywność fizyczna, to również sposób radzenia sobie ze stresem.

Pozytywny wpływ na tempo starzenia mają też dwie-trzy filiżanki kawy.

Jak zmarszczki łączą się ze zdrowiem?

W kolejnych badaniach skupiamy się na określonych grupach osób, aby móc projektować bardziej personalizowane interwencje. Na przykład w ramach aktualnego projektu Opus Omega koncentrujemy się na osobach z zespołem metabolicznym.

Jedna grupa uczestników dostanie od nas zalecenia dietetyczne, druga – zalecenia treningowe, trzecia – i dietę, i ćwiczenia. Jednocześnie w tym samym projekcie badamy wpływ suplementacji kwasami omega-3. Zobaczymy, jak każda z tych interwencji wpłynie na tempo starzenia organizmu.

Celem tych interwencji jest zmniejszenie przewlekłego stanu zapalnego, który jest cechą starzenia i wiąże się z zaburzeniami metabolicznymi. Chcemy poprawiać zdrowie uczestników badania i komfort ich życia. Jeśli zredukujemy stan zapalny, wpłyniemy na starzenie biologiczne.

Oczywiście, od lat wiadomo, że zdrowe odżywanie i ruch nam służą. Chcemy jednak dokładnie sprawdzić, jak bardzo są skuteczne, jeśli chodzi o stan zapalny i tempo starzenia. Takie badania pomagają też zbierać informacje dla medycyny przyszłości, która będzie personalizowana. Ta sama dieta nie musi bowiem działać dokładnie tak samo u każdej osoby.

Oprócz epigenetyki badamy więc u każdej osoby mikrobiom jelitowy. Badamy nawet skórę, to, jak zmienia się kondycja skóry i wygląd twarzy dzięki zmianom stylu życia.

Powstawanie zmarszczek, opadające powieki, bruzdy nosowo-wargowe to cechy związane ze starzeniem się twarzy. Na ile jednak to działanie genów, a na ile wpływ stylu życia?

Badania coraz częściej pokazują, że skóra – jako największy organ naszego organizmu – w dużej mierze odzwierciedla to, co zachodzi w całym organizmie, w układzie krążenia czy układzie odpornościowym. Skóra jest najbardziej wyeksponowana na działanie czynników środowiskowych, więc jest świetnym modelem do badań nad starzeniem.

Jeśli zmniejszymy stan zapalny, usprawnimy funkcjonowanie mitochondriów, poprawimy walkę ze stresem oksydacyjnym, poprawimy zdrowie metaboliczne, to okazuje się, że stan skóry też się poprawi. Stan skóry i tempo jej starzenia jest więc odzwierciedleniem stanu całego organizmu.

Wykazałam w przeprowadzonych badaniach, że metylacja genu EDAR jest związana z tempem powstawaniem zmarszczek. To bardzo ważne odkrycie, które może mieć zastosowanie w kosmetyce przyszłości.

Zależy mi na szukaniu związków między stylem życia, zdrowiem i tempem starzenia.

W zeszłym roku naukowcy z Hiszpanii opublikowali wyniki wielu badań Marii Branyas Morery, która zmarła w wieku 117 lat. Pytana, co robi, że tak długo żyje, odpowiadała, że nic specjalnego. Ale jak spojrzymy na jej styl życia, to widać, że nie paliła, stosowała dietę śródziemnomorską, utrzymywała przyjacielskie relacje.

Jeśli chcemy żyć długo w dobrym zdrowiu, kluczowe są codzienne nawyki. To one mają wpływ na metylację i ekspresję genów, czyli na to, jak odczytana będzie informacja zawarta w DNA. ●

REKLAMA
Kraj/34437837



1 RP

eprasa.pl 9e613fd31b

SŁOŃCE ŚWIECI O PÓŁNOCY

Szwecja to kraj bogaty, rozwinięty, socjalistyczny w dobry sposób. I nowoczesny do bólu, a jednocześnie pielęgnujący pogańskiego ducha. Co szwedzkie święta mówią o Szwedach?



• **MIDSOMMAR, czyli święto najdłuższego dnia w roku (przesilenia letniego). Najważniejszy symbol to majstång (umajony słup) wokół którego się tańczy i śpiewa**

FOT. ULF PALM/TT/EPA/PAP

Małgorzata Sidz

Jedno z najważniejszych szwedzkich świąt już wkrótce – Noc Świętojańska, czyli po szwedzku Midsommar. Jej obchody zawsze zaczynają się już w pierwszą piątkową noc, która wypada między 19 a 26 czerwca – blisko przesilenia letniego. W Polsce kojarzy się z puszczaniem wianków na wodzie, szukaniem kwiatu paproci i skakaniem przez ogniska. W Szwecji z grubsza jest podobnie, choć tu Midsommar ma status święta narodowego. Mimo, że teoretycznie świętowane jest w sobotę, biura i sklepy zamykają się już w piątek.

Skandynawowie celebrują najdłuższy dzień w roku z wyjątkową werwą. Może to dlatego, że ich zimy są dłuższe i zimniejsze i tęsknią za słońcem. Czasem wydaje się, że mrok nigdy się nie skończy. Oczywiście Szwedzi kochają sporty zimowe, a śnieg i lód nie jest dla nich wyzwaniem, ale codzienne budzenie się bez słońca źle wpływa na samopoczucie i zdrowie psychiczne.

Kiedy więc powietrze zaczyna pachnieć ziemią, kwiatami, trawą i deszczem, Szwedzi odżywają. Każdy szuka kawałka zieleni, jakiegoś parku lub lasu. Każdy kto może, wyjeżdża na wieś albo do domku letniskowego nad wodą. Na Midsommar centra wielkich miast pustoszeją i cichną. A tam, gdzie są ludzie, czuje się ogromną energię i optymizm.

Tańce na boso przy słupie

Ci, którzy celebrują w małym gronie rodziny i przyjaciół, rozstawiają w ogródkach stoły, przykrywają je białym obrusem i podają klasyczne potrawy – marynowane (na wiele sposobów) śledzie, gravlaksa (marynowany łosoś), młode ziemniaki z koperkiem i kwaśną śmietaną oraz koniecznie – świeże truskawki, czasami np. jako ozdoba kremowego tortu. Ważne jest wszystko, co świeże, co dopiero urosło, co smakuje intensywnością i życiem.

Do tego sznaps – najczęściej w postaci anyżowego, koperkowego akwawitu. Na każdy kieliszek trzeba zasłużyć – Szwedzi znają mnóstwo krótkich pijackich przyśpiewek, którymi się przekrzykują. Kiedy przyśpiewki im się skończą, wygłaszają rzewne pijackie toasty. A kiedy brzuchy są pełne jedzenia i alkoholu, pora na rozmowy o życiu i śmierci albo na ciszę z widokiem na taflę wody.

Ci, którzy celebrują Midsommar w miastach i miasteczkach, idą do parku, gdzie ustawiany jest majstång – wysoki i bogato zdobiony słup – opleciony trawą, liśćmi, gałęziami brzozy, i kwieciem. Ma charakterystyczny kształt –trójkąt na szczycie z dwoma wiankami u dolnych rogów – co według niektórych może symbolizować płodność albo świętą liczbę trzy wskazującą na niebo, ziemię i podziemia.

Słup stawia się przy akompaniamencie skrzypiec i śpiewa się ludowe pieśni. A kiedy już sobie stoi, to w zależności od fantazji, wplata się we włosy kwiatki a czasem wkłada na głowę wianki i trzymając się za ręce tańczy dookoła niego.

Obcokrajowcy ze zdziwieniem patrzą, jak Szwedzi – znani z emocjonalnego opanowania, dystansu i lek-

eprasa.pl 9e613fd31b

kiego chłodu w relacjach – tego dnia są uśmiechnięci i ekstrawertyczni. Niektórzy zdejmują buty, żeby boso być bliżej energii ziemi. I tańczą podskakując do piosenki o małych żabkach („Små grodorna").

Doświadczenie słońca

Szwedzi tak entuzjastycznie celebrują Midsommar, bo są dumni ze swoich tradycji i historii, gdzie z jednej strony mamy okrutnych, i odważnych Wikingów a z drugiej uczciwie, i ciężko pracujących na polu chłopów. No i oczywiście szczycą się też pogańskimi korzeniami swojej kultury. Większość świąt, nawet tych z nazwy chrześcijańskich, nawiązuje do natury, światła, żywiołów.

W Polsce choć nazwa – Noc Świętojańska – kojarzy się religijnie, to przecież święto z czasów pogańskich. Noc Kupały to pochwała przyrody, lata i płodności. Dla Szwedów jest symbolem przemiany i oczekiwania na nowe nawet większym niż Sylwester. Wszak wtedy wszystko może się wydarzyć.

Najdłuższy dzień w roku jest tym bardziej wyjątkowy, im dalej na północ, gdzie na słońce i odwilż najbardziej się czeka. Bo na północy w czerwcu słońce nie zasypia wcale – w pewnej chwili przygasa tylko po to, by zaraz na nowo rozbłysnąć. To spotkanie ze słońcem o północy jest bardzo dziwne ale też niezwykle inspirujące. Rozum mówi – nie wracaj do domu, zostań, jeszcze jest jasno. Nie chodź spać. Tańcz, bądź z ludźmi, nie odpoczywaj.

Midsommar w filmie „Midsommar"

Nic dziwnego, że Ari Aster, amerykański reżyser filmu „Midsommar" (2019) zobaczył w szwedzkiej pierwszej nocy letniej coś transowego, niepokojącego, trudnego do zrozumienia dla osób z zewnątrz, które nie doświadczają słońca o północy.

Szwedzi z fikcyjnego miasteczka Hårga to poganie ubierani w białe, lniane, chłopskie szaty z rozpuszczonymi długimi włosami. Biegają po łąkach śpiewając i zażywają substancje psychoaktywne. To jednocześnie hipisi żyjący w zgodzie z naturą i ludzie przestrzegający sztywnych zasad, które kojarzą się raczej z praniem mózgu w sekcie niż z tradycją.To do absurdu restrykcyjna wizja wolności.

Mieszkańcy Hårga uczestniczą w pogańskich obrzędach ubranych w bardzo teatralną formę. Midsommar jest dla nich okazją do przelania krwi, złożenia ofiary z ludzi, którzy nie są już „potrzebni" i zastąpienia ich nowym życiem, które powstaje w wyniku rytuału a nie z miłości. Mieszkańcy uprawiają magię, zażywają halucynogeny, uprawiają rytualny seks, a ich wieszcze pochodzą z chowu wsobnego. W tej filmowej wizji jest jednak zawarta zgrabna krytyka szwedzkiego systemu.

„Midsommar" to pastisz wizji społeczeństwa, w którym każdy odgrywa rolę dla dobra wspólnego, gdzie indywidualność nie istnieje, a ludzie przypominają członków sekty. Zamiast empatii – są zasady. Zamiast więzi – prawa. Zamiast człowieczeństwa – utylitaryzm. Za ich pustymi oczami i nienaturalnymi uśmiechami nie kryje się żadna indywidualna myśl, nic poza potrzebą podtrzymywania tradycji i społecznych norm.



FOT. JOHAN NILSSON/TT/EPA/PAP

• **DZIEŃ ŚWIĘTEJ ŁUCJI. W kościołach odbywają się procesje, którym przewodzi dziewczyna (św. Łucja) z koroną płonących świec na głowie. Na zdj. chór studentów Politechniki w kościele na terenie Skansenu na wyspie Djurgården w Sztokholmie**



FOT. SHUTTERSTOCK

• **SEMLA – tradycyjna szwedzka bułeczka z nadzieniem z masy migdałowej i górą bitej śmietany, którą jada się tylko na Wielkanoc**

Społeczeństwo indywidualistów

Można uznać, że ten obraz jest amerykańską fantazją na temat ultraliberalnych, bezbożnych i dziwacznych seksualnych dewiantów ze Skandynawii. I odrzuć tę wizję. Albo... zobaczyć w filmie kośląwą próbę zrozumienia tego, w jaki sposób te przedziwne postaci tworzą funkcjonującą tutaj socjalistyczną demokrację – twór zupełnie nie do wytłumaczenia w amerykańskiej narracji.

Oczywiscie w Szwecji nikt nie zabija się skacząc ze skały w wieku 72 lat, żeby nie być dla systemu ciężarem. W obchodzeniu Midsommar widać jednak te sprzeczne ze sobą wartości, które Szwedzi tak często łączą ze sobą.

Szwedzi tęsknią za naturą na wyciągnięcie ręki. Za wolnością, którą dają bose stopy, ciepło jeziora i chłód morza. Za lasem, w którym można się zgubić. I za społecznością, która ustawia słup, wokół którego razem tańczy.

A jednocześnie doskonale odnajdują się we współczesnych miejskich scenariuszach, w których obowiązują ścisłe nakazy i zakazy. W stereotypowym Szwedzie żyją dwa wilki: jeden każe mu biegać po łąkach i wystawiać twarz do słońca, a drugi – każe donosić policji na sąsiada, który źle segreguje odpady.

Święto Midsommar – to fikcyjne, i to prawdziwe – pozwala przez jeden weekend przeżyć ten przedziwny kontrast między szwedzkim indywidualizmem, a życiem w społeczności i potrzebą bycia częścią narodowej tożsamości.

Szwedzkie relacje są rozproszone – tak, jesteśmy jedną rodziną, jednym narodem, tworzymy wspólny dom – folkhemmet. I dzisiaj tańczymy trzymając sie za ręce.

Ale na poziomie indywidualnych interakcji, chowamy się i uciekamy. Stoimy pod drzwiami z okiem przyklejonym do wizjera i czekamy, aż sąsiad wsiądzie do windy, bo nie chcemy spotkać go na korytarzu wychodząc z domu.

Demony Walpurgii

Zanim Szwecja rozkwitnie kolorami w Midsommar, świętuje w nocy z 30 kwietnia na 1 maja początek wiosny. Valborg, czyli Noc Walpurgii albo „noc czarownic" ma również korzenie pogańskie. W całym kraju palono się ogniska, które miały odstraszyć złe duchy.

Współcześnie Valborg znane jest jednak głównie jako święto studentów. Najhuczniej obchodzone w Upsali i Lund, gdzie jest ich najwięcej.

Na ten dzień młodzi ludzie przygotowują to, co dla młodych najważniejsze – przysmaki, alkohol i głośniki – zakładają białe czapeczki i rozbijają w parkach obozowiska. Niektórzy zabierają ten swój dobytek na łódeczki albo pontony i piją, kołysząc się na wodzie. Bardziej zorganizowani biorą udział w wodnym wyścigu na rzece.

Pije się od rana do nocy, a potem znowu do rana. Przechodząc z parku na festiwal, z baru do klubu, i z koncertu na domówkę.

Dla mnie esencję Valborg najlepiej oddaje Håkan Hellström, w piosence na cześć tego święta:

„Drużyna Aniołów dostała po tyłku
Ogródki są zielono-czarne
A w azaliach trudno się nie zakochać
Ktoś przysięga, że wszystko, co robisz jest dobre
Tak, jestem twój, a ty, jeżeli chcesz idiotę
Połóż swoją rękę na mojej
Nie mam miejsca, które mógłbym nazwać domem
W tym sikającym wiosennym deszczu
Dzieciaki z przedmieść uprowadziły tramwaj w ten wiosenny wieczór
Próbując heroiny życia
A jeżeli ty kiedykolwiek chciałabyś mieć idiotę
Połóż swoją rękę na mojej
[tłumaczenie autorki]

Nocy Walpurgii to esencja młodości – jej cudowna głupota, piękna lekkomyślność, podejmowanie spontanicznych, pochopnych decyzji. To poczucie, że nic nie jest nam potrzebne, nawet dom, wystarczy dłoń drugiej osoby w naszej. Nawet tramwaj można porwać dla zgrywu, bo tak, bo jest Noc Walpurgii.

Hellström napisał Valborg w wieku 39 lat, a najlepiej rozumie młodość ten, kto nie jest już młody. W tej niepozornej piosence mieści się cała magia Nocy Walpurgii.

O ile w ciągu dnia w parkach rozbrzmiewa techno i EDM, ludzie krzyczą głośno i piją, to nocą w świetle ogniska zaklęta jest prawdziwa magia. Może i sika deszcz, może ulubiona drużyna przegrywa, ale między nami rodzi się coś wielkiego i delikatnego.

Moc Walpurgii to spotkanie z czymś więcej, z czymś duchowym, transcendentnym. Cokolwiek ono dla nas oznacza. Np. z miłością.

Nocą przy ogniskach stoją już nie tylko studenci, ale całe rodziny z dziećmi. Ta noc jest magiczna także dlatego, że w pogańskiej tradycji wiosna to nie tylko okres przebudzenia, ale także okres ogromnych przemian. A te są zawsze niebezpieczne. Przełom między sezonami to okres, kiedy granice między światem naszym a światem duchów są nieszczelne. Rozpalanie ogniska chroni nas przed złymi mocami, które wkradają się tu, kiedy ludzie tracą czujność.

Patrząc wspólnie w ogień przez całą noc, rozmawiając, hałasując, przeganiamy demony. Ogień chroni nas i oczyszcza. Valborg nie jest jeszcze świętowaniem wiosny w pełni. To raczej pierwsze przebudzenie, pierwsze otwarcie oczu po długiej, zimowej drzemce. Ludzie stoją blisko ognia, który drażni ich oczy, bo parę kroków dalej jest wciąż zimno. Ale powoli do świata wraca światło.

Muzykalny naród

Szwedzkie święta mają wiele powtarzających się elementów – celebrację zmieniających się pór roku, poszukiwanie wspólnoty w trudnym okresie zimna i ciemności, rustykalną prostotę i nienachalne elementy nordyckiego folkloru. Pogaństwo jest też całkiem modne wśród nieco bardziej hipisowskich Szwedów, którzy odrzucili już

eprasa.pl 9e613fd31b

religię, ale chętnie wierzą w naturę, nagość, energię, gwiazdy. Niektórzy chętnie uczestniczą w pogańskich rytuałach, niektórzy doceniają duchowość, która pozwala im na stworzenie indywidualnej relacji z kosmosem na własny sposób.

To, co powtarza się w szwedzkich świętach, to także muzyka. Szwecja jest trzecim na świecie eksporterem muzyki na świecie, po USA i Wielkiej Brytanii, a sami Szwedzi – to bardzo muzykalny naród.

W sierpniu Szwedzi śpiewają razem np. na **kräftskiva** – czyli ucztach rakowych. Zasiadają przy długich stołach, ubierają papierowe czapeczki, fartuszki i śliniaczki, i jedzą raki. Biesiadują tak i piją przez całą noc, pod czujnym okiem papierowego słoneczka. W ten sposób świętują odchodzące lato.

Zanim lato odejdzie, mają jeszcze okazję śpiewać w ramach **Allsång på Skansen**. Od lat 30. XX wieku mieszkańcy Sztokholmu spotykają się w Skansenie (najstarsze takie muzeum na świecie, bo założone w 1891 roku), biorą w rękę śpiewniki i uczestniczą w wielkim, narodowym karaoke.

Bardzo ważnym wydarzeniem, które oglądają miliony ludzi, jest też **Melodifestivalen**, czyli krajowe eliminacje do festiwalu Eurowizji. W 10-milionowej Szwecji ogląda go trzy miliony ludzi. To najbardziej świeckie ze szwedzkich świąt.

Potrawy sezonowe i lampki z IKEA

Kolejny ważny kawałek w tej układance to sezonowość. Niektóre potrawy je się tylko raz w roku. Np. **semlę** – bułeczkę drożdżową z migdałami, kardamonem i nieprzyzwoitą ilością bitej śmietany – je się wyłącznie w okresie Wielkanocnym, do Tłustego Czwartku. Semla jest rodzajem narodowej obsesji. Kawiarnie prześcigają się w walce o tytuł najlepszej, a młodzi Szwedzi szukają tej, która będzie najlepiej wyglądała na Instagramie.

Lato w końcu musi się jednak skończyć. Po okresie wiecznego słońca nadchodzi okres wiecznego mroku. To nie przypadek, że to właśnie w Skandynawii narodziły się najbardziej popularne na świecie kryminały – trend nazywany czasem nordic noir. Tak, jak w trakcie Nocy Walpurgii, także w okresie bożonarodzeniowym Szwedzi zwracają się w stronę światła.

Ponieważ Szwedzi nie chronią swojej prywatności za firankami i żaluzjami, chodząc po ulicy możemy ich podglądać przez wielkie okna. Zimą na parapetach stawiają czteroramienne świeczniki, a domy ozdabiają świeczkami i lampkami. Ich światło jest białe, aksamitne, przytulne. Niektórzy wycinają z papieru gwiazdy, albo oczywiście kupują je w sklepie IKEA. Oświetlone domy są przeciwwagą dla mroźnego, ciemnego i przytłaczającego świata zewnętrznego.

Cynamon, wino i skrzaty

Im bliżej Bożego Narodzenia – nazywanego tu po nordycku **Jul** – tym w domach bardziej pachnie cynamonem, kardamonem i goździkami. Rodziny i znajomi spotykają się na wspólne pieczenie ciasteczek i pierniczków **pepparkakor**. Niektórzy sklejają z pierniczków domki i dekorują je lukrem. Piekąc, można śpiewać kolędy, albo pić korzenne, grzane wino **glögg**.

W samo Boże Narodzenie Szwedzi jedzą śledzie, łososia i klopsiki, ale centralne miejsce na stole zajmuje **julskinka** – bożonarodzeniowa szynka. Prezenty przynosi im **jultomten** – niegdyś świąteczny skrzat, który bronił domów w zamian za miskę owsianki, dzisiaj podejrzanie przypominający ubranego na czerwono staruszka z brodą z Coca-Coli.

Najważniejszy rytuał odbywa się o 15.00 w Wigilię. Wtedy telewizja emituje – nie, nie Kevina! – świąteczną kreskówkę z Kaczorem Donaldem. Od lat 60. szwedzkie rodziny robią przerwę w przygotowaniach świątecznych i oglądają razem przygody kaczora.

Przypadki pewnej kozy

Czasami na stołach stawia się **julbocken** – bożonarodzeniową kozę uplecioną ze słomy i przystrojoną czerwoną wstążką.

W mieście Gävle co roku na miejskim placu staje taka wielka słomiana koza. I co roku spotyka ją jakiś straszny koniec.

Po raz pierwszy upleciono ją i wystawiono w 1966 r. – skończyła żywot podpalana przez wandali.

W 1999 r. spłonęła już dwie godziny po tym, jak umieszczono ją na placu; a w 1989 r. spłonęłą jeszcze zanim tam stanęła; w 2001 r. podpalił ją jakiś amerykański turysta, bo myślał, że to taka lokalna tradycja.

W 2010 r. próbowano ją ukraść helikopterem; w 1976 r. upadła, bo wjechało w nią volvo; w 1997 r. uderzył w nią fajerwerk, a w 1983 r. ucięto jej nogi;

W 2005 r. para przebrana za Św. Mikołaja i Ludzika z Piernika strzelała do kozy z łuku podpalonymi strzałami. W 2004 r. w internecie stworzono kampanię pod hasłem „spalić tę jebaną kozę".

Łucja – Miss Zimy

Ale jeszcze przed Wigilią, 13 grudnia, obchodzony jest Dzień Świętej Łucji – po szwedzku **Lucia**. Co prawda ozdoby świąteczne można znaleźć w sklepach i na ulicach już na początku listopada, ale to Łucja właściwie wprowadza Szwedów w okres świąteczny. Samo imię Łucja pochodzi od łacińskiego słowa lux, czyli światło. Bo Szwedzi lubią zwycięstwo światła nad ciemnością.

Lucia to jedno z najbardziej klimatycznych świąt w ich kalendarzu. Nawet ci, którym na co dzień z religią nie po drodze, tego dnia przychodzą do kościoła, żeby obejrzeć procesję dzieci ubranych w białe szaty z czerwonymi szarfami. Trzymają długie świece w dłoniach, a na ich czele staje święta Łucja – z koroną świec na głowie, opartych o zielony wianek. Za nią idą ubrane w wianki dziewczynki oraz stjärngossar – chłopcy w wysokich czapkach z trzema gwiazdami, trzymający w ręku różdżkę z gwiazdką.

Jest wcześnie, jeszcze ciemno, i bardzo cicho. Dzieci śpiewają Sankta Lucia i Staffansvissan, czasami dodając do repertuaru parę klasycznych bożonarodzeniowych piosenek. Trzymając świece i śpiewając ofiarowują światło w tym najciemniejszym okresie roku, a także poczucie nadziei i wspólnoty. Najważniejszą nosicielką światła jest oczywiście sama Łucja.

Bardzo ważną kwestią jest wybór dziewczynki, która będzie świętą Łucją. Każda szkoła, przedszkole, biuro i korporacja, wybiera swoją Łucję. Czasami tylko symbolicznie. W demokratycznej Szwecji odbywają się po prostu wybory Łucji, do których zgłaszają się dziewczynki, które umieją śpiewać i nie boją się publicznie występować. Czasami Łucję wybiera osobiście dyrygent chóru.

W dniu święta piecze się – albo kupuje – ciasteczka **lussekatter**, żółte zawijasy pełne szafranu, przypominające trochę parę oczu. Szafran jest symbolem małego luksusu w czasie trudnej zimy. Kształt ma przypominać koty – dzisiaj „koty Łucji", dawniej nazywane były **djävulskatter** – kotami diabła. Kształt śpiącego kota z zawiniętym ogonkiem miał odpierać diabelskie moce, które same chętnie przybierały kocią postać.

Także w przypadku Dnia Świętej Łucji, chrześcijańska otoczka kryje w sobie pogańskie elementy: poszukiwanie światła w mroku, ochronę przed złymi mocami i przede wszystkim – tworzenie wspólnoty, która pomoże przetrwać trudny czas. Mimo swojego indywidualizmu, Szwedzi wciąż instynktownie szukają siebie nawzajem, żeby odnajdywać bliskość w świecie, który zwłaszcza na Północy bywa bardzo nieprzyjazny. ●



FOT. JOHAN NILSSON/TT/EPA/PAP

• **NOC WALPURGII. Dawne, „magiczne" święto kojarzone z duchami i czarownicami. Dziś święto studenckie – zabawa i pijaństwo przy ogniskach i muzyce. Na zdj. impreza w Malmo, 30 kwietnia 2025**



FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 3.0

• **JULBOCKEN, czyli wielka słomiana koza bożonarodzeniowa z czerwoną wstążką, która co roku staje w mieście Gävle.**



FOT. JOANNA GOŁEMBIEWSKA

Małgorzata Sidz

• Rocznik 1990 r., Ukończyła japonistykę i studia regionalne o Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Turku w Finlandii, Spędziła kilka lat między Szwecją, Finlandią i Danią. Dłużej przebywała także w Japonii i Korei Południowej, a obecnie w Kanadzie. Mówi w 10 językach. Autorka reportaży„Kocie Chrzciny. Lato i zima w Finlandii" (2020), „Mądre matki, dobre żony. Kobiety w Korei Południowej" (2023) i powieści „Pół roku na Saturnie". (2021) oraz „Garbate lato"(2024).

1 RP

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 9e613fd31b

POLECA ADAM MICHNIK

Na szczęście był Havel, na szczęście jest Pavel



• Petr Pavel, prezydent Czech, przybywa na szczyt Bukareszteńskiej Dziewiątki (B9) w Pałacu Cotroceni w Bukareszcie w Rumunii (13.05.2026). B9 to grupa 9 krajów NATO – Bułgaria, Czechy, Estonia,Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Węgry, która powstała w 2015 r. z inicjatywy Polski i Rumunii, aby koordynować stanowiska państw wschodniej flanki NATO głównie w sprawach bezpieczeństwa i obrony FOT. ANDREI PUNGOVSCHI/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Czescy prezydenci lubili pchać swój kraj w objęcia Rosji. Dobrze, że nie wszyscy

Petr Pithart*

Każdy z sześciu dotychczasowych prezydentów Czech miał mocne związki z Rosją. Nawet ostatni z nich je miał. Dlaczego sześciu? Bo nie liczę tych, których z Rosją (Związkiem Radzieckim) łączyły stosunki wasalne, wynikające z ich partyjnych i funkcyjnych powiązań z Moskwą jako centrum władzy międzynarodowego ruchu komunistycznego. Václav Havel był jedynym z tej szóstki, który zawsze miał do Rosji ostrożne podejście.

Nasz pierwszy prezydent Tomáš Garrigue Masaryk intensywnie interesował się Rosją jako filozof i socjolog. Jeździł do Jasnej Polany, aby debatować z Lwem Nikołajewiczem Tołstojem. Kusiła go jego wizja – nie sprzeciwiać się złu, ale ostatecznie nie dał się przekonać.

Podczas rekonwalescencji na wyspie Capri długo dyskutował o Rosji i jej komunizmie z Maksymem Gorkim. Ostatecznie w swoim wielkim dziele „Rosja i Europa” (trzyczęściowym; trzecia część ukazała się najpierw po angielsku, a po czesku dopiero w 1996 roku) Masaryk odrzucił komunizm, opierając się przede wszystkim na lekturze dzieł Dostojewskiego.

Pod koniec I wojny światowej – po gorących sporach na odległość z gen. Rastislavem Štefánikiem oraz posłem Josefem Durychem (wysłanym na wygnanie przez Partię Agrarną), a w kraju też z Karelem Kramářem – postanowił nie angażować się w rosyjską wojnę domową i nakazał [obecnym na terenie Rosji] legionom czechosłowackim jak najszybciej dotrzeć do Władywostoku, a następnie przez Japonię i Amerykę powrócić na europejskie pola bitew.

Z prezydentem Stanów Zjednoczonych Wilsonem rozmawiał o pozycji Czech w Europie Środkowej dokładnie wtedy, gdy na pierwszych stronach gazet pojawiały się wielkie nagłówki: „Czesi rządzą na Syberii!”. Czy nasi ochotnicy z legionów mogli wówczas pokonać czerwonych, w owym czasie tworzących tylko zwykłe bandy? To już na zawsze zostanie pytaniem bez odpowiedzi.

Straszne błędy Beneša

Edvard Beneš opowiadał się za „socjalizującą demokracją”, działał we Francji jako korespondent gazety [o tym odcieniu] „Právo lidu”, ale nigdy nie wstąpił do socjaldemokracji.

Najistotniejsze jednak, że całkiem monopolistycznie kierował naszą polityką zagraniczną od 1918 do 1948 roku, czyli przez całe 30 lat! Jako minister spraw zagranicznych, premier, następnie prezydent kraju, jego prezydent na uchodźstwie i ponownie jako demokratycznie wybrany prezydent Czechosłowacji.

Fundamentem jego polityki był wielki strach przed ekspansją Niemiec, graniczący z nienawiścią do nich – co dotyczyło też obaw przed „naszymi Niemcami” w Sudetach i oznaczało stanowczą niechęć do przyznania im jakiejkolwiek autonomii.

Inni ministrowie spraw zagranicznych: Kamil Krofta (w czasie prezydentury Beneša od 1936 roku do abdykacji w 1938) i Jan Masaryk (od końca wojny do marca 1948 roku) byli całkowicie zależnymi od Beneša marionetkami i nigdy w niczym nie odeszli od jego linii.

Jedyną alternatywną koncepcję zagraniczną zaproponował słowacki agrarysta Milan Hodža. Na próżno jednak dążył przynajmniej do sojuszu z Polską i Austrią, skoro projekt federacji państw między Bałtykiem a Adriatykiem (czyli de facto między Rosją a Niemcami) nie znalazł poparcia u Beneša.

Szczególnie Polska jako partner była dla Masaryka i Beneša całkiem nie do przyjęcia, bo w ich oczach był to kraj bigoteryjnych katolików, którzy udawali arystokratów.

Kiedy międzynarodowa konferencja w Locarno w 1925 roku dotycząca gwarancji dla wschodnich i zachodnich granic Niemiec zakończyła się dla nas niepowodzeniem (Beneš ukrył przed opinią publiczną,

eprasa.pl 9e613fd31b

że gwarancje objęły tylko zachodnie granice), zaczął on zwracać się w stronę ZSRR.

W 1935 roku zawarł niezwykle korzystną [dla drugiej strony] umowę o przyjaźni i wzajemnej pomocy z ZSRR. Beneš podkreślał wówczas swoje osobiste zaufanie do Stalina i opowiadał o Moskwie jako o raju na ziemi, niemal tak samo zaślepiony jak Julius Fučík [dziennikarz, komunista].

Te ziemie też wam oddam

Po konferencji w Monachium Beneš – już jako osoba prywatna bez żadnego mandatu – obiecał w 1939 roku radzieckiemu ambasadorowi w Londynie gotowość przekazania ZSRR Rusi Podkarpackiej.

Następnie jako tymczasowy prezydent na uchodźstwie, uznany później przez zachodnie mocarstwa, zawarł w 1943 roku fatalny w skutkach traktat o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy z ZSRR. Wszyscy sojusznicy odradzali mu podjęcie tak daleko idących, jednostronnych zobowiązań, a zwłaszcza Churchill, który w nadziei, że w ostatniej chwili uda mu się go przekonać, odprowadził go aż do samolotu. Umowa miała obowiązywać przez dziesięć lat bez konieczności ratyfikacji przez parlament!

Po powrocie z Moskwy Beneš ponownie zachwycał się Stalinem (Roosevelt też mu trochę ufał) i Związkiem Radzieckim, który rzekomo był już bardzo bliski demokracji.

Beneš wkroczył do wyzwolonej Czechosłowacji wraz z postępującą naprzód Armią Czerwoną, traktując program rządowy Frontu Narodowego z Koszyc [1945] jako de facto nową konstytucję. Ruś Podkarpacka oczywiście została już od Czechosłowacji odłączona i podarowana ZSRR.

Podczas kryzysu rządowego w lutym 1948 roku Beneš nie dotrzymał obietnicy złożonej ustępującym, demokratycznym ministrom i najpewniej uległ presji Waleriana Zorina, pierwszego zastępcy ministra spraw zagranicznych ZSRR. Ten bowiem groził wojną domową, którą prawdopodobnie byłby w stanie wywołać przy pomocy naszych milicji robotniczych. Było już za późno: Beneš był u kresu swych sił fizycznych i psychicznych, mógł tylko zrezygnować. Ale nawet tego nie zrobił.

Trzeba tu powiedzieć, że Masaryk aż do swojej śmierci trzymał nad Benešem parasol ochronny – nikt nie ośmielał się nic zrobić Benešowi, ponieważ Masaryk był nietykalny. Kiedy w 1934 roku Beneš miał zostać wybrany na prezydenta, okazało się, że nie ma wystarczającej liczby głosów. Wtedy Masaryk musiał się poświęcić i wolał zostać wybrany po raz czwarty, choć słaby już miał kontakt z otaczającym go światem, niż pozwolić, by wybrano Niemca, profesora botaniki, kandydata agrarystów.

Po roku Masaryk musiał jednak abdykować i wybór prezydenta stał się sprawą pilną. Wtedy, zgodnie z pomysłem Beneša, ułaskawił komunistycznych posłów, których ścigano na podstawie ustawy o ochronie republiki i którzy uciekli do Moskwy. Dzięki temu mogli wrócić i to ich głosy zadecydowały o wyborze Beneša.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bogdan Jaremin*

Raj Utracony

za litanię przyjmij, za modlitwę, nie za próżne lamenty, klangory
nad mową, co się po ruinach włóczy, bez wspólnoty kruszy

w sobie nosimy obsesję, nostalgię, wizję, że raj utracony wciąż nas ludzi
a tu ziemie skrwawione, barbarzyńców pochody, groza, nocne łuny
w szybach płoną, w ściany stuka ponaglenie żelaza, płacz nas budzi
szybciej, szybciej uciekajmy, schody wiszą, ściany, jeszcze nie zerwane
nadzieja się czepia poręczy, ciemność jak piwnica, rozbłyski oczu ludzi
krzyki, pytania, co zawiniliśmy, owoc jaki zjedliśmy z drzewa wolności
zakazany, miecz wygnania, żyjesz, cała jesteś? krew ciepłą strach studzi
podwórze już blisko, wytrzymaj boże wojnę przeklętą, w imię miłości
plac przed nami, my zawsze nomadzi, niebo otwarte, ziemia nas trudzi
między czuciem a wiarą przemienia się prawda, kryje za pazuchą
butelkę z mlekiem, w ramionach niemowlę, w chuście nie zbudzi
rozpacz, co w nas zamieszkała, język za zębami trzymaj, ciszy kruchą
chwilę, ssij, ssij malutka, do autobusu się wciśnij, podejrzeń nie wzbudzi
tłumoczek ni nagłe milczenie, silnik już warczy, my jeszcze nie cienie
wilgoć się wkrada, Wielkanoc, błoto na podłodze, za szybą świt się brudzi
i ucieka droga od śmierci w miejsca odludne, nieznane przeznaczenie
dokąd noc nie wie, byle dalej od broni, rozkazów, iluzji co rozum łudzi
czekać teraz, wierzyć w ocalenie, że śnieg, wiatr, zawieja nas przepuści
nie zawrze nad nami kopuła ani granica nieprzyjazna nie zagrodzi
zaklęcie wypowiedz; jednymi z was jesteśmy, z otchłani czeluści
bez biletu, gwarancji, lecz nie wszystko stracone, piekło się nie zbudzi
w zmartwychwstanie wierzymy, w Jordan i hosannę, w bytowanie
pospólne, zgodne, dokąd nam się uciec, zwrócić, jeśli nie do ludzi
niebieska nas planeta kołysze, zawieszona nie w próżni, lecz w duszy

w Raj odzyskany, Miltonie, w życie nie na straty spisane, wierzę Panie
w świętych pokrewieństwo, w nacji pojednanie, duchów obcowanie



***Bogdan Jaremin** - ur. w 1942 r., poeta, lekarz, nauczyciel akademicki, podróżnik. Był lekarzem okrętowym, biegłym sądowym, naczelnym pisma naukowego „International Maritime Health" i dyrektorem Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Wiersz za jego tomem **„minimalia"**, Wydawnictwo issa BOOKS, Warszawa 2026



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Polityka zagraniczna Beneša była całkowicie nieudana. Doprowadziła do tego, że wokół nas byli sami wrogowie, a wewnątrz państwa także!

Klaus i Zeman ciągną nas na Wschód

Potem nastąpiła długa cisza: prezydenci byli bardziej sekretarzami Komunistycznej Partii Czechosłowacji niż głowami państwa. Co dziwne, było jednak wielu takich, którzy widzieli w nich majestat państwa, a ich pogrzeby były wystawne i masowe.

Rosja to państwo, które stale szykuje się do kolejnej agresji. Tak było, jest i będzie, niezależnie od tego, czy nazywa się ona imperium, związkiem czy federacją

Następnie po Gustávie Husáku nadeszło 20 lat Václava Klausa i Miloša Zemana. Niewiarygodne 20 lat, to prawie całe pokolenie! Jak mogliśmy to wytrzymać? Obaj powoli ciągnęli nas na Wschód. Jak najdalej od Zachodu.

Każdy z nich był zupełnie inny, ale obaj byli egocentrycznymi i próżnymi, wręcz podręcznikowymi narcyzami. Chyba właśnie to odegrało najważniejszą rolę. Pojawiło się wiele teorii spiskowych, ale nie będę się nimi zajmował. Bo obydwaj przecież przedstawiali się jako zdecydowani zwolennicy Zachodu! Potem jednak Klaus ciągnął nas w stronę Moskwy, a Zeman w stronę Chin i także Rosji.

Czyżby stopniowo tracili zainteresowanie Zachodem, czy raczej było odwrotnie – to Zachód przestał się nimi interesować? Otrzymywali coraz mniej zaproszeń z Zachodu: może zachodnie służby wywiadowcze przejrzały ich wcześniej niż my? W każdym razie to niewielkie czy wręcz znikome zainteresowanie Zachodu było dla nich bardzo obraźliwe.

Wyobrażam to sobie mniej więcej tak (i chyba zbytnio się nie mylę): Miloš Zeman rozmawiał przez telefon z ówczesnym prezydentem USA Donaldem Trumpem, a ten pewnie powiedział mu coś takiego: – Cześć, stary, wpadnij kiedyś, zrobimy sobie selfie!

No i Zeman pomyślał, że właśnie otrzymał oficjalne zaproszenie, i potem przez rok dręczył swego biednego ambasadora w Waszyngtonie, żeby to przyspieszył, a tu nadal nic. Więc to go naprawdę wkurzyło. Pewnie dlatego obie głowy państwa zaczęły jeździć wygrzewać się w promieniach władzy najpotężniejszych ludzi planety na Wschodzie.

Klaus wielokrotnie opowiadał, że dostał zaproszenie do daczy Putina, dokąd ten nie zaprasza byle kogo! Wyobraźcie sobie, ostatnio był tam Kohl! A potem może jeszcze ten i ten, ale później już tylko ja! Na dodatek to jeszcze nic w porównaniu z tym, że sama pani Putinowa ugotowała mi obiad! Gdzie jest pani Putinowa, nie wiemy. A gdzie jest Václav Klaus? Przyłączył się do faszystowskiej, prorosyjskiej niemieckiej partii, gdzie cieszy się z upragnionych owacji na stojąco.

Zabierzcie żołnierzy do domu

Najbardziej dalekowzrocznym z naszych prezydentów był Václav Havel. Początkowo nie interesował się zbytnio Rosją – choć najwyraźniej utkwiło mu w głowie karczowanie wiśniowego sadu u Czechowa jako symbol barbarzyństwa. Nigdy wcześniej nie był w Rosji, a po aksamitnej rewolucji poleciał tam tylko raz, aby zaskoczonemu Gorbaczowowi pilnie przekazać, że wojska radzieckie muszą zniknąć z naszego kraju w jak najkrótszym czasie.

Dzięki swej przenikliwości Havel wiedział, czym jest Rosja. Na zaskakujące pytanie dziennikarza, czy i kiedy Rosja będzie mogła przystąpić do ówczesnej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (czyli dzisiejszej Unii), odpowiedział nie naukowo, lecz intuicyjnie i całkowicie trafnie: – Nie wiem, myślę jednak, że państwo, które nie wie, gdzie się kończą jego granice, nie może do niczego takiego przystąpić.

To przecież rozbudowana definicja pojęcia imperium, mocarstwa! Czyli państwa, które albo niecierpliwie gotuje się do kolejnej agresji, aby rozszerzyć swoje terytorium, albo zadręcza się świadomością, że znowu utraciło część swych ziem. Tak było, jest i nadal będzie w tym państwie, niezależnie od tego, czy nazywa się ono imperium carskim, związkiem czy federacją.

W tamtym czasie, kiedy Havel odpowiadał na pytanie dziennikarza, Związek Radziecki rozpadał się i prowadził brutalną wojnę w Czeczenii. Potem drugą, bo pierwszej nie wygrał. Tę już prowadził Putin. Potem przyszła kolej na Naddniestrze, Gruzję, ukraiński Krym, a następnie – i tak jest do dziś – na Ukrainę.

Rosja była, jest i będzie imperium, mocarstwem. Nasi dwaj pierwsi prezydenci tego nie dostrzegli, chociaż mogli. Trzeci o tym wiedział. Czwarty i piąty byli zaślepieni pragnieniem oryginalności i uznania za wszelką cenę. Szósty prezydent, Petr Pavel, obecnie urzędujący na praskim Zamku, wie o tym bardzo dobrze.

Od 30 lat stawia czoła tej groźbie jako żołnierz, od dawna już generał. Mam nadzieję, że wie o tym zwłaszcza dlatego (i „bardziej to przeżywa"), że na początku swojej kariery zapewne myślał, że ZSRR jest czymś całkiem innym niż panoszące się imperium.

Zapomnijmy o wielkim dębie

A co z nami, mieszkańcami ziem Korony Czeskiej: Czechami, Morawianami i Ślązakami? Czasem cierpimy na napady pragnienia neutralności. Albo mostu! Najwyraźniej nie mamy pojęcia, że status neutralności jest przyznawany „z zewnątrz", więc nie jest tak, że ktoś może o niego poprosić i go otrzymać.

Skoro więc nie neutralność ani most, to przynajmniej stanowcze stanowisko, że należy sprawiedliwie osądzać obie strony. Jakże my czasem jesteśmy szlachetni i ostrożni!... Na szczęście już nam się udało przystąpić do NATO i podobno 70 procent naszych rodaków nadal jest za.

Wciąż jednak mamy – zwłaszcza my, starsi – gdzieś głęboko w głowie tkwiącą wskazówkę Jána Kollára: naiwnego poety, towarzysza czeskiego odrodzenia narodowego, Słowaka zagubionego wśród herderowskiej, opitej romantyzmem młodzieży w niemieckim Lipsku. Dobrze ją pamiętamy w naszym aksamitnym, lipowym narodzie: „... unieś wzrok czy raczej przytul się do wielkiego dębu, co oprze się zgubnym czasom...".

Elegijny dwuwiersz wciąż dobrze brzmi, prawda? Zwłaszcza ten potężny dąb. Bo ów dąb to oczywiście Rosja.

Nie wszyscy nasi niekomunistyczni prezydenci popełniali straszne błędy w odniesieniu do Rosji. Tylko czterej z nich. Ale i tak wystarczyło. Václav Havel zdecydowanie się nie mylił, podobnie Petr Pavel. Chyba nie przypadkiem to się zgrabnie rymuje. ●

przeł. Andrzej S. Jagodziński

Tekst ukazał się w 2024 roku na stronie czeskiego portalu HlidacíPes.org



FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

***Petr Pithart**

• ur. w 1941 r., czeski prawnik, polityk i eseista, w czasach komunizmu działacz opozycji demokratycznej, sygnatariusz Karty 77. Po agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację pozbawiony możliwości wykonywania zawodu pracował jako ogrodnik i nocny stróż. W 1989 roku był jednym z liderów aksamitnej rewolucji. W latach 1990-92 – czeski premier, 1996-98 i 2000-04 – marszałek czeskiego Senatu. Autor wielu prac historycznych.

eprasa.pl 9e613fd31b

Witajcie w 60. roku okupacji

Po latach izraelskiego terroru jest oczywiste, że nie wykorzenimy w naszym kraju antypalestyńskiej plagi bez zwalczenia jej pierwotnej przyczyny: rasizmu

Michael Sfard*

Gratulacje. Okupacja Zachodniego Brzegu rozpoczyna swój 60. rok [zaczynając od izraelsko-arabskiej wojny sześciodniowej w 1967 r.]. Cóż za marny wiek – już nie młody, ale jeszcze nie emerytalny.

Liczba 60 świadczy jedynie o tym, że czas płynie, a to, co miało być tymczasowym odstępstwem od świętej zasady, że ludzie mają prawo uczestniczyć w procesach decyzyjnych rządzących ich życiem, zostało wykorzystane do rozpętania nawałnicy zbrodni przeciwko nim.

Weszliśmy właśnie w ostatni rok najgorszej dekady w historii okupacji. Dekady pogromów i żydowskiego terroru, cieszących się politycznym poparciem, publicznym finansowaniem i różnym stopniem oficjalnej współpracy ze strony sił bezpieczeństwa. Dekady szalejącego apartheidu – oficjalnego i niezamaskowanego – wprowadzanego w życie przez dziesiątki tysięcy Izraelczyków, z których wszyscy są współsprawcami zbrodni przeciwko ludzkości.

Była to przede wszystkim dekada, w której – po straszliwej i niewybaczalnej masakrze dokonanej na nas [atak Hamasu na kibuc Be'eri 7 października 2023 r.] – rozpętaliśmy potworną, równie niewybaczalną niszczycielską wojnę, w której stoczyliśmy się w straszną moralną otchłań, boleśnie upodabniając się do tych, którzy prześladowali nas i mordowali na przestrzeni dziejów.

Paskudna sprawa

Prawdę mówiąc, nie zostało już nic do powiedzenia. Od niemal dwóch dekad publikuję w „Haaretzu" artykuły w przededniu rocznicy wojny, która uczyniła z nas okupantów milionów ludzi pozbawionych jakiegokolwiek obywatelstwa i praw politycznych – ludzi całkowicie zdanych na naszą łaskę. Od niemal dwóch dekad co roku szukałem słów, mozolnie starałem się precyzyjnie dobierać najtrafniejsze pojęcia, próbowałem za pomocą języka przebić się przez mur obojętności i izraelskiego okrucieństwa. Ale to nie działa – przynajmniej na razie.

Rozpętaliśmy, my, Izraelczycy, potworną wojnę, równie niewybaczalną jak atak Hamasu na nas. Upodobniliśmy się do tych, którzy prześladowali nas i mordowali przez stulecia

Trudno wciąż uciekać przed nieznośnym wnioskiem, przed nieuniknionym spostrzeżeniem, że jakkolwiek byśmy tę obojętność interpretowali, u zmurszałych podstaw tego muru tkwi – nazwijmy rzecz po imieniu – rasizm. Cierpiące palestyńskie dziecko nie porusza większości Izraelczyków. Dlatego nawet najbardziej „liberalny" program informacyjny w izraelskich mediach nie będzie się nim interesował.

(Słowo „liberalny" ujmuję w cudzysłów, ponieważ pojęcie to zostało w izraelskim dyskursie wypaczone – i jeśli Ja'ir Lapid [były izraelski premier], którego drugie imię to „jestem syjonistą i patriotą, a nie lewicowcem", jest liberałem, to najwyraźniej niczego nie zrozumiałem, gdy uczyłem się o liberalizmie na uniwersytecie).

Bijemy i wywłaszczamy

Tak – jakkolwiek byśmy to interpretowali i jakiegokolwiek byśmy szukali wyjaśnienia w terroryzmie i wymierzonych w nas brutalnych atakach, uczciwość każe nam przyznać: nagi, czysty rasizm, przekonanie o naszej wyższości i ich niższości, rozpanoszył się w naszych głowach i zagnieździł wszędzie.

My (jako zbiorowość – to oczywiście uogólnienie) nie postrzegamy tych, którzy nie są Żydami, jako równych sobie. Nie uważamy społeczności wypędzonej z wadi (wyschniętego koryta rzeki) na skraju pustyni, z jej żałosnym dobytkiem i dziwnymi strojami, za istoty ludzkie nam równe. Za ludzi, którzy zasługują na szczęście nie mniej niż my.

I nie mówię tu o kahanistach [skrajnie prawicowych syjonistach]. Mówię o tych, którzy uważają się za liberałów – o dziennikarzach, prawnikach, ludziach z branży high-tech i politykach, w tym tych z „centrum" i „centrolewicowych".

Jak bardzo izraelskie społeczeństwo naprawdę się tymi sprawami przejmuje? Jak bardzo naprawdę odczuwa ból, jaki staje się udziałem społeczności Ein Samija, Al-Audża i Umm al-Chajr, a także dziesiątek innych wspólnot, tam, gdzie państwo żydowskie – bezpośrednio lub rękami swoich emisariuszy – bije, terroryzuje i wywłaszcza bezbronnych Palestyńczyków?

Owszem, od czasu do czasu pojawia się wstrząs po najnowszych nagraniach filmowych, pokazujących żydowski terror, ale to chwilowa przerwa, która nie prowadzi do żadnej głębszej refleksji ani rozrachunku, do żadnego tikkun [naprawy]. To szokujący spektakl, ceremoniał służący ocaleniu własnego wizerunku, co najwyżej korekta rozmazanego makijażu.

Mierzą w swoich palestyńskich sąsiadów

Ale w ciągu tej dekady wydarzyło się coś jeszcze: ucisk rozprzestrzenił się i zaczął atakować do wewnątrz. I nagle Izraelczycy o żydowskich korzeniach również znaleźli się na celowniku – jako obiekty konsolidacji władzy, procesu zmierzającego do pozbawienia ich praw, rodzącej się dyktatury.

Być Arabem to źle, ale okazuje się, że być lewicowcem (lub kimś, kogo głęboka prawica nazywa „lewicowcem") to również źle. Palestyńczycy są wrogiem, ale wrogami są też przeciwnicy żydowskiej supremacji – Żydzi, którzy pragną zdjąć wojskowy but z karku Palestyńczyków.

I tak rzeki okupacji są źródłami zasilającymi jeziora zamachu konstytucyjnego, a dzień, kiedy broń, którą dziś „szeryfowie" z farm-przyczółków na Zachodnim Brzegu mierzą w swoich palestyńskich sąsiadów, zostanie skierowana przeciwko ich wewnętrznym rywalom politycznym, nie jest odległy.

Niczym wilgoci i pleśni, tej plagi nie wykorzeni żaden tynk ani farba, ani żaden „rząd zmiany". Bez zmierzenia się z nią, ze źródłem naszej przemocy ustrojowej, z ideologią żydowskiej supremacji, z aksjomatem, że jesteśmy wiecznie po stronie sprawiedliwości, i z odmową pełnego uznania praw innych, którzy tu żyją.

Wybory trzeba wygrać, a kahanistowski rząd trzeba odsunąć od władzy. To warunek konieczny przyszłości, która nie byłaby najczarniejszą z ciemności. Musimy jednak zrozumieć, że choć jest to warunek konieczny, daleko mu do tego, by być wystarczającym.

Witajcie w 60. roku okupacji. ●

przeł. arp



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Michael Sfard

• ur. w 1972 r. w Jerozolimie. Wnuk Zygmunta Baumana i Davida Sfarda, pisarza jidysz. Był sanitariuszem w armii izraelskiej, ale powołany później jako rezerwista odmówił służby na Terytoriach Okupowanych i krótko siedział w więzieniu. Absolwent Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Prawnik, reprezentuje organizacje praw człowieka, społeczności palestyńskie oraz izraelskich i palestyńskich aktywistów.

Tekst ukazał się na początku czerwca w izraelskim dzienniku „Haaretz". Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza".

REKLAMA
Kraj/34423354



1 RP

eprasa.pl 9e613fd31b



Radom '76

REWOLUCJA WARCHOŁÓW

„Chcesz cukierka? Idź do Gierka. Gierek ma, to ci da. Kopa w dupę i pa, pa" – tyle zapamiętałem z 1976. Miałem 10 lat, gdy w piątek, 25 czerwca zdesperowani ludzie w Radomiu, Ursusie i Płocku wyszli na ulice.

Waldemar Kumór

eprasa.pl 9e613fd31b



• **Strajkujący robotnicy Zakładów Metalowych im. Gen. „Waltera” na ulicach Radomia, 25 czerwca 1976 roku**

FOT. IPN

Czwartek, 24 czerwca, Sejm. Premier Piotr Jaroszewicz nie używa słowa „podwyżki”. Mówi o „propozycji zmian w strukturze cen”, które mają obowiązywać od 28 czerwca, czyli najbliższego poniedziałku. Zapewnia, że „propozycje” mają być poddane „konsultacjom społecznym”, ale prawda jest taka, że do wszystkich 49 województw rozesłano już worki z zaplombowanymi cennikami. „Konsultacje” to tylko partyjna propaganda.

I tak: ryby, mięso i jego przetwory średnio miały być droższe o 69 proc. (lepsze gatunki nawet o 110 proc.), cukier – 90 proc., masło i sery żółte – o 60 proc., drób – 30 proc., smalec – 33 proc., ryż – 150 proc. droższe.

PO PIERWSZE PROPAGANDA

„Propaganda” to słowo-klucz pomocne, by zrozumieć epokę Gierka i cały PRL, ale także naszą epokę – Trumpa i Putina, czy większych i mniejszych populistów.

Edward Gierek nastał po kostycznym Władysławie Gomułce, po grudniu 1970 roku, gdy władze również próbowały podnieść ceny i strzelały do zbuntowanych robotników Wybrzeża. Pożar gasił jowialny, znający biegle francuski światowiec, I sekretarz z Katowic. Gierek początkowo uwiódł ludzi – wycofał się z podwyżek, obiecał „drugą Polskę”, władza miała słuchać obywateli. Wydawało się, że Polska otwiera się na Zachód, łatwiej było o luksusowe towary, samochody, mieszkania. „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło dostatniej” – to hasło epoki Gierka. Większość chciała w nie wierzyć i nie zdawała sobie sprawy, że to sukces na kredyt. Socjalizm z twarzą jowialnego Gierka bankrutował w przyspieszonym tempie.

Eksperci wiedzieli, że podwyżki cen – zamrożone po 1970 – są niezbędne. Ale partia obawiała się niezadowolenia. W grudniu 1970 wybuchły strajki, gdy mięso miało zdrożeć o 17 proc., a – wszystko miało pójść w górę o kilkadziesiąt.

Teraz pomóc miała propaganda. Parę miesięcy przed podwyżkami media mówiły i pisały o tym, że zdrowa jest dieta rybna, jak zdrowi i zadowoleni są stosujący ją Islandczycy. Dobrze jest nie jeść za dużo mięsa. Telewizja emitowała reportaże o tym jak na Zachodzie rośnie inflacja i wszystko drożeje. W „Życiu Radomskim” można było przeczytać o gigantycznym bezrobociu w USA i wielkich podwyżkach cen – od puszek konserwowych po auta. Skoro więc na całym świecie wszystko drożeje, to u nas – niestety – też.

Przewidując niepokoje, władze już w kwietniu po cichu dały podwyżki wojskowym, milicjantom i Służbie Bezpieczeństwa. Ale – jak to w PRL – pogłoski o nich szybko obiegły kraj. Od początku czerwca przed sklepami ustawiały się gigantyczne kolejki – ludzie wykupowali wszystko, co się dało.

Większość spodziewała się podwyżek, ale mało kto aż tak drastycznych. W dodatku władza, by złagodzić szok, ogłosiła system rekompensat. Osoby najmniej zarabiające – poniżej 1,3 tys. zł – miały dostać 260 zł miesięcznie, a najlepiej zarabiający – powyżej 8 tys. zł –do 600 zł. To jeszcze pogłębiało poczucie frustracji i niesprawiedliwości i przyczyniło się do tego, że reakcja na podwyżki była tak gwałtowna.

Oprócz nachalnej propagandy władze zmobilizowały prawie 50 tys. funkcjonariuszy, w tym 11 tys. ZOMO. Ważny rozkaz: „Przy ewentualnym rozpraszaniu manifestacji nie można używać ostrej broni palnej”. To miała być operacja „Lato – 76”.

Partia nie zapomniała też o wymiarze sprawiedliwości: w każdym województwie powołano specjalne grupy do prowadzenia śledztw przeciwko „organizatorom i inspiratorom” ewentualnych zajść. Miał obowiązywać przyspieszony tryb postępowania przed kolegiami do spraw wykroczeń i sądami. Sporządzono listę niemal półtora tysiąca osób, znanych z działalności opozycyjnej głównie z Marca ’68 i Grudnia ’70, których powoła się na obowiązkowe ćwiczenia wojskowe (tak jak już po Czerwcu m.in. Jacka Kuronia).

IMIENINY JANA

24 czerwca to popularne imieniny Jana, w Polsce kolejna okazja do świętowania przy alkoholu. Może władza wymyśliła ogłoszenia podwyżek tego dnia, by zmęczeni świętowaniem ludzie następnego dnia, w piątek, bez szemrania tylko pracowali?

I sekretarzem PZPR w Radomiu był inżynier Janusz Prokopiak, 43-latek, warszawiak, od 1973 r. szef Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. W maju 1975 partia skierowała go do Radomia. „Nie jedź tam” – wyszeptała przez łzy jego żona, Alina, niezadowolona z awansu męża.

Prokopiak wspominał po latach, że 24 czerwca 1976 cały komitet wojewódzki pracował do późna – narady, setki telefonów, głównie z Warszawy, rozmowy ze współpracownikami. W Radomiu czuł się wciąż „nowy”. Mieszkał w hotelu robotniczym, żona i dwóch synów zostali w Warszawie, on dojeżdżał na weekendy.

Nie spodziewał się, że Radom jest taki zapóźniony w porównaniu z innymi miastami wojewódzkimi. W mieście jest dużo zakładów przemysłowych i dużo robotników. „Ludziom żyło się tu niełatwo” – zapisał zdawkowo.

Ci, którzy potem zaczną przyjeżdżać do Radomia z pomocą dla robotników zapamiętali, że miasto było szare, zmęczone, nienadające się do godnego życia w XX wieku: „Nie trzeba nawet oddalać się od głównej ulicy – Żeromskiego, wystarczy przekroczyć bramę pierwszego z brzegu domu, aby zobaczyć zapuszczone podwórka, drewniane budki mieszkalne, ubikacje na zewnątrz budynków. Mieszkania to często kilkunastometrowy pokój dla 5-6 osób, malutka klitka udająca kuchnię” – opowiadał Jan Lityński, późniejszy działacz, nieistniejącego jeszcze Komitetu Obrony Robotników (KOR). Do domów na niektórych ulicach wodę dowozi się beczkowozami, ulice niewybrukowane i nieoświetlone.

Prokopiaka przerażają statystyki: Radom liczy 180 tys. mieszkańców, ma najwyższy w kraju wskaźnik zagęszczenia, brakuje mieszkań, buduje się ich najmniej w Polsce, 25 proc. budynków wymaga kapitalnego remontu, tylko 40 proc. ma wodę i gaz, na mieszkania czeka 25 tys. rodzin, brakuje łóżek szpitalnych (49 miejsce wśród miast wojewódzkich), tylko 2,7 proc. dzieci do lat trzech korzysta ze żłobków, z przedszkoli – zaledwie 27 proc., szkoły pracują na trzy zmiany, ponad 40 procent ulic to drogi gruntowe, dworzec PKP się sypie, miasto nie ma oczyszczalni ścieków.

ZA CO RADOM NIE LUBI KIELC?

No i z każdej rozmowy Prokopiaka z mieszkańcem Radomia bije kompleks Kielc – tam wszystko jest lepsze, tam władza inwestuje. Dlatego Radom nie lubi Kielc. Na jednym z zebrań partyjnych w auli radomskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej ktoś z kadry naukowej mówi otwarcie, że jego uczelnia rozwijała się nieźle, dopóki nie utworzono politechniki w Kielcach, która zabrała całe wydziały i kadry: „Panie sekretarzu, cieszymy się z powstania województwa. Nie może to jednak oznaczać, że z Kielcami zamknęliśmy rozrachunki. Proszę sobie uświadomić, Radom znajduje się w krytycznej sytuacji. (...) Kielce budowały się naszym kosztem”.

W czerwcu 1976 trwają więc niekończące się narady, by przygotować ludzi do „regulacji cen”. Nie można mówić „podwyżki” – tego żąda centrala. Plik dokumentów z KC z nowymi cenami Prokopiak dostał późno. Zdążył je tylko przelecieć wzrokiem. Razem z towarzyszami w budynku partii z telewizora słucha sejmowego przemówienia premiera Jaroszewicza.

„Cisza. Nikt nie komentował – wspomina. – Jest ciepła noc, okna otwarte”.

Prokopiak do swojego – jak go nazywał – „akademika” idzie spacerem. Z komitetu wyszedł przed północą. Ciepło, ściąga krawat i marynarkę. Wszędzie palą się światła w domach. Nic dziwnego, że mimo czwartku nikt nie śpi – to imieniny Jana. Piją, słyszy toasty. Podwyżki? Ma nadzieję, że robotnicy zrozumieją, bo lubią Gierka i Jaroszewicza; sekretarze i dyrektorzy zakładów – zakładał – też mają wśród nich posłuch.

To była najkrótsza noc w życiu I sekretarza. Przed szóstą następnego dnia obudził go telefon. „W »Walterze« stanęli, na razie jeden wydział – mówił mi komendant milicji. Zerwałem się na równe nogi, ochlapałem twarz, ubrałem się i wyszedłem” – opisywał tamten dzień.

NIECH SIĘ CAŁY W DIABLI SPALI

Od rana zastrajkowały 23 zakłady pracy, w tym największe: Zakłady Metalowe im. Gen. „Waltera”, które przerwały prace jako pierwsze, Zakłady Przemysłu Tytoniowego, ZREMB, Budochem, czy Fabryka Łączników. Spośród ponad 44 tys. zatrudnionych pracę przerwało od razu ponad 14 tys., czyli 32 proc. Robotnicy poszli pod inne zakłady, a potem pod budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ul. 1 maja. Z czasem dołączy znacznie więcej.

Początkowo było spokojnie, oprócz paru incydentów, np. rozkradzenia zapasów konserw i wędlin w Zakładach Mięsnych. W fabryce broni, od której zaczęły się protesty, nikomu do głowy nie przyszło, by wedrzeć się do hal produkcyjnych, zabrać ze sobą karabinki KBK AK, czy broń krótką, choć w słabo pilnowanych magazynach na transport czekało półtora tysiąca karabinów. Dlaczego? „To było zgromadzenie niezorganizowane. Po drugie nie padło hasło: bierzemy broń. Po trzecie: tym ludziom nie zależało na awanturze, tylko na wycofaniu podwyżek” – odpowiadał po latach jeden z sekretarzy partyjnych.

Tłum na ulicach narastał, śpiewał hymn narodowy i „Międzynarodówkę”. Przed komitetem zebrało się przed południem parę tysięcy ludzi i nowi wciąż dochodzili albo dojeżdżali na wózkach akumulatorowych. Wyszedł jeden z sekretarzy, ale tylko ich rozzłościł.

eprasa.pl 9e613fd31b

Krzyczał, że „z motłochem rozmawiać nie będzie". Robotnicy ściągnęli z niego garnitur, wyzywali, uciekł do budynku. Po całym mieście krążyły grupy z biało czerwonymi flagami, krzycząc: „My chcemy chleba" i wzywając do porzucenia pracy. Jedną z grup mijającą kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy około 9.30 ze schodów pobłogosławił ksiądz Roman Kotlarz z parafii w Pelagiowie pod Radomiem. Na prośbę manifestantów poszedł z nimi kilkaset metrów. „Przez kilka chwil, w sutannie, maszerowałem środkiem ulicy" – pisał do prymasa Wyszyńskiego. Wkrótce po wydarzeniach w Radomiu zaczną się nocne najazdy na parafię księdza Kotlarza. Nieznani bojówkarze biją go i maltretowali. 15 sierpnia podczas odprawiania mszy, duchowny straci przytomność. Umrze trzy dni później.

Po południu przed Komitetem było już 25 tysięcy osób. Sytuacja gęstniała, narastało niezadowolenie. Nie pomagało zachowanie działaczy partyjnych, którzy pozorowali dialog. Zdarzały się akty wandalizmu przed siedzibą partii i na ulicach.

Dopiero gdy część demonstrantów wdarła się do budynku partii, Prokopiak zaapelował o powrót do zakładów i podjęcie spokojnych „konsultacji". Tłum mu przerwał i wykrzyczał, że podwyżki muszą być cofnięte. Robotnicy zmusili go, by w ich obecności zadzwonił do Warszawy. Prokopiuk mówił, że odpowiedź przyjdzie za dwie godziny. Wrócił do gabinetu. Tajniacy ewakuowali go z oblężonego budynku.

Przed nim manifestanci palili w ogniskach legitymacje partyjne, na ścianie wymazano napis „Precz z PZPR", ktoś zdarł z masztu czerwoną flagę, którą wycierano buty i powiesił biało-czerwoną. Śpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki y żyjemy, co nam Ruskie zabrać chciały, szablą odbierzemy".

Gdy minął termin odpowiedzi z Warszawy, wściekli ludzie zaczęli dewastować budynek, ktoś podłożył ogień. Jeden z uczestników opisywał: „Tłum prosił strażaków, żeby nie gasili tego »kościoła«, niech się cały w diabły spali". Wozy strażackie też zostały zniszczone.

KTO ZDEMOLOWAŁ CENTRUM?

Miasto ogarnęło rewolucyjne i antykomunistyczne wzmożenie. Na ulicach powstawały barykady, zatrzymywano i podpalano samochody, tłum dewastował sklepy. Najbardziej drastyczne akcje zaczęły się wraz z rozpoczęciem interwencji MO i ZOMO. Przed budynkiem komitetu wojewódzkiego zaczęła się ona po godz. 15.10, po rozkazie gen. bryg. Bogusława Stachury, wiceministra spraw wewnętrznych i szefa operacji „Lato – 76". Do największych zniszczeń doszło między 17 a 19, w czasie zaciekłych walk ulicznych. Interwencje były chaotyczne i nieporadne; grabieże i kradzieże trwały także później, gdy władza jako tako opanowała już sytuację. Spokój zapanował późną nocą.

Zachowały się relacje, zebrane przez historyka prof. Jerzego Eislera, o małych grupach cywilów na ul. Żeromskiego, którzy przy biernej postawie milicji „metodycznie wybijali szyby wystawowe w sklepach, plądrowanych później i okradanych". Jeden z manifestantów opisywał, że znany mu milicjant o godzinie 12 po cywilnemu wystawiał ze sklepu skrzynki z wódką i wołał do przechodzących „Bierzta, pijta!". O prowokacji mówili też działacze późniejszej „Solidarności" w latach 1980-81, którzy próbowali dowiedzieć się, kto stał za zdemolowaniem centrum miasta. Z ich ustaleń wynikało m.in., że „kilkunastu wychowanków milicyjnych szkół w Szczytnie i Słupsku szło przez miasto z torbami wyładowanymi kamieniami". Jednak nie udało się znaleźć dokumentów czy śladów, które potwierdzałyby – jak uważa znawca historii Radomia'76 historyk Paweł Sasanka – milicyjne prowokacje 25 czerwca.

Partia była przerażona – skalą, gwałtownością, zasięgiem protestów. Strajkował też Ursus koło Warszawy; robotnicy rozkręcili i zablokowali tory kolejowe, zatrzymując pociąg relacji Paryż-Moskwa, ale nie było demolowania miasta. Biuro Polityczne późnym popołudniem 25 czerwca zdecydowało o „wstrzymaniu reformy cen". Podwyżkę w telewizji odwołał wicepremier Jaroszewicz, który dzień wcześniej ją ogłosił.

Władze traktowały wstrzymanie podwyżek jako wynik poważnego potraktowania wątpliwości w trakcie „konsultacji". W gazetach, radiu i telewizji ani słowa o protestach i strajkach. Ale partia postanowiła dać nauczkę protestującym.

MÓWIĄ, ŻE MIASTO JEST POD OKUPACJĄ

24 czerwca w Warszawie też obchodzono imieniny Jana. W mieszkaniu Jana Józefa Lipskiego, świetnego polonisty, powstańca warszawskiego, zebrał się tłum jego przyjaciół, dla których był mentorem. – Będzie z tego dym? Wybuchną strajki? – dopytuje Jacek Kuroń, co zapamiętał Antoni Macierewicz, późniejszy pomysłodawca nazwy i współzałożyciel KOR-u. Większość wątpi, bo jeszcze wierzą Gierkowi i partii. Podobne uważali socjologowie – ludzie z wygody zapisują się do partii, liczą na przydziały mieszkań i samochodów; narzekają po domach, ale nikt się nie wychyla.

Gierek krzyczał: „Trzeba załodze tych czterdziestu paru zakładów pracy, które strajkowały, powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to łajdacy..."

O walkach w Radomiu jeszcze nie mają pojęcia. Świat – poprzez m.in. Kuronia i Radio Wolna Europa – dowie się o nich od Romana Wojciechowskiego, który z kolegą przejeżdżał i zatrzymał się 24 czerwca w Radomiu. Wojciechowskiego cechowała niesłychana brawura: przesiedział 11 lat w więzieniu, bo próbował założyć organizację – na wzór akowskiej – zwalczającą komunizm za pieniądze zdobyte w napadzie rabunkowym. W Radomiu też został zatrzymany.

Kuroń z początku nie dowierzał temu, co usłyszał: „Opowiadali, że miasto jest pod okupacją. Widzieli rewizje przeprowadzane całymi blokami, gdzie szukano rzeczy ze sklepów rozbitych w czasie ulicznych zajść, w areszcie współwięźniowie opowiadali im o biciu, o torturach. Nie wiedzieliśmy ile w tym prawdy, ale sygnały zaczęły się zagęszczać, aż wreszcie dostaliśmy wiadomość, że w warszawskich sądach na Świerczewskiego ma się odbyć pierwsza rozprawa przeciwko robotnikom z Ursusa".

Siedmiu robotników oskarżono o przecięcie torów kolejowych, co potraktowano jako sabotaż.

JA IM TEGO NIE ZAPOMNĘ!

Gierek początkowo reagował spokojnie – relacjonował Prokopiak, który rozmawiał z nim około 19, gdy wciąż trwały walki w mieście. Ale następnego dnia, kiedy zapewniał go, że sytuacja jest opanowana, Gierek mu przerwał: „Powiedzcie tym swoim radomianom, że ja mam ich wszystkich w dupie i te wszystkie działania też mam w dupie. Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie potraktować? To warchoły, ja im tego nie zapomnę".

„Warchoły" staną się stałym elementem nagonki propagandowej. Już 28 czerwca we wszystkich województwach miały się odbyć wiece na stadionach albo w centrach miast , na których robotnicy „spontanicznie" mieli potępiać strajkujących. Gierek nie przebierał w słowach na odprawach, szczególnie wobec Radomia: „Trzeba załodze tych czterdziestu paru zakładów pracy, które strajkowały, powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to łajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, tym lepiej dla sprawy. To musi być atmosfera pokazywania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są Polakami".

Nakazał zorganizować wiec w Radomiu, „zebrać Radomiaków i powiedzieć im, jak my ich oceniamy, jak oni wychowali swoje dzieci, jak oni szkodzą Polsce. Po prostu, towarzysze, Radomiacy powinni odczuć, że cała Polska ich lekceważy, że cała Polska ma do nich pretensje, że cała Polska będzie im to długo pamiętała".

Na przełomie czerwca i lipca pod okiem SB odbyły się setki wieców, na których piętnowano „aspołeczne elementy rozwydrzonych chuliganów z Radomia i Ursusa". Pod niebiosa wychwalano szefa partii, „bezgranicznie oddanego sprawie klasy robotniczej i narodu".

TTYLE SPRAWIEDLIWOŚCI, ILE W PAŁKACH"

Ruszyła machina propagandowa. Autor „Życia Radomskiego" jeszcze w wydaniu weekendowym z 26-27 czerwca w tekście „O dobre imię" pisze ezopowym językiem o „trudnych chwilach w mieście", a manifestantów opisuje jako ludzi, którzy „dali się ponieść emocjom". Ale już 28 czerwca ten ton znika, a uczestnicy wydarzeń to już „element chuligański, aspołeczny, rozwydrzone grupy młodzieży".

Zemsta miała być dotkliwa. „Tyle sprawiedliwości, ile w pałkach", miał powiedzieć jeden z oficerów KW MO w Radomiu. Symbolem tamtych dni stały się „ścieżki zdrowia", bicie zatrzymanych przez szpaler milicjantów i zomowców. Ile osób przez nie przeszło? Szacunki mówią o ponad 700.

Zatrzymani byli wyzywani, goleni i strzyżeni, gromadzeni w przepełnionych celach. Śledztwo przeprowadzone już w III RP udokumentowało 178 przypadków całkowicie bezprawnego pozbawienia wolności.

Prokurator wojewódzki Jan Iglikowski bodaj jako jedyny przeciwstawiał się biciu i poniżaniu zatrzymanych. To było odważne, gdyż Radom był już złamany, a ludzie zastraszani. Następowało – jak nazywa to radomski historyk Arkadiusz Kutkowski – zjawisko „konformizowania się instytucji państwowych i przystosowania ich do politycznych potrzeb aparatu partyjnego wraz z wynikającymi stąd decyzjami personalnymi".

Władza nie spodziewała się, że Iglikowski, który miał za sobą typowo PRL-owską karierę prawnika i działacza PZPR, okaże się nonkonformistą. W 1990 r. wspominał, że w czasie zajść był na ulicach Radomia, także pod płonącym gmachem KW. Zapamiętał, że tłum gęstniał, ale nie był agresywny. Manifestantów miała rozwścieczyć brutalna interwencja milicji, użycie gazu i armatek wodnych. Widział ludzi rzucających kamieniami. Był zbulwersowany widokiem „skutego do tyłu kajdankami chłopaka, którego milicjant trzymał za włosy i tłukł głową o ścianę". Miał zwrócić uwagę, że to, co robią milicjanci, jest nieludzkie. „Przesadzacie" – usłyszał. Wrócił do siedziby prokuratury. „Wszyscy stali w oknach. Przed kościołem garnizonowym stał samotnie chłopiec. Właśnie szła milicja, okrążyła go i spałowała. Ale jakoś się wywinął. Pamiętam – odetchnęliśmy" – opisywał w „Słowie Ludu".

Około godz. 20 Iglikowski poinformował Prokuraturę Generalną o bezprawiu MO. Z jego relacji wynika, że wiele razy namawiał członków kolegiów do spraw wykroczeń, by nie szastali wysokimi orzeczeniami i nie stosowali odpowiedzialności karno-administracyjnej wobec zatrzymanych bez wystarczających dowodów winy. 30 czerwca został zawieszony. „Towarzyszu Iglikowski, macie natychmiast opuścić prokuraturę. – Dlaczego? – zapytałem. – Bo tego wymaga sytuacja. Weźcie teczkę i wynoście się cichutko".

Nie wiedział do końca, czy jest zawieszony, czy wyrzucony z funkcji szefa prokuratury. „Dom miałem obstawiony – przestałem w ogóle wychodzić, żeby nie narażać znajomych na wypytywania". Nie wrócił do Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu, ale jesienią został skierowany do Prokuratury Generalnej w Warszawie. W styczniu 1977 objął w niej stanowisko wiceszefa Departamentu Organizacyjnego, miał m.in. nadzorować wykonanie amnestii z lipca 1977 r. wobec uczestników protestów Czerwca '76.

Przed radomskimi sądami stanęło 255 spośród 654 zatrzymanych. Kolegium ds. wykroczeń ukarało co najmniej 212 osób. 68 oskarżono o udział w nielegalnej manifestacji. Kary orzekane w procesach radomskich sięgały 10 lat więzienia – były najwyższe w PRL do czasu wprowadzenia stanu wojennego.

SKOŃCZYŁO SIĘ DOBRE SAMOPOCZUCIE

Czerwiec '76 nie jest wystarczająco docenianym momentem w naszej historii. Nie byłoby Sierpnia '80 i III RP, gdyby nie to, co wydarzyło się w Radomiu i Ursusie. Nie powstałby Komitet Obrony Robotników jesienią 1976 r. Zaledwie garstka odważnych ludzi stanęła w obronie robotników – i to pod własnymi nazwiskami, bez krycia się. Studenci i młodzi inteligenci głównie z Warszawy, wspierający KOR, jeździli do robotniczych rodzin w Radomiu – z dobrym słowem, pomocą, pieniędzmi i namiarami na prawników.

To był przełom – po Czerwcu '76, po Radomiu, po Ursusie i powstaniu KOR-u, PRL nie był już taki sam. Skończyło się wygodne i bezpieczne knucie w domu i zakłamanie: co innego mówimy w pracy i szkole, a co innego w domach. Trafnie mówi o tym Wojciechowi Tochmanowi Hanna Krall w 1976 dziennikarka tygodnika „Polityka": „Mieliśmy poczucie, że jesteśmy w porządku; nikomu nie przyszło do głowy, że tego całego komunizmu może nie być. Że PRL-u może nie być. I to nasze dobre samopoczucie trwało do 1976 r., do powstania KOR. KOR i Radom zepsuł nam ten dobry nastrój. Bo okazało się, że nie uczestniczyć (nie działać w partii) to za mało. Bo można coś robić – to właśnie robił KOR".

Ale to już temat na inny tekst. ●

Korzystałem z: Arkadiusz Kutkowski „...jak my ich nienawidzimy", IPN, 2016; Janusz Prokopiak „Radomski Czerwiec '76. Wspomnienia partyjnego sekretarza", 2001; Jan Skórzyński „Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników", Świat Książki 2012; „Jacek" Anna Bikont, Helena Łuczywo, „Agora" i „Czarne" 2018; Paweł Sasanka „Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje", IPN 2006; Hanna Krall „Pożegnanie z Narnią. Rozmawia Wojciech Tochman", Wydawnictwo Literackie 2025.

eprasa.pl 9e613fd31b

SZEPTYCCY

BRACIA Z POGRANICZA NARODÓW

Było ich pięciu – trzech uważało się za Polaków, a dwóch – za Rusinów.

Piotr Bojarski

Rodowód rodziny Szeptyckich osiadłej od lat na Rusi Czerwonej sięga XIII wieku, kiedy to książę Lew Daniłowicz nadał im tytuł bojarski. Przez następne wieki Szeptyccy – jak wszyscy ruscy szlachcice – spolszczyli się. Sześciu z rodu brało udział w odsieczy wiedeńskiej, a jeden uczestniczył w szarży w wąwozie Somosierra.

Pierwsi Szeptyccy byli wyznania prawosławnego, ale od 1596 roku, kiedy to do unii brzeskiej przystąpił biskup Barlaam Szeptycki, cała rodzina przeszła na grekokatolicyzm. Od XVII do XVIII wieku rodzina wydała wielu znaczących duchownych Kościoła greckokatolickiego – metropolitów lwowskich i kijowskich.

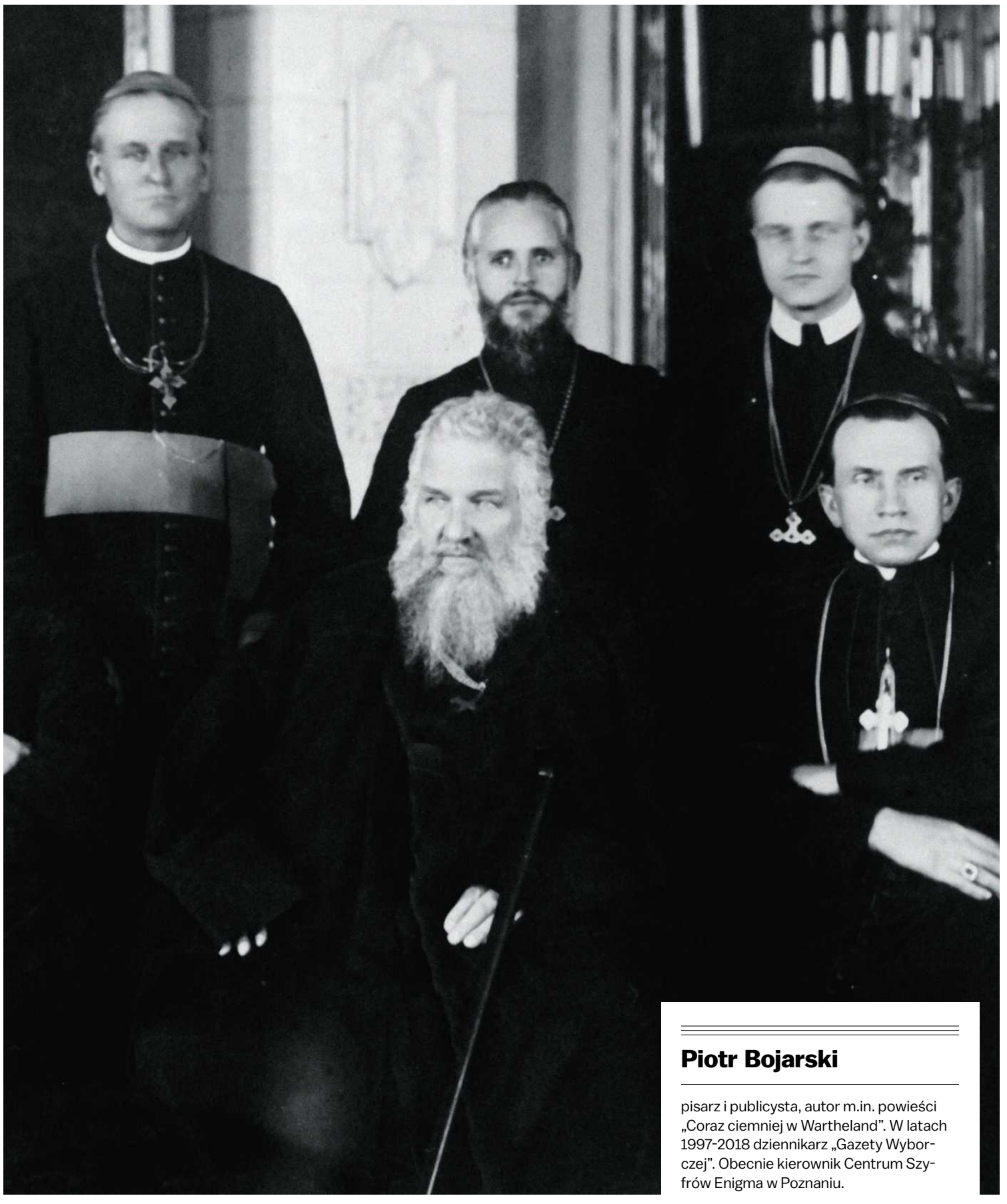
Obrządek w rodzinie – z greckiego na łaciński – zmienił prawdopodobnie dopiero w XIX wieku Piotr Szeptycki. 1 października 1861 jego syn – Jan Kanty hrabia Szeptycki, członek austriackiej Rady Państwa i Izby Panów – ożenił się z Zofią z Fredrów, córką znanego komediopisarza. Z tego związku przyszło na świat siedmiu chłopców.

Dwaj pierwsi zmarli w wieku dziecięcym. Losy pozostałych odmalowują skomplikowane i tragiczne dzieje polsko-ukraińskiej Galicji. Trzecim synem, urodzonym w 1865, był Roman Aleksander Maria, późniejszy metropolita Kościoła greckokatolickiego we Lwowie. Czwarty syn – Aleksander – zginął w 1940 roku z rąk Niemców. Piąty – Stanisław Maria Szeptycki (1867) – został generałem odradzającego się Wojska Polskiego. Szósty – Kazimierz (1869) – jako ojciec Klemens został igumenem w greckokatolickim zakonie studytów. Siódmego syna – Leona – zamordowali w 1939 roku Sowieci (jego prawnukiem jest obecny wiceminister.

PATRIOTA KOŚCIOŁA

W Przyłbicach, rodowym majątku Szeptyckich, z dworem sąsiadowała stara unicka cerkiew. Kiedy pogoda nie sprzyjała, by jechać do odległego o dwa kilometry kościoła, Szeptyccy zachodzili do cerkwi. Ich dom był otwarty dla duchownych obu obrządków – greckokatolickiego i łacińskiego. Jego atmosfera przesycona była głęboką religijnością.

Romana Aleksandra Szeptyckiego, ochrzczonego i wychowanego w duchu łaciń-



Piotr Bojarski

pisarz i publicysta, autor m.in. powieści „Coraz ciemniej w Wartheland”. W latach 1997-2018 dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Obecnie kierownik Centrum Szyfrów Enigma w Poznaniu.

• **W środku z siwą brodą metropolita kościoła greckokatolickiego we Lwowie arcybiskup Andrzej Szeptycki (1865-1944), najstarszy spośród pięciu z braci. Fotografia z 1927 roku** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

eprasa.pl 9e613fd31b

skim, ukształtowała matka Zofia Szeptycka, gorliwa ultramontanka [przedstawicielka ruchu społeczno-politycznego w XIX-wiecznym Kościele, dążącego m.in. do wzmocnienia prerogatyw papieża oraz utrzymania niezależności Kościoła od wpływu państwa]. Za swą ojczyznę uważała w pierwszej kolejności Kościół – i w tym duchu wychowywała dzieci. Po klęsce powstania styczniowego ultramontanie za najważniejsze uznawali odnowienie unii kościelnej, którą zawiązano w XVI wieku w Rzeczypospolitej, a więc odbudowę i rozszerzenie Kościoła unickiego. W ukształtowaniu osobowości przyszłego metropolity lwowskiego ważną rolę odegrali też wybitni jezuici: Henryk Jackowski (spowiednik Romana i jego matki), Michał Mycielski i Kasper Szczepkowski. Z polecenia papieża Leona XIII dążyli oni do odnowy Kościoła greckokatolickiego. Młody Roman odgrywał w ich planach kluczową rolę.

„Patriotyzm polski w wychowaniu Romana był dla niej [dla matki] rzeczą drugorzędną. Chciała z niego zrobić patriotę Kościoła. I to chyba tłumaczy łatwość, z jaką Roman zdecydował się (...) na »zerwanie z całą przeszłością« czy raczej teraźniejszością narodowo-kulturową swej od dawna rzymskokatolickiej rodziny" – pisał dr Andrzej A. Zięba, biograf metropolity.

Przeciw zamiarom syna zaprotestował ojciec, który planował dla Romana karierę wojskową. Zmienił jednak zdanie pod wpływem żony. Karierę wojskową – i to niebagatelną – miał zrobić młodszy brat Romana, Stanisław.

METROPOLITA NARZUCONY „PODSTĘPEM"

W 1888 roku Roman Szeptycki wstąpił do klasztoru ruskich mnichów bazylianów w Dobromilu, a w 1892 roku złożył w klasztorze w Krystynopolu profesję zakonną, przyjmując imię Andrzej. Potem otrzymał święcenia kapłańskie. Do zakonu poszedł z jasno wytyczonym celem: pozyskania dla Kościoła greckokatolickiego nowych rzesz wśród prawosławnych. W 1899 roku został biskupem Stanisławowa, a w 1900 – za zgodą Wiednia i polskich władz w Galicji – metropolitą Lwowa. Miał wówczas 35 lat.

Gdy został unickim zakonnikiem, hrabia Kazimierz Badeni, były polski premier Austrii, nazwał jego wybór „zdradą kraju". Z drugiej strony piorunująca kościelna kariera Szeptyckiego zrodziła podejrzenia wśród Ukraińców, że jest narzucony im „podstępem" przez polskich polityków.

Szeptycki szybko zaskoczył jednych i drugich: poparł walkę o prawa studentów ukraińskich na Uniwersytecie Lwowskim. I zapowiedział, że chce być biskupem wszystkich: narodowców ukraińskich, Polaków i rusofilów. Zabiegał przy tym o rozszerzenie praw kulturalnych i politycznych dla swych wiernych. Dlatego wszedł do austriackiej Izby Panów, został też wicemarszałkiem Sejmu Krajowego.

Metropolita rozpoczął swoją posługę w erze rodzącego się gwałtownie ukraińskiego nacjonalizmu. Mimo swoich sympatii nie zawahał się potępić przemocy, która często temu towarzyszyła. Kiedy ukraiński student zamordował namiestnika Galicji Andrzeja Potockiego, wygłosił w katedrze św. Jura kazanie, które miało zgasić aplauz wśród Rusinów. „Zbrodniami nie służy się narodowi! (...) Musimy jak najgłośniej zaprotestować przeciw samej myśli, że można świętej sprawie narodowej służyć zakrwawionymi rękami" – mówił w katedrze.

Gdy Roman Szeptycki wyrastał na czołową postać zachodniej Ukrainy, jego młodszy brat Stanisław ukończył Akademię Wojskowo-Techniczną w Wiedniu, a w 1896 – z jedną z pierwszych lokat – prestiżową Wyższą Szkołę Wojenną w Wiedniu. Awansował do stopnia kapitana, a potem jako attaché wojskowy przebywał na froncie wojny rosyjsko-japońskiej. Zbierał bezcenne doświadczenie. W dowód uznania ze strony dowództwa austro-węgierskiego w 1912 roku został attaché wojskowym w Rzymie. Jego wnikliwe raporty były doceniane przez Wiedeń.



• **Generał Stanisław Szeptycki (1867-1950) na rynku w Katowicach, 20 czerwca 1922 r. Tego dnia polskie wojsko wkroczyło na Górny Śląsk**

FOT. STEFAN PIERZCHALSKI / MUZEUM ŚLĄSKIE/EAST NEWS

BOHATER UKRAINY

Metropolita szybko stał się główną postacią ruchu unijnego wśród Słowian. Wspierał go w tym dziele młodszy brat Kazimierz, który również czuł w sobie pierwiastek ruski i wstąpił do wschodniego zakonu studytów, przyjmując imię Klemens. W 1907 roku abp Szeptycki otrzymał od papieża Piusa X tajne pełnomocnictwa dla prowadzenia akcji unijnej w Cesarstwie Rosyjskim. Zabiegał o odrodzenie unii kościelnej na Białorusi, rok później w tajemnicy pojechał do pierwszej wspólnoty rosyjskich katolików w Petersburgu. Nie chciał, by nawracani Rosjanie przechodzili na obrządek łaciński. Uważał, że powinni zachować swą tradycję, uznając zwierzchnictwo papieża. Liturgia rodzącego się Kościoła w niczym nie odbiegała od rosyjskiej liturgii prawosławnej.

Kościół prawosławny odebrał to jako początek nowej ekspansji katolicyzmu na Rosję. Kiedy w 1914 roku armia rosyjska wkroczyła do Lwowa, Szeptycki został aresztowany i wywieziony w głąb Rosji. Z niewoli wypuścił go dopiero Rząd Tymczasowy po rewolucji lutowej. W 1917 roku Szeptycki urządził w Piotrogrodzie [dzisiejszym Sankt Petersburgu] pierwszy synod katolickiego Kościoła rosyjskiego i utworzył na nim egzerchat [jednostka administracyjna w Kościołach prawosławnych i katolickich Kościołach wschodnich].

Kiedy w 1943 roku rozpoczęła się rzeź Polaków na Wołyniu, metropolita Andrzej Szeptycki w swoich listach pasterskich potępił zbrodnie. Apelował do społeczności ukraińskiej, by ratowała życie i mienie Polaków

Po powrocie z rosyjskiej niewoli metropolita był witany we Lwowie jako ukraiński bohater narodowy. Jego popularność wśród Ukraińców jeszcze wzrosła, gdy poparł traktat brzeski przyznający Ukrainie Chełmszczyznę. Utrata Chełmszczyzny była z kolei ciosem dla brata metropolity Stanisława, wówczas już generała i austriackiego gubernatora w Lublinie, który budował tam polską administrację. Były dowódca III Brygady Legionów, a potem ich komendant, długo wierzył w możliwość odbudowy Polski u boku Austro-Węgier. W akcie protestu Stanisław Szeptycki podał się do dymisji. Trafił na front włoski.

BRACIA PO DWÓCH STRONACH

W listopadzie 1918 roku rodzina Szeptyckich stanęła przed pierwszą próbą: wybuchła polsko-ukraińska wojna o Lwów. Metropolita znalazł się w części miasta kontrolowanej przez Polaków. Choć sympatyzował z Ukraińcami, próbował wpływać na walczących, broniąc rannych, jeńców i ludności cywilnej. Gotów był przyznać Polakom prawo do mieszkania w Galicji Wschodniej, uważał jednak, że gospodarzami kraju powinni być Ukraińcy.

Mimo wojny „rodzina Szeptyckich trwała razem, a stosunki pomiędzy trzema braćmi Polakami i dwoma Ukraińcami były wzorowe" – napisał Zięba. Brat metropolity gen. Stanisław Szeptycki, który był już wtedy szefem sztabu Wojska Polskiego, celowo trzymał się na uboczu spraw polsko-ukraińskich. Starał się ugodowo uregulować stosunki z Ukraińcami, głównego wroga młodego państwa polskiego upatrując słusznie w rosnących w siłę bolszewikach.

Pokrewieństwo z metropolitą lwowskim zaważyło jednak na karierze generała. Szef sztabu Wojska Polskiego był ostro atakowany przez endecję z powodu sprzyjającego Ukraińcom brata. W okresie walk o Lwów i Galicję Wschodnią prasa narodowa zarzucała generałowi, że zwleka z odsieczą Lwowa, bo liczy na wielką karierę w przyszłym państwie ukraińskim („Gazeta Warszawska"). Szarpany przez endeków generał kilkakrotnie składał dymisję z funkcji szefa sztabu Wojska Polskiego (w końcu została przyjęta przez Piłsudskiego). Ostre ataki prasy narodowej spowodowały, że przez pewien czas bracia kontaktowali się ze sobą tylko poufnie.

Metropolita Szeptycki gotów był poprzeć koncepcję Piłsudskiego o federacji Polski i Ukrainy. Ale Piłsudski, który przyjechał do Lwowa, nie chciał z nim rozmawiać, wkrótce znalazł partnera w Symonie Petlurze. Biskup Andrzej poparł ten sojusz.

Wojna z bolszewikami skonfliktowała Szeptyckiego z Piłsudskim. Naczelny Wódz miał pretensje za załamanie się frontu białoruskiego kierowanego przez generała podczas sowieckiej kontrofensywy, co spowodowało odwrót polskiej armii. Generał bronił się, przypominając, że już wcześniej alarmował o sowieckiej koncentracji, ale Piłsudski te informacje bagatelizował.

W lipcu 1920 roku, w kluczowym momencie przygotowań do polskiej kontrofensywy, gen. Szeptycki zachorował na czerwonkę i przez kilka tygodni walczył o życie. Potem w specjalnym postępowaniu dyscyplinarnym musiał udowodnić, że nie odpowiadał za klęski lata 1920 roku. Generał był przeciwnikiem wyprawy kijowskiej Piłsudskiego. Uważał, że jej niepowodzenie spowodowało krach koncepcji federacyjnej.

AMBASADOR SPRAWY UKRAIŃSKIEJ

Po upadku idei wolnej Ukrainy sfederowanej z Polską metropolita wyjechał za granicę, by sondować rządy europejskich mocarstw, a także Stanów Zjednoczonych i Kanady w sprawie ukraińskiej. Nie znalazł jednak poparcia dla idei Galicji Wschodniej rządzonej przez Ukraińców. Doniesienia o jego staraniach spowodowały wzrost niechęci do jego osoby w Polsce.

Kiedy w 1923 roku Rada Ambasadorów uznała prawa Polski do Galicji, metropolita zdecydował się wrócić do Lwowa. Został jednak wpuszczony do Polski dopiero po złożeniu na ręce prezydenta Stanisława Woj-

eprasa.pl 9e613fd31b

ciechowskiego deklaracji lojalności wobec państwa polskiego. Zgodnie z konkordatem polsko-watykańskim z 1925 roku złożył potem przysięgę na wierność Rzeczypospolitej Polskiej.

W tym czasie prędko spadała pozycja gen. Szeptyckiego w Wojsku Polskim. Dla piłsudczyków jego obecność w rządzie Witosa w 1923 roku – jako ministra spraw wojskowych – była równoznaczna ze zdradą. W dodatku w książce „Rok 1920” Piłsudski już bez niedomówień obarczył generała winą za odwrót armii polskiej w 1920 roku. W poufnym dokumencie oceniającym generalicję wystawił Szeptyckiemu kiepskie świadectwo: „Na szefa Sztabu Naczelnego Wodza nie nadaje się, nawet osobistemu nieprzyjacielowi jego bym nie doradzał”. Krytykowanemu często w niewybredny sposób generałowi pozostały pojedynki honorowe, m.in. z byłym premierem Aleksandrem Skrzyńskim.

MIĘDZY LWOWEM A WARSZAWĄ

Po powrocie do Polski metropolita lwowski znalazł się pomiędzy ukraińskimi zwolennikami irredenty i polskimi władzami, które domagały się od niego potępienia wszelkich patriotycznych demonstracji wiernych. Endeckie gazety kreśliły czarny wizerunek Szeptyckiego, który sprzyjał „antypaństwowym wystąpieniom ukraińskim”. Metropolita Andrzej unikał jednak skrajności, wspierał też inicjatywy kompromisowe. Na jego możliwości rzutowała jednak szybko rozwijająca się choroba reumatyczna – gościec – wyniesiona jeszcze z czasów służby w armii austro-węgierskiej. W latach 30. poruszał się już na wózku.

Poufne rozmowy, jakie metropolita podjął w 1930 roku z nowym ministrem spraw wewnętrznych Henrykiem Józewskim (wcześniej przychylnie nastawionym do Ukraińców wojewodą wołyńskim), spowodowały kontrakcję powstałej rok wcześniej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Do końca 1930 roku w Galicji Wschodniej odnotowano niemal 200 aktów terroru: niszczenie siedzib „Strzelca”, linii telegraficznych, torów kolejowych czy spalenie trybuny Targów Wschodnich we Lwowie.

W odwecie Piłsudski zarządził akcję pacyfikacyjną, która objęła 450 wsi na terenie 16 powiatów. Niszczono dobytek, a Ukraińców karano aresztami i bito. Były ofiary śmiertelne, zamknięto trzy ukraińskie gimnazja, a w więzieniu znaleźli się ukraińscy politycy i księża. Szeptycki dwukrotnie podróżował do Warszawy, by zapobiec represjom, ale Marszałek go nie przyjął. Kiedy w październiku 1930 roku metropolita ogłosił list pasterski potępiający zarówno terror podziemia, jak i zasadę odpowiedzialności zbiorowej stosowaną przez państwo polskie, prokuratura go skonfiskowała.

Terror w Galicji się nakręcał. W 1934 roku z ręki bojowca OUN padł Iwan Babij, dyrektor gimnazjum ukraińskiego we Lwowie i przewodniczący Archidiecezjalnej Rady Akcji Katolickiej, jeden z najbliższych współpracowników Szeptyckiego. W tym samym roku OUN zabił też ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Metropolita przestrzegał wiernych: „(...) Zbrodnia pozostanie zawsze zbrodnią, (...) dla świętej sprawy nie można pracować z zakrwawionymi rękami (...). Kto demoralizuje młodzież, ten jest zbrodniarzem i wrogiem narodu”. Apele hierarchy do radykałów z OUN jednak nie trafiały.

Podczas zamachu majowego w 1926 roku generał Szeptycki, wówczas inspektor armii w Krakowie, poparł rząd. Został mianowany przez prezydenta Wojciechowskiego „dowódcą Wojska Polskiego poza stolicą” i organizował odsiecz dla Warszawy. Nie zdążył pomóc rządowi m.in. z powodu bojkotu ze strony podwładnych. Po tym niepowodzeniu zdecydował się na ostateczny rozbrat z armią, przeszedł w stan spoczynku.

Uwolniony od obowiązków wojskowych wiódł życie rodzinne. Często podróżował do Lwowa, by spotkać się z greckokatolickimi braćmi. Podczas zjazdu rodzinnego w 1927 roku uchwalono Statut Rady Rodu Szeptyckich. Generał znalazł oparcie w rodzinie, a jego stosunki z „ruskimi” braćmi układały się prawdziwie po bratersku. Nawet jeśli różnili się w ocenie niektórych spraw, nigdy nie dochodziło pomiędzy nimi do waśni. Do dziś zachowały się zdjęcia z rodzinnych spotkań Szeptyckich. Panuje na nich pełna harmonia.

TRUDNE WYBORY METROPOLITY

W chwili ataku niemieckiego we wrześniu 1939 roku Stanisław Szeptycki oddał się do dyspozycji marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, który jednak nie skorzystał z jego usług. Okupację spędził generał w dworze w Korczynie pod Krosnem pod czujnym okiem Niemców.

Choć w 1938 r. zaprotestował przeciwko zorganizowanej akcji burzenia cerkwi prawosławnych przez Wojsko Polskie na Chełmszczyźnie i Lubelszczyźnie, Metropolita Andrzej zachował się we wrześniu 1939 roku lojalnie wobec upadającej Rzeczypospolitej: wezwał swych rodaków do takiej samej postawy. W okupowanym przez Sowietów Lwowie Kościół greckokatolicki i sam metropolita zostali poddani restrykcyjnemu nadzorowi. Sowieci zlikwidowali klasztory, a majątek i szkoły kościelne upaństwowili. Ruszyła akcja ateizacji młodzieży. W odpowiedzi arcybiskup wezwał duchowieństwo do odsunięcia się od działalności politycznej i podporządkowania nowym prawom, jednak nie tym, które ograniczały wolność nauczania religii.

W czerwcu 1941 roku Szeptycki i wielu Ukraińców było przekonanych, że spodziewane zwycięstwo Hitlera zapowiada niepodległość Ukrainy. Metropolita udzielił błogosławieństwa proklamowanemu przez OUN rządowi Jarosława Stećki, a radio lwowskie nadało jego powitanie Wehrmachtu. Szeptycki podpisał się też pod telegramem do rządu Rzeszy wysłanym 22 lipca 1941 roku, a na początku 1942 – pod wspólnym listem Ukraińskiej Rady Narodowej (której był przewodniczącym) do Hitlera. Politycy ukraińscy zaproponowali pomoc w budowie hitlerowskiego „nowego porządku w Europie”.

Niemcy szybko wybili z ukraińskich głów mrzonki o niezawisłości, aresztowali rząd Stećki. Hitler nie zamierzał tworzyć żadnej ukraińskiej państwowości na zajętych terenach. Zamiast tego zarządził eksterminację Żydów. Na początku 1942 roku Szeptycki wysłał do Heinricha Himmlera list, w którym zaprotestował przeciw używaniu policji ukraińskiej do mordowania ludności żydowskiej. Alarmował też o tych rzeziach papieża Piusa XII.

„Przewidujemy wszyscy, że system terroru będzie wzrastał i zwróci się z dużo większym nasileniem przeciw chrześcijanom ukraińskim i polskim. Oprawcy przyzwyczajeni do mordowania Żydów, tysięcy ludzi niewinnych, przyzwyczajeni są do widoku krwi i spragnieni są krwi” – pisał.

W listach pasterskich do wiernych z 1942 roku (m.in. w zatytułowanym „Nie zabijaj”) potępiał te mordy i przestrzegał pod groźbą ekskomuniki przed udziałem w nich. Na jego polecenie w klasztorach greckokatolickich oraz w zabudowaniach wokół katedry św. Jura ukryto wielu młodych Żydów, a także rabinów. Działalność tę nadzorował jego brat Klemens. „Metropolita objął mnie zdrową ręką, przytulił do potężnej piersi i zaczął głaskać po włosach. Powtarzał słowa »armes Kind« – biedne dziecko (...). Tyle ciepła się nie spodziewałem” – wspominał Kurt Lewin, uratowany przez Szeptyckiego syn rabina.

UKRAIŃCY, RATUJCIE POLAKÓW!

Kontrowersje do dziś wzbudza wyznaczenie przez metropolitę kapelanów do dywizji SS-Galizien tworzonej przez Niemców z udziałem ukraińskich kolaborantów (lipiec 1943). Dywizja miała walczyć z ZSRR. Być może u źródeł tej decyzji legła obawa o demoralizację Ukraińców w uniformach SS. Andrzej Zięba zwraca uwagę, że w latach wojny Szeptycki, częściowo już sparaliżowany, zdany był na otoczenie, w którym nie brakowało osób sympatyzujących z Niemcami. Ich działania szły na konto arcybiskupa. W tym samym czasie Szeptycki poparł rozmowy pomiędzy podziemiem polskim i ukraińskim. Negocjacje w Pałacu św. Jura zakończyły się jednak fiaskiem.

Kiedy w 1943 roku rozpoczęła się rzeź Polaków na Wołyniu, Szeptycki w swoich listach pasterskich kilka razy dobitnie potępił zbrodnie. W sierpniu tego roku w liście opublikowanym na łamach polskiego pisma podziemnego „Prawda” apelował do społeczności ukraińskiej, by ratowała życie i mienie ludności polskiej zagrożonej terrorem. Na początku 1944 roku powtórzył ten apel w liście „Pokój w Panu”. Choć nigdy nie zaakceptował przemocy, jego wezwania pozostały bez echa.

Po ponownym zajęciu Lwowa przez Rosjan jego stan zdrowia gwałtownie się pogorszył. Mimo to próbował nawiązać kontakt ze Stalinem, aby zapewnić przetrwanie swojego Kościoła pod władzą sowiecką. Nie zdołał. Zmarł 1 listopada 1944 roku we Lwowie.

„On był taki dobry, tak gorące szerokie serce, tak pod każdym względem wyjątkowy człowiek. Cóż robić, wola Boża [...]. Po życiu trudu poszedł po nagrodę” – pisał o zmarłym o. Klemens Szeptycki w liście do swego brata Stanisława.

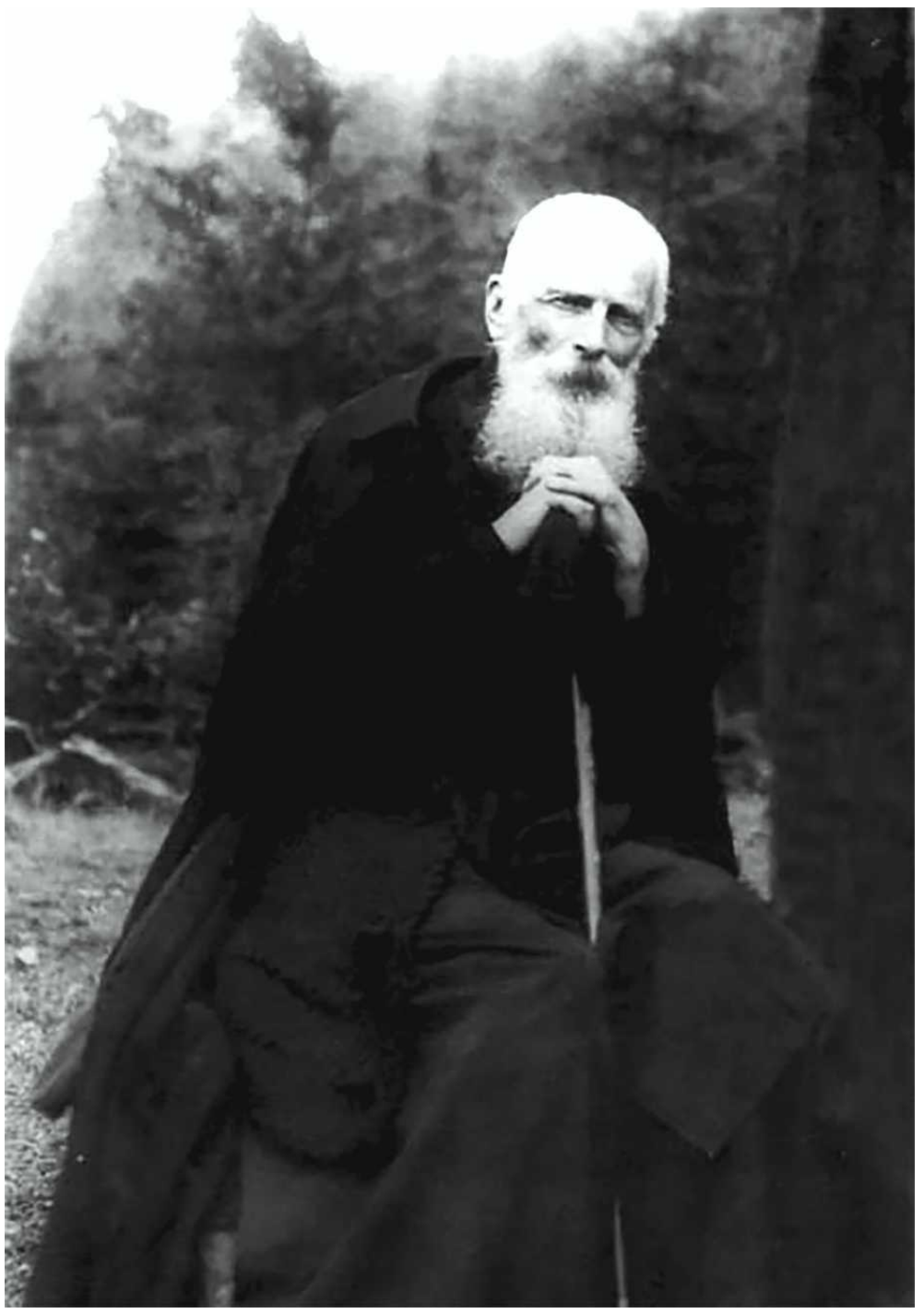
Aresztowany przez Sowietów zakonnik zginął z wycieńczenia w łagrze.

OSTATNI Z BRACI

Z pięciu braci Szeptyckich wojnę przeżył tylko jeden. Po nadejściu Rosjan zimą 1945 roku generał Stanisław Szeptycki, być może w obawie o los swojej rodziny (miał w pamięci zamęczenie brata Aleksandra w 1940 roku przez gestapo), zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego. „Tam, gdzie są polscy żołnierze, muszą też być polscy oficerowie” – tłumaczył. Nie chciano tam jednak 68-letniego generała z przedwojennej Polski. Zaproponowano mu prezesurę Polskiego Czerwonego Krzyża. Przyjął ją.

Inwigilowany przez Urząd Bezpieczeństwa już we wrześniu 1945 r. został jednak odwołany z funkcji. Wrócił do Korczyna, gdzie zmarł w 1950 roku. Na cmentarzu nie pożegnała go kompania honorowa Wojska Polskiego. W ostatniej drodze zagrali mu strażacy. ●

Wykorzystałem: „Metropolita Andrzej Szeptycki. Studia i materiały” pod red. Andrzeja Zięby, artykuły Andrzeja Zięby, Rafała Torzeckiego i Grzegorza Motyki, książkę Andrzeja Wojtaszaka „Generał Stanisław Szeptycki”, wspomnienia Kurta Lewina.



• **Kazimierz Szeptycki (1869-1951), czyli ojciec Klemens, igumen w grekokatolickim zakonie studytów, Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, zmarł w sowieckim więzieniu**
FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 9e613fd31b

Historia krzepi

Walenrodyzm roku 1989

W wyborach czerwcowych trzech kandydatów władzy zapisało się do Solidarności. Ujawnili to dopiero w kampanii.

Natęcz



Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

W dziejowym przełomie, jakim były wybory z 1989 roku, skupiamy uwagę na pierwszej turze głosowania z 4 czerwca 1989. Zresztą słusznie, bo to wtedy Polacy skorzystali z furtki do wolności uchylonej przy Okrągłym Stole i masowo poparli Solidarność, zadając śmiertelny cios komunizmowi. Widać to zwłaszcza z historycznej perspektywy.

Jednak dla uczestników tamtych wydarzeń walka trwała. Reżim, choć po ciosie z 4 czerwca ledwie trzymał się na nogach, nie zamierzał oddawać władzy. Liczył, że przetrwa kryzys dzięki kontrolowaniu kluczowych organów państwa, wymuszonym na Solidarności w okrągłostołowym kontrakcie.

Wybory do sejmu obóz rządzący przegrał z kretesem, ale także w tej izbie miał zapewnioną przewagę. Kontrakt gwarantował mu aż 65 proc. posłów wybieranych w okręgach zastrzeżonych dla kandydatów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej satelitów ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego oraz drobnych stowarzyszeń chrześcijańskich. Na ten dyktat zwolennicy Solidarności odpowiedzieli 4 czerwca skreśleniem wszystkich kandydujących, co sprawiło, że w pierwszej turze prawie żaden z 299 „partyjnych" mandatów nie został obsadzony, bo do tego niezbędna była bezwzględna większość głosów, a ważne były także te zawierające sto procent skreśleń.

Zdarzyły się jednak trzy wyjątki. Okazało się, że dwóch nominatów ZSL i jeden PZPR należało do Solidarności, czego nie wiedziały władze partii. Kandydaci ujawnili to dopiero w kampanii, deklarując wsparcie dla drużyny Lecha Wałęsy. Ich walenrodyzm spodobał się wyborcom i zapewnił całej trójce zdobycie mandatu już 4 czerwca. Kandydat PZPR, który łamiąc zakazy partii, oznaczył się na liście symbolem Solidarności zyskał zaufanie aż 71 proc. głosujących!

Podsunęło to ekipie Wałęsy pomysł na drugą turę, z 18 czerwca 1989. Poszła za ciosem i zaangażowała się w kampanię także w „partyjnych" okręgach. „Ani nam, działaczom związkowym, posłom i senatorom, ani naszym wyborcom nie powinno być obojętne, kto i dzięki czyim głosom zapełni ławy poselskie koalicji – tłumaczył Karol Modzelewski – choć nie brak niestety przypadków, gdy nie ma w kim wybierać" „Gazeta Wyborcza" ujęła tę strategię w chwytliwe hasło: „Uzupełnij drużynę Lecha, wybierz partnerów spośród przeciwników!".

O poparciu decydowały wojewódzkie władze Solidarności, najlepiej znające kandydatów. Rekomendację uzyskało 55 osób, w tym 21 z PZPR, m.in. Tadeusz Fiszbach, dawny szef Komitetu Wojewódzkiego w Gdańsku, sygnatariusz porozumień sierpniowych z 1980 roku, w stanie wojennym odsunięty w PZPR na boczny tor.

Pomysł zdezorganizowania szyków przeciwnika zyskał uznanie wyborców. 18 czerwca 1989 kandydaci wsparci w ramach akcji „uzupełnij drużynę Lecha", z wyjątkiem kilku osób, zostali posłami. Nie przeszli na drugą stronę, alew macierzystych klubach parlamentarnych PZPR, ZSL i SD opowiadali się za demokratyzacją kraju i polityką wychodzącą naprzeciw wolnościowym oczekiwaniom rodaków. Sprzyjał im wiatr historii. Fiszbach został wicemarszałkiem sejmu. Niepokorni poczynali sobie coraz śmielej, zwłaszcza w powstających z kolan klubach ZSL i SD. 19 lipca 1989 sześciu posłów ZSL, czterech SD i jeden PZPR skreśliło gen. Wojciecha Jaruzelskiego w wyborach na prezydenta PRL.

Widząc to Wałęsa, postanowił pójść na całość i wyłuskać komunistom wasali z ZSL i SD, zdobywając w ten sposób większość w sejmie. Podjęto zakulisowe negocjacje, które dosyć szybko, m.in. dzięki wsparciu hierarchów kościoła katolickiego, uwieńczone zostały sukcesem. 17 sierpnia 1989, w samo południe, jak w słynnym solidarnościowym plakacie wyborczym z Garym Cooperem, Wałęsa spotkał się liderami ZSL i SD, Romanem Malinowskim i Jerzym Jóźwiakiem. Po 45 minutach wyszli do dziennikarzy i na pytanie, jaki jest wynik rozmów, podnieśli ręce w geście zwycięstwa. W okrągłostołowym kontrakcie powstała wyrwa, przez którą z reżimu komunistycznego wyciekło całe życie.

Warto to śmiałe posunięcie przywódcy wolnej Polski przypomnieć dzisiaj, kiedy nasz kraj dzielą mury politycznych równie wysokie jak w ostatnich latach PRL-u. Może nowy rozdział naszych dziejów napiszą ludzie zdolni do wyjścia poza partyjne szańce. ●

POWSTANIE ARCHIWUM BORODZIEJA

Pisał, mówił i w kilku językach, działał w wielu instytucjach w Polsce, Niemczech i innych krajach. Niewielu badaczy angażowało się w tak wiele przedsięwzięć kształtujących publiczne wyobrażenia o przeszłości.

Profesor Włodzimierz Borodziej (1956-2021), wybitny historyk i nauczyciel historyków, zostawił po sobie bogaty dorobek. Instytut Historii PAN oraz Deutsches Polen-Institut zadbają o jego zebranie i udostępnienie.

MACIEJ STASIŃSKI: Włodzimierz Borodziej był badaczem znanym w Polsce i Niemczech. Ale jego spuścizna książkowa nie jest tak obfita jak wielu innych dziejopisów. Co się kryje za zamiarem stworzenia Archiwum Włodzimierza Borodzieja, którego jest pan współtwórcą i redaktorem?
PROF. MACIEJ GÓRNY (Instytut Historii PAN, autor dwutomowej monografii „Nasza Wojna. Europa Środkowo-Wschodnia", napisanej wspólnie z Włodzimierzem Borodziejem): To jest zamysł dla jego uczniów i współpracowników równie oczywisty, co trudny do zrealizowania. Oczywisty, bo Włodzimierz Borodziej, od kiedy w 1979 roku został wykładowcą na UW, brał udział w ważnych debatach i sporach historycznych, a nawet historyczno-politycznych. Zwłaszcza w obszarze historiografii i dziejów Polski i Niemiec, w czym był szczególnym specjalistą. Spotykamy go we wszystkich węzłowych kwestiach współczesnej historii, zarówno polsko-niemieckiej, jak i europejskiej. Jest przewodnikiem po historii intelektualnej i po historii idei. Pisał, mówił i w kilku językach, działał w wielu instytucjach w Polsce, Niemczech i innych krajach. Niewielu badaczy angażowało się w tak wiele przedsięwzięć kształtujących publiczne wyobrażenia o przeszłości.

Zebranie jego dorobku w archiwum jest trudne, bo jest on rozsiany po książkach, artykułach, czasopismach, dokumentach wielu różnych instytucji, uczelni, rad naukowych, muzeów, to także memoranda, protokoły, wywiady, a nawet maile.

Włodek wykładał całe życie na UW, ale także na uniwersytetach w Marburgu, Tybindze i Jenie, gdzie był współtwórcą i współdyrektorem (z Joachimem von Puttkamerem) Imre Kertész-Kolleg, pracował w Kancelarii Sejmu, w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Był współtwórcą Domu Historii Europejskiej w Brukseli, działał w radach naukowych Muzeum Drugiej Wojny Światowej i Muzeum Powstania Warszawskiego, Centrum Badań Historycznych w Berlinie.

Ta współczesna baza źródłowa, rozproszona w internecie, jest trudniejsza do ogarnięcia



FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

niż źródła pisane – książki, listy, czy wspomnienia, które kiedyś wystarczały do pisania biografii wybitnych historyków.

Kto się tego przedsięwzięcia podjął?
-- Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN i Deutsches Polen Institut w Darmstadt. Ja tym kieruję ze strony polskiej, a z niemieckiej, Peter Oliver Loew, historyk, tłumacz i dyrektor DPI. Źródła zbierają Iza Mrzygłód i Bartosz Dziewanowski-Stefańczyk. Finansuje nas Polsko-Niemiecka Fundacja na rzecz Nauki.

Historycy polscy i niemieccy znają dorobek profesora Borodzieja, ale szersza publiczność mniej...
– Tak, tymczasem Włodek Borodziej już w 1983 został sekretarzem polsko-niemieckiej komisji podręcznikowej, a czasy były ciężkie, stan wojenny dopiero zbliżał się do końca. Wziął go tam promotor jego pracy doktorskiej Marian Wojciechowski, nieformalny strażnik prawomyślności ideologicznej PZPR i jednocześnie radykalny endek, czyli „endek czerwony".

Akurat w sprawach polsko-niemieckich komuniści z PZPR dobrze się rozumieli z endekami.
– Sytuacja była więc napięta nie tylko z powodu trudnej historii polsko-niemieckiej, ale także przez bieżącą polską politykę. Komisja nie mogła tykać tabu komunistycznej władzy. Nie było mowy o wspólnym stanowisku w sprawie Katynia albo paktu Ribbentrop-Mołotow, o którym w Polsce nie wolno było pisać. W te-

eprasa.pl 9e613fd31b

raźniejszości też bywało trudno. Jeden z niemieckich członków komisji i przyjaciel Włodka, Hans Henning Hahn, miał przez lata zakaz wjazdu do Polski. Ale byli w niej członkowie partyjni i niepartyjni, także prawdziwe autorytety. Włodek tłumaczył Niemcom, z kim po stronie polskiej warto współpracować, a na kogo uważać. Pod koniec lat 90. został szefem komisji. Ten czas był ważnym etapem jego kariery, przypadającym na gorący okres polsko-niemieckich sporów o wypędzenia.

Z nastaniem demokracji wiele się zmieniło, zdjęto rozmaite tabu z okresu PRL, otwarto archiwa...

– I to jest drugi ważny rozdział w dorobku Włodzimierza Borodzieja. W latach 90. historycy zachłysnęli się wolnością dostępu do źródeł i wydawali je czasem bez opamiętania. Włodek miał umiejętność selekcji rzeczy naprawdę ważnych. Był m.in. twórcą i redaktorem naczelnym fundamentalnej serii „Polskie Dokumenty Dyplomatyczne”, wydawanej od 2005 przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Jego ostatnia książka wydana za życia to opracowany z grupą młodych historyków i wydany przez PISM zbiór międzynarodowych reakcji na ogłoszenie niepodległości przez Polskę w 1918 roku.

Opracował też komplet dokumentów dotyczących obrad Okrągłego Stołu – wpapierze i na płytach. To zresztą typowy dla niego przypadek, brał na warsztat problemy wywołujące emocje i ustalał fakty z nadzieją, że ktoś z tej wiedzy kiedyś skorzysta. Rozczarowywał się nie raz, ale nie tracił wiary. W jednym z ostatnich wywiadów zauważył, że Niemcom tylko wydaje się, że Polacy znają swoją historię. To był być może jakiś rodzaj przyznania się do porażki.

Wkład Borodzieja w badania historii polsko-niemieckiej jest chyba znany bardziej za Odrą niż w Polsce. Zaznaczył się w dobie awantur dyplomatycznych wokół wypędzenia Niemców i polemik dotyczących działalności Związku Wypędzonych Eriki Steinbach.

– To trzeci bardzo ważny rozdział jego pracy z edycjami źródłowymi. Borodziej i Hans Lemberg zainicjowali kilkutomowy zbiór dokumentów z polskich archiwów dotyczący wypędzeń: „Niemcy w Polsce 1945-1950”, który wyszedł u nas w latach 2000-2001. Rzecz budziła silne namiętności w latach 90. Borodziej wymyślił, żeby opowiedzieć, jak to było z tymi wypędzeniem: fakty, liczby, okoliczności. I skompletował zespół historyków, głównie młodych Niemców, którzy pracowali w polskich archiwach: Ingo Eser, Katrin Steffen czy Claudia Kraft. Włodzimierz Kalicki pisał 25 lat temu, jaki obraz się z tych dokumentów wyłania: „Taka była właśnie polska rozprawa z Niemcami – nienawiść mieszała się z pobłażliwością, okrutne ekscesy niknęły w odwiecznym »trzeba żyć i dać żyć innym«. Urzędnicy w przywołanych dokumentach irytują się, że polscy chłopi ukrywają przed wywozem przymusowo pracujących Niemców – ale po żniwach i wykopkach ci sami chłopi odprowadzali swych Niemców do obozów, bo przestali być potrzebni”.

Toczyły się wówczas namiętne dyskusje wokół upamiętnienia wypędzenia Niemców, najpierw wokół projektu Eriki Steinbach, a potem przyjętego przez rząd Niemiec w 2008 projektu tzw. Widocznego znaku. Borodziej brał w tym udział, publikował polemiki.

W tym samym czasie wybuchła – bardzo charakterystyczna dla ówczesnego klimatu – awantura wokół książki Anetty Rybickiej o tzw. Instytucie Niemieckiej Pracy Wschodniej (Institut für Deutsche Ostarbeit). Ta utworzona przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie, w Krakowie, instytucja była nazistowska, ale pracowało w niej wielu Polaków. Rybicka była doktorantką Wojciechowskiego, książka była prekursorska, Borodziej został jej recenzentem w przewodzie doktorskim. Awanturę wywołali nasi nacjonaliści i oburzona profesura z Krakowa. Były puste gesty i bzdurne zarzuty. Włodek książki bronił, studził temperaturę, sprowadzał rzecz do faktów.

Pozbieramy teksty Borodzieja dotyczące wszystkich ówczesnych dyskusji polsko-niemieckich. Ułożą się w kronikę „długich” lat 90., kiedy wydawało się, że spory o historię to najbardziej kontrowersyjny problem w stosunkach międzynarodowych.

Borodziej był też w radzie naukowej Muzeum Drugiej Wojny Światowej, od początku zawzięcie zwalczanego przez naszą prawicę narodową.

– Autorem projektu Muzeum był Paweł Machcewicz, ale Włodek od początku był zaangażowany w jego tworzenie wrazz międzynarodowym gronem wybitnych historyków, m.in. Ulrichem Herbertem, Normanem Daviesem czy Timothy Snyderem. Poprowadził debatę panelową, która zapoczątkowała działalność Muzeum. Pamiętna była nagonka na koncepcję i główną wystawę, rozpętana przez PiS. Dla nich nieznośna i niezrozumiała była idea, ukazująca wojnę jako tragedię powszechną, światową, dotyczącą dziesiątków milionów ludzi, głównie ludności cywilnej. Domagali się, jak zwykle, upamiętnienia wojny jako rozdziału martyrologii narodu polskiego. Borodziej zawsze bronił koncepcji Muzeum jako upamiętnienia wojny globalnej, bo dopiero z takiej perspektywy można zrozumieć historię Polski.

PiS był kontynuatorem martyrologii rodem z PRL, a Włodek nie znosił tego „ofiarniczego narcyzmu”, ale jeszcze bardziej złościła go infantylność zmian w ekspozycji, wprowadzanych przez ówczesnego dyrektora Karola Nawrockiego. Nadzieję pokładał w głupocie tych interwencji, pisał: „myślę, że film »Niezwyciężeni« zdziała więcej niż nasze memoranda i monografie. Każdy rozsądny i inteligentny Polak, kiedy go obejrzy w internecie czy na wystawie, musi puknąć się w głowę”.

Podobna napaść spotkała Dom Historii Europejskiej utworzony z inicjatywy Parlamentu Europejskiego w Brukseli. Szefem rady naukowej był Borodziej od 2009 do 2019 roku. Naczelna idea Domu jest taka, że ponad historiami narodowymi jest historia europejska – tego, co wspólne i ważne dla naszego kontynentu. Nie jest to suma narracji narodowych, tylko coś innego, a zarazem wspólnego.

Wszędzie idea historii europejskiej zrealizowana w Domu w Brukseli wzbudziła zrozumienie z wyjątkiem Polski. U nas krytyka wyprzedziła wystawę i odezwały się głosy, że nie uwzględniono bitwy pod Grunwaldem, itp. Borodziej cierpliwie tłumaczył, gdzie mógł – na przykład w wywiadzie dla „Teologii Politycznej”, że muzeum to nie to samo co książka historyczna, ani kibicowski transparent. Polemizował lapidarnie z ministrem Piotrem Glińskim, który atakował wystawę w imię „obrony prawdy”. „Strasznie nie lubię, jak polityk mówi mi, co to jest prawda” – odpowiadał.

Jak sobie wyobrażacie Archiwum Borodzieja?

– Zgromadzimy całą jego twórczość w jednym miejscu. To będzie strona internetowa Archiwum, zawierająca informacje, teksty, nagrania, dokumenty i linki do materiałów, dostępnych w innych instytucjach. Poziomy dostępu do tekstów będą oczywiście uzależnione od praw autorskich (pracuje z nami prawniczka specjalizująca się w tych sprawach). Najpełniejszy dostęp do materiałów będzie możliwy na komputerach w obu współpracujących instytutach, w Warszawie i w Darmstadt. Ale mam nadzieję, że ta historia będzie miała ciąg dalszy. Że doprowadzimy do wydania w Polsce choćby krótkiej historii powstania warszawskiego, którą Włodek napisał po niemiecku, a potem wyszła jeszcze w USA po angielsku. On wciąż ma nam kilka ważnych spraw do powiedzenia. ●

Rozmawiał Maciej Stasiński

Okruchy historii

Opisywanie końca świata

Podczas ataku 7 października 2023 Hamasowi przyświecał cytat z Koranu: „Zaskocz ich przez bramę. Jeśli się tak stanie, z pewnością zwyciężysz”.

Motyka



Ileż to nasłuchałem się na różnych konferencjach apeli o to, aby ofiary wszystkich zbrodni traktować w ten sam sposób. Ten słuszny postulat w praktyce niezwykle ciężko wcielić w życie. Ale czytając książkę Jacka Tacika „Koniec świata na południe od Tel Awiwu”, pomyślałem, że autorowi udało się sprawiedliwie pokazać okropieństwa, towarzyszące wojnie Hamasu z Izraelem.

By odtworzyć ludzkie losy, Tacik skorzystał z zachowanych nagrań telefonicznych i zapisów czata na WhatsAppie. Dzięki nowoczesnej technologii mamy pewność, że przytaczane rozmowy faktycznie się odbyły. Także dlatego autor jedynie raportuje podstawowe fakty, wychodząc z założenia, że ich groza nie wymaga komentarza.

Pierwsza część książki przedstawia uderzenie Hamasu 7 października 2023 roku. Kompletnie zaskoczyło ono izraelskie służby. Szef wywiadu wojskowego Aharon Haliwa jeszcze pół roku przed atakiem w wystąpieniu na Uniwersytecie Reichmana stwierdził, że Izrael ma przed sobą pięć lat spokoju. W oddzielnych rozdziałach Tacik opisuje szturm na miasteczko Sderot, kibuce Be'eri, Nir Am, Kefar Azza, Ofakim i Nir Oz oraz bazę wojskową Nahal Oz. Hamas początkowo największy kłopot miał, można odnieść wrażenie, jedynie z dostaniem się do bezpiecznych pokoi, gdzie skryli się bezbronni domownicy. W Be'eri zabito 130 osób, co dziesiątego mieszkańca osady. W Nir Oz zginął lub został porwany co czwarty. Wśród uprowadzonych był polsko-izraelski historyk Alex Dancyg, który na stole pozostawił dwie akurat czytane książki: „Kordiana” Juliusza Słowackiego i „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności” Marcina Zaremby.

Oddzielny rozdział dotyczy rzezi, do jakiej doszło na Festiwalu Muzycznym Nowa, zorganizowanym niedaleko granicy z Gazą. Kilka tysięcy młodych osób, które noc spędziło na beztroskiej zabawie, zostało o świcie całkowicie zaskoczonych napadem. Próbowali uciekać samochodami trasą 232, lecz wpadli wprost w zasadzkę Hamasu. Uczestnicy festiwalu byli dosłownie rozstrzeliwani w swoich autach. Część osób schroniła się w bunkrach koło przystanków autobusowych. Okazały się one pułapką, gdyż hamasowcy do ich wnętrz wrzucali granaty, świece dymne lub ostrzeliwali je z broni maszynowej. Tak zamordowano 364 ludzi, w tym trójkę obywateli Polski – Daniellę Waldman, Dor Toar oraz Szani Gabaj. Festiwal mający nieść przesłanie pokoju, stał się symbolem masakry (co dobrze oddaje klip do utworu izraelskiej piosenkarki Efrat Gosh „To See The Light”).

W drugiej części książki Tacik pokazuje odwet Izraela i gehennę około dwustu uprowadzonych zakładników. Nie ukrywa wypadków przemocy, w tym o charakterze seksualnym. Zdarzały się nawet gwałty na mężczyznach, choć islam surowo zakazuje homoseksualizmu. Niektórych zakładników zabito – taki los spotkał Alexa Dancyga. Dochodziło też do tragicznych pomyłek. W grudniu 2023 roku armia izraelska zniszczyła dom, w którym przebywali bojownicy Hamasu. Spod jego gruzów wydostało się trzech zakładników. Choć powiewali białą flagą i byli rozebrani do pasa, a więc w sposób widoczny bezbronni, zostali zastrzeleni przez izraelskiego snajpera. Jednym z nich był posiadający polski paszport Jotam Haim.

Historia trójki zastrzelonych zakładników, to ledwie jeden z licznych przykładów bezwzględności operacji prowadzonych przez Izrael. Tacik odsłania okoliczności śmierci Polaka, Damiana Sobóla. Był on wolontariuszem World Central Kitchen, organizacji rozdającej ciepłe posiłki w strefach wojennych. Mimo dobrego oznakowania samochód, którym jechał Soból z kolegami, został zniszczony. Trudno uwierzyć w przypadek, skoro jednocześnie miały miejsce wypadki ostrzeliwania ludzi stojących w kolejkach po żywność. Tylko w jednej „mącznej masakrze” zabito 118 i raniono 760 mieszkańców Gazy. Od 27 maja do końca lipca 2024, w pobliżu miejsc rozdawania żywności zginęło aż 859 Palestyńczyków. Pod wpływem tych zbrodni, nawet osoby życzliwe Izraelowi, zaczęły coraz częściej mówić o dokonującym się w Gazie ludobójstwie.

Tacik kończy opowieść na zawarciu wymuszonego przez Trumpa rozejmu i uwolnieniu wszystkich zakładników. Akcji Hamasu przyświecał cytat z Koranu „Zaskocz ich przez bramę. Jeśli się tak stanie, z pewnością zwyciężysz”. Wątpię, by nawet członkowie Hamasu uważali się dziś za zwycięzców. ●



Koniec świata na południe od Tel Awiwu

Jacek Tacik

Wydawnictwo Filia

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

eprasa.pl 9e613fd31b

weekendówka

ŁAPMY FALE

Pierwsi ślizgali się po falach na deskach zapewne Polinezyjczycy, a to, co dziś nazwalibyśmy surfingiem narodziło się prawdopodobnie na Hawajach, mniej więcej w roku 400, także za sprawą Polinezyjczyków, którzy dotarli tam z Haiti i Markizów. Przywieźli ze sobą swoje zwyczaje, wśród których było właśnie pływanie na deskach, a które w formie, jaką znamy, narodziło się właśnie tam.

Polinezyjczyków oddających się ulubionemu sportowi mogli obserwować uczestnicy europejskich wypraw odkrywczych, jak Brytyjczyk Samuel Wallis, który jako pierwszy Europejczyk na pokładzie „HMS Dolphin" dotarł na Haiti, czy jego rodak, przyrodnik Joseph Banks, członek załogi pierwszej wyprawy Jamesa Cooka, który pływał na „HMS Endeavour".

Pierwszą spisaną z surfowania relację zawdzięczamy – o czym pisze Surfertoday – Jamesowi Kingowi, także podwładnemu Cooka, tym razem z trzeciej wyprawy, tej, w której sławny podróżnik już nie wrócił, straciwszy życie właśnie na Hawajach.

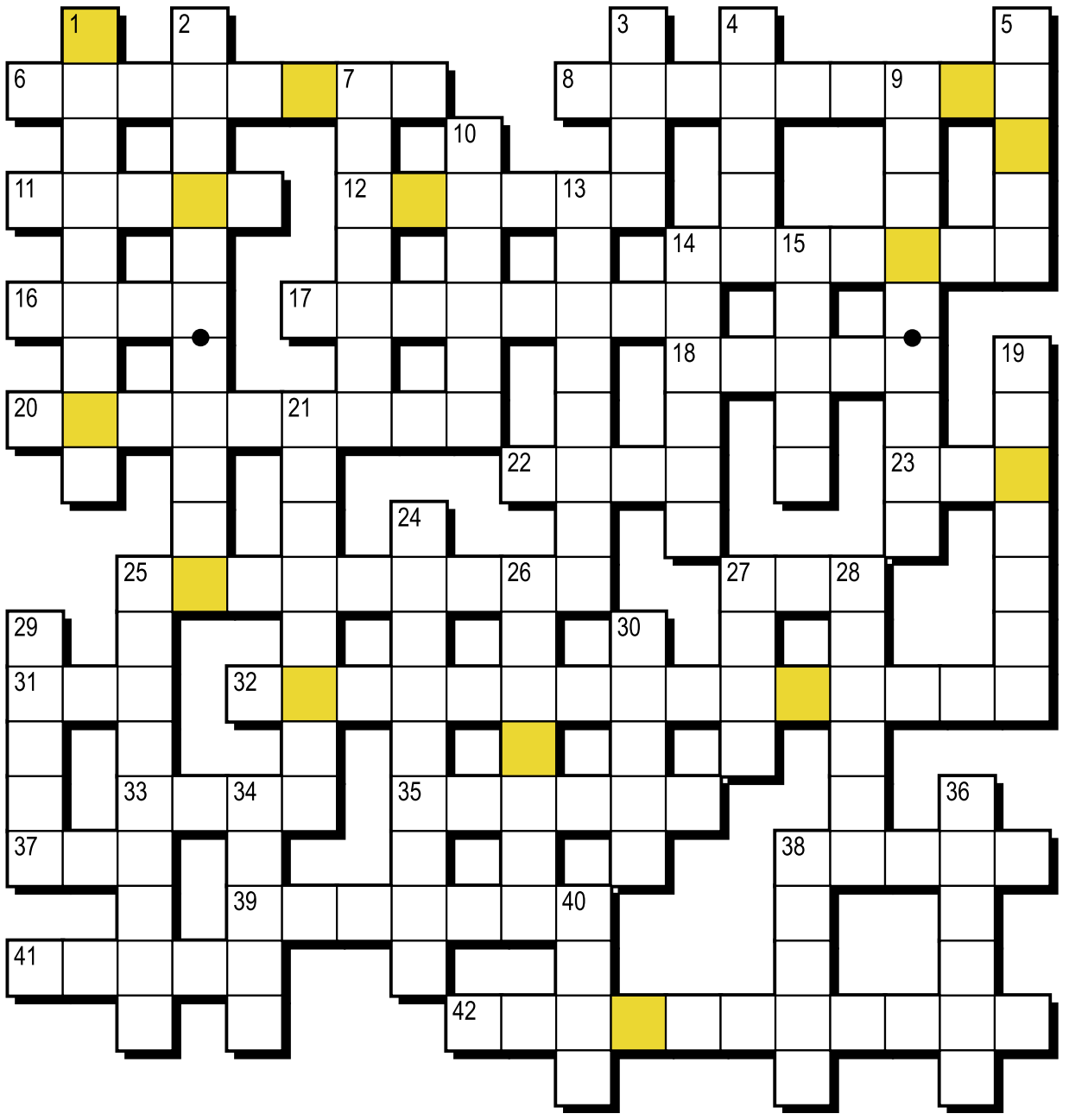
O surfingu pisali sławni pisarze, jak autor „Moby Dicka" Herman Melville w powieści „Mardi", Mark Twain, czy Jack London, zaś w dzienniku „Santa Cruz Daily" z 20 lipca 1885 roku znalazła się notatka o trzech hawajskich książętach, którzy dali pokaz pływania na deskach, praktykowany w ich ojczyźnie. Byli to uczący się w pobliskim San Mateo David Kawānanakoa, Edward Keli'iahonui i Jonah Kūhiō Kalaniana'ole z dynastii Kalākaua. I tak surfing pojawił się w Kalifornii.

Potem dyscyplinę rozsławiali na całym świecie George Freeth, Duke Kahanamoku czy Tom Blake, który skonstruował pierwszą pustą w środku deskę surfingową oraz wyposażył ją w płetwę, co zapewniło jej stabilność i umożliwiało skręcanie.

Ci surfingowi pionierzy znani byli zresztą nie tylko z dokonań w swej dziedzinie. Ten pierwszy, urodzony na Oahu potomek brytyjskiego oficera i kobiety wywodzącej się z dynastii Kalākaua, pracował także jako instruktor pływacki i ratownik. Zasłynął m.in. tym, że jednego dnia na plaży w Venice uratował siedmiu japońskich rybaków. Kahanamoku był trzykrotnym mistrzem olimpijskim w pływaniu ze Sztokholmu (1912) i Antwerpii (1920) – startował też w Paryżu w 1924, gdzie na swym koronnym dystansie 100 m kraulem uległ słynnemu Johnny'emu Weissmullerowi (temu od roli Tarzana).

Pływamy sobie po tych falach historii dlatego, że dziś, w trzecią sobotę czerwca tradycyjnie przypada Międzynarodowy Dzień Surfingu, święto surferów ustanowione w 2005 roku przez „Surfing Magazine" oraz The Surfrider Foundation. To okazja nie tylko do popływania i spędzenia luźnego dnia nad wodą, ale i sprzątania plaż, które jest nieodłącznym elementem święta. Trudno nie pochwalić każdej z tych aktywności. Podobnie jak rozwiązywania „Weekendówki", tym razem traktującej o wszelkich wodnych aktywnościach.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



NIE TYLKO SURFING
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) statki wodne z hydropłatami
8) łódź, w której wiosłuje się w pozycji klęczącej
11) Artur śpiewający: „Wstawaj, życie to surfing, więc nie bój się fal"
12) zbudowana przez flisaków
14) ... wodne, niewielkie łodzie motorowe
16) dobre miejsce do uprawiania kanioningu albo do spływu rwącymi potokami
17) największe polskie jezioro
18) stąd najdalej do rufy
20) ewolucje wykonywane na desce z żaglem (skysurfing, freestyle, wave)
22) nawet nie gigantyczne nie odstraszą surferów
23) skok w wodę
25) biorą udział w wyścigach jachtów
27) ... Simmons, nazywany ojcem współczesnej deski surfingowej
31) pełen ..., zero spiny!
32) mieszkańcy stanu USA kojarzącego się m.in. z surfingiem
33) surf ..., muzyka zespołu The Beach Boys („Surfin' U.S.A.")
35) ujarzmia fale na desce
37) mistrzowie, supersportowcy
38) „Zabiorę cię nad Wisłę, zabiorę cię na plażę i będziemy surfingować, zaplątani w rybackie ..." (Róże Europy)
39) niejedno uwielbia zjeżdżalnie wodne, taplanie się w brodziku
40) foki na jachtach
41) mknięcie po wodzie na desce z wykorzystaniem latawca

Pionowo:
1) ... wyścigowa, łódź napędzana silnikiem spalinowym
2) mkną po wodzie, napędzane siłą nóg
3) Wielka ... Koralowa, przyciąga wielu płetwonurków
4) szykowany na spływ
5) ... wodne, zwane też akwaplanem
7) tytuł filmu, w którym ważną rolę odegrały szalupy
9) surfował w filmie „Śmierć nadejdzie jutro"
10) stan USA chętnie odwiedzany przez entuzjastów surfingu
13) miłośnicy jachtingu, bojerów, windsurfingu
14) prestiżowe regaty ...-Hobart
15) piankowy ... płetwonurka (strój)
19) letnie spodenki sięgające prawie do kolan
21) obiekt z basenami i atrakcjami wodnymi
24) polimerowe tworzywo na deski surfingowe z czasów 27 poziomo
25) rozpryskujące się cząstki wody
26) śmiałek, odważniak
27) pływający znak nawigacyjny
28) ... deski surfingowej, z angielskiego nazywane railami
29) punkt spotkań miłośników surfingu
30) niezbędny, by uprawiać snowsurfing
34) klasa jachtów dwuosobowych
36) największe akweny
38) układy sterownicze łodzi
40) jacht, na którym Leonid Teliga opłynął świat

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 209 z 13.06:
Poziomo: 7) Wujek Dobra Rada 9) głos 10) krzyżówka 11) oficer 12) Kazik 13) kumy 16) pomoc 18) geront 19) lokal 20) MacGyver 22) seriale 25) Polityka Pieniężna 30) Liga 31) Związek Radziecki 32) wesele 33) aptekarka.
Pionowo: 1) instruktor 2) okładka 3) zdrówko 4) organy 5) areopag 6) radca 7) wskazówka 8) Język Polski 14) uchwała 15) przysięgli 17) mędrcy 20) Media 21) cwaniaczek 23) opinia 24) parafia 26) Tolkien 27) kabaret 28) Dzień 29) sztab. **Hasło: SZEROKA WIEDZA**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

Słówko
Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka
Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej
Szukaj w aplikacji

Zakreślanka

Skojarzenia

1 RP

eprasa.pl 9e613fd31b

DODATEK PROMOCYJNY ZAWIERA WYŁĄCZNIE MATERIAŁY PRZYGOTOWANE I POCHODZĄCE OD WARSAW PRESS

// WARSAW PRESS.

nr 08 /CZERWIEC 2026

HEMATOLOGIA

Poznaj choroby krwi

www.eksperciozdrowiu.pl

"Polscy hematolodzy mają wiedzę i ambicję, żeby współtworzyć europejskie standardy."

Prof. dr hab. n. med. Krzysztof Giannopoulos
Prezes Polskiego Towarzystwa Hematologicznego i Transfuzjologicznego - str.2

Terapia CAR-T

Rewolucyjna terapia komórkowa

str. 3

Przewlekła Białaczka Limfocytowa

Skuteczna kontrola choroby

str. 4

Krew pępowinowa

Cenne komórki macierzyste

str. 7

FOT.: HEMATOONKOLOGIA.PL/ IGNACY TOKARCZUK

eprasa.pl 9e613fd31b

Gonimy najlepszych. Czas na przebudowę systemu

Polska hematologia dokonała w ostatnich latach skoku technologicznego, który jeszcze niedawno wydawał się nieosiągalny. O tym, ile udało się nadrobić, gdzie wciąż gonimy światową czołówkę i jak powinna wyglądać mapa drogowa na najbliższą dekadę, rozmawiamy **z prof. dr hab. n. med. Krzysztofem Giannopoulosem, prezesem Polskiego Towarzystwa Hematologicznego i Transfuzjologicznego.**



Prof. dr hab. n. med. Krzysztof Giannopoulos
Uniwersytet Medyczny w Lublinie, prezes Polskiego Towarzystwa Hematologicznego i Transfuzjologicznego (PTHiT)

Wywiad przeprowadził: **Bartosz Danel**

Panie Profesorze, w ostatnich latach polska hematologia dokonała bezprecedensowego skoku technologicznego. Jak ocenia Pan nasz obecny arsenał terapeutyczny na tle światowej czołówki?

Rzeczywiście, dokonał się u nas bardzo duży postęp, choć w hematologii każde nowe otwarcie pokazuje kolejne potrzeby. Mamy dziś dostęp do wielu terapii niedawno dla polskich pacjentów praktycznie nieosiągalnych: do terapii celowanych, przeciwciał dwuswoistych, koniugatów przeciwciało-lek, terapii CAR-T oraz coraz bardziej precyzyjnej diagnostyki molekularnej i immunofenotypowej. To zmiana, która realnie przekłada się na przeżycia i jakość życia chorych.

Trzeba jednak pamiętać, że standardy zmieniają się bardzo szybko. Dobry przykład to chłoniak z komórek płaszcza: jeszcze rok temu leczyliśmy go zgodnie ze standardami międzynarodowymi, dziś już nie, bo te przesunęły się dalej. W pierwszej linii coraz większe znaczenie mają inhibitory kinazy Brutona, a w Polsce nadal nie mamy do nich dostępu w tym wskazaniu. Ratuje to dostępność CAR-T w trzeciej linii, ale nie rozwiązuje całego problemu, bo nowoczesna strategia powinna obejmować właściwe sekwencjonowanie terapii już od pierwszej linii.

Jeśli porównujemy się ze światową czołówką, trzeba powiedzieć uczciwie: gonimy najlepszych. Dostęp do leków bardzo się poprawił, ale sam lek nie wystarczy. Nowoczesna hematologia zaczyna się od szybkiej diagnostyki bez niepotrzebnej hospitalizacji, a potem wymaga sprawnej kwalifikacji, dostępu do programu lekowego, monitorowania odpowiedzi i prowadzenia pacjenta jak najbliżej domu. Arsenał jest więc coraz bardziej porównywalny z europejskim, ale organizacja systemu wciąż wymaga przebudowy.

Które z tych rozwiązań - terapie celowane, przeciwciała dwuswoiste czy CAR-T - uważa Pan za największy przełom?

Największym przełomem jest moim zdaniem nie jedna technologia, ale zmiana całej filozofii leczenia: z hematologii intensywnej chemioterapii w hematologię terapii celowanej i immunoterapii, pozwalającą leczyć precyzyjniej, skuteczniej i często z mniejszą toksycznością.

Symbolem tej rewolucji są terapie CAR-T - limfocyty pacjenta przeprogramowuje się i wykorzystuje jako żywy lek, co w chłoniakach agresywnych i szpiczaku plazmocytowym daje szansę chorym wcześniej niemal pozbawionym możliwości. Krokiem naprzód są też przeciwciała dwuswoiste, a inhibitory drobnocząsteczkowe zmieniły przewlekłą białaczkę limfocytową, chłoniaki czy choroby mieloproliferacyjne w schorzenia kontrolowane przez lata.

> **Największym przełomem jest moim zdaniem nie jedna technologia, ale zmiana całej filozofii leczenia: z hematologii intensywnej chemioterapii w hematologię terapii celowanej i immunoterapii.**

Dla pacjenta to konkretna zmiana. W szpiczaku plazmocytowym mediana przeżycia jest dziś wielokrotnie dłuższa niż kilkanaście lat temu, a w DLBCL i innych chłoniakach agresywnych pojawiły się opcje dla chorych nawrotowych i opornych, którzy wcześniej mieli bardzo niewiele możliwości.

Nawet najlepsze leki nie zadziałają bez odpowiedniego zaplecza. Jakie są dziś największe systemowe „wąskie gardła" polskiej hematologii?

Największym wąskim gardłem jest organizacja ścieżki pacjenta. Nowoczesny lek to ostatni element procesu: pacjent musi najpierw zostać szybko rozpoznany, zdiagnozowany biologicznie, zakwalifikowany do programu i monitorowany - a gdy któryś z tych etapów zawodzi, spada skuteczność całości.

Pierwszy problem to diagnostyka. Wiele informacji o chorobie można uzyskać z krwi obwodowej lub szpiku, więc to modelowa dziedzina dla diagnostyki ambulatoryjnej. W praktyce wiele badań nadal jest powiązanych z hospitalizacją albo rozliczanych w sposób nieodpowiadający współczesnej medycynie. Stąd paradoks: hospitalizujemy pacjenta nie dlatego, że wymaga łóżka, ale dlatego, że inaczej trudno rozliczyć diagnostykę - co blokuje oddziały i wydłuża czas do decyzji.

Drugie wąskie gardło to programy lekowe i bariery kontraktowe. Jeśli pacjent spełnia kryteria, a lekarz ma kompetencje, dostęp do leczenia nie powinien zależeć od struktury administracyjnej poradni - program lekowy ma udostępniać leczenie, a nie wymuszać sztuczną migrację pacjentów między ośrodkami. Trzecie wyzwanie to przeciążenie ośrodków wysokospecjalistycznych: powinny zajmować się ostrymi białaczkami, powikłaniami, transplantacją, CAR-T i konsultacjami eksperckimi, a nie każdym stabilnym pacjentem przewlekłym. Bez wzmocnienia AOS będziemy blokować szpitale chorymi, których można bezpiecznie leczyć ambulatoryjnie.

Za każdym sukcesem terapeutycznym stoją ludzie. Jak niedobór kadr wpływa na organizację nowoczesnego leczenia i bezpieczeństwo pacjentów?

W hematologii niedobór kadr jest szczególnie dotkliwy, bo to dziedzina specjalistyczna - wymaga nie tylko hematologów, ale też pielęgniarek, diagnostów laboratoryjnych, biologów molekularnych, farmaceutów klinicznych, koordynatorów i psychologów. Nowoczesna terapia jest zespołowa i nie da się jej prowadzić bez dobrze zorganizowanego zaplecza.

Braki kadrowe wpływają na wszystko: czas oczekiwania na poradę, tempo diagnostyki, bezpieczeństwo terapii immunologicznych i komfort pracy zespołu. Przeciążony zespół oznacza większe ryzyko opóźnień i mniej czasu na edukację pacjenta.

Odpowiedzią nie może być więc wyłącznie hasło: kształćmy więcej hematologów. Musimy to robić, ale efekty będą widoczne dopiero po latach. Już teraz trzeba lepiej wykorzystywać istniejące zasoby - rozwijać opiekę koordynowaną i e-konsylia, wzmacniać rolę AOS, przesuwać stabilnych pacjentów ze szpitala do poradni i standaryzować ścieżki. Chodzi o to, by hematolog zajmował się tym, do czego jest najbardziej potrzebny: decyzją diagnostyczno-terapeutyczną i prowadzeniem chorych wymagających specjalistycznego nadzoru, a nie walką z administracją.

Jaka jest „mapa drogowa" PTHiT i na jakim etapie jest budowa Krajowej Sieci Hematologicznej?

Mapa drogowa PTHiT musi łączyć trzy perspektywy. Dla pacjenta liczą się szybka diagnostyka, dostęp do nowoczesnego leczenia i możliwość leczenia blisko domu; dla lekarza - standardy, wytyczne i sprawne narzędzia organizacyjne; dla systemu - racjonalne wykorzystanie zasobów: łóżek, personelu, laboratoriów i programów lekowych.

Krajowa Sieć Hematologiczna, a właściwie jej pilotaż, powinna być narzędziem analitycznym porządkującym tę ścieżkę, a nie kolejną strukturą administracyjną. Jej sens widzę w jasnym podziale kompetencji: POZ ma szybciej identyfikować pacjentów, AOS być podstawowym poziomem diagnostyki, kwalifikacji, leczenia ambulatoryjnego i monitorowania stabilnych chorych, ośrodki szpitalne prowadzić leczenie wymagające hospitalizacji, a ośrodki referencyjne - terapie wysokospecjalistyczne, transplantacje, CAR-T i leczenie ciężkich powikłań.

PTHiT współtworzy przy tym polskie standardy i adaptuje wytyczne NCCN; ważne są też dane rejestrowe, analizy rzeczywistej praktyki klinicznej oraz rozwój badań klinicznych i projektów prospektywnych. Środowisko dobrze wie, czego potrzebuje - potrzebne są teraz decyzje organizacyjne i finansowe, a PTHiT powinno być partnerem Ministerstwa Zdrowia, NFZ, konsultantów krajowych i wojewódzkich oraz organizacji pacjenckich.

Coraz głośniej mówi się o odchodzeniu od długotrwałych hospitalizacji. Dlaczego ambulatoryzacja i leczenie jednodniowe są tak kluczowe dla przyszłości polskiej hematologii?

Ambulatoryzacja nie jest modnym hasłem, tylko konsekwencją postępu medycyny. Skoro mamy leki doustne i podskórne, przeciwciała podawane w trybie dziennym i diagnostykę z krwi obwodowej, hospitalizacja nie może być domyślnym modelem opieki. Szpital powinien być miejscem dla pacjentów, którzy naprawdę go potrzebują: z ostrą białaczką, powikłaniami, ciężką infekcją czy po transplantacji.

Dla pacjenta oznacza to mniej czasu w szpitalu, mniejsze ryzyko zakażeń i szansę zachowania aktywności rodzinnej i zawodowej - co ważne, bo hematologia coraz częściej dotyczy chorób przewlekłych. Dla systemu to lepsze wykorzystanie łóżek i koncentracja zasobów tam, gdzie są naprawdę potrzebne. Aby to działało, AOS musi jednak dostać narzędzia: rozliczanie diagnostyki molekularnej i immunofenotypowej, dostęp do programów lekowych oraz finansowanie wizyt, pielęgniarstwa, koordynacji i monitorowania bezpieczeństwa. Bez tego odwrócenie piramidy świadczeń pozostanie hasłem.

Czego życzyłby Pan polskim pacjentom hematologicznym oraz środowisku lekarskiemu na najbliższą dekadę?

Pacjentom życzyłbym przede wszystkim, aby miejsce zamieszkania nie decydowało o jakości diagnostyki i leczenia - żeby chory szybko trafiał na właściwą ścieżkę, otrzymywał leczenie zgodne z aktualną wiedzą i był prowadzony bezpiecznie, ale jak najmniej obciążająco dla codziennego życia.

Środowisku lekarskiemu życzyłbym systemu, który pozwala leczyć, a nie zmusza do obchodzenia barier organizacyjnych. Polscy hematolodzy mają wiedzę i ambicję, żeby współtworzyć europejskie standardy - potrzebują jednak czasu dla pacjenta, dostępu do diagnostyki, zespołów wielodyscyplinarnych i stabilnego finansowania, a także większej obecności w Europie: w EHA, w badaniach klinicznych i w tworzeniu zaleceń.

A całemu systemowi życzyłbym odwagi w decyzjach. Hematologia pokazuje, że postęp jest możliwy, ale wymaga reorganizacji - nie wystarczy dopisać kolejny lek do refundacji, trzeba zbudować ścieżkę, w której diagnostyka, leczenie, monitorowanie i opieka przewlekła tworzą spójną całość. To zadanie na najbliższą dekadę.

Czy wiesz, że?

W ścisłej współpracy z PTHiT prężnie działają niezależne grupy badawcze, takie jak Polska Grupa ds. Leczenia Białaczek u Dorosłych (PALG). Inicjują one wieloośrodkowe badania kliniczne i wspólnie z Towarzystwem opracowują ogólnopolskie standardy leczenia nowotworów krwi.

PATRONAT NAD KAMPANIĄ OBJĘLI

PARTNERZY STRATEGICZNI

// WARSAW PRESS.

Kontakt: biuro@warsawpress.com **Redakcja:** Bartosz Danel, Katarzyna Kieś-Kokocińska
Fotografie: Ignacy Tokarczuk, Adobe Stock, zasoby własne **Warsaw Press, ul. Kaleńska 5, 04-367 Warszawa, NIP: 6772320883**

eprasa.pl 9e613fd31b



Terapia CAR-T w polskiej hematoonkologii

CAR-T to żywy lek, który raz podany, zostaje w organizmie. Terapia ta rozwija się bardzo dynamicznie - także w Polsce - zwłaszcza w hematoonkologii.



Prof. dr hab. n. med. Lidia Gil
Kierownik Katedry i Kliniki Hematologii, Transplantacji i Terapii Komórkowej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu

Terapia CAR-T (ang: Chimeric Antigen Receptor T-cells) to obecnie najbardziej nowoczesna i innowacyjna metoda leczenia stosowana w medycynie. Została zarejestrowana w USA w 2017 r., a w Europie w 2018 roku. W 2019 r. zastosowano ją w Polsce – było to w kierowanym przeze mnie ośrodku w Poznaniu, pierwszym, który otrzymał akredytację do prowadzenia tej terapii i pozostaje liderem w naszym kraju pod względem przeprowadzonych procedur CAR-T (ponad 220). Teraz w Polsce jest 15 ośrodków (w tym dwa pediatryczne) akredytowanych do terapii CAR-T; myślę, że docelowo w naszym kraju będzie ich około 20 – to w zupełności wystarczy.

Terapia CAR-T – pora na kolejne refundacje

Procedura CAR-T rozpoczyna się pobraniem od pacjenta z aktywną chorobą nowotworową limfocytów T (komórek odpornościowych zaangażowanych w zwalczanie nowotworów), które następnie wysyłane są do laboratorium specjalistycznego w krajach europejskich albo w USA i tam modyfikowane genetycznie przez wygenerowanie na ich powierzchni receptorów zdolnych do rozpoznania komórki nowotworowej. Zmodyfikowane genetycznie limfocyty T są namnażane, zamrażane i przesyłane do ośrodka, który leczy pacjenta. Chorzy po specjalnym przygotowaniu – krótkim leczeniu immunosupresyjnym, zwanym limfodeplecją – otrzymują te komórki po ich rozmrożeniu. Zmodyfikowane limfocyty T namnażają się w organizmie chorego, rozpoznają komórki nowotworowe i je niszczą.

Obecnie terapię CAR-T zarejestrowano na świecie wyłącznie do leczenia nowotworów hematologicznych wywodzących się z limfocytów B – chłoniaków, ostrej białaczki limfoblastycznej i szpiczaka plazmocytowego. Najpierw leczono nią pacjentów, u których wyczerpano już wszystkie metody (u wielu z nich terapia CAR-T okazała się skuteczna), a obecnie coraz częściej stosuje się ją na wcześniejszych etapach leczenia, co zdecydowanie poprawia wyniki.

Terapia jest u nas refundowana w ramach programów lekowych u dzieci od 3 r.ż. i dorosłych w leczeniu ostrej białaczki limfoblastycznej oraz dorosłych w terapii chłoniaków agresywnych z komórek B i chłoniaka z komórek płaszcza. Czekamy na refundację w szpiczaku plazmocytowym i w mniej częstych, może też mniej agresywnych postaciach chłoniaków nieziarniczych, czyli chłoniaku grudkowym. Programy lekowe dla CAR-T rozpoczęły się w Polsce w 2021 r. najpierw w pediatrii (i w leczeniu młodych dorosłych do 25 r.ż), a u dorosłych – od 2022 r. Do chwili obecnej przeprowadzono w naszym kraju około 700 procedur – w chłoniakach wydano 590 decyzji, a dla ostrej białaczki limfoblastycznej ok. 100. Terapia CAR-T jest kosztowna, więc NFZ wymaga, aby każdy kierowany do niej pacjent przeszedł ostateczne zatwierdzenie przez zespół kwalifikacyjny składający się z 13 profesorów z całej Polski. Przewodniczę takiemu zespołowi, spotykamy się online przynajmniej raz w tygodniu, a czasem częściej. Dla ostrej białaczki limfoblastycznej działa zespół dziecięcy, jak i dla dorosłych.

W kilku ośrodkach prowadzone są badania kliniczne z produktami CAR-T – są to zarówno badania komercyjne (głównie dotyczą szpiczaka plazmocytowego), jak i z inicjatywy badacza, akademickie.

Potrzebna lepsza dostępność do CAR-T

Zbyt mało pacjentów, którzy kwalifikują się do terapii CAR-T, jest do niej kierowanych, zwłaszcza z ośrodków, które jej nie mają w swoim portfolio. Jest wiele do zrobienia zarówno w zakresie edukacji mniejszych ośrodków, jak i poprawy komunikacji i tzw ścieżek pacjenta. Terapia CAR-T jest dzisiaj standardem leczenia w zarejestrowanych wskazaniach, jest skuteczna i bezpieczna.

Udowodniono, że przeszczepy autologiczne w chłoniakach nie przewyższają terapii CAR-T pod względem skuteczności, bezpieczeństwa i tolerancji. Niektóre z produktów można podawać ambulatoryjnie – jeszcze nie w Polsce, ale myślę, że z czasem to się zmieni. Do CAR-T kwalifikować można też niezależnie od wieku – nasza najstarsza pacjentka miała 85 lat.

U dzieci terapia zarejestrowana jest tylko do leczenia ostrej białaczki limfoblastycznej; jej skuteczność jest tu spektakularna – po wyczerpaniu opcji leczenia, przy oporności czy nawrocie choroby wynosi około 80%, a po roku żyje ponad 70% pacjentów. Chorych z chłoniakami (największa populacja do leczenia za pomocą CAR-T) udaje nam się wyleczyć – zastosowanie terapii w drugiej linii leczenia daje ok. 80% odpowiedzi, a globalnie ok. połowa chorych żyje bez nawrotu kilka lat. Na refundację leczenia CAR-T w szpiczaku bardzo czekamy, gdyż uzyskiwane wyniki w tym nowotworze są spektakularne – blisko 100% pacjentów odpowiada na terapię, a znaczny odsetek pacjentów utrzymuje długotrwałą remisję. To przełom, ponieważ obecnie nie umiemy szpiczaka wyleczyć.

Technologia CAR-T rozwija się bardzo dynamicznie w hematologii w tych wskazaniach, które są zarejestrowane i istnieją już różne modyfikacje tej terapii, w tym limfocyty dwuswoiste, skierowane przeciw dwóm antygenom (dual CAR-T). Poszukuje się też możliwości jej zastosowania w innych schorzeniach niż w dotychczas zarejestrowanych; bardzo zaawansowane są badania w ostrej białaczce szpikowej i nowotworach z limfocytów T (chłoniaki czy ostre białaczki). Chcielibyśmy, aby projektowanie i wykonanie poszczególnych etapów CAR-T oraz produkcja wykorzystywanych w niej cząstek odbywały się w Polsce, także na licencji innych podmiotów, bo to obniża koszty terapii. Pierwszą akademicką CAR-T wykonano i podano pacjentom na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, kolejnym był ośrodek Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, ale zmodyfikowane limfocyty powstały w RCKiK w Poznaniu. Prowadzimy obecnie rozmowy Ministerstwem Zdrowia i NFZ, gdyż niektóre przepisy dotyczące stosowania terapii komórkowych powinny być zmienione, aby dopasować je do technologicznego postępu i ułatwić stosowanie tego leczenia w naszym kraju.



eprasa.pl 9e613fd31b



Prof. dr hab. n. med. Tomasz Wróbel
Klinika Hematologii, Terapii Komórkowych i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu

Przewlekła białaczka limfocytowa – choroba pod kontrolą

Na przewlekłą białaczkę limfocytową nie mamy obecnie leków, którymi możemy chorych wyleczyć, ale dobra wiadomość jest taka, że dysponujemy terapiami, które umożliwiają bardzo skuteczną kontrolę choroby.

Przewlekła białaczka limfocytowa (PBL) jest najczęstszą wśród białaczek w Europie i USA. Mediana zachorowania to ok. 70 lat, ale chorują też osoby młodsze. PBL bardzo często przez długi czas może nie dawać żadnych objawów, a nieprawidłowości (w postaci zwiększonej liczby białych krwinek, nieprawidłowych limfocytów) wykrywane są przypadkowo, przy okazji badania morfologii krwi. U około 1/3 pacjentów choroba daje objawy; są one dość niespecyficzne, jak osłabienie, nocne zlewne poty, powiększenie węzłów chłonnych czy śledziony; czasem występuje niedokrwistość bądź małopłytkowość wiążąca się z objawami skazy krwotocznej – skłonnością do siniaczeń czy wybroczyn na skórze.

Rozpoznanie PBL można postawić w oparciu o badanie krwi obwodowej. Komórki nowotworowe mają specyficzny fenotyp, który dość łatwo można określić w badaniu metodą cytometrii przepływowej.

Leczenie przewlekłej białaczki limfocytowej – niekoniecznie od razu

Nie każdy pacjent wymaga wdrożenia terapii zaraz po zdiagnozowaniu PBL – dzieje się tak jedynie u ok. 1/3 chorych; mniej więcej tyle samo chorych nigdy nie będzie wymagać leczenia, a u kolejnych ok. 30% pacjentów – bezobjawowych lub nawet ze znacznie podwyższoną limfocytozą, ale bez żadnych dolegliwości – stosujemy zaś strategię „watch & wait" („patrz i czekaj"). Polega ona na obserwacji chorych i kontrolowaniu określonych parametrów, a terapia jest wdrażana, gdy pojawią się symptomy PBL. Ponieważ nie potrafimy na razie choroby całkowicie wyleczyć, przedwczesne wdrożenie terapii niepotrzebnie naraża pacjentów z tej grupy na działanie leków przeciwnowotworowych.

W przewlekłej białaczce limfocytowej niemal nie wykorzystujemy chemioterapii w klasycznym wydaniu. Stosowane są najnowszej generacji terapie celowane, których wybór mamy w Polsce bardzo dobry, nawet lepszy niż w większości krajów europejskich. Ponieważ wydłużenie życia chorych z PBL wywołuje efekt kuli śnieżnej – kumulację pacjentów w systemie – wymusza to mądre zarządzanie leczeniem. Leki dobierane są z uwagi na: biologię choroby (charakter jej przebiegu i obecność określonych zaburzeń cytogenetycznych, jak delecja w chromosomie 17 czy mutacja w genie TP53), kondycję pacjenta (występowanie innych chorób, szczególnie sercowo-naczyniowych), jego styl życia i pełnione role w społeczeństwie oraz preferencje chorego odnośnie formy terapii.

Terapia ciągła czy ograniczona w czasie?

Leczenie realizowane może być w dwóch strategiach – terapii ciągłej bądź ograniczonej w czasie – o czym chorzy są informowani przy planowaniu leczenia. Terapia ciągła ma formę tabletek – pacjent zażywa je przewlekle aż do momentu wystąpienia progresji choroby bądź toksyczności; nie musi leżeć w szpitalu, a jedynie okresowo, ambulatoryjnie odbiera leki w celu kontynuacji terapii. Musi jednak pamiętać o stałym zażywaniu leków i przez to ma nieustannie wrażenie, że jest chory. Terapia może trwać wiele dekad i stanowić obciążenie dla pacjenta aktywnego bądź w sytuacji wystąpienia nowej choroby czy konieczności wykonania np. zabiegu operacyjnego i związanego z tym wdrożenia kolejnych leków. Może to wpływać na interakcje pomiędzy różnymi lekami. Terapia ograniczona w czasie trwa 12-15 miesięcy, a po jej zakończeniu, jeśli uda się uzyskać remisję choroby (co dzieje się w większości przypadków), pacjent zostaje „uwolniony" od konieczności dalszego leczenia, ale wymaga kontroli hematologicznej.

Część osób z PBL jest przyzwyczajona do terapii ciągłej, gdyż z racji wieku bierze już leki na inną chorobę przewlekłą. Jednak z medycznego punktu widzenia lepiej unikać polipragmazji (wielolekowości) i interakcji lekowych; więc gdy jest to możliwe, lepiej zastosować terapię ograniczoną w czasie. Taka strategia zmniejsza też ryzyko powstania mutacji skutkujących opornością na leczenie, która może wystąpić u niektórych pacjentów w terapii ciągłej.

Niedawne duże badanie grupy niemieckiej wykazało, że terapie ograniczone w czasie mają taką samą efektywność pod względem czasu do progresji choroby, jak terapie ciągłe. Zatem dzięki terapii ograniczonej w czasie pacjent nie tylko niczego nie traci, ale na dodatek zyskuje okresy wolności od leczenia i częstych wizyt u lekarzy. W remisji wizyty mniej też obciążają chorego i lekarza, bo skupione są jedynie na ocenie, czy remisja występuje, a nie na szacowaniu skuteczności i toksyczności ciągłego leczenia. Ułatwia to pracę lekarzom, usprawnia współpracę z chorymi i odciąża system opieki zdrowotnej.



Prof. dr hab. n. med. Agnieszka Wierzbowska
Kierownik Pionu Hematologii i Oddziału Hematologii i Transplantologii i Chorób Wewnętrznych, Wojewódzkie Wielospecjalistyczne Centrum Onkologii i Traumatologii im. M. Kopernika w Łodzi

Ostre białaczki – nie bagatelizuj objawów!

Ostra białaczka postępuje bardzo szybko – objawy mogą nasilać się w ciągu 1-2 tygodni. Z tego powodu symptomów, które na nią wskazują, nie wolno lekceważyć i trzeba reagować natychmiast.

Ostre białaczki to najbardziej agresywne nowotwory układu krwiotwórczego. Wywodzą się z młodych, prekursorowych komórek układu krwiotwórczego. W zależności od pochodzenia tych komórek wyróżniamy ostre białaczki limfoblastyczne (z młodych komórek układu chłonnego – prekursorów limfocytów) i szpikowe (z pozostałych linii układu krwiotwórczego).

Objawy ostrych białaczek są niespecyficzne

Niezależnie od pochodzenia ostrych białaczek ich obraz kliniczny jest podobny–rozwijają się szybko, a kluczowe objawy wynikają z wyparcia prawidłowych komórek krwiotwórczych w szpiku kostnym przez bardzo dynamicznie namnażający się klon komórek białaczkowych.

Główne symptomy ostrych białaczek dotyczą niedokrwistości – pacjenci skarżą się na postępujące zmęczenie, obniżenie tolerancji wysiłku, osłabienie; czasem u osób starszych może dojść do zwiększonego nasilenia objawów choroby niedokrwiennej bądź niewydolności serca bez uchwytnej przyczyny. Bardzo często chorzy mogą mieć też objawy infekcji, co jest odpowiedzią na zmniejszoną liczbę granulocytów – komórek odpornościowych. Infekcje mogą przebiegać agresywnie albo nie poddawać się leczeniu pierwszego rzutu wdrożonemu przez lekarza POZ – pacjent często wraca do niego z powodu braku poprawy. Trzecia grupa objawów może wynikać ze zmniejszenia liczby płytek krwi – są to początkowo krwawienia z nosa czy dziąseł, zwiększona skłonność do siniaczenia, ale

> **„Morfologia krwi obwodowej to badanie łatwe, tanie, dostępne i dostarczające szybko wyników; jednocześnie jest niezwykle informatywne dla postawienia podejrzenia ostrej białaczki.**

z czasem mogą wystąpić zagrażające życiu krwotoki, np. z dróg rodnych czy przewodu pokarmowego. U chorych mogą pojawić się także symptomy przypominające wysypkę – punktowe, czerwone, drobne zmiany na skórze, które są typowymi objawami małopłytkowej skazy krwotocznej.

Niestety, często oznaki ostrych białaczek nie są charakterystyczne i szczególnie w okresach infekcji jesienno-zimowych czy wiosennych bywają przeoczone lub bagatelizowane. Jeśli jednak w wywiadzie lekarz widzi cechy niedokrwistości: bladość pacjenta, brak tętna włośniczkowego na paznokciach, pojawiają się objawy skazy, już wówczas należy reagować i wykonać morfologię krwi obwodowej, aby ocenić jej parametry. Natychmiastowej reakcji lekarza wymaga też sytuacja, gdy pacjent wraca do niego z powodu braku skuteczności leczenia infekcji sezonowej czy szybko postępującego osłabienia.

Szybka reakcja i sprawna diagnostyka w priorytecie

Morfologia krwi obwodowej to badanie łatwe, tanie, dostępne i dostarczające szybko wyników; jednocześnie jest niezwykle informatywne dla postawienia podejrzenia ostrej białaczki. Niedokrwistość, obniżone liczby płytek czy granulocytów są sygnałami alarmowymi. Poziom białych krwinek może być podwyższony, prawidłowy bądź obniżony, jednak w rozmazie krwi obwodowej zwykle widzi się już we wczesnym stadium pojedyncze nieprawidłowe komórki białaczkowe (tzw. blasty), a później tych komórek może być znacznie więcej. Na podstawie takich wyników lekarz pierwszego kontaktu może podejrzewać ostrą białaczkę i powinien niezwłocznie skierować pacjenta na pogłębienie diagnostyki. Pacjent może dostać skierowanie do placówki hematologicznej – jeśli taka jest w pobliżu jego miejsca zamieszkania. Chory zwykle jest szybko przyjmowany, gdyż podejrzenie ostrej białaczki zmusza do sprawnego działania z uwagi na duże tempo postępu tej choroby nowotworowej. Jeśli natomiast chory gorączkuje, jest osłabiony i ma niewielką liczbę granulocytów, co powoduje, że infekcja jest zagrożeniem dla jego życia, najlepszym rozwiązaniem jest kontakt telefoniczny z ośrodkiem hematologicznym najbliższym miejsca zamieszkania, aby przekazać pacjenta albo bezpośrednio tam, albo – jeśli nie ma wolnego łóżka – do oddziału chorób wewnętrznych, gdzie chory otrzyma pierwszą pomoc (np. przetoczenie krwi, płytek, szerokowidmowe antybiotyki). My, hematolodzy, zawsze służymy pomocą i doradzamy optymalne postępowanie zabezpieczające pacjenta, dzięki któremu będzie on mógł oczekiwać na przyjęcie do oddziału chorób hematologicznych. Tam pogłębienie diagnostyki nastąpi szybko, bo chory z podejrzeniem białaczki ostrej traktowany jest priorytetowo.

Wybór optymalnej terapii dla konkretnego pacjenta zależy przede wszystkim od jego wieku i stanu sprawności. Kwalifikujemy pacjentów do leczenia intensywnego (intensywnej chemioterapii i allogenicznej transplantacji, jeśli będzie taka potrzeba) bądź do leczenia mniej agresywnego (co nie znaczy, że jest ono mniej skuteczne), gdy u chorych ryzyko zgonu związane z podaniem intensywnej terapii jest wysokie. Obecnie za pomocą nieintensywnego leczenia mamy porównywalne szanse na wprowadzenie chorego w remisję jak po zastosowaniu intensywnej chemioterapii. Równolegle wykonujemy badania, które szybko dostarczą informacji o występowaniu u chorego mutacji genetycznych, dla których istnieje możliwość zastosowania terapii celowanych – leczenie spersonalizowane poprawia rokowanie.

Choć dysponujemy terapiami, które umożliwiają skuteczne leczenie i kontrolowanie ostrych białaczek, kluczowe znaczenie dla chorych mają wciąż szybka reakcja na niepokojące symptomy, których nie wolno bagatelizować, i sprawna diagnostyka.

eprasa.pl 9e613fd31b

Innowacje i wyzwania w leczeniu chłoniaków

Rewolucja w leczeniu chłoniaków nowoczesnymi metodami dotyczy nie tylko mechanizmu działania, ale też formy podania leku, gdyż w przypadku stosowania przeciwciał dwuswoistych lek można podawać w formie iniekcji podskórnych.



Prof. dr hab. n. med. Krzysztof Giannopoulos
Uniwersytet Medyczny w Lublinie, prezes Polskiego Towarzystwa Hematologicznego i Transfuzjologicznego (PTHiT)

Chłoniaki to nowotwory o różnej dynamice rozwoju. Choroba w postaci agresywnej może rozwijać się bardzo szybko – przykładem jest chłoniak rozlany z dużych komórek B (DLBCL), może też być postać przebiegająca przewlekle – np. u większości chorych na chłoniaka grudkowego.

Ogólnie dostęp do nowoczesnych terapii w chłoniakach zdecydowanie się poprawił. Obecnie najgorzej wygląda sytuacja u chorych na chłoniaka z komórek płaszcza – zmieniły się zalecenia, doszły nowe rejestracje i od dwóch lat nie możemy leczyć chorych zgodnie ze standardem.

Czas – kluczowy w leczeniu chłoniaków

Opóźnienie leczenia może mieć realny wpływ na rokowanie, dlatego pacjent powinien trafić do ośrodka, który umie równolegle prowadzić zaawansowaną diagnostykę, ocenę stanu ogólnego i przygotowanie do terapii. W hematologii potrzebujemy więc sieci hematologicznej i jasnych ścieżek postępowania z różnymi stopniami referencyjności. Nie każdy pacjent wymaga diagnostyki i leczenia w ośrodku najwyższego poziomu referencyjności, ale każdy powinien mieć zapewniony szybki dostęp do diagnostyki, konsultacji i leczenia.

Nawrót nowotworu jest jednym z najtrudniejszych momentów na ścieżce pacjenta. Pierwsze rozpoznanie jest oczywiście ogromnym wstrząsem, ale wtedy zwykle mówimy pacjentowi: mamy plan, zaczynamy leczenie z intencją wyleczenia. Gdy choroba wraca, szczególnie po intensywnej terapii, sytuacja psychologiczna jest inna. Równie ważny jest stan fizyczny. Pacjent nawrotowy często nie jest już tym samym pacjentem, którym był przy pierwszej diagnozie. Może mieć większą podatność na infekcje, neuropatię, pogorszenie funkcji nerek, serca lub ogólnej wydolności. Czasami choroba wraca bardzo szybko i sama jej dynamika powoduje wyniszczenie. Dlatego leczenie nawrotu musi być nie tylko skuteczne, ale też realne do zastosowania u konkretnego chorego.

> **Terapia przeciwciałami dwuswoistymi może być podawana podskórnie lub w formie wlewów dożylnych przez ograniczony czas. Możliwość wyboru formy podania zapewnia elastyczność i indywidualizację leczenia.**

W tym miejscu ogromne znaczenie mają nowe terapie. Przeciwciała dwuswoiste, terapie CAR-T i inne immunoterapie dają szansę pacjentom, u których klasyczna chemioterapia często nie ma już wystarczającej skuteczności lub jest zbyt toksyczna. Dają też lekarzowi możliwość rozmowy z pacjentem nie tylko o kolejnym obciążającym leczeniu, ale o terapii o odmiennym mechanizmie działania.

Przeciwciała dwuswoiste – rewolucja w leczeniu chłoniaków

Chłoniaki wywodzą się z układu odpornościowego, więc potrafią zaburzać jego działanie. Fenomen terapii przeciwciałami dwuswoistymi polega na wykorzystaniu mechanizmów odpornościowych pacjenta nawet wtedy, gdy choroba wcześniej potrafiła się przed nimi ukryć. Przeciwciało dwuswoiste niejako przełamuje ten impas: pokazuje limfocytowi T cel i aktywuje go w bezpośrednim sąsiedztwie komórki nowotworowej. Jest to możliwe, gdyż każde przeciwciało dwuswoiste ma dwie „ręce": jedna rozpoznaje antygen na komórce chłoniakowej (w DLBCL – najczęściej CD20) a druga wiąże limfocyt T (przez CD3). W ten sposób lek zbliża komórkę odpornościową do komórki nowotworowej i tworzy warunki do jej zniszczenia.

Aktywacja układu odpornościowego może wiązać się z zespołem uwalniania cytokin, gorączką, dlatego stosujemy stopniowe zwiększanie dawki i odpowiedni nadzór, zwłaszcza na początku terapii. W dalszych etapach leczenie może być podawane ambulatoryjnie.

U pacjentów z nawrotowym lub opornym DLBCL choroba ma często bardzo dużą zdolność do ponownego wymykania się spod kontroli. Jeżeli uzyskamy odpowiedź na leczenie, naszym celem jest utrzymać tę kontrolę jak najdłużej, ponieważ każdy kolejny nawrót oznacza zwykle trudniejszą sytuację kliniczną, gorszą wydolność pacjenta i mniej opcji terapeutycznych. Leczenie do progresji jest w części sytuacji sposobem na ciągłą kontrolę choroby. Przeciwciała dwuswoiste stosowane są też w chłoniaku grudkowym (FL) – dedykuje się je głownie pacjentom z szybką progresją choroby po nawrotach i stanowią obecnie jedyne leczenie, które można tym chorym zaproponować.

Droga do leczenia bliżej domu

Terapia przeciwciałami dwuswoistymi może być podawana podskórnie lub w formie wlewów dożylnych przez ograniczony czas. Możliwość wyboru formy podania zapewnia elastyczność i indywidualizację leczenia. Podanie podskórne jest ogromnym ułatwieniem dla pacjenta – co przekłada się na jakość jego życia – i dla systemu, gdyż skraca czas wizyty, zmniejsza obciążenie oddziałów dziennych, ogranicza potrzebę długich wlewów dożylnych i pozwala myśleć o prowadzeniu części leczenia bliżej miejsca zamieszkania chorego. To kierunek, w którym powinna iść nowoczesna hematologia.

Początek leczenia przeciwciałami dwuswoistymi wymaga doświadczenia, znajomości powikłań immunologicznych, procedur postępowania w przypadku zespołu uwalniania cytokin, dostępności diagnostyki i dobrej komunikacji ze szpitalem. Dlatego widzę to jako model etapowy: inicjacja leczenia i pierwsze dawki w ośrodku doświadczonym, a następnie – u pacjenta stabilnego – możliwość kontynuacji terapii bliżej domu, gdy ośrodek ma odpowiednie kompetencje i kontrakt. Jeśli chcemy odciążyć największe ośrodki kliniczne, musimy dopuścić więcej kompetentnych poradni i oddziałów dziennych do programów lekowych. Bariera administracyjna nie może być ważniejsza niż kompetencja lekarza i potrzeba pacjenta. Decentralizacja jest możliwa, ale musi być mądrze zaprojektowana: z jasnymi kryteriami, szkoleniem, ścieżką konsultacji i możliwością szybkiego przekazania pacjenta do ośrodka wyższego poziomu, gdy sytuacja tego wymaga.

Potrzeby polskich pacjentów hematoonkologicznych



Elżbieta Markowska
Prezes Zarządu Fundacji Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

Pacjent z nowotworem krwi ma prawo do opieki nowoczesnej, równej, skoordynowanej i empatycznej – niezależnie od tego, gdzie mieszka.



Nowoczesna hematoonkologia daje dziś pacjentom realną szansę na dłuższe życie, a wielu z nich – na życie o dobrej jakości. Ta szansa staje się jednak prawdziwa dopiero wtedy, gdy system potrafi poprowadzić chorego szybko, sprawiedliwie i ze skupieniem uwagi na człowieku Mówimy o bardzo różnych chorobach: białaczkach, chłoniakach, szpiczaku plazmocytowym, zespołach mielodysplastycznych, zespołach mieloproliferacyjnych i innych chorobach układu krwiotwórczego i chłonnego. Część wymaga decyzji niemal natychmiast, część wieloletniej kontroli. Dlatego najważniejszym priorytetem jest tu czas.

Wynik zwykłej morfologii krwi bywa pierwszym sygnałem alarmowym, ale konsultacja lekarska nie może kończyć się zaleceniem: „proszę obserwować". Nieprawidłowy wynik powinien uruchamiać jasną ścieżkę: szybką konsultację hematologiczną, diagnostykę obrazową, cytometrię przepływową, badania patomorfologiczne, genetyczne i molekularne. Te badania muszą być standardem, a nie przywilejem dużego ośrodka. Pacjent nie powinien samodzielnie koordynować drogi między POZ, poradnią, laboratorium, oddziałem i ośrodkiem referencyjnym. To system ma wiedzieć, dokąd chorego skierować i w jakim czasie.

Doceniamy realny postęp refundacyjny w hematoonkologii. W ostatnich latach pojawiły się terapie celowane, immunoterapia, CAR-T, nowoczesne programy lekowe, rozwijają się transplantologia i leczenie wspomagające. Ale sama refundacja leku nie wystarczy, jeśli pacjent nie ma wykonanych badań kwalifikacyjnych, nie trafia do właściwego programu albo mieszka daleko od ośrodka, który taką terapię prowadzi. System musi nadążyć za postępem medycyny: wzmocnić poradnie hematologiczne i ambulatoryjną opiekę specjalistyczną, zapewnić koordynatora pacjenta hematoonkologicznego oraz stworzyć Krajową Sieć Hematologiczną albo równoważny model opieki, w którym ośrodki współpracują, a nie działają w osobnych silosach.

Jako Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych podkreślamy także, że leczenie nie kończy się w dniu wypisu ze szpitala ani w dniu podania leku. Pacjent potrzebuje psychoonkologii, rehabilitacji, dietetyki, leczenia wspomagającego, pomocy socjalnej i realnego wsparcia opiekunów. Potrzebuje planu kontroli po leczeniu, monitorowania nawrotu i późnych powikłań, a często także pomocy w powrocie do pracy, rodziny i życia społecznego.

Apelujemy więc do decydentów o spojrzenie na hematoonkologię nie przez pryzmat pojedynczej procedury, ale całej drogi człowieka z chorobą.

eprasa.pl 9e613fd31b

Skazy krwotoczne u kobiet

Bardzo obfita miesiączka nie jest „urodą" kobiety. Jeśli kobieta nie ma patologii macicy, zespołu policystycznych jajników czy innych schorzeń, które mogłyby powodować nadmierną utratę krwi i anemizację wymagającą leczenia, należy podjąć diagnostykę w kierunku skazy krwotocznej.



Dr n. med. Joanna Zdziarska
Internista, hematolog

Skazy krwotoczne – szczególnie ciężkie – kojarzą się z hemofilią (choć nie jest to najczęściej występujące zaburzenie układu krzepnięcia krwi) i występowaniem u mężczyzn, gdyż z uwagi na dziedziczenie niektórych hemofilii w sposób sprzężony z płcią to oni głównie chorują. To jednak obraz mylący, bo istnieje duża różnorodność skaz krwotocznych, a najwięcej z nich przyjmuje postać łagodną, przez co bywają diagnozowane późno lub wcale.

Skazy krwotoczne u kobiet bywają niezdiagnozowane

U kobiet – uwagi na to, że miesiączkują i rodzą dzieci – prawdopodobieństwo ujawnienia skazy krwotocznej jest duże, jednak nie zawsze krwawienia czy nawet krwotok zasugerują od razu istnienie nieprawidłowości w układzie krzepnięcia. Wiele z tych zdarzeń wciąż przypisywanych jest źle rozumianej „urodzie" konkretnej kobiety. Staramy się więc zwracać uwagę osobom ze skazą krwotoczną na możliwość występowania tej choroby także u kobiet w rodzinie.

W przypadku hemofilii A i B, które są dziedziczone w sposób zależny od płci, kobiety są nosicielkami genu choroby, jednak nie oznacza to, że hemofilia u nich nie występuje. W grupie nosicielek ok. 1/3 ma jej łagodną postać – nie jest to mała populacja, gdyż szacuje się, że na każdego chorego na hemofilię przypada co najmniej jedna nosicielka, która ma objawy łagodnej hemofilii i również może wymagać leczenia. U kobiety nosicielki choroba będzie się manifestować np. poprzez obfite miesiączki czy krwawienia z nosa. Łagodne objawy u nosicielek powodują, że w rodzinach, w których występuje hemofilia sprzężona z płcią, uwaga skupia się głównie na chorych mężczyznach, gdyż u nich symptomy tej skazy krwotocznej mogą być groźne dla życia.

Najczęstsza u obu płci jest łagodna postać choroby von Willebranda spowodowana niedoborem czynnika von Willebranda i – wtórnie – czynnika krzepnięcia VIII, ujawniająca się u dorosłego, np. po operacji czy porodzie. U dziewczynek wskazywać mogą na nią obfite miesiączki, co jednak nie zawsze budzi podejrzenie skazy krwotocznej, bo masywne pierwsze menstruacje traktowane są często jako stan normalny. Z kolei kobieta z obfitymi miesiączkami bywa leczona ginekologicznie w celu zmniejszenia ich nasilenia albo nie jest leczona wcale i nie szuka się przyczyny silnych menstruacji.

Kiedy do hematologa?

Uczymy lekarzy rodzinnych, ginekologów i studentów medycyny, że jeśli objaw jest nieadekwatny do przyczyny (np. masywne krwawienie z wrzodów żołądka, bardzo obfita miesiączka, powodująca, że kobieta wymaga przetoczenia krwi) bądź krwawienia pojawiają się z dwóch układów (np. obfitym miesiączkom towarzyszą krwawienia z nosa czy wystąpił masywny krwotok po porodzie u kobiety mającej przez całe życie skłonność do siniaczeń), to należy myśleć o skazie krwotocznej i skierować kobietę do ośrodka hematologicznego. Jeśli natomiast dziewczynka z powodu masywnej miesiączki trafia do szpitala, ma przetaczaną krew, nie może wyjść z domu, bo przeciekają podpaski, wówczas, nie czekając na inne objawy, należy jak najszybciej skonsultować się z lekarzem specjalistą.

Prawidłowo miesiączka powinna trwać 3-4 dni, na noc powinna wystarczyć jedna zwykła podpaska, a w ciągu dnia – 2-3 podpaski standardowe; we krwi nie powinno być też skrzepów. Jeśli miesiączka trwa dłużej, pojawiają się skrzepy lub większe zużycie podpasek, kobieta prędzej czy później będzie miała niedobór żelaza i wynikające z tego objawy, jak osłabienie, zmęczenie, trudności z koncentracją, bóle czy zawroty głowy, kołatanie serca, częste infekcje, bóle nóg, suchość skóry, łamliwość paznokci, wypadanie włosów, trudności ze snem (senność a jednocześnie wybudzanie się w nocy), objawy depresyjne. Szacuje się, że niedobór żelaza dotyka ok. 20% kobiet miesiączkujących (jest więc równie ważnym problemem z punktu widzenia zdrowia publicznego, jak deficyt jodu czy witaminy D3), ale wielu wymienionych symptomów tego deficytu nie kojarzy się z obfitymi miesiączkami i skazą krwotoczną. Ważne jest więc, żeby w jakikolwiek sposób – hormonalnie lub niehormonalnie – zmniejszyć utratę krwi i w ten sposób chronić kobietę przed utratą żelaza. W hematologii stosujemy w tym celu leki przeciwkrwotoczne, ale może być też wdrożone leczenie hormonalne u ginekologa, mające na celu zmniejszenie intensywności menstruacji. Nie jest prawdą, że antykoncepcja hormonalna maskuje istnienie skazy krwotocznej u kobiety.

Część badań i procedur tylko w ośrodku hematologicznym

Wywiad rodzinny, morfologia krwi czy badanie poziomu ferrytyny nie upoważniają do postawienia rozpoznania skazy krwotocznej. Zdiagnozowanie choroby wymaga specjalistycznych, czasochłonnych badań u hematologa – lekarz postawi rozpoznanie po analizie aktywności czynników krzepnięcia i wymagających technicznie badaniach jakościowych krwi, do których należą oznaczenie aktywności czynników krzepnięcia oraz (wykonywane niekiedy) badania w kierunku zaburzeń funkcji płytek krwi (tzw. testy agregacji płytek). Badania te przeprowadza się w ośrodkach leczenia hemofilii zlokalizowanych w większości miast wojewódzkich, przy czym testy agregacji krwi tylko w kilku z nich (w Krakowie, Warszawie, Gdańsku, Lublinie, Poznaniu). Pobrania próbek krwi często są kilkakrotnie powtarzane, gdyż poziomy badanych czynników są zmienne.

Kobieta ze zdiagnozowaną skazą krwotoczną otrzymuje legitymację pacjenta i kartę postępowania w przypadku krwawień bądź krwotoku. Lekarze z ośrodka hematologicznego zabezpieczają też chorą na wypadek planowanego zdarzenia medycznego związanego z możliwością wystąpienia krwawienia, np. poród czy operacja – należy odpowiednio wcześnie zadzwonić do ośrodka hematologicznego w tej sprawie. Karta postępowania jest okresowo odnawiana – w zależności od ciężkości skazy co rok bądź co 2-3 lata. Posiadacz takiej karty jest automatycznie kierowany przez lekarza niehematologa do ośrodka hematologicznego. Kobieta z łagodną skazą nie musi do porodu naturalnego czy planowanego zabiegu przyjeżdżać do ośrodka referencyjnego, ale w przypadku ciężkiej skazy zwykle jest to konieczne.

Hemofilia w Polsce: rok przełomu *w leczeniu najmłodszych pacjentów*

Od 1 października 2025 roku dzieci i młodzież z hemofilią w Polsce mają dostęp do nowoczesnej profilaktyki krwawień. To przełom dla całych rodzin - na takie same możliwości wciąż czekają jednak dorośli pacjenci.



Paulina Szykuła-Woźniak
Fundacja Sanguis Hemofilia i pokrewne skazy krwotoczne

Hemofilia jest wrodzoną skazą krwotoczną, w której organizm nie wytwarza wystarczającej ilości jednego z czynników krzepnięcia krwi. W praktyce oznacza to ryzyko przedłużających się krwawień, także tych niewidocznych na pierwszy rzut oka — do stawów, mięśni czy narządów wewnętrznych. Przez lata podstawą leczenia było regularne dożylne podawanie brakującego czynnika krzepnięcia, tak aby zapobiegać krwawieniom i ich powikłaniom.

Leczenie, które pozwala żyć normalnie

Ostatnie lata przyniosły jednak istotną zmianę w sposobie myślenia o leczeniu hemofilii. Coraz większe znaczenie mają terapie, które nie tylko chronią pacjenta przed krwawieniami, ale też pozwalają mu żyć możliwie normalnie — bez podporządkowywania codzienności chorobie. Do takich rozwiązań należą leki podskórne oraz leki o ultraprzedłużonym działaniu. Ich stosowanie może oznaczać mniej wkłuć, rzadsze podawanie leku, mniejsze obciążenie dla rodziny i większą przewidywalność życia pacjenta.

W przypadku dzieci ma to szczególne znaczenie. Tradycyjne leczenie dożylne bywa dla najmłodszych pacjentów i ich opiekunów ogromnym wyzwaniem. Częste wkłucia, trudny dostęp do żył, stres przed podaniem leku, konieczność planowania dnia wokół terapii — to wszystko wpływa nie tylko na dziecko, ale także na rodziców, rodzeństwo i całe funkcjonowanie rodziny. Nowoczesne terapie zmieniają ten obraz. Leczenie może stać się mniej inwazyjne, łatwiejsze do prowadzenia w domu i mniej obciążające psychicznie.

Rok 2025 - przełom w refundacji

Rok 2025 okazał się w Polsce przełomowy dla pediatrycznych pacjentów z hemofilią. We wrześniu ogłoszono decyzje refundacyjne, a od 1 października 2025 r. zaktualizowany program lekowy B.15 objął dzieci i młodzież do ukończenia 18. roku życia nowymi możliwościami profilaktyki krwawień. Wśród nich znalazł się lek podskórny oraz lek o ultraprzedłużonym działaniu. To oznaczało realne rozszerzenie dostępu do leczenia, które jeszcze niedawno dla wielu rodzin pozostawało poza zasięgiem.

Dla dzieci z hemofilią i ich rodziców była to zmiana nie tylko medyczna, ale także życiowa. Nowoczesna profilaktyka daje szansę na lepsze zabezpieczenie przed krwawieniami, większe poczucie bezpieczeństwa i mniejszy lęk przed codzienną aktywnością. Dziecko może swobodniej uczestniczyć w życiu przedszkolnym, szkolnym i społecznym, a rodzice zyskują większy spokój, że choroba jest skuteczniej kontrolowana. W wielu rodzinach zmienia się rytm dnia: mniej jest podporządkowania leczeniu, mniej stresu związanego z wkłuciami i mniej obaw o nagłe krwawienia.

Szczególnie ważny jest stopień zabezpieczenia dzieci przed krwawieniami. Hemofilia nieleczona lub leczona niewystarczająco skutecznie może prowadzić do poważnych powikłań, zwłaszcza w obrębie stawów. Dlatego profilaktyka nie jest dodatkiem do leczenia, lecz jego fundamentem. Dostęp do terapii nowej generacji oznacza dla najmłodszych pacjentów diametralną zmianę — większą ochronę, mniejsze ryzyko konsekwencji choroby i większą szansę na dzieciństwo możliwie podobne do tego, jakie mają zdrowi rówieśnicy.

Dorośli pacjenci wciąż czekają

Ten przełom nie kończy jednak dyskusji o leczeniu hemofilii w Polsce. Dorośli pacjenci nadal czekają na możliwość korzystania z takich rozwiązań w takim zakresie, jaki otrzymały dzieci. Tymczasem hemofilia nie kończy się wraz z osiągnięciem pełnoletności. Dorosły pacjent również pracuje, podróżuje, zakłada rodzinę, podejmuje aktywność fizyczną i mierzy się z konsekwencjami choroby przez całe życie. Także on potrzebuje leczenia, które będzie skuteczne, bezpieczne i dopasowane do jego codzienności.

Dlatego kolejnym krokiem powinno być zapewnienie pacjentom — zarówno pediatrycznym, jak i dorosłym — realnej możliwości wyboru terapii. Leczenie hemofilii nie powinno być narzucane odgórnie wyłącznie według jednego schematu. Powinno uwzględniać wiek pacjenta, postać choroby, styl życia, dostęp żylny, aktywność, potrzeby rodziny oraz decyzję podejmowaną wspólnie przez lekarza i pacjenta. Nowoczesna medycyna nie polega jedynie na przedłużaniu życia, ale na poprawie jego jakości. W hemofilii oznacza to leczenie, które chroni przed krwawieniami i jednocześnie pozwala żyć z mniejszym ciężarem choroby.

Rok 2025 pokazał, że taka zmiana jest możliwa. Teraz wyzwaniem pozostaje to, aby dostęp do niej nie zależał od wieku pacjenta, lecz od jego rzeczywistych potrzeb medycznych i życiowych.

eprasa.pl 9e613fd31b

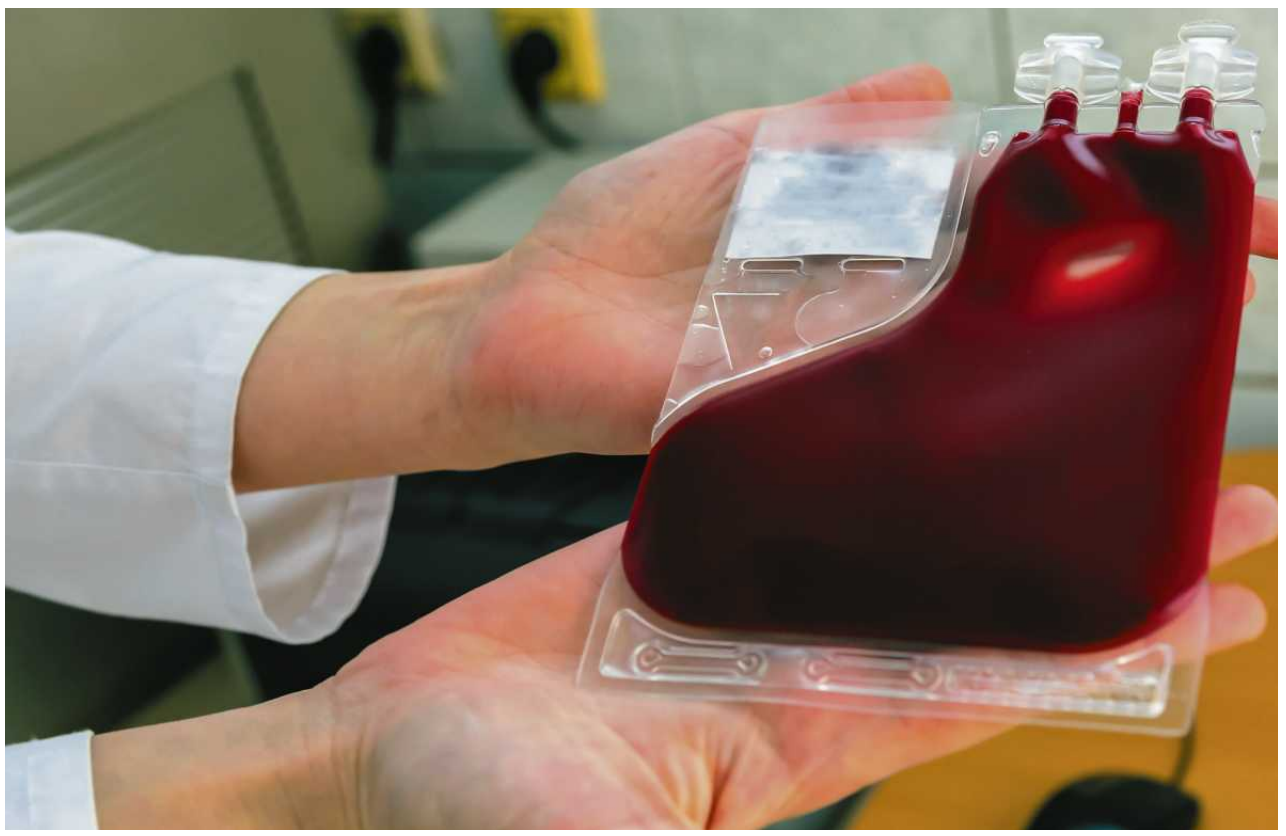
Krew pępowinowa zmienia rokowania

Szybka dostępność komórek macierzystych krwi pępowinowej może znacząco wpływać na rokowania, więc gdyby jednostki krwi pępowinowej w dużej ilości były dostępne w publicznych bankach, pewnie wielu pacjentów by na tym skorzystało.



Prof. dr hab. n. med. Katarzyna Drabko
Klinika Hematologii, Onkologii i Transplantologii Dziecięcej Katedry Pediatrii, Uniwersytet Medyczny w Lublinie

> **Uważam, że przyszłość terapii komórkami macierzystymi jest świetlana. Mogą one przynieść przełom w leczeniu nowotworów i chorób, których dotychczas nie udało nam się opanować tradycyjnymi terapiami.**



Krew pępowinowa znajduje się w sznurze pępowinowym i w łożysku. Pozyskiwana jest nieinwazyjnie – po urodzeniu się dziecka i odcięciu pępowiny. Uzyskujemy jej najczęściej około 100 mililitrów. To unikalny materiał biologiczny – zawiera komórki macierzyste na wcześniejszych etapach rozwoju niż pozyskiwane od osób dorosłych, wskutek czego mają one większy potencjał do dzielenia się i tworzenia innych komórek krwi. Ponadto – charakteryzują się innymi od komórek macierzystych osoby dorosłej właściwościami antygenów tworzących układ zgodności tkankowej, zwany HLA (ang. Human Leukocyte Antigen). U dorosłych antygeny te są już dobrze wykształcone i aby można było wykorzystać komórki macierzyste w terapii, zgodność antygenów komórek biorcy i dawcy musi być bardzo wysoka. Komórki macierzyste pochodzące z krwi pępowinowej – z uwagi na swoją niedojrzałość rozwojową – mogą być zaakceptowane przez organizm biorcy mimo pewnych niezgodności w układzie HLA.

Krew pępowinowa w zastosowaniu klinicznym

W zeszłym roku Polskie Towarzystwo Onkologii i Hematologii Dziecięcej (PTOiHD) wydało rekomendacje eksperckie podkreślające, że wybór źródła komórek macierzystych powinien być zawsze dostosowany do konkretnej jednostki chorobowej i sytuacji klinicznej pacjenta.

Komórki macierzyste z krwi pępowinowej mogą być traktowane podobnie jak inne komórki macierzyste m.in. do przeszczepień w odpowiednich przypadkach hematologicznych, onkologicznych i nieonkologicznych, zwłaszcza ze względu na masę ciała u dzieci z białaczkami, czy mających inne ciężkie choroby hematologiczne (np. anemię aplastyczną), których nie można leczyć inaczej. Znajdują też zastosowanie przy chorobach wrodzonych, jak np. ciężkie niedobory odporności czy niektóre choroby metaboliczne. Przeszczepienie tych komórek powoduje – odpowiednio – odtworzenie prawidłowo funkcjonującego układu odpornościowego bądź naprawę uszkodzonego szlaku metabolicznego. U dzieci starszych i u dorosłych krew pępowinowa również może być dobrym źródłem komórek do przeszczepienia tam, gdzie są do tego wskazania. Najnowsze badania pokazują, że jej wybranie może dać lepsze wyniki odległe w leczeniu niektórych chorób nowotworowych szpiku (np. ostrej białaczki szpikowej) niż przy zastosowaniu komórek macierzystych z innych źródeł.

Krew pępowinowa jest też stosowana we wskazaniach będących na razie w trakcie badań, często – neurologicznych, gdzie wykorzystywany jest materiał autologiczny, czyli krew pobrana od dziecka dla niego samego. Z badań przeprowadzonych w USA wynika, że zastosowanie autologicznej krwi pępowinowej może poprawić funkcjonowanie pacjentów z mózgowym porażeniem dziecięcym czy w innych nieprawidłowościach neurologicznych. Podobne programy badawcze funkcjonują również w Europie, w tym – w Polsce.

Mechanizmy działania komórek macierzystych

Jeśli krew pępowinowa będzie w układzie krwiotwórczym zastosowana do przeszczepienia allogenicznego (dawca komórek nie jest ich biorcą), pacjent otrzymuje ją po leczeniu kondycjonującym (niszczącym komórki układu odpornościowego chorego) – gdy program leczenia przewiduje podanie zdrowych komórek, zostaje ona rozmrożona i zaaplikowana dożylnie. Podane komórki trafiają do szpiku kostnego chorego, zastępują tam nieprawidłowe komórki i odnawiają układ odpornościowy oraz hematologiczny pacjenta. Przy podaniu autologicznym, w ramach wspomagania rozwojowego u chorych neurologicznych, pacjentów nie trzeba przygotowywać do podania komórek macierzystych – w określonym momencie aplikuje się im dożylnie własną krew pępowinową. W tej sytuacji komórki macierzyste nie wypierają własnych komórek pacjenta, lecz wspomagają regenerację w organizmie – udają się np. do miejsca uszkodzenia czy tam, gdzie toczy się stan zapalny.

Procedura podania krwi pępowinowej jest bezpieczna i nie powoduje działań niepożądanych. Niewielkie nudności czy wymioty mogą być wywołane jedynie obecnością substancji chroniących komórki macierzyste przed uszkodzeniem przy zamrożeniu.

Jedną z barier w stosowaniu krwi pępowinowej jest ograniczona liczba zawartych w niej komórek macierzystych. Mimo pokaźnego potencjału tych komórek do namnażania się, może to negatywnie wpływać na sukces terapeutyczny u pacjentów z dużą masą ciała. Wprawdzie metody namnażania komórek macierzystych istnieją, jednak z uwagi na ich wysoki koszt ich dostępność jest ograniczona.

Zgodność antygenowa – fundament sukcesu

Przy transplantacji allogenicznych komórek macierzystych pochodzących ze szpiku bądź krwi obwodowej największe szanse na przyjęcie się przeszczepu i prawidłowe jego działanie są wtedy, gdy komórki dawcy są w 100% zgodne z biorcą w 10-12 kluczowych antygenach układu HLA. W przypadku zastosowania krwi pępowinowej, nawet jeśli 2-3 kluczowe antygeny nie są zgodne, istnieje szansa na przyjęcie się przeszczepu.

Gdy leczymy chorobę nowotworową szpiku, liczymy, że zdrowe komórki macierzyste dawcy wytworzą w organizmie biorcy zdrowe komórki układu odpornościowego (limfocyty T), które następnie rozpoznają komórki nowotworowe i je zniszczą. Jest to tak zwany efekt przeszczep przeciwko białaczce (ang. graft versus leukemia). Najnowsze badania pokazują, że w niektórych nowotworach (m.in. w ostrej białaczce szpikowej) po zastosowaniu krwi pępowinowej efekt przeszczep przeciwko białaczce jest większy niż po zastosowaniu innych źródeł komórek macierzystych. Z kolei w niektórych chorobach metabolicznych, takich jak mukopolisacharydoza t. 1, zastosowanie krwi pępowinowej do przeszczepienia skutkuje uzyskaniem lepszego efektu klinicznego ze względu na wyższe poziomy enzymu obserwowane u dzieci po przeszczepieniu komórek z tego właśnie źródła Przeszczepianie krwi pępowinowej wiąże się też z mniejszym ryzykiem wystąpienia choroby przeszczep przeciwko gospodarzowi (GvHD – graft-versus-host disease), gdzie limfocyty T niszczące komórki białaczkowe mogą zacząć rozpoznawać komórki biorcy jako obce i doprowadzić do określonych objawów ze strony skóry, wątroby, przewodu pokarmowego.

Przyszłość terapii komórkowych dzieje się już dziś

Transplantacja komórek macierzystych musi być przeprowadzona w odpowiednim czasie choroby – w remisji, gdy nie doszło jeszcze do poważnych toksyczności związanych z leczeniem, nie wystąpił nawrót choroby. W chorobach wrodzonych, np. ciężkich niedoborach odporności dłuższe oczekiwanie na dawcę może wiązać się z powstaniem u chorego ciężkich infekcji zmniejszających szanse na prawidłowe działanie przeszczepu. Szybki dostęp do krwi pępowinowej jest więc bardzo ważny,

Na świecie funkcjonują banki krwi pępowinowej publiczne i prywatne. W bankowaniu prywatnym właścicielami materiału są rodzice (a w przyszłości dziecko) i to oni ponoszą koszty pobrania i przechowywania materiału. Komórki macierzyste są natychmiast dostępne dla nich, ale nie ma ich w puli publicznej. W bankowaniu publicznym rodzice wyrażają zgodę na pobranie materiału przy porodzie, a jego właścicielem staje się rejestr. To bardzo dobre rozwiązanie dla ośrodków transplantacyjnych, lecz generuje duże koszty, wskutek czego w niewielu krajach na świecie istnieją publiczne banki krwi pępowinowej.

Uważam, że przyszłość terapii komórkami macierzystymi jest świetlana. Mogą one przynieść przełom w leczeniu nowotworów i chorób, których dotychczas nie udało nam się opanować tradycyjnymi terapiami. To już widać – między innymi dzięki zastosowaniu terapii CAR-T, które są dostępne dla niektórych pacjentów w określonych chorobach. Większość obecnie dostępnych terapii oparta jest o układ autologiczny, ale przyszłością są allogeniczne terapie komórkowe, gdzie będziemy przygotowywać komórki w formie leku – produkować przeciwko najczęstszym chorobom specjalne celowane limfocyty, które następnie będą mnożone, przechowywane w odpowiednich warunkach i dostępne wtedy, kiedy pacjent będzie ich potrzebował. Badania w tym kierunku już się toczą.

Czy wiesz, że?

Krew pępowinowa to bogate źródło komórek macierzystych, które mogą być wykorzystane w leczeniu wielu chorób, w tym białaczki i innych nowotworów krwi.

eprasa.pl 9e613fd31b



Nowotwór a ciąża -leczenie, płodność i nadzieja

Rozpoznanie nowotworu w ciąży lub u osoby planującej rodzicielstwo należy do najbardziej wymagających sytuacji w medycynie.

dr n. med. Elżbieta Wojciechowska -Lampka
Onkolog, członek International Network on Cancer, Infertility and Pregnancy (INCIP), członek Zarządu ABCIP International, współzałożycielka ABCIP Poland i Stowarzyszenia Sowie Oczy

Kilkanaście lat temu pacjentki często stawały przed dramatycznym wyborem pomiędzy skutecznym leczeniem a szansą na posiadanie dziecka. Obecnie dzięki postępowi onkologii, hematologii, ginekologii oraz medycyny rozrodu coraz częściej możliwe jest skuteczne leczenie choroby nowotworowej, jak i zachowanie płodności oraz realizacja planów rodzicielskich po zakończeniu terapii.

W ostatnich dekadach obserwujemy wzrost wieku, w którym kobiety decydują się na macierzyństwo. Poprawiają się wyniki leczenia nowotworów, co sprawia, że coraz więcej młodych pacjentów po zakończonej terapii myśli o założeniu rodziny. Coraz częściej spotykamy się z rozpoznaniem nowotworu w trakcie ciąży. Szacuje się, że problem ten dotyczy obecnie około jednej na tysiąc ciąż, a liczba takich przypadków systematycznie wzrasta.

Leczenie pod okiem wielodyscyplinarnego zespołu

Pacjentka z chorobą nowotworową w ciąży wymaga opieki wielodyscyplinarnego zespołu. W proces leczenia zaangażowani są onkolodzy, hematolodzy, ginekolodzy-położnicy, perinatolodzy, neonatolodzy, radiolodzy, genetycy, psychologowie oraz koordynatorzy leczenia. Każda decyzja musi uwzględniać zarówno skuteczność terapii dla matki, jak i bezpieczeństwo rozwijającego się dziecka. Współczesna medycyna pokazuje, że w wielu przypadkach leczenie onkologiczne może być prowadzone w trakcie ciąży, a jego wdrożenie nie musi oznaczać konieczności jej zakończenia.

Szczególnie ważną rolę odgrywają wyspecjalizowane zespoły zajmujące się leczeniem nowotworów w ciąży. W Polsce od wielu lat rozwijana jest współpraca ośrodków onkologicznych, hematologicznych, położniczych i neonatologicznych. Przykładem takiego modelu jest współpraca specjalistów zajmujących się leczeniem kobiet ciężarnych z chorobą nowotworową w Warszawie: Narodowy Instytut Onkologii, Instytut Hematologii I Transplantologii oraz kliniki ginekologiczno-położnicze np. Klinika WUM ul. Karowa. Ważną rolę w opiece nad tymi pacjentkami odgrywają lekarze ginekolodzy-położnicy oraz perinatolodzy, np. **Prof. Jacek Sieńko czy dr Jarosław Leśniaczak** wspierający prowadzenie ciąż wysokiego ryzyka u pacjentek onkologicznych.

Onkopłodność – szansa na rodzicielstwo po terapii

Dla wielu młodych pacjentów równie ważnym pytaniem jak „jak pokonać chorobę?" jest pytanie „czy będę mógł/mogła mieć dzieci?".

Leczenie systemowe, radioterapia oraz część zabiegów chirurgicznych mogą prowadzić do trwałego uszkodzenia funkcji rozrodczych. Jednym z najważniejszych elementów nowoczesnej opieki onkologicznej oraz hematologicznej staje się rozmowa o płodności przed rozpoczęciem leczenia. Tak narodziła się dziedzina określana mianem oncofertility – onkopłodności – łącząca osiągnięcia onkologii i medycyny rozrodu. Jej celem jest umożliwienie pacjentom zachowania szans na biologiczne rodzicielstwo po zakończeniu leczenia przeciwnowotworowego.

Dzięki nowoczesnym metodom możliwe jest między innymi zabezpieczenie nasienia, komórek jajowych, zarodków czy – w wybranych sytuacjach – tkanki jajnikowej. Kluczowe znaczenie ma jednak czas. Rozmowa o zachowaniu płodności powinna odbyć się natychmiast po rozpoznaniu choroby i przed rozpoczęciem leczenia.

Przełomowym wydarzeniem było uruchomienie od 1 czerwca 2024 roku finansowanego ze środków publicznych programu zachowania płodności m, in. dla pacjentów onkologicznych. Po raz pierwszy w historii Polski procedury zabezpieczania płodności zostały włączone do systemowych działań państwa. Program realizowany jest w ramach Rządowego Programu Leczenia Niepłodności na lata 2024–2028, finansowanego przez Ministerstwo Zdrowia Młodzi pacjenci, u których planowane leczenie może prowadzić do utraty płodności, mogą korzystać z refundowanych procedur zabezpieczających ich przyszłość reprodukcyjną.

Ze względu na konieczność szybkiego wdrożenia terapii przeciwnowotworowej pacjenci onkologiczni przyjmowani są do programu w trybie pilnym. Polska należy obecnie do nielicznych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które zapewniają publiczne finansowanie procedur zachowania płodności u pacjentów onkologicznych.

Program jest efektem wieloletnich działań lekarzy, organizacji pacjenckich oraz ekspertów zajmujących się onkopłodnością. To ważny sygnał, że współczesna onkologia oraz hematologia nie koncentruje się wyłącznie na leczeniu choroby, ale również na jakości życia po zakończeniu terapii.

Wsparcie ekspertów i organizacji

W Polsce szczególną rolę w rozwoju onkopłodności odgrywa m.in. Sekcja Płodności w Chorobie Nowotworowej (Oncofertility) Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Skupia ona ekspertów z zakresu onkologii, hematologii, ginekologii, medycyny rozrodu, genetyki oraz onkologii dziecięcej. Przewodniczącą sekcji jest **dr n. med. Joanna Kufel-Grabowska**, od lat zaangażowana w rozwój opieki nad pacjentami onkologicznymi. Działalność sekcji obejmuje tworzenie zaleceń, edukację personelu medycznego oraz zwiększanie dostępności procedur zachowania płodności dla pacjentów onkologicznych w całym kraju.

Polscy specjaliści aktywnie uczestniczą również w pracach Międzynarodowej Sieci ds. Nowotworów, Płodności i Ciąży – INCIP (International Network on Cancer, Infertility and Pregnancy), która od ponad dwóch dekad skupia ekspertów zajmujących się problematyką nowotworów w ciąży oraz zachowania płodności u pacjentów onkologicznych. Współpraca daje możliwość prowadzenia badań naukowych, wymianę doświadczeń oraz opracowywanie międzynarodowych rekomendacji. Istotną rolę odgrywa tu ABCIP Poland, polska grupa ekspertów działająca w ramach międzynarodowej ABCIP (Advisory Board on Cancer, Infertility and Pregnancy). W jej skład wchodzą onkolodzy, hematolodzy, ginekolodzy, perinatolodzy, specjaliści medycyny rozrodu, neonatolodzy, genetycy, psychologowie oraz przedstawiciele organizacji pacjenckich. Celem działania grupy jest poprawa opieki nad pacjentami, rozwój współpracy pomiędzy ośrodkami oraz popularyzacja wiedzy dotyczącej ciąży i płodności w chorobie nowotworowej.

ABCIP Poland ma głównie na celu budowanie ogólnopolskiej sieci współpracy, wymianę doświadczeń oraz zapewnienie pacjentom szerokiego dostępu do nowoczesnej, kompleksowej i opartej na aktualnej wiedzy medycznej opieki.

Funkcjonują również wyspecjalizowane poradnie zajmujące się ochroną płodności u pacjentów onkologicznych oraz opieką nad kobietami, u których nowotwór rozpoznano w ciąży. Możliwe jest indywidualne planowanie leczenia i opieki nad pacjentką oraz jej dzieckiem. Takie poradnie działają już w Warszawiea planowane sa kolejne,

Za każdym sukcesem medycyny stoi człowiek. Kobieta, która usłyszała diagnozę nowotworu w ciąży. Młody mężczyzna rozpoczynający leczenie chłoniaka i zastanawiający się, czy kiedyś zostanie ojcem. Nastolatka rozpoczynająca terapię przeciwnowotworową, dla której przyszłe macierzyństwo wydaje się odległym marzeniem. Historie takich osób pokazują, że nowoczesna medycyna coraz częściej pozwala osiągnąć to, co jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe – skutecznie leczyć nowotwór, zachować płodność i doczekać narodzin zdrowego dziecka.

Świadectwem tych doświadczeń jest publikacja **„Wybrałam. Wygrałam"**, przedstawiająca historie kobiet, które zmierzyły się jednocześnie z chorobą nowotworową i macierzyństwem. To opowieść o odwadze, determinacji oraz współczesnej medycynie, która pozwala pacjentom nie wybierać pomiędzy zdrowiem a marzeniami o rodzinie.

Czy wiesz, że?

Zabezpieczenie płodności nie musi opóźniać walki z nowotworem. Współczesne procedury pobrania i zamrożenia komórek rozrodczych (np. oocytów czy nasienia) można przeprowadzić w zaledwie kilkanaście dni, by pacjent mógł błyskawicznie rozpocząć ratujące życie leczenie.

Gdzie szukać pomocy?

Pacjenci zainteresowani tematyką leczenia nowotworów w ciąży, zachowania płodności przed terapią przeciwnowotworową oraz planowania rodzicielstwa po zakończeniu leczenia mogą korzystać z pomocy wyspecjalizowanych poradni, zespołów wielodyscyplinarnych oraz organizacji pacjenckich **ihit.waw.pl/poradnia-hematologiczna** / International Network on Cancer, Infertility and Pregnancy (INCIP) **incipcancerinpregnancy.org** / ABCIP – Advisory Board on Cancer, Infertility and Pregnancy **abcip.org** / Sekcja Płodności w Chorobie Nowotworowej (Oncofertility) Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Osoby zainteresowane otrzymaniem bezpłatnej publikacji „Wybrałam. Wygrałam" lub uzyskaniem dodatkowych informacji dotyczących nowotworów, ciąży i zachowania płodności mogą kontaktować się ze Stowarzyszeniem Sowie Oczy: **ssowieoczy@gmail.com**

eprasa.pl 9e613fd31b

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza



BEATA ŚNIECHOWSKA

Szefowa z gwiazdką

– rozmowa Dominiki Wantuch

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl **NR 25 (1396)** SOBOTA – CZWARTEK, 20-25 CZERWCA 2026

Spotkanie przy stole



MAGDALENA KARST-ADAMCZYK

W czwartym sezonie serialu „The Bear" jest scena, w której główny bohater Carmy, niespokojny duch, po latach szamotaniny i maskowanej depresji w końcu znajduje w sobie odwagę, by spotkać się z matką w rodzinnym domu. Relacja tych dwojga jest skomplikowana. Matka to alkoholiczka skłonna do wybuchów, Carmy na jakimś poziomie jest wciąż skrzywdzonym i zagubionym dzieckiem, które z jednej strony ma żal, z drugiej – o wszystko się obwinia. Spotkanie jest trudne dla obojga, początek mocno niezręczny. W końcu jednak padają ważne słowa, których przez całe lata nikt nie miał odwagi wypowiedzieć. W rodzinnym domu przy kuchennym stole następuje coś w rodzaju pojednania. Przeszłości nie da się wymazać, win zapomnieć, ale można spróbować sobie wybaczyć.

Jak zakończyć takie spotkanie? Przytulić się? Po prostu pożegnać i rozejść? Żadne z dwojga nie chce takiego zakończenia, Carmy proponuje więc, że coś dla matki ugotuje. A jej aż zapalają się oczy – szybko odczytuje, co tym gestem syn do niej mówi. Bo Carmy jest zawodowym kucharzem, jednym z najlepszych w swoim fachu. Gotowanie to wszystko, co ma, co potrafi. Na co dzień nie używa zbyt wielu słów, najpełniej się wyraża, przygotowując z pietyzmem posiłki. A dla matki dotąd żadnego nie przygotował...

Większości ważnych wydarzeń w naszym życiu towarzyszą spotkanie przy stole i jedzenie. Ślub, święta, nawet pogrzeb. Robimy dobry obiad lub kolację albo spotykamy się w restauracji, by celebrować urodziny i okrągłe rocznice, by uczcić awans, ważny sukces, by uczynić chwilę wyjątkową i wyróżnić ją na tle innych chwil.

Bo jedzenie to nie tylko jedzenie. To często opowieść o spotkaniach, relacjach, o naszych doświadczeniach, naszej przeszłości, o chwilach, do których tęsknimy. Pod powierzchnią posiłku kryją się emocje, wyznania, czasem deklaracje.

Nasza okładkowa bohaterka Beata Śniechowska, która jest dziś najbardziej znaną szefową kuchni w Polsce, w rozmowie z Dominiką Wantuch opowiada o drodze, którą przebyła, by znaleźć się w miejscu, w którym dziś jest. I – co za niespodzianka – nie jest to opowieść wyłącznie o jedzeniu. To opowieść o skomplikowanej relacji z rodzicami i domu pełnym rygorów. Ale też o babci Adeli, ciepłej, serdecznej, która wyrażała miłość gotowaniem i zabierała wnuczkę do kuchni, przez co w oczach małej Beaty stała się ona przestrzenią bezpieczeństwa i komfortu. To opowieść o młodej dziewczynie, która chowa własne marzenia, by spełniać ambicje rodziców i zamiast „garów" wybiera politechnikę. A w końcu – o dojrzałej kobiecie, która znajduje w sobie odwagę, by się wyzwolić z kajdan, którymi są oczekiwania innych, i pójść za głosem serca.

Beata Śniechowska stworzyła we Wrocławiu bistro BABA, które niedawno wyróżnioną prestiżową gwiazdką Michelin, a w tym wypadku wyróżnienie to jest wyjątkowe podwójnie. Przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w Polsce w ten sposób uhonorowano i doceniono zawodowo gotującą kobietę. Ale, jak zauważa sama zainteresowana, też dlatego, że wyróżniono bistro, czyli restaurację, w której jest gwar, przestrzeń na spontaniczne interakcje, a wokół jedzenia tworzy się wspólnota. Dla Beaty Śniechowskiej zaś wspólnota oraz przyjazna atmosfera wokół stołu są równie ważne jak posiłek. Bo wyśmienita potrawa pozostaje wyśmienitą potrawą, nawet gdy się ją zjada w pojedynkę, ale to ludzie wokół sprawiają, że smakuje wyjątkowo. ▲

Magdalena Karst-Adamczyk – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Charlize Theron: Szczęśliwa w pojedynkę ■ **TEMAT NUMERU:** Zdrowie to nowy luksus ■ **TWARZE:** • Nicholas Galitzine: Symbol nowej męskości • Joanna Żółkowska: Nigdy nie wyszłam za mąż • Zendaya: Cztery premiery i życie • Paulina Gałązka: Angażuje się w całości ■ **HERSTORIE.** Niewidzialne służące z Zamku Książ • Aneta Szczepańska: Życie według zasad judo **PSYCHOLOGIA:** • Seks: Waniliowa czułość • Urlop bez planu • Śluby: Dlaczego odnawiamy przysięgę ■ **ZDROWIE:** Menopauza i jej 101 objawów

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Diana Kozieł

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 27, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 25 (1396)
NA OKŁADCE:
BEATA ŚNIECHOWSKA
FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL



e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
telefon: 22 555 43 26

LIST TYGODNIA

Zawiedzione zaufanie

Mam problem z koleżanką. Odkąd rozwiodła się z mężem, trzymałyśmy się razem. Ja też sama wychowuję dwie córki. Mieszkamy w tej samej okolicy, pomagałyśmy sobie w opiece nad dziećmi, wspierałyśmy się. Niestety, to już czas przeszły.

Mój mąż, mimo że założył nową rodzinę, bardzo dba o to, aby naszym dzieciom niczego nie brakowało. Nigdy nie mogłam narzekać na brak pieniędzy. Niestety, moja koleżanka to wykorzystała. Zaczęła pożyczać ode mnie pieniądze. Na początku było to drobne kwoty: 50, 100 zł. To zabrakło jej na chleb, to nie wystarczyło do wypłaty. Kiedy straciła pracę, szukała kolejnej i nie miała na czynsz, to za nią płaciłam. Kiedy zmieniała mieszkanie i nie miała na kaucję, też pożyczyłam. Zawsze zapewniała, że odda.

Teraz ona poznała nowego partnera, zaczęło się jej powodzić, więc upomniałam się o swoje pieniądze. Sprawiała wrażenie zaskoczonej, ale oczywiście powiedziała, że odda do końca miesiąca. Kiedy minął termin, przypomniałam o obietnicy. A wtedy ona powiedziała, że nie odda żadnych pieniędzy, bo jaki mam dowód na to, że jej coś pożyczałam. „Przecież nie ma żadnego dokumentu, umowy. Nie ma kwitów, to nie było pożyczki" – usłyszałam.

Jak można tak cynicznie wykorzystać dobroć innego człowieka? Nie mieści mi się to w głowie. Moja mama zawsze powtarzała, że ludziom trzeba pomagać, bo dobro do nas wraca. Niestety, ale straciłam wiarę w ludzi. To boli, kiedy dostajesz cios od osoby, do której, jak ci się zdawało, możesz mieć zaufanie.

Łudzę się jeszcze, że koleżanka przemyśli swoje zachowanie, ale obawiam się, że to jest koniec naszej znajomości. Postanowiłam, że już nigdy nikomu nie pożyczę pieniędzy. No chyba że z umową. ▲ **Czytelniczka**

List pochodzi z cyklu „Ekspertki odpowiadają czytelniczkom". Odpowiedź Izabeli Bombińskiej-Rudnik, radczyni prawnej, do przeczytania na wysokieobcasy.pl

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw kosmetyków BANDI More Than Pause oraz książkę „Skłodowska-Curie. Rebeliantka" autorstwa Angeliki Kuźniak, Wydawnictwo Literackie





FOT. MATERIAŁY PRASOWE (7)

Reklama prowadzona przez Nexon Pharma Sp. z o.o. Sp.K.;
producent: Stericon Pharma Pvt. Ltd.



KROPLE DO OCZU
BEZ KONSERWANTÓW

Wyrób medyczny opracowany z myślą o osobach potrzebujących delikatnego i skutecznego nawilżenia oczu.

Hialuronian sodu – dla długotrwałego nawilżenia i komfortu oczu

Krótki skład – odpowiedni do częstego stosowania

Przyjazne soczewkom kontaktowym

TO JEST WYRÓB MEDYCZNY. UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ UŻYWANIA LUB ETYKIETĄ.

OGŁOSZENIE



BEATA ŚNIECHOWSKA

Dziewczyna z *bistro*



Szkoda, że nie gotowałam z mamą rosołu. Ale może dlatego, że musiałam robić wszystko sama, jestem tu, gdzie jestem

Z **BEATĄ ŚNIECHOWSKĄ**, SZEFOWĄ KUCHNI
W RESTAURACJI BABA WE WROCŁAWIU,
KTÓRA OTRZYMAŁA GWIAZDKĘ MICHELIN,
ROZMAWIA **DOMINIKA WANTUCH**
ZDJĘCIA **GRZEGORZ CELEJEWSKI**/AGENCJA WYBORCZA.PL

d

Dlaczego BABA?
– Szukaliśmy nazwy, która będzie krótka i wieloznaczna. I okazało się, że „babę" każdy może czytać po swojemu. To jedno z pierwszych słów wypowiadanych przez dziecko, które nie rozróżnia jeszcze płci, tylko nazywa postać. Ponadto w różnych słowiańskich językach „baba" to wzniesienie górskie przypominające kobietę. W Polsce kojarzy się z babcią, ale w Turcji oznacza ojca. Ta wieloznaczność dawała wolność i nie zamykała nas w ciasnej szufladce.

A tobie „baba" z czym się kojarzy?
– Z naszym flagowym deserem baba au rhum. To niezwykły wypiek, który wymaga ogromnej precyzji, a jednocześnie daje swobodę interpretacji. Mamy go od początku w menu, ale wraz z porami roku zmienia on swój charakter i smak.

Moje pierwsze skojarzenie było inne. Pomyślałam o babie jako kobiecie w kuchni. Trochę przewrotnie, może nawet pieszczotliwe. Pomyślałam o dziewczynce, która podgląda swoją babcię przy gotowaniu.
– I to jest piękne. Każdy może od progu interpretować po swojemu to, co się u nas dzieje. Ja bym pewnie nie pomyślała o sobie „baba w kuchni", ale zawsze chciałam, aby to, co tutaj robimy, nie pozostawiało nikogo obojętnym, tylko żeby wywoływało emocje, rozmowy, budziło skojarzenia.

A ty zawsze chciałaś być kobietą w kuchni? Zawsze chciałaś gotować?
– Tak. Pamiętam bardzo wyraźnie, że już jako sześciolatka chciałam gotować. Najpierw obserwować, pomagać, potem chciałam się uczyć tego na poważnie. Po prostu pragnęłam być w kuchni.

A kogo w niej podglądałaś?
– Babcię Adelę w domu na Biskupinie we Wrocławiu. To był dom rodzinny mojej mamy, ale rodzice po ślubie przenieśli się do Zgorzelca.

Babcia Adela była malarką. To ona nauczyła mnie, że jedzenie nie kończy się na smaku, że to także zapach oraz wszystko, co dzieje się wokół stołu. Kiedy przygotowywałyśmy dziczyznę, na stole pojawiały się pióra z bażantów, wokół wisiały rysunku przywołujące las. Wszystko było częścią opowieści, każdy detal miał znaczenie.

Dzięki babci kuchnia była też przestrzenią bezpieczeństwa, komfortu, czarów i wyobraźni. Babcia Adela gotowała wybitnie.

A jakie jest twoje pierwsze wspomnienie z kuchni?
– Placek drożdżowy. Zbierałyśmy z babcią Adelą płatki róż, później ucierałyśmy ciasto w makutrze. Ono rosło, a dziadek miał zakaz wchodzenia do kuchni, żeby nie robić przeciągów. Babcia uważała, że ciasto opadnie i nie wyjdzie. Miała też zasadę, że placek upieczony rano musi zostać zjedzony do południa, bo najlepiej smakuje, gdy jest świeży.

Są dwie szkoły wprowadzania dzieci do kuchni. Jedna mówi: „Masz wolność, robimy razem", a druga: „Patrz i ucz się, ale nie dotykaj, nie ruszaj, bo zepsujesz".
– U babci Adeli zdecydowanie królowała ta pierwsza zasada. Robiłyśmy wszystko razem, a babcia dawała mi totalną wolność. Ale jednocześnie należała do pokolenia kobiet, które nie zdradzały swoich receptur, powtarzała, że wszystko jest na oko. Na przykład zawsze wrzucała dwa ziarnka fasoli piękny jaś do barszczu i ja do dziś nie wiem, dlaczego akurat dwa. Babcia bardzo wcześnie pokazała mi ogromną paletę smaków, zaszczepiła we mnie potrzebę ekspresji w kuchni, ale jednocześnie poszukiwanie smaków, które mi pokazała, okazało się dużym wyzwaniem.

Co ciekawe, moja mama dostała od babci tę drugą szkołę i w dorosłym życiu nie gotowała ani zbyt dużo, ani zbyt dobrze. W ogóle dla moich rodziców gotowanie było czymś obcym. Efekt był taki, że ja już jako siedmiolatka potrafiłam przygotować cały obiad. Czasami był on udany, innym razem – nie, ale nikt mnie nie ograniczał. Kuchnia była moim placem zabaw i polem do eksperymentów.

Ale jednak nie poszłaś drogą babci Adeli. Trafiłaś na Politechnikę Wrocławską.
– To nie był mój wybór. Moim wyborem było gotowanie. Miałam 17, może 18 lat, kiedy weszłam do salonu i poprosiłam rodziców, żeby wyłączyli telewizor, bo chcę im coś ważnego powiedzieć. Powiedziałam, że chcę gotować zawodowo.

Jak zareagowali?
– Zabronili mi. Padło wiele przykrych słów i się poddałam. Byłam bardzo samotna w moich marzeniach. W moim domu były albo studia, albo studia. Nie było innej drogi.

Twoi rodzice byli wymagający?
– Mama była nauczycielką biologii i chemii. Tata był inżynierem w Elektrowni Turów, zmarł ponad dwa lata temu. Mój dom był dość autorytarny, rygorystyczny, rodzice narzucali określone wartości, zasady i trzeba było się do tego dostosować. Byłam trzymana krótko, od najmłodszych lat miałam dużo domowych obowiązków i jasno określone wymagania. Czwórka w szkole była niedopuszczalna, miałam poczucie, że muszę robić wszystko idealnie.

Żeby zasłużyć na pochwałę?
– O nie, w moim domu nie było pochwał. Nie pamiętam, żeby moi rodzice byli ze mnie zadowoleni, choć ja pewnie bardzo tego pragnęłam. Dziś myślę, że właśnie dlatego tak bardzo chciałam być najlepsza na studiach. Gdy studiowałam



Jeśli chcesz utrzymać poziom, danie musi być tak samo dobre za pierwszym, setnym i tysięcznym razem. *To jest rzemiosło*

inżynierię środowiska, tata mimochodem powiedział, że byłby ze mnie dumny, gdybym skończyła jakiś kierunek ekonomiczny. No więc ja, w tajemnicy przed rodzicami, zrobiłam w trzy lata pięcioletnie studia z zarządzania i informatyki. Gdy skończyłam, z dumą pokazałam rodzicom indeks. Usłyszałam tylko: „A po co ci to było?".

Miałaś żal?

– Kiedy dorastasz w takim domu, nie zastanawiasz się nad tym. Po prostu żyjesz tak, jakbyś nie miała wyboru. Robisz to, czego rodzice oczekują.

Dziś potrafię wiele rzeczy zrozumieć. Wiem, że wiele ich decyzji wynikało nie tylko z lęku, ale też z troski. Były inne czasy, zawód kucharza nie był zawodem prestiżowym, źle się kojarzył. Mój ojciec, mimo że był utalentowanym i wykształconym inżynierem, wiedział, czym jest praca fizyczna, i nie chciał takiej pracy dla mnie. Chciał mi tego oszczędzić. Więc dzisiaj potrafię wiele rzeczy wyjaśnić, ale trudno mi zrozumieć aż taki brak wsparcia.

Teraz sama jestem mamą i jak sobie myślę, że mój syn np. chciałby być kucharzem, artystą, rzemieślnikiem albo kimkolwiek innym, to nawet gdybym miała inną wizję jego przyszłości, to chciałabym mu dać wsparcie, możliwość rozwoju, środowisko, w którym będzie mógł się realizować i być sobą.

Ale może właśnie dlatego to jest dla ciebie tak ważne? Bo ty nie mogłaś być sobą przez wiele lat?

– Ten moment, 10 lat temu, kiedy urodziłam syna, był dla mnie przełomowy. Pomyślałam wtedy, że to nie jest dziecko czasów, gdy dzieci i ryby głosu nie miały, tylko osobny człowiek, który ma prawo do swoich wyborów, swojego życia i swoich błędów. Ja jestem z pokolenia, w którym często nie było przestrzeni na błędy. Musiało być dobrze albo bardzo dobrze, a najlepiej celująco. Nie chcę obarczać syna moją przeszłością, moimi traumami. Czasami myślę, że z przeszłością, która nas kształtuje, jest jak z energią atomową. Ona może niszczyć, a może leczyć. Więc ja wybieram te drugą opcję, nie odcinam przeszłości, ale staram się znaleźć w niej to, co mnie buduje i wzmacnia.

Czyli?

– Próbuję zrozumieć, ale nie usprawiedliwiam moich rodziców. Uważam, że wrażliwość i miłość powinny się objawiać inaczej, bez względu na pokolenie i czasy, w których żyjemy.



Co dokładnie chciałaś sprawdzić?
– Czy mogę wreszcie żyć po swojemu.

Wygrałaś.
– Pamiętam, że podczas jakiegoś nagrania w programie zapytano mnie: „Beata, a co zrobisz, jeśli wygrasz program?", a ja odpowiedziałam bez zastanowienia: „Otworzę restaurację". To były czasy, gdy program miał wielomilionową oglądalność. Gdy wygrałam, nagle dotarł do mnie ciężar mojej decyzji. Problem w tym, że takie programy nie tworzą profesjonalistów. Wszyscy uczestnicy byli amatorami, z wielką pasją, kreatywnością, ale nikt nie miał bladego pojęcia, jak prowadzić restaurację. Więc po programie stanęłam przed wyzwaniem. Nie wiedziałam, jak to zrobić, ale wiedziałam jedno: że nie chcę gotować tylko na eventach, robić warsztatów kulinarnych, a potem wracać na uczelnię. Uznałam, że skoro życie daje mi taką szansę, to muszę ją wykorzystać.

A czy kuchnia i inżynieria mają ze sobą coś wspólnego? Mam wrażenie, że laicy tacy jak ja przez długi czas romantyzowali kuchnię. Wydawało mi się, że gotowanie jest jak malowanie obrazu, że to praca bardzo twórcza, ekspresyjna. Ale paru szefów kuchni i kilka seriali, jak np. „The Bear", sprowadziły mnie na ziemię. Dziś wydaje mi się, że kuchnia to przede wszystkim precyzja, powtarzalność, rzemiosło, ciężka harówa.
– To zależy od etapu. W moim gotowaniu jest dużo romantyzmu. Jeśli pracujemy z cyklami natury i nie chcemy mieć tego samego menu przez cały rok, to natura daje niezwykłe pole do popisu i pozwala się wyżyć twórczo. Ale kreatywność to dopiero początek. Potem przychodzi czas, kiedy trzeba tę wizję odtworzyć. I zrobić to następnego dnia i kolejnego. Jeśli chcesz utrzymać poziom, danie musi być tak samo dobre za pierwszym, setnym i tysięcznym razem. To już jest rzemiosło.

Dzięki babci Adeli kuchnia była dla mnie przestrzenią *bezpieczeństwa i komfortu*

Zresztą, mam znajomych rówieśników, którzy byli kochani, mieli wsparcie. Ale nie chcę rozdrapywać ran i nie myślę o rodzicach w kategorii żalu, tylko staram się dostrzec w tym szansę. Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym w wieku 16 lat mogła wyjechać za granicę, by uczyć się gotować. Mogę powiedzieć: szkoda, że nie gotowałam z mamą rosołu. Ale mogę też powiedzieć, że musiałam robić to wszystko sama i być może dzięki temu jestem tu, gdzie jestem.

Zanim się tu znalazłaś, musiałaś zawrócić kijem Wisłę. Pamiętasz tytuł doktoratu, który porzuciłaś dla programu „MasterChef"?
– „Straty ciepła preizolowanych sieci ciepłowniczych umieszczonych bezpośrednio w gruncie" *(śmiech)*. Ale co ciekawe, ostatecznie obroniłam ten doktorat. Na studiach trafiłam na fantastyczne środowisko naukowe i na uczelni było mi naprawdę dobrze. W programie chciałam się tylko sprawdzić. Nie spodziewałam się, że uda mi się przejść dalej.

Twoja historia dowodzi, że jedno danie może zmienić życie. W twoim przypadku był to pasztet ze szczupaka i boczku, który przygotowałaś na castingu do programu „MasterChef" przed kilku laty czy bardziej petit bon bon, które zachwyciły inspektorów Michelin?
– Dzisiaj powiedziałabym, że moje pierożki petit bon bon z grzybami i tłuściochem. Przez lata szukałam własnego stylu i języka w kuchni. Na początku chciałam pokazać wszystko naraz, udowodnić, że umiem w sosy, dodatki, owoce, ryby. Na moich talerzach dużo się działo. Dzisiaj interesuje mnie to, żeby wydobyć maksimum z jednego produktu. Jeśli pracuję z burakiem, nie ukrywam go pod kolejnymi warstwami i technikami. Chcę pokazać jego smak, charakter, szlachetność. Fascynuje mnie prostota, kuchnia, która wywołuje emocje, ale przytula.

Dlatego jesteśmy teraz w bistro, a nie fine diningowej restauracji z menu degustacyjnym?
– Ja jestem bistro girl. Kocham za głośne, za ciasne, za odważne, wypełnione ludźmi miejsca. Bistra, w których nie boisz się usiąść obok kogoś obcego.

Ale paradoks polega na tym, że to, co wygląda na najprostsze, często okazuje się najtrudniejsze.

To znaczy?
– Nasza receptura na pierożki. Przepis brzmi banalnie: 35 żółtek na 1 kilogram mąki. Ale jeśli to po prostu połączysz, wyjdzie jedna wielka klucha. Dopiero długa praca z ciastem – ugniatanie, rozcieranie, składanie, obserwowanie, jak reaguje, pozwala osiągnąć odpowiedni efekt. Prostota wymaga dyscypliny.

Czym jest słynny tłuścioch?
– To okrągły twaróg z ekologicznego gospodarstwa Wańczykówka. Najbardziej tłusty, ale jednocześnie najbardziej delikatny twaróg, jaki można sobie wyobrazić. Jak go przekroisz i dotkniesz, masz wrażenie, że wyciśniesz z niego kawałki masła. Za każdym razem przywołuje wspomnienie z dzieciństwa, gdy babcia ubijała w piwnicy masło.

Na to też zwrócili uwagę inspektorzy Michelin. Jak to jest być pierwszą i jedyną szefową kuchni w Polsce z gwiazdką?
– To jest wielkie szczęście. Jak otwierałam BABĘ, to nikt nawet nie sądził, że przewodnik będzie we Wrocławiu, a tym bardziej że na wyróżnienie będzie mieć szansę bistro. Dotarło do mnie to wszystko, gdy stałam na scenie i szef Antonio Arcieri z ARCO by Paco Pérez w Gdańsku zapytał: „Beata, a ty wiesz, że jesteś pierwszą kobietą wśród nas?".

Statystyki nie pozostawiają złudzeń. Tylko 6 proc. restauracji z gwiazdką prowadzą kobiety, niespełna 7 proc. wśród najlepszych restauracji na świecie ma za szefów kobiety.
– Ja jestem umysł ścisły, zawsze jestem ostrożna wobec statystyk, jeśli nie znam źródła i kontekstu.

Jednak pytanie pozostaje. Uważasz, że kobiety i mężczyźni mają równe szanse w tej branży, czy jednak szklany sufit trzyma się mocno?
– Pracuję zarówno z wybitnymi kobietami, jak i z wybitnymi mężczyznami. Tak samo jak ja i moje koleżanki chcemy mieć przestrzeń na życie prywatne, tak samo moi niektórzy koledzy z pracy chcą mieć czas na związek i rodzinę. Staramy się stworzyć takie warunki i takie środowisko, w którym udaje się to realizować. Czy to jest moja bańka, nie mam pojęcia. Ale chcę wierzyć, że jesteśmy oceniani przez pryzmat talerzy, tego, co na nich serwujemy, a nie przez naszą płeć.

Ale czy to nie jest jednak trochę życzeniowe myślenie? Kilka lat temu w dokumencie „The Heat: A Kitchen (R)evolution" najlepsze szefowe kuchni na świecie opowiadały o podwójnych standardach, marginalizacji kobiet w kuchni, o dyskryminacji. Szefowa Anita Lo w wywiadach mówiła, że mężczyźni gotują dla chwały, a kobiety dla miłości.
– Praca w kuchni jest brutalna. To są niemiłosierne długie godziny pracy, robota, która wymaga poświęcenia, ciągłego bycia na nogach w dosłownym tego słowa znaczeniu. Więc absolutnie nie będę polemizować z tym, że różne narzucane kobietom i mężczyznom role społeczne sprawiły, że przez dekady kobiety gotowały w domach, ale szefami kuchni byli praktycznie tylko mężczyźni. Bo od kobiet się wymagało, że będą matkami, a połączenie tej roli z pracą w restauracji jest trudne. Ale przecież to dotyczy wielu zawodów i dziś powoli się zmienia.

Można też na pracę w restauracji popatrzeć od innej strony: przez dziesiątki lat to nie był prestiżowy zawód.

Praca do późna, nierzadko alkohol, potem kac...
– Ale to się zmienia, bo rzeczywistość wokół się zmienia, bo ludzie zmieniają rzeczywistość. Ja się cieszę, że np. dziś kucharze wybierają zdrowy tryb życia, są aktywni fizycznie, uprawiają sport, dbają o sposób odżywiania.

Jeśli miałabym popatrzeć tylko na to, czego ja doświadczyłam, to nie wiem, czy była to dyskryminacja z powodu płci. Bardziej obrywało mi się za to, że jestem z programu telewizyjnego.

W jaki sposób?
– Po wygranej w „MasterChefie" przeprowadziłam się do Warszawy, bo chciałam się nauczyć profesjonalnie gotować. Zatrudnił mnie Michel Moran, miał świetną ekipę kucharzy, ale trudno im było uwierzyć, że dziewczyna z programu coś potrafi. Więc jak pierwszego dnia zapytałam, w czym pomóc, to słyszałam, że mogę zaparzyć sobie kawę. Musiałam swoim wysiłkiem, ciekawością i zaangażowaniem zapracować na szacunek. To zresztą padało nie tylko tam. Przez kilka dobrych lat musiałam udowadniać swoimi talerzami, że się nadaję, że jestem coś warta, bo ciągnęło się za mną brzemię „dziewczyny z telewizji", której wielu ludzi w branży nie traktowało poważnie.

Powiedziałaś, że praca w kuchni potrafi być brutalna. Jaką cenę zapłaciłaś za to, żeby robić to, co kochasz?
– Sądzę, że największą ceną jest zdrowie. Praca w kuchni to ciężka praca fizyczna, wiele godzin stania na nogach do późna. Mam chore rozcięgna, bolą mnie plecy. Dlatego tak ważne jest dla mnie, ale też dla ludzi, z którymi pracuję, żeby każdy miał swoją przestrzeń na sport, ćwiczenia fizyczne. Od kilku dobrych lat bardzo dbam o zdrowie fizyczne i gdy patrzę na branżę, wydaje mi się, że wielu z nas o tym myśli. O regeneracji, śnie, równowadze. O tym, żeby się nie zajechać.

Ale nie jest tak, że apetyt rośnie w miarę jedzenia? Było wyróżnienie, teraz gwiazdka... Nie masz myśli, że może przyjdzie szansa na drugą?
– A skąd! My jesteśmy w bistro, więc opowieść o dwóch gwiazdkach to nie jest raczej opowieść o tym miejscu. Gwiazdka to nie jest motor moich działań. Oczywiście smakuje wybornie, tym bardziej że nikt na nią nie postawił. Mam na myśli to, że nie budowaliśmy tego miejsca, marząc o wyróżnieniach. I teraz też nie zamierzam tego miejsca zmieniać. Gwiazdka utwierdza mnie jednak w tym, że to, co robię, robię dobrze. I mogę to sama sobie powiedzieć: jestem z siebie dumna. ▲

Czysta *finezja*

„Zdaję sobie sprawę, że gram inaczej niż większość zawodniczek" – mówi. A cały tenisowy świat zachwyca się tym, co robi na korcie

TEKST **SANDRA ZAKRZEWSKA**

Jeśli nie wiesz, dlaczego na to zasłużyłaś, to ci pomogę. Dotarcie od kwalifikacji do finału takiego turnieju to jedno z najtrudniejszych zadań w naszym sporcie. Nie musisz się przejmować tymi wszystkimi artykułami, nie przejmuj się wygranymi, przegranymi, tym, co mówią inni. Rozwijaj się, rób swoje, ponieważ masz wyjątkowy dar do tego sportu" – mówił Andre Agassi do Mai Chwalińskiej dzień po finale Rolanda Garrosa w studiu TNT Sports.

Andre Agassi to legenda tenisa. Amerykański zawodnik o irańskich, ormiańskich i asyryjskich korzeniach wygrał osiem turniejów wielkoszlemowych w grze pojedynczej i został złotym medalistą igrzysk olimpijskich w Atlancie. Chwilę wcześniej wtórował mu inny były lider światowych list, John McEnroe, który zachwycał się stylem gry Polki. Nic w tym dziwnego. Legendy tenisa widzą w Mai siebie sprzed lat i szansę na powrót bardziej finezyjnego stylu gry.

Maja Chwalińska zapisała się w historii światowego tenisa po tym, jak sensacyjnie awansowała do finału Rolanda Garrosa, stając się pierwszą kwalifikantką w erze open, która dotarła do decydującego meczu paryskiego Wielkiego Szlema.

Chwalińska jest dopiero trzecią Polką w erze open, która zagrała w finale turnieju wielkoszlemowego, obok Agnieszki Radwańskiej i Igi Świątek. W przypadku paryskiego szlema to dopiero druga Polka w historii, która awansowała do finału. Choć tam lepsza okazała się 19-letnia Mirra Andriejewa, sam awans do finału i wygranie w Paryżu aż dziewięciu spotkań pozostaje jednym z największych sukcesów w historii polskiego tenisa.

OD DĄBROWY GÓRNICZEJ

„Cieszę się, kiedy mam swoich najbliższych wokół. Cała moja rodzina zjawiła się w Paryżu, więc po finale mieliśmy chwilę, żeby sobie usiąść, coś zjeść. To niesamowite, my, rodzina z Dąbrowy Górniczej, pod Wieżą Eiffla" – opowiadała po powrocie do Polski w programie „Dzień dobry TVN".

Maja Chwalińska urodziła się 11 października 2001 roku w Miechowie, ale szybko przeniosła się z rodziną do Dąbrowy Górniczej. To tam dostrzegli ją pierwsi trenerzy. Zawsze miała mnóstwo energii i gdzieś trzeba było dać jej ujście. Trafiła na „Talentiadę" organizowaną przez Centrum Sportu i Rekreacji w Dąbrowie Górniczej. Ale to nie ten przypadek, gdy rodzice snują wizję swojego dziecka na największych tenisowych arenach. Chwalińska nie pochodzi ze sportowej rodziny. Mama to recepcjonistka, tata pracownik kopalni, już na emeryturze. Maja sama chciała grać i to ona musiała namówić rodziców, by puścili ją na testy.

„Wtedy chętnych było około 50 dzieci, testy przeszło 10. Miały zajęcia nieodpłatnie. Po roku szkolenie kontynuowała czwórka, wśród nich Maja. Co roku ktoś się wykruszał, a Maja została. Po roku było widać, że to dziewczynka, która lubi sport, wie, czego chce, potrafi się skoncentrować, będąc na treningu. Widziałem, że tenis ją naprawdę pociąga i sprawia jej wielką radość" – opowiadał w 2017 roku „Wyborczej" Paweł Kałuża, z którym Maja trenowała przez ponad dekadę.

Teraz na niszczejących kortach przy ulicy Tysiąclecia na Osiedlu Kasprzaka w Dąbrowie Górniczej powstał mural z wizerunkiem Chwalińskiej. Tenisistka jest na nim przedstawiona jako mała dziewczynka z rakietą. Ma inspirować i przypominać, że wszystko jest możliwe. „To mnie bardzo wzruszyło, bo spędziłam tam w sumie najwięcej czasu podczas swojej kariery na tych kortach. I grałam też na tej ściance, rozgrzewałam się tam" – skomentowała.

NIE TYLKO BUM, BUM

Zaczęła trenować jako siedmiolatka. Jak sama opowiadała w wywiadach, dość późno, bo „mistrzowie zaczynają już jako pięciolatkowie". To jednak nie jest reguła. W tym samym wieku co Maja piłki zaczął odbijać chociażby obecny numer jeden męskich list, Włoch Jannik Sinner.

Chwalińska od początku przejawiała duży talent. Była szybka, zwinna, wszechstronna, łatwo uczyła się taktyki i techniki tenisowej. To coś, czego często trudno jest się nauczyć, czyli tak zwane czucie piłki. Miała też determinację i była wytrzymała.

„Tenis to sport indywidualny i jesteś odpowiedzialny za swój los na korcie. W tym sporcie potrzebne jest wszystko, głowa, to najważniejsze, ale i wytrzymałość, motoryka. Gdy chce się być mistrzem, trzeba posiadać wszystkie te cechy" – mówiła w wieku 14 lat.

W tym czasie zaczynała odnosić pierwsze sukcesy na światowych kortach i czarować swoją grą, która wyróżniała ją od najmłodszych lat. „Maja jest wyposażona w spektakularne uderzenia budujące sekwencje z galaktyki. Potrafi grać skrót naprzemiennie z lobem, zagrać pomiędzy nogami, grać prawą ręką, a przypomnę, że jest leworęczna, co często wykorzystuje. Jej zagrania bardzo często nadają się na uderzenia roku i są podobne do Agnieszki Radwańskiej" – mówił Paweł Motylewski, trener tenisowej kadry narodowej do lat 14, w Polsacie Sport w 2015 roku. W tym samym wideo Maja opowiadała o swoim stylu: „Wygrywam mecze dzięki temu, że lepiej gram w takich kluczowych momentach slice'y, różne zmiany rytmu, a nie tylko bum, bum". Imponowała też dojrzałością. „Jeśli chce się coś osiągnąć, to trzeba ciężko pracować" – zaznaczyła.

To wtedy 14-letnia Maja Chwalińska razem z Igą Świątek i Stefanią Rogozińską-Dzik świętowały drużynowe mistrzostwo Europy, rok później zwyciężyły w juniorskim Pucharze Federacji. Polki pokonały wówczas Indie, Węgry, Kanadę, Rosję i Stany Zjednoczone. To był pierwszy taki sukces od dekady – w 2005 roku najlepsze okazały się siostry Agnieszka i Urszu-



FOT. REUTERS/BENOIT TESSIER; REUTERS/STEPHANIE LECOCQ; STACH ANTKOWIAK/REPORTER; KUBA ATYS/AGENCJA WYBORCZA.PL



Zaczęła trenować jako siedmiolatka. Jak sama mówi, „dość późno”, bo „mistrzowie zaczynają już jako *pięciolatkowie*”







Po sukcesie na turnieju Rolanda Garrosa Maję przywitał na lotnisku tłum kibiców. Zdjęcie z lewej: Chwalińska i Świątek są rówieśniczkami. Już ponad dekadę temu mówiono o „niesamowicie zdolnym roczniku"

la Radwańskie oraz Maksymiliana Wandel. W środowisku tenisowym mówiono wprost – mamy niesamowicie zdolny rocznik. Nie mylono się.

KROK ZA IGĄ ŚWIĄTEK

To w tamtym czasie drogi Mai po raz pierwszy przecięły się z jej rówieśniczką Igą Świątek. Nastolatki z tego samego rocznika często podróżowały razem na juniorskie turnieje.

Dziewczyny wspólnie doszły do finału juniorskiego Australian Open. To był pierwszy wielkoszlemowy finał Świątek. Przegrały z parą Carson Branstine i Bianca Andreescu (zwyciężczyni seniorskiego US Open w singlu z 2019 roku). „Mamy plan. Ja wygram Australian Open, a ona French Open, potem ja Wimbledon, ona US Open" – mówiły jedna przez drugą na jednym ze starych nagrań.

Sukcesy juniorskie szybko znalazły odzwierciedlenie w rywalizacji zawodowego cyklu. W 2019 roku Chwalińska wygrała trzy turnieje rangi ITF z rzędu. W rankingu WTA zajmowała coraz wyższe pozycje, aż w końcu awansowała do pierwszej dwusetki, co pozwala na start w kwalifikacjach do turniejów wielkoszlemowych.

Świątek była już jednak w innym tenisowym świecie. Galaktycznym. „Iga robiła susy, Maja kroki" – porównuje ekspert tenisowy Marek Furjan. Iga Świątek swój pierwszy wielkoszlemowy tytuł w Paryżu zdobyła w 2020 roku, mając zaledwie 19 lat. Dziś ma ich już sześć i jest najbardziej utytułowaną aktywną tenisistką świata. (To może się zmienić, jeśli do singlowego grania zdecyduje się powrócić Serena Williams, która wznowiła deblową karierę.) Chwalińskiej nie pomagały ciągłe porównania z koleżanką z drużyny. „Pytali wyłącznie o nią. Przyznam – wtedy jeszcze gorzej czułam się sama ze sobą, bo wiedziałam, że jesteśmy w tym samym wieku, a ona jest tak wysoko i wygrywa turnieje... A gdzie ja jestem? Gdy wygrała pierwszy Roland Garros, miałam kontuzję nadgarstka. Czułam się tak źle sama ze sobą, że porównania oddziaływały na mnie mocniej niż zwykle. Nie było to łatwe" – opowiadała w podcaście Break Point.

Chwalińska stylem gry przypomina bardziej Agnieszkę Radwańską niż Igę Świątek. Tenisistka z Dąbrowy Górniczej nie imponuje warunkami fizycznymi. Jest drobna, ma 164 cm wzrostu. Swój tenis opiera na czuciu piłki, nienagannej technice, przewidywaniu zagrań rywalek. W ostatnich miesiącach wykonała jednak ogromną pracę nad przygotowaniem fizycznym, co, jak podkreśla wielu tenisowych ekspertów, mogło być kluczem do jej sukcesu na paryskich kortach. Od roku współpracuje też z trenerem od przy-

gotowania motorycznego Igi Świątek Maciejem Ryszczukiem.

PIERWSZY PRZEŁOM

Obok pierwszych sukcesów w dorosłym tenisie pojawiały się też kolejne problemy i kontuzje, które uniemożliwiały tenisistce rywalizację. Chwalińska walczyła z kontuzją kolan, nadgarstka, łokcia. „Bolał ją łokieć, nie czuła trzech palców, więc rakieta wylatywała jej z ręki. To był dla niej cios"- opowiadał w TVP Sport jej trener Jaroslav Machovsky.

Gdy w 2020 roku przegrała już w pierwszej rundzie eliminacji do Wimbledonu, ogłosiła, że zawiesza swoją tenisową karierę z powodu depresji. „Ostatnie dwa lata były dla mnie bardzo trudne. Miałam wiele problemów zdrowotnych, przez co wycofywałam się z turniejów lub kreczowałam mecze. Te kilkanaście ostatnich miesięcy jest dla mnie ciężkich również pod kątem psychicznym. Od końca 2019 roku choruję na depresję" – napisała w mediach społecznościowych. „Pojawiające się nieustannie kontuzje na pewno nie pomagały mi poradzić sobie z tą chorobą. Próbowałam trenować i rywalizować, ale czułam, jak to wszystko coraz bardziej mnie wykańcza i przytłacza. Doszłam do tego punktu, w którym nie jestem już w stanie zmusić się do trenowania. Moja psychika i ciało dają mi sygnały do zrobienia przerwy i w końcu muszę je uszanować. Nadal kocham tenis, ale wrócę na kort, kiedy będę gotowa" – dodała.

Do gry wróciła po kilku miesiącach, mimo że początki nie były łatwe. Z czasem jej gra zaczynała wyglądać coraz lepiej. Wygrała kilka turniejów ITF i awansowała na 176. miejsce w rankingu WTA, które było w tamtym czasie najwyższe w jej karierze. W następnym roku zwyciężyła w kwalifikacjach Wimbledonu, a w swoim wielkoszlemowym debiucie pokonała Kateřinę Siniakovą, co było jej najlepszym wynikiem w karierze. Pechowo z powodu wykluczenia z zawodów zawodników z Rosji i Białorusi za ten turniej nie przyznawano punktów do rankingu WTA.

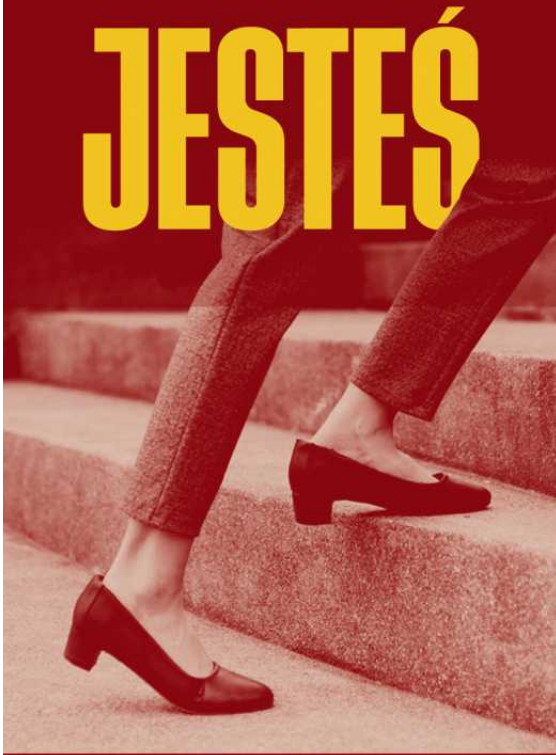
Wówczas od dwóch lat współpracowała z Jaroslavem Machovskym, którego obdarzyła ogromnym zaufaniem, sam Machovsky porównywał swoją relację z Chwalińską do relacji ojca z córką. „Mamy bardzo dobry kontakt. Wiem, że Maja bardzo mi ufa. Zawsze mówi mi wszystko. Nawet kiedy ma wątpliwości, kiedy łapała kontuzje, kiedy spadał poziom, bo nie grała – wszystko to razem przeżyliśmy. Kosztowało ją to wiele sił i energii, a zawsze dawała radę. To mi w niej imponuje" – mówi trener we wspomnianej rozmowie z TVP Sport.

Zarobione w Paryżu pieniądze pozwolą Mai podróżować po świecie z większym sztabem i zainwestować w kolejne osoby, które pomogą jej rozwinąć karierę.

Chwalińska dała światu nadzieję na powrót bardziej finezyjnego stylu gry. Sama w wywiadach z niezadowoleniem mówi o kierunku, w którym poszedł ten sport, tzn. stał się bardzo siłowy. Z tego powodu zawodniczka nie ogląda za wiele meczów, wraca natomiast do archiwalnych spotkań, gdy na kortach królowały Szarapowa, Azarenka czy Radwańska. Wśród mężczyzn zawsze z podziwem patrzyła na Rogera Federera, tenisowego wirtuoza.

„Jesteś odmieńcem. Ty grasz taki tenis, którego nikt w czołówce nie gra" – powiedział jeden z dziennikarzy obecnych na konferencji prasowej w Paryżu. „Nie wiem, czy nikt, ale niewiele osób. Zdaję sobie sprawę, że gram inaczej, inaczej widzę tenis niż większość zawodniczek. Staram się myśleć na korcie najwięcej, jak się da, ale nie zawsze mi to wychodzi. Może jestem odmieńcem, ale nie mam z tym problemu" – odpowiedziała Chwalińska.

Dzięki spektakularnemu występowi w Paryżu Maja Chwalińska awansowała ze 114. na 21. miejsce w światowym rankingu. To wiele znaczy. Od teraz ma zagwarantowane miejsce w każdym tenisowym turnieju świata, a co więcej: będzie w nich też rozstawiona, czyli na pewno nie wpadnie w pierwszej rundzie na Arynę Sabalenkę, Elenę Rybakinę czy Igę Świątek. To jednak nie znaczy, że Chwalińska zacznie wygrywać turniej za turniejem. To niemożliwe, bo tenis jest specyficzną dyscypliną sportu, w której poza jedną, wyjątkową osobą w każdym turniejowym tygodniu dziesiątki zawodniczek wracają do domu z porażką na koncie. Przynależność do elity to jednak ogromny sukces, na który sama ciężko zapracowała. Jest w końcu w miejscu, w którym od dawna powinna być. ▲

MENOPAUZA BEZ TABU
KULCZYK FOUNDATION
JESTEŚ

PO 40.?
Nie daj się zaskoczyć menopauzie.
menopauzabeztabu.org.pl
Wejdź na stronę, pobierz bezpłatne kompendium i poczuj się pewniej na każdym etapie.
OGŁOSZENIE

Wszystko o moim *ojcu*

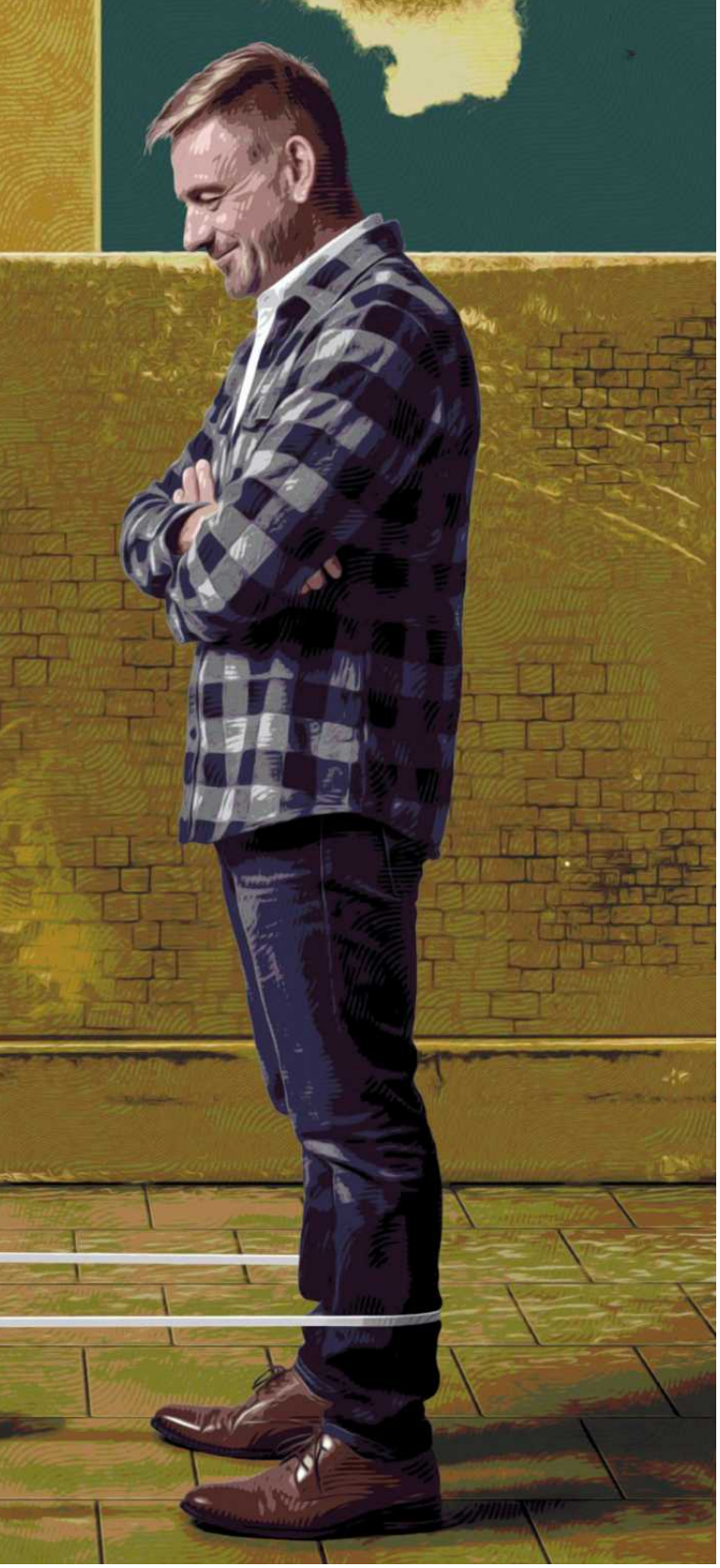
Zbierała się do rozmowy kilka tygodni, w końcu się odważyła: „Tatuś, a ty mnie kochasz?”. Odpowiedź przyszła bez zastanowienia: „No, całe życie. Kocham cię”



TEKST **IZABELA O'SULLIVAN**
RYSUNEK **PIOTR CHATKOWSKI**

Mama Joanny pracowała w księgowości i często nie było jej w domu. Początki i zamknięcia miesiąca, wypłaty, bilanse. Ojciec zawsze miał dla córki czas. Był przewodnikiem górskim i Asia do mniej więcej 10. roku życia jeździła z nim w niedziele na wycieczki. Towarzyszyła mu, gdy zajmował się grupami. – Zobaczyłam, że można być wesołym i jednocześnie odpowiedzialnym, świetnie dogadywać się z ludźmi i szybko rozładowywać konflikty – opowiada. Czuła się ważna, gdy pozwalał jej siadać w autobusie na fotelu przewodnika albo gdy dostawała jakieś zadanie, np. zająć kolejkę.

Na ferie wyjeżdżała najczęściej z tatą i dziadkiem – ojcem matki. Lubiła patrzeć na tę męską przyjaźń. Chodzili na piesze wycieczki, zwiedzali, a pod ręką zawsze było dla Asi coś słodkiego albo inna niespodzianka. Wieczorami w pokoju grali w karty. Były też wspólne letnie wakacje we troje z mamą, w ośrodku



wczasowym na Mazurach, ale wspomnienia z tego czasu Joanna ma wyłącznie te związane z ojcem – jak pływali na żaglówce albo łowili ryby.

W codzienności też czuła z tatą większą bliskość. W wolne popołudnia albo soboty często gdzieś razem wychodzili, podczas gdy mama odpoczywała w domu. Asia pamięta wspólne spacery, wypady, działkę albo spotkania z taty znajomymi. – Był robotnikiem, miał kolegów po fachu, mama obracała się wśród członków dyrekcji. Te dwa światy nie miały punktów stycznych. Dobrze się czułam w towarzystwie kolegów taty. To byli prości, szczerzy ludzie. Może dzięki temu dziś potrafię się dogadać z każdym – mówi Joanna.

Gdy miała problem, szła do ojca. Wiedziała, że nie będzie oceniał i zawsze znajdzie rozwiązanie. Do matki czuła większy dystans i bała się jej moralizowania. – Nigdy nie dostałam od niej takiej kary jak koledzy, czyli zakazu na wyjście czy na oglądanie telewizji. To zawsze była moralizująca rozmowa – dla mnie katorga, koszmar, rycie beretu.

Od taty nie tylko dostawała radę, ale też mogła się przytulić i wypłakać na jego ramieniu. Bardzo docenia, że był w domu i że był dla niej, co w latach 80. wcale nie było normą. – Ojcowie moich koleżanek większość czasu spędzali w piwnicy, garażu, na rybach albo pod budką z piwem, czyli wszędzie tam, gdzie nie było ich żon – mówi.

Tata był również wsparciem, gdy Asia na piątym roku studiów urodziła dziecko. Jeździła na uczelnię, a on odbierał miesięczną Agatkę z przystanku i jechał z nią do domu albo na działkę. Gdy mała miała zatkane wodami płodowymi uszy, to właśnie z nim jechały do szpitala, a nie z Joanny ówczesnym mężem. – Nie pamiętam dlaczego. Chyba po prostu przy ojcu czułam się bezpiecznie – wyznaje.

Dziś tata Joanny ma 84 lata i to ona go wspiera. Wozi do lekarza, załatwia potrzebne rzeczy. Jakiś czas temu uświadomiła sobie, że nigdy nie usłyszała od niego, że ją kocha. Wiedziała, że tak, bo jej to okazywał, ale potrzebowała, by to wypowiedział. Zbierała się do rozmowy kilka tygodni, w końcu się odważyła: „Tatuś, a ty mnie kochasz?". Odpowiedź przyszła bez zastanowienia, z uśmiechem: „No, całe życie. Kocham cię".

Dziś na relację z ojcem patrzy przez nieco inny pryzmat. Przyznaje, że przestała go idealizować. Zrozumiała, że mama nie miała tak cukierkowego życia, jak jej się wydawało, że tata również potrafi być stanowczy, nieprzyjemny. Zawsze czuła z nim silniejszą więź, co nie zmienia faktu, że według niej to relacja z matką jest tą najistotniejszą. – Jeśli nie dostaniesz od matki tego, co potrzebujesz, będziesz tego szukać na zewnątrz. A jeśli tego nie masz, nie jesteś w stanie podać dalej – podkreśla. – Przez to, że ojciec był u mnie na pierwszym planie, wiele rzeczy miałam w swoim życiu zaburzonych. Wykazywałam więcej zachowań przypisywanych mężczyznom – szłam w działanie zamiast w emocje. Dopiero za trzecim razem trafiłam na partnera, z którym udało nam się przywrócić role męskie i żeńskie na właściwe miejsce – dodaje.

Czy rzeczywiście jest tak, jak mówi Joanna – że więź z matką jest tą pierwszą, najważniejszą i najnaturalniejszą? Doktor Andrzej Śliwerski, psycholog i psychoterapeuta, wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim: – Przyjęło się uważać, że pierwszym i najważniejszym opiekunem dziecka jest matka – częściowo z powodów biologicznych, częściowo kulturowych. Badania nad teorią przywiązania pokazują jednak, że kluczowe dla budowania bezpiecznej więzi jest nie samo karmienie czy biologiczne rodzicielstwo, ale responsywność: przytulenie, ukojenie i adekwatna odpowiedź na potrzeby emocjonalne i psychologiczne dziecka. Ponieważ większość dzieci pierwszy okres życia spędza głównie z matkami i to one częściej pełnią te funkcje, właśnie matki najczęściej stają się pierwotnym obiektem przywiązania. Wynika to jednak nie z płci, lecz z dostępności i opieki – podkreśla specjalista.

TRZY ROLE

Kasia codziennie o 17 czeka na telefon. Jeśli dźwięk dzwonka nie rozlegnie się do pięć po, jest cała w stresie. Kwadrans po piątej

dzwoni sama. – Muszę wiedzieć, czy u taty wszystko w porządku. Wystarczy, że pogadamy dwie-trzy minuty – wyjaśnia. Wychowywał ją sam, bo kiedy miała 11 lat, mama zmarła na raka. – Stawał na rzęsach, żeby mi ją zastąpić, co przecież było niemożliwe. Do tego starał się być jak najlepszym tatą i trochę też kumplem. Co drugi weekend robił zapas obiadów. Jego bitki wołowe były najlepsze pod słońcem, nauczył się też lepić pierogi. Sprzątanie domu dzieliliśmy po połowie, odrabiał ze mną lekcje, jeździliśmy razem na targ w Tuszynie pod Łodzią – opisuje.

Nie uciekał od spraw, które wtedy uważano za „kobiece" i, na ile umiał, dawał córce wsparcie. Tłumaczył na przykład, że włosy należy rozczesywać przed umyciem. A kiedy rok po śmierci mamy Kasia dostała pierwszej miesiączki, płakał razem z babcią, która wtedy jeszcze z nimi mieszkała. Długo Kasię tulili, a potem podarowali z tej okazji dwa ładne wisiorki. Gdy zaczęła umawiać się z chłopakami, opowiadała ojcu o pierwszych randkach. Nie miała też oporów, by iść do niego z informacją, że potrzebuje tabletek antykoncepcyjnych. Dał jej wtedy numer do znajomego ginekologa, a potem kupował w aptece pigułki. – Doceniam to bardzo, bo niektóre koleżanki bały się porozmawiać o tym nawet z mamą – twierdzi.

Tata był dla Kasi wentylem emocji, ale mocno chronił ją przed swoimi problemami. Po śmierci matki nie chciał, żeby patrzyła na jego cierpienie. Dopiero po długim czasie wyznał, że nieraz zdarzało mu się wyć w samochodzie.

Cztery lata po stracie żony ojciec ponownie się ożenił, jego nowa partnerka nie zbudowała jednak z Kasią relacji. – Mogła być fajną ciotką, ale kompletnie tego nie wykorzystała. Biła od niej obojętność – mówi. Do tego doszła burza hormonów związana z Kasi dojrzewaniem, buntowanie się i niegrzeczne odzywki. Któregoś dnia mocno się pokłóciły, a następnego kobieta się wyprowadziła. – Były akurat taty imieniny. Dałam mu kwiatek, złożyłam życzenia, a on tak mocno mnie przytulił. Powiedziałam, że damy radę i będzie zarąbiście. I jest do dziś – opowiada Kasia. Jej tata ma 80 lat, od 15 jest w innym związku, szczęśliwy.

Według dr. Andrzeja Śliwerskiego samotne rodzicielstwo – niezależnie od tego, czy dotyczy kobiety czy mężczyzny – niesie wiele wyzwań. – Są to: przeciążenie odpowiedzialnością, konieczność organizowania codzienności i jednoczesnego pozostawania emocjonalnie dostępnym dla dziecka. Kluczowe staje się jednak pytanie, czy dorosły sam doświadczył w swoim życiu wystarczająco dużo troski, bezpieczeństwa i opieki, by umieć przekazywać je dalej. Rodzicielstwo opiera się nie tylko na zdolności do bycia ciepłym i wspierającym, ale też na umiejętności stawiania granic oraz pozwalania dziecku mierzyć się z trudnościami mimo własnego lęku lub przeciążenia – mówi psycholog.

Najcenniejsza umiejętność, jaką Kasia dostała od taty, to zaradność. Nauczył ją, że nie ma sytuacji bez wyjścia i wszystko ma pozytywne strony. – Na przykład śmierć mamy. To chyba najgorsze, co może cię spotkać, ale gdybym tego nie doświadczyła, nie miałabym takiej relacji z tatą – zaznacza. Wie, że ma też zasoby, które przekazała jej mama. Była wspaniałą gospodynią, a dom był zawsze pełen gości. Kasia chciała podobnie, dlatego gdy w liceum poszła do pierwszej weekendowej pracy, cieszyła się nie tylko z tego, że może kupić sobie fajne ciuchy, ale też czasem dorzucić się do czegoś w domu. Zależało jej, by mieć z ojcem partnerskie relacje.

Do dziś musi mieć poczucie, że jest blisko taty, i podkreśla, że nie byłaby w stanie wyprowadzić się do innego miasta. – Dopuszczam myśl, że kiedyś go zabraknie, i źle mi z nią na maksa, ale muszę być psychicznie na to gotowa. Gdy mama chorowała, też mnie przygotował. Któregoś dnia wróciłam po szkole, przed blokiem stał jego samochód, co normalnie się nie zdarzało, bo kończył pracę później. Tłumaczył, że rokowania są kiepskie, że mama może nie przeżyć. Gdy zmarła, patrzyłam, jak zadaniowo podchodzi do życia, i to mi się udzielało. Udziela się do dziś – twierdzi.

SOLIDARNOŚĆ

Wakacje w Holandii, sześcioletni Patryk choruje na jelitówkę. Zajmuje się nim tata, zawozi go do lekarza. Mama opala się na plaży. Tak to pamięta dziś.

Kiedy miał 11 lat, matka zabrała go ze sobą do teatru. Na początku nie wiedział, kim jest mężczyzna, który im towarzyszył. Patryka i jego brata dorośli posadzili kilka rzędów przed sobą. W którymś momencie spektaklu się odwrócił i zobaczył, że się całują. Po powrocie do domu miał w sobie wielką złość. Nie puściła długo, może nawet do dziś. – Potrafię zrozumieć, że mamie nie układało się z tatą, prędzej czy później pewnie by się rozstali. Ale dla mnie to było niewyobrażalne, że dowiedziałem się w taki sposób – twierdzi.

Po rozwodzie Patryk zdecydował, że zostanie przy tacie. Przyznaje, że na początku tęsknił za mamą – za jej troskliwością i otwartością. – Ojciec nie jest osobą ujawniającą uczucia i niewiele mówi. Wtedy też wszystkie trudne przeżycia dusił w sobie, a życie z nim było dość ponure. Gdy odwiedzałem mamę, czułem większe ciepło i radość – opowiada. Potem na jakiś czas zamieszkał z nią i jej nowym partnerem, ale po kilku latach znów wrócił do ojca. On w tamtym czasie też powoli zaczynał układać sobie życie. Miał nową partnerkę i czasem Patryk czuł, jakby im przeszkadzał, choć to raczej ona sprawiała takie wrażenie. Nim poszedł na studia, jeszcze dwa razy zmieniał miejsce zamieszkania: znów przeprowadził się do mamy i ponownie wrócił do ojca. – Cały czas traktowałem go chyba jako poszkodowanego, cierpiącego i czułem potrzebę bycia przy nim. Nawet gdy zamieszkał z nową kobietą, chciałem nadal dawać mu wsparcie i pokazać, że nigdy nie zaakceptowałem zachowania matki – wyznaje Patryk.

Z czasów, gdy mieszkał z ojcem, pamięta, że tata świetnie gotował i zawsze były domowe obiady. Zdarzało się, że grali razem na komputerze albo wspólnie coś naprawiali. Rozmawiali niewiele, ale przyjemna była myśl, że ojciec jest. Dziś Patryk ma 36 lat, a ich więź jeszcze się wzmocniła. Tata lubi wpadać w weekend na kawę, często zajmuje się wnukiem, a kiedy kupili z żoną vana i przerabiali go na kamper, tata pomagał na każdym etapie prac. Wie, że zawsze może na niego liczyć. Z mamą od czterech lat nie utrzymuje kontaktu. – Któregoś dnia uświadomiłem sobie, jak wiele jej zachowań mnie denerwuje. To, że pije za dużo alkoholu, że non stop krytykuje innych i widzi wszystko w czarnych barwach. Zerwałem kontakt i po kilku miesiącach zdałem sobie sprawę, że wcale o niej nie myślę ani się o nią nie martwię. Moje życie jest teraz lepsze – podkreśla.

Czy brak matki zostawia inny ślad niż brak ojca? – Wpływ nieobecności matki lub ojca zależy nie tylko od tego, którego rodzica brakuje, ale także od wieku dziecka i funkcji, jaką pełnił opiekun. Dla małego dziecka najważniejsza jest obecność osoby responsywnej, przewidywalnej i dostępnej emocjonalnie. W starszym wieku większego znaczenia nabierają role społeczne, identyfikacja z rodzicem czy wzorce budowania relacji. Dzieci po-



Tata Kasi nie uciekał od spraw, które uważano za „kobiece”. Kiedy córka dostała pierwszej miesiączki, płakał, tulił, a potem obdarował ją biżuterią

trzebują nie tyle określonej płci opiekuna, ile bezpiecznej więzi i możliwości uczenia się od ważnych, emocjonalnie dostępnych dorosłych – podkreśla dr Andrzej Śliwerski.

JEDNA NARRACJA

Wszystkie wspomnienia Małgorzaty z dzieciństwa ograniczają się do ojca. Namaczana wieczorem bułka z jajkami i poranne grzanki na maśle, karteczki z układanymi dla córki wierszykami, wspólne spacery z psem i oglądane razem filmy. Tata uwielbiał też śpiewać, a ona chętnie się przyłączała.

Dużo rozmawiali. Opowiadali sobie, jak minął dzień, albo dyskutowali o bieżących wydarzeniach. – Ojciec miał obsesję, żebym była kobietą, z którą będzie się chciało nie tylko pójść do łóżka, ale też zjeść śniadanie. Musiałam oglądać „Wiadomości”, odpytywał mnie ze składu rządu. Nawet teraz mam taki nawyk, że zawsze wiem, co się dzieje – opowiada Małgorzata. Dzieci zazdrościły, że tata ją odprowadza i odbiera ze szkoły. Na osiedlu też wszyscy kojarzyli ją z ojcem. Zabierał córkę nawet na randki, a czasem prosił o pomoc w podrywie. – Przykładowo, na wczasach pokazywał kobietę przy sąsiednim stoliku i mówił, że zaraz będzie ją uwodził. Moje zadanie polegało na tym, żeby zakolegować się z jej synem, a potem dać dorosłym czas we dwoje – opisuje. Nie czuła do taty żalu o te flirty, nie stawała po stronie matki. Ciągle słyszała od niego, że mama jest głupia i wredna. Do głowy jej nie przyszło, że ojciec może się mylić.

Bezustannie obśmiewał nie tylko matkę, ale też całą rzeczywistość. Dziś Gosia wie, że robił to ze strachu. Chciał pokazywać córce świat wyłącznie z własnej perspektywy. – Strasznie mnie kochał i chyba go to przerosło – mówi. Gdy zaczęła dorastać i chciała spędzać więcej czasu z rówieśnikami, nie zabraniał jej się z nimi spotykać, ale był o nich zazdrosny. Nie podobało mu się też, gdy umawiała się z chłopakami. Powtarzał, że jest gruba albo że nikt jej nie tknie nawet kijem, a ona tego nie kwestionowała. Potem przez wiele lat chorowała na bulimię.

Ojciec nie radził sobie z jej sukcesami. Kiedy wygrała olimpiadę z polskiego i mogła wybrać prestiżowe liceum w Krakowie, odradzał. Chciał, żeby poszła do tego w ich dzielnicy. Darzył kultem Józefa Tischnera, ale gdy Gosia zaczęła na polonistyce chodzić na wykłady księdza, stracił u ojca autorytet. – Może zadałam pytanie, na które tata nie znał odpowiedzi, a może obawiał się, że otwieram się na inny świat – przypuszcza.

Małgorzata o swoim dzieciństwie opowiada tak, jakby był w nim jedynie ojciec. Tymczasem do końca podstawówki mieszkali we troje z matką na 36 metrach kwadratowych. Nie ma pojęcia, gdzie była mama, gdy oglądali z tatą filmy. Nie pamięta gotowanych przez nią posiłków, choć jest pewna, że jakieś robiła. Na zdjęciach z wakacji, również tych, gdy jeździli całą rodziną, Gosia przytula się tylko do taty.

Jak mówi dr Andrzej Śliwerski, dawniej ojcowie rzadziej stawali się głównymi obiektami przywiązania dziecka, natomiast współczesny model rodzicielstwa sprawia, że ma to miejsce coraz częściej. – Dla części matek bywa to trudne, ponieważ nadal istnieje społeczne przekonanie, że „dobra matka” powinna być dziecku najbliższa. A wybór ojca jako obiektu przywiązania w przeważającej większości sytuacji nie ma nic wspólnego ze złą opieką ze strony matki, tak jak przywiązanie do matki nie oznacza bycia złym ojcem. Co więcej, nasze badania na Uniwersytecie Łódzkim pokazują, że bardzo zaangażowany partner przy spokojnym dziecku wspiera tworzenie więzi między matką a dzieckiem. Jednak przy dziecku wymagającym, częściej płaczącym lub trudniejszym w opiece efekt może być odwrotny – zaangażowanie ojca nasila u matki lęk, poczucie winy i przekonanie: „On sobie radzi, a ja nie” – wyjaśnia psycholog i psychoterapeuta.

Gdy Gosia szła do liceum, matka wyjechała do Stanów. Nie odczuwała mocniej jej nieobecności. Ojciec zmarł 10 lat temu i do tej pory za nim tęskni. Czasem przejeżdża specjalnie obok cmentarza, żeby być bliżej, ciągle łapie się na tym, że chciałaby mu coś opowiedzieć. Lubi tatę przytaczać i cieszy ją, gdy ktoś widzi w niej podobieństwo do ojca. Ostatnio jechała z partnerem kilkanaście godzin samochodem. W pewnym momencie się zorientowała, że cały czas nadaje bez sensu. Pomyślała, że to ta Gośka, którą już nie do końca lubi. – Teraz cenię relację, w której nie muszę mówić. Gdyby żył tata, pewnie wciąż byłoby mi trudno pożegnać się z tamtym wizerunkiem siebie – wyznaje.

1 lutego zmarła jej matka, a Małgorzata uczy się ją kochać i próbuje zrozumieć motywy jej działania. Wcześniej widziała głównie obojętność, okrutność i to, że ją porzuciła. Dziś wie, że poza narracją ojca były też inne i że nie tylko ta jego jest prawdziwa. Nie zmieniła natomiast zdania na temat tego, że to, co dał jej tata, jest bezcenne. – Najważniejsze, co od niego dostałam, to poczucie ważności. Przekonanie, że zasługuję na to, by być dla kogoś całym światem. I to, że też umiem dać komuś ważność w relacji. ▲



Jeśli mogę pomóc, robię to

Słucham przerażających historii o tym, że dzieci są poddawane wieloletniej przemocy, a mimo to nie mogą liczyć na pomoc dyrekcji szkoły. Nie ma we mnie na to zgody

Z **ANNĄ SZYDŁOWSKĄ**, ADWOKATKĄ, ROZMAWIA **JOANNA BISZEWSKA**

Coś w pani pękło.
– Tak. Nie mogę się pogodzić ze śmiercią 14-letniego Mateusza z Susza. Nad chłopcem od lat znęcali się rówieśnicy, ale nie otrzymał pomocy w odpowiednim momencie.

Próbowałam wyobrazić sobie, z jakim ogromnym cierpieniem musiał się mierzyć, zanim napisał pożegnalny list. Nie ma we mnie zgody na kolejne medialne doniesienia, że dzieci są ofiarami przemocy, która miała miejsce w przestrzeniach szkolnych pozbawionych nadzoru, takich jak łazienki, szatnie. Nie ma we mnie zgody na to, by ofiary nękania latami cierpiały w ciszy i nie otrzymały pomocy, bo w szatniach nie ma kamer. Bo nikt nic nie widział, nic nie słyszał.

Kilka dni po śmierci Mateusza napisała pani w internecie: „Nie jesteś sam. I nie jesteś bezradny". Podała pani swój numer telefonu, oferując prawniczą pomoc pro bono dla nastolatków doświadczających przemocy rówieśniczej, ich rodziców, świadków.
– Dzwonią do mnie ludzie z różnych stron Polski. Wczoraj byli u mnie w kancelarii rodzice nękanego dziecka z Szydłowca, dzwonili rodzice z Kłobucka. Dostaję też codziennie maile. Najczęściej od rodziców, którzy chcą pomóc swoim dzieciom, ale są od lat bezradni.

Od lat?
– Wczoraj dzwoniła do mnie mama chłopca z Radomia, który został pobity w szkole przez kolegów. Nie pierwszy raz. Znęcają się nad nim cztery lata. Słucham przerażających historii o tym, że dzieci są poddawane wieloletniej przemocy, a mimo to nie mogą liczyć na pomoc dyrekcji szkoły.

Bo?
– Bo np. rodzice uczniów, którzy nękają, docierają do innych rodziców z klasy, proponują im pieniądze za to, aby dzieci, które były świadkami np. pobicia, wyzwisk, mówiły, że niczego nie widziały, nie słyszały.

Nie ma dowodów, nie ma przemocy.
– Brak działań dorosłych w odpowiednim momencie prowadzi do tragicznych zdarzeń. Zadzwoniła do mnie mama z Krakowa, której córka chciała popełnić samobójstwo. Dziecko trafiło do szpitala na obserwację, a hejt przeniósł się na jej młodszego brata. Śmieją się w szkole z chłopca, że „jego siostra wylądowała w psychiatryku".

Dlaczego zdecydowała się pani wyjść z pomocą prawną akurat do dzieci piętnowanych w szkołach?
– Żeby już dłużej nie zamiatać pod dywan tematu przemocy szkolnej. Wiem, że bardzo często rodzice, pomimo tego, że widzą, iż ich dzieciom dzieje się w szkołach krzywda, nie mają sił i środków do walki. Nie zawsze wiedzą też, jakie prawa im przysługują. Dlatego, jeśli mogę pomóc, robię to. Udzielam informacji, jakie należy podjąć kroki. Kto może, przyjeżdża do mnie do kancelarii. Ustalamy plan działania. Doradzam rodzicom, aby ewidencjonowali wydatki, zbierali dowody do procesu sądowego.

Bardzo rzadko spotykam się z sytuacją, kiedy adwokaci nie oczekują wynagrodzenia za swoją pracę.
– Trzy lata temu po śmierci Kamila z Częstochowy również zamieściłam w sieci informację, że pomogę nieodpłatnie. Prosiłam ludzi, aby dzwonili do mnie, jeśli podejrzewają, że dziecku z sąsiedztwa dzieje się krzywda. Napisałam, żeby się nie bali.

Bali się czego?
– Że zostaną zidentyfikowani. Ludzie często nie dzwonią na 112, nie idą do najbliższej jednostki policji, bo obawiają się, że ich dane wypłyną i będą mieli z tego powodu nieprzyjemności. Mimo że każdy z nas może złożyć anonimowe doniesienie. I jest jeszcze jedna rzecz.

Jaka?
– Ludzie nie chcą mieć kłopotów. Po śmierci Kamila zadzwoniła do mnie nauczycielka, która martwiła się o swoją uczennicę. Dziewczynka nie miała czystych ubrań, zasypiała na lekcjach, była głodna, do szkoły przyprowadzali ją różni mężczyźni, nie z rodziny. Nauczycielka widziała, że dziecko jest zaniedbane, i czuła, że potrzebuje pomocy, ale nie od razu poszła do dyrektorki, bo nie chciała być wzywana na policję. W końcu jednak zdecydowała się na interwencję. Dziewczynka jest teraz pod opieką babci.

Odzew na pani post pokazuje, jak poważny mamy problem z tym, aby w odpowiednim czasie reagować i chronić dzieci przed szkolną przemocą. Dlaczego dyrektorzy i dyrektorki szkół tak rzadko jako pierwsi informują rodziców, że podejrzewają, iż w klasie są dzieci wyśmiewane, bite, nękane?
– Pewnie dlatego, że nie chcą rozgłosu. Bo kto chciałby przyjść do szkoły, która jest pod lupą kuratorium czy policji?

Z zeszłorocznych badań Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę" wynika, że dwoje na troje dzieci w wieku 11-17 lat doświadcza przemocy rówieśniczej. Szkoła, która reaguje na to, co dzieje się na korytarzach, daje rodzicom sygnał, że jest czujna.
– Tym bardziej że w żadnej placówce nie da się uciec od tematu przemocy fizycznej, psychicznej i cyberprzemocy wśród dzieci. Nie ma sensu udawać, że nikomu nie dzieje się krzywda.

Co mogłoby sprawić, aby dzieci w szkołach przestały się bać, że np. zostaną pobite w szatni albo wyzwane w toalecie?
– Ministerstwo Sprawiedliwości wraz z Naczelną Radą Adwokacką organizują w szkołach Dni Edukacji Prawnej. Dyrektorzy szkół, jeśli chcą, aby do ich szkoły przyszedł prawnik czy prawniczka, mogą zgłaszać swoje placówki. Dzieci spotykają się z adwokatami, sędziami, kuratorami sądowymi. Rozmawiają nie tylko o tym, na czym polega praca prawników, lecz także, jakie są konsekwencje prawne, jeśli komuś wyrządza się krzywdę.

Jakby pani poprowadziła takie zajęcia np. w najstarszych klasach szkół podstawowych?
– Krótko i na temat. Opowiedziałabym w kilku zwięzłych zdaniach o tym, jakie prawa przysługują ofierze i czego dziecko doświadczające przemocy szkolnej może się domagać w świetle prawa.

Czego?
– Odszkodowania i zadośćuczynienia. Jedne i drugie wypłacają rodzice tych dzieci, które się znęcają nad koleżankami i kolegami. Uważam, że im częściej rodzice poszkodowanych

FOT. GETTY IMAGES; MATERIAŁY PRASOWE



ANNA SZYDŁOWSKA

Prowadzi w Warszawie (z filiami w Łodzi i Toruniu) kancelarię wyróżnioną tytułem Orły Prawa. Specjalizuje się w prawie rodzinnym, karnym i cywilnym oraz w prawnej pomocy imigrantom. Reprezentuje ofiary przemocy na sali sądowej, pomaga w przejściu przez kryzysy psychiczne. W ramach autorskiej działalności pro bono oferuje bezpłatne wsparcie prawne dzieciom doświadczającym hejtu, nękania i prześladowania w szkołach. Zgłoszenia od pokrzywdzonych dzieci lub ich rodziców/opiekunów przyjmuje przez zakładkę pro bono na stronie swojej kancelarii.

dzieci będą się domagać swoich praw, tym skuteczniej poradzimy sobie ze szkolną przemocą. Odszkodowanie należy się za poniesione koszty leczenia, terapii, a zadośćuczynienie za ból, za cierpienie.

Jak od strony prawnej pomaga pani rodzinom, które się do pani zgłaszają w ostatnich dniach?
– Proszę rodziców, aby udzielili mi pełnomocnictwa. W pierwszym kroku dzwonię do dyrektora lub dyrektorki szkoły, w której dziecko doświadcza przemocy. Jeśli sprawa już została zgłoszona policji, a mimo to od lat tkwi w jednym miejscu, kontaktuję się również z policją.

I do czego pani działania jako pełnomocniczki rodziny prowadzą?
– Do procesu sądowego. Postępowanie odbywa się przed sądem rodzinnym dla nieletnich. Po takim procesie nieletni najczęściej dostają zakaz zbliżania się do ofiary, w najgorszym przypadku mogą zostać umieszczeni w ośrodku wychowawczym. Zdarza się, że na nieletnich, jeśli ukończyli 13 lat, zostają nałożone prace społeczne.

Co na przykład?
– Najczęściej jest to sprzątanie i porządkowanie terenów publicznych, pomoc w instytucjach opiekuńczych. Wszystko odbywa się pod nadzorem kuratora sądowego.

Czy wszystkie procesy kończą się pomyślnie dla tych dzieci, które doświadczyły szkolnej przemocy?
– Nie. To są zazwyczaj trudne procesy.

Dlaczego?
– W wielu przypadkach rodzice nie przyjmują do siebie tego, że ich dziecko może być winne.

Chyba każdy rodzic będzie bronił swojego dziecka.
– Rodzice często przechodzą do ofensywy. Próbują wpłynąć na świadków, na innych rodziców dzieci, a nawet posuwają się do proponowania wynagrodzenia za zmianę zeznań świadków. Usuwają dowody z telefonów, tabletów, komputerów. Rodzice sprawców próbują odwrócić role i z ofiary zrobić kata. Grożą procesami o pomówienia. Przedstawiają swoje dziecko jako do rany przyłóż, dobrego ucznia, koleżeńskiego, wrażliwego, empatycznego.

Do tego szkoły minimalizują problem. Dyrektorzy nie chcą utracić swojego stanowiska, które często z dumą piastują.

Jak długo trwają sądowe sprawy dotyczące przemocy rówieśniczej?
– Niestety potrafią być długie i przez to obciążające dla nękanego dziecka oraz jego rodziców. W praktyce są trudniejsze emocjonalnie niż wiele spraw karnych między dorosłymi.

Sprawy dotyczące nieletnich sprawców trafiają do sądu rodzinnego. Postępowanie trwa nawet do dwóch lat, a w dużych miastach znacznie dłużej. Z uwagi na brak wolnych terminów sądu oraz badania psychologiczne, na które jest długi czas oczekiwania.

Co się dzieje, kiedy sprawa sądowa się przedłuża, nie dochodzi do rozstrzygnięcia?
– Rodzice wyśmiewanego czy bitego dziecka z bezradności wypisują córkę lub syna ze szkoły. Jeśli mieszkają w małej miejscowości, oznacza to, że muszą wozić dziecko do szkoły w miejscowości obok. Za tym idą niedogodności i koszty. Nie tak to powinno wyglądać. To nie krzywdzone dzieci powinny zmieniać szkoły.

Dzieci są latami w szkołach wyzywane, słyszą na swój temat na korytarzach i w szatniach straszne rzeczy, ale nie mają jak tego udowodnić.
– Zgodnie z przepisami każdy może nagrywać rozmowę, której jest uczestnikiem. Jeśli dziecko regularnie, od dłuższego czasu jest słownie poniżane, dzieje mu się w szkole krzywda, doradzam rodzicom, aby chodziło do szkoły z dyktafonem w kieszeni. Są takie urządzenia, które mają odpowiednią pamięć, aby nagrywać przez kilka godzin. Jeśli nic złego się nie będzie działo, nagranie do niczego nie zostanie wykorzystane. Jeśli zarejestruje wyzwiska, wówczas posłuży jako dowód.

Myślę, że chodzenie po szkole z dyktafonem to jednak dla dziecka dodatkowy stres.
– Czasami nie ma wyjścia. Jeśli nauczyciele i nauczycielki nie reagują, a dziecko od dłuższego czasu czuje się w szkole zagrożone, jest obrażane i na każdym kroku słyszy: „A co mi zrobisz?", „Jak mi udowodnisz?", to nagranie z dyktafonu może się okazać jedynym dowodem.

Ale to oznacza, że dyktafon dziecka będzie też rejestrował wszystkie lekcje z nauczycielami. Tak można?
– Nagrywanie lekcji przez ucznia czy uczennicę w celu udokumentowania przemocy jest w świetle prawa dopuszczalne i stanowi dowód. Nagrania nie można jednak publicznie rozpowszechniać.

A co z kamerami? Przecież szkoły są w nie wyposażone.
– Nie ma ich w szatniach przy salach gimnastycznych i w toaletach. Uczniowie i uczennice o tym doskonale wiedzą. Jeśli chcą kogoś pobić, robią to tam, gdzie nie ma kamer. Doradzam rodzicom, aby zbierali dowody. Fotografowali ślady podrapań, otarć, siniaki, podartą odzież. Doradzam, żeby szli z tym na policję. O ile dziecko w ogóle o takich sytuacjach powie.

Kiedy rozmawiam z nastolatkami o przemocy szkolnej, często mi mówią, że nie ma sensu mówić o tym rodzicom, bo pójdą ze skargą do szkoły i rozniesie się, że są „słabi". Będzie kolejny pretekst do wyśmiewania.
– Pogadanka, nagana i obniżona ocena ze sprawowania dla uczniów i uczennic, którzy dotkliwie dokuczają innym dzieciom, to za mało. Konsekwencje znęcania się nad rówieśnikami powinny być dotkliwsze.

Nawet jeśli są to dzieci? Wszystkie potrzebują ochrony i mądrych dorosłych.
– Dzieci, które nękają, biją i wyzywają rówieśników, w świetle prawa są sprawcami. Dzieci doświadczające w szkołach przemocy rówieśniczej są ofiarami. Wraz z ofiarą cierpi cała rodzina: rodzice, rodzeństwo. Wciąż za często rodziny ofiar ponoszą konsekwencje przemocy szkolnej.

Ci rodzice/opiekunowie, którym uda się dostrzec problem, ratują swoje dzieci. Zapewniają im pomoc psychiatryczną, psychologiczną. Wizyty najczęściej odbywają się prywatnie, bo na fundusz trzeba czekać w kolejce. Często dwa lata.

W Warszawie wizyta u psychologa kosztuje 250 zł, u psychiatry dziecięcego nawet 500 zł.
– Dlatego uważam, że rodziny ofiar przemocy szkolnej powinny się domagać finansowego odszkodowania od rodziców bądź opiekunów dzieci, które innych gnębią. Zgodnie z przepisami odszkodowanie, jak sama nazwa wskazuje, to wyrównanie albo utraconych korzyści, albo poniesionych kosztów.

Co można wliczyć w te koszty?
– Pomoc psychiatryczną, psychologiczną, medyczną, leki, koszty dojazdów. Doradzam rodzicom, aby ewidencjonowali wydatki, brali faktury. Na ich podstawie będzie można się domagać odszkodowania w pełnej wysokości. Oprócz tego ofiarom należy się też finansowe zadośćuczynienie.

Wynagrodzenie za krzywdę?
– Żadne pieniądze nie zrekompensują cierpienia i bólu, którego doświadczają dzieci, które są bite, poniżane i wyśmiewane przez rówieśników. Takie przeżycia zostawiają rysę na całe życie. Zadośćuczynienie to po prostu dodatkowe pieniądze.

O jakich kwotach mówimy?
– Zależy od sprawy. Wolałabym nie podawać konkretnych kwot. Czasami nie są to małe pieniądze.

W pani ocenie warto docierać z dzieckiem aż do sądu? To dodatkowe nerwy, stres, psychiczne obciążenie.
– Tak. Uważam, że skrzywdzone dzieci i ich rodziny nie powinny milczeć. Jeśli jest droga, dzięki której można się domagać swoich praw, trzeba z niej skorzystać. Myślę, że dochodzenie prawdy w sądzie przez poszkodowane dzieci może być też przestrogą dla tych małoletnich, którym się wydaje, że można bezkarnie wyzywać, bić, poniżać inne dzieci w szkole. Rodzice, zamiast wydać pieniądze na nowy komputer, firmowe buty, smartfon, wakacje, będą musieli pokryć koszty odszkodowania i zadośćuczynienia.

Chodzi też o to, aby do szkół dotarła informacja, że przemoc szkolna nie uchodzi na sucho. Że bicie kolegi w szatni, wyśmiewanie go za to, że koleguje się tylko z dziewczynami, to zachowania, którym może się przyjrzeć sąd.

Rozstrzyganie w sądzie spraw związanych z przemocą szkolną ma też walor prewencyjny. Rodzice być może dostrzegą, że trzeba więcej uwagi poświęcić swoim dzieciom, zainteresować się tym, co robią w szkołach.

Dzieci, które gnębią i dokuczają rówieśnikom, bardzo często same potrzebują uwagi i pomocy. To nie zawsze są złe dzieciaki, którym należą się tylko kara i sąd.
– Wśród dzieci, które znęcają się nad kolegami i koleżankami, są też takie, które same były lub są ofiarami przemocy rówieśniczej. Aby się przypodobać grupie, zaczynają niszczyć innych.

Często to też dzieci, które pochodzą z przemocowych rodzin. Na co dzień są krzywdzone w swoich domach. Ich system rodzinny wymaga uwagi, często interwencji. Żeby im pomóc, dorośli muszą jednak reagować. W pierwszej kolejności nauczyciele i dyrektorzy szkół.

Ma pani żal o to, że ludzie pracujący w szkołach za rzadko wychodzą z tematem przemocy szkolnej do rodziców dzieci? Zazwyczaj o tym, że jakieś dziecko cierpi w klasie, zaczyna się mówić w szkole, kiedy rodzice sami zgłoszą do placówki, że jest problem.
– Trochę tak. Wychowawcy i wychowawczynie klas, nauczyciele i nauczycielki spędzają z dziećmi po kilka godzin dziennie, dyżurują na szkolnych korytarzach, mogą wchodzić do toalet, aby monitorować sytuację, co tam się dzieje.

Widzą, czy dzieci na przerwach się popychają, słyszą, jak się do siebie odnoszą. Ze szkolnej szatni muszą dochodzić jakiś krzyk i szamotanina, kiedy uczeń zostanie pobity. Nie wierzę, że nie dostrzegają podejrzanych zachowań.

Nie wierzę w to, że nauczyciel, który robi klasówki i doskonale widzi, kto ściąga, nie zauważy, które dziecko jest w klasie piętnowane i które jest, bardzo często głośno, wyzywane na przerwach. ▲



Sandra Hüller jako Erika Mann w filmie Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna”

FOT. AGATA GRZYBOWSKA

FILM

Rysa na portrecie rodzinnym

Wykorzenieni, rozdarci, żyjący z drążącą ich serca pustką – bohaterowie ostatnich trzech filmów Pawła Pawlikowskiego usiłują odnaleźć się w świecie, która ma ich za intruzów i zimnokrwistych zdrajców. Po „Idzie” i „Zimnej wojnie” zrealizowana z formalnym rozmachem „Ojczyzna” sprawia wrażenie pożegnania, ale takiego, które nie przynosi spełnienia. To kino wystudiowanej kontemplacji – piękne, acz ziejące chłodem, ascetyczne, lecz szczodre w symbole i polityczną refleksję.

1949 rok, czarny Buick przemierza zgliszcza powojennych Niemiec. Na miejscu pasażera siedzi pisarz i Noblista Thomas Mann (świetny Hanns Zischler), a tuż obok stabilnym chwytem kierownicę trzyma jego córka Erika (Sandra Hüller). Oto oni – antyhitlerowscy renegaci, którzy powrócili do ojczyzny po 16 latach nieobecności. Ze słonecznej Kalifornii, przez amerykański Frankfurt, aż do sowieckiego Weimaru – bohaterowie wyruszają w długą drogę, by spojrzeć w oczy ofiarom wojny, nazistowskim kolaborantom i nowym „przyjaciołom” narodu.

Mann odbierze Nagrodę Goethego, uściska dłoń odpowiednim osobom na odpowiednich stanowiskach, zapozuje do zdjęć i wygłosi kilka porywających przemówień. Podczas uroczystości i salonowych bankietów Erika zrobi natomiast wszystko, by uchronić ojca przed oskarżeniami o komunizm i zdradę narodu. Jako jego asystentka, córka i głos rozsądku bardzo marzy tylko o jednym: powrocie do domu. Tylko gdzie jest dom? – zastanawiają się ojciec wraz z córką, usiłując rozpoznać ojczyznę z pozostawionych tu przed laty wspomnień. Wszystko po to, by zaraz znów wyjechać i wrócić do kraju 5 lat później, w roku swojej śmierci.

Jak na kino drogi przystało, Thomas i Erika odbywają w filmie duchową podróż, podczas której na jaw wychodzą rodzinne spięcia i niewypowiedziane dotąd żale. Jedno jest pewne: gdyby za przykładne ojcostwo rozdawali nagrody, Mann nigdy nie zostałby laureatem Nobla. Pawlikowski i współtworzący z nim scenariusz Henk Handloegten ujawniają rysę na rodowym portrecie Mannów już w pierwszej scenie „Ojczyzny”. Jesteśmy w niej świadkami rozmowy telefonicznej Eriki z jej bratem Klausem. Mężczyzna dzwoni z Cannes, domu przypominającego zarazem raj i więzienie. Styrany izolacją i myślami samobójczymi zwierza się z tęsknoty za siostrą, podczas gdy ta namawia go na wspólny wyjazd do Niemiec. Nierozwiązany konflikt Klausa z ojcem nigdy jednak na to nie pozwoli. Erika i jej brat się żegnają, a ich rozmowa nosi znamiona tej ostatniej. Klaus odbiera sobie życie kilka miesięcy później, gdy Thomas z córką odbywają swoją ojczyźnianą tułaczkę.

Film na podstawie powieści „Czarodziej” Colma Tóibína, miesza fakty z fikcją, wyłuskując z historii jedynie to, co twórcy uznali za najważniejsze dla emocjonalnej drogi głównych

bohaterów. W rzeczywistości wyprawa pisarza trwała dłużej niż pięć dni, w samochodzie towarzyszyła im również Katia Mann – żona Thomasa, a Klaus zmarł, zanim wyruszyli w trasę. Pawlikowskiego i Handloegtena na tyle zafascynowała jednak postać Eriki – kierowczyni rajdowej, korespondentki wojennej, pisarki i aktorki – że to z niej postanowili uczynić centralną postać w filmie. Kobieta przez cały czas zmaga się z demonami rodzinnych niedopowiedzeń. Czyta pogróżki śmierci skierowane do jej ucieszonego z wizyty w kraju ojca. Widzi na wystawnych przyjęciach znajome twarze, które sprzedały się hitlerowskiej władzy, a w międzyczasie dowiaduje, że jej ukochany brat nie żyje.

Tragizm sytuacji miesza się z czarnym humorem, a w tle jakąś irracjonalną piosenkę podśpiewuje z animuszem Joanna Kulig. Całość przypomina farsę, z której Erika nie jest w stanie się uwolnić. Grająca ją Sandra Hüller za pomocą oszczędnych gestów i surowego spojrzenia w mistrzowski sposób oddaje na ekranie wewnętrzny konflikt swojej bohaterki. Jej precyzji i zaangażowaniu nie można niczego zarzucić, a jednak Hüller jako Erika Mann nie pozostawia na widzu takiego wrażenia jak chociażby w premierującym kilka miesięcy temu na Berlinale „Rose", za który Niemka odebrała Srebrnego Niedźwiedzia. Pawlikowski nie daje aktorce szansy na rozwinięcie skrzydeł – Erika w rzeczywistości była kierowczynią rajdową, korespondentką wojenną, pisarką i aktorką, jednak w filmie pozostaje wyłącznie zniewoloną córką Thomasa Manna. Film przemilcza również homoseksualność autora „Czarodziejskiej góry" i jego dzieci, odzierając prawdziwe postacie z ich tożsamościowych i seksualnych rozterek.

To nie zaskoczenie, że jeden z najwybitniejszych niemieckich pisarzy pierwszej połowy XX wieku nie potrafi być wspierającym ojcem, dlatego bohaterowie omijają pogrzeb Klausa, a Erika cierpi w milczeniu tak długo, jak tylko potrafi. Wśród ciszy i smagających kadry cieni dochodzi w końcu do wybuchu. Córka wytyka rodzicowi bierność i hipokryzję, gdy ten naiwnie myśli, że jego krótka wizyta w Niemczech ukształtuje jakkolwiek moralną przyszłość kraju. Zarzuca mu nieczułość wobec syna i zaślepienie sowiecką gościnnością. Ten niewiele sobie jednak z tego robi. Scena nie przynosi nikomu satysfakcji. Rodziny Mannów nie da się już uratować, nawet jeśli na końcu „Ojczyzny" nadejdzie krótki upragniony moment duchowego oczyszczenia.

Wizualna szlachetność filmu, którą zawdzięczamy zdjęciom Łukasza Żala współpracującego z Pawlikowskim przy „Idzie" i „Zimnej wojnie", udowadnia, że mamy do czynienia z formalnym arcydziełem. „Ojczyzna" uderza uniwersalnością, choć rozgrywa się w bardzo określonym momencie historycznym. Reżyser, łącząc rodzinny dramat z dramatem powojennej rzeczywistości, udowadnia jedno: ród Mannów nie zdoła wybaczyć ojczyźnie jej grzechów, jeśli najpierw nie postanowi wybaczyć ich sobie. Wspomnienia zostaną wymazane, prawda zakopana pod gruzami historii, a rodzinne konflikty nierozwiązane. Dojmujący smutek, z którym zostawia nas Pawlikowski, szybko wyparowuje, przeradzając się w jedną, wielką, niewygodną i rozczarowującą pustkę. ▲ **(Daria Sienkiewicz)**

„OJCZYZNA", reż. Paweł Pawlikowski, w kinach

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Drzewo

W domu garncarza Kawai Kanjirō
piec do wypalania gliny, tak jak święte drzewa
wyodrębnione ze świeckiej przestrzeni,
był opasany sznurem, na którym zawieszono
zygzaki papieru – białe błyskawice.
Rozpięłabym ten sznur w gałęziach
mojego drzewa z dzieciństwa.
Rosło nad Jeziorkiem Czerniakowskim,
wygięte nad wodą jakby ją piło.
Wdrapywałam się na jego grzbiet i sadowiłam w koronie.
Był to mój jedyny własny pokój,
odgrodzony ruchomym parawanem liści
od bloków naszego osiedla,
od jazdy zacinającą się windą,
od oskarżeń sąsiadki, że mój brat chciał ją zabić
wyrzuconym przez okno ogryzkiem,
od kłótni przeżerających ściany,
od milczenia rodziców dziewczyny, której krzyk kiedyś nocą
przeszył wszystkie trzynaście pięter
i roztrzaskał się o ziemię.
Ukrywałam się w swoim powietrznym gnieździe.
Parę kroków dalej wędkarz
niczym sfinks na składanym krzesełku
świstem linki zagadnął ciszę.
Zamiast białych zygzaków papieru
miałam na kolanach pobazgrany zeszyt
do wypalania pierwszych chropowatych wierszy.

KRYSTYNA DĄBROWSKA jest poetką, a powyższy wiersz ma swoją premierę na naszych łamach

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE



Moje wyzwolenie

Jeśli coś mi nie odpowiada, potrafię to powiedzieć. Ale kiedy dochodzi do konfrontacji z kimś, na kim mi zależy, dostosowuję się i tłumię swoją złość. Bo chcę być miła i godna miłości



IMANY

Właśc. Nadia Mladjao, francuska wokalistka i autorka tekstów. Jej debiutancki album „The Shape of a Broken Heart" osiągnął w Polsce status potrójnie platynowy. Jest zaangażowana w szerzenie świadomości o endometriozie.

Z **IMANY**, WOKALISTKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Twoja ostatnia płyta ma tytuł „Women Deserve Rage", co można przetłumaczyć jako „Kobiety mają prawo być wściekłe". Uważasz, że teraz nie mamy takiego prawa?
– Odczuwamy złość, ale wydaje mi się, że powszechnie się uważa, że nie wolno nam jej okazywać. Mamy się odcinać od naszego gniewu. Od wczesnych lat uczy się kobiety, by nie postrzegały wściekłości jako czegoś pozytywnego. Za każdym razem, gdy zaczynasz się złościć, pojawia się ryzyko, że zostaniesz uznana za histeryczną, szaloną, nieracjonalną. Tymczasem złość jest sygnałem, że coś jest nie w porządku, że wewnątrz siebie czujesz coś głęboko niesprawiedliwego.

Jeśli się tym nie zajmiesz, ta niesprawiedliwość będzie w tobie narastać, przeradzając się w coś większego. Warto też się zastanowić, dlaczego nie chcesz okazywać gniewu. Na ogół chodzi o to, że chcesz być postrzegana jako miła. Bo kobiety powinny być przecież miłe i lubiane, prawda?

Takie pokutuje przekonanie.
– Właśnie. I to wszystko dzieje się niepostrzeżenie. Nie jest oczywiste, bo gdyby było, to byśmy się buntowały, a przecież nie tego nas uczono. To działa powoli, krok po kroku. Słyszysz: „Nie rób tego", „Kiedy zachowujesz się w ten sposób, nikt cię nie słucha", „Źle brzmisz" i tym podobne. W efekcie zaczynamy wątpić w siebie albo w to, czy nasze uczucia są w ogóle uzasadnione.

Często słyszę od kobiet: „Ja się nie złoszczę". Co to właściwie znaczy: „Nie złościsz się"? Przecież złość jest jak radość, to po prostu jedna z emocji. Więc co, nigdy nie odczuwasz też radości? Oczywiście, że czujesz złość, tylko przestałaś już ją rozpoznawać i łączyć z samą sobą. Ale jeśli tłumisz złość, w środku ciebie toczy się wojna.

Chcesz powiedzieć, że jeśli nie dopuszczasz do siebie złości, to nie wyrażasz wszystkich emocji, a przez to nie żyjesz w pełni?
– Dokładnie tak uważam. Nie jesteś całością jako człowiek. Starasz się być miła, zamiast być sobą w pełni. I dlatego godzisz się z tym, że kiedy czujesz złość, przestajesz istnieć w danej przestrzeni. Jakby cię nie było.

Myślę, że właśnie dlatego tak wiele kobiet cierpi na choroby autoimmunologiczne. Bo ta złość obraca się przeciwko nam. To moja teoria, chociaż wiem, że wiele osób uważa podobnie.

Też byłaś wychowywana, żeby być miłą? I dopiero później w życiu zorientowałaś się, że czegoś ci brakuje?
– Chyba tak. Zaczynasz to dostrzegać z wiekiem, przechodząc przez dorosłe życie i jego problemy. U mnie to przyszło bardzo spokojnie, trochę niejednoznacznie, bo jestem osobą o dość wyrazistym charakterze. Nie należę do osób cichych, nieśmiałych. Jeśli coś mi nie odpowiada, potrafię to powiedzieć. Ale chodzi o drobne rzeczy. Na przykład w relacji z mężczyzną: ponieważ chcę, żeby wszystko dobrze się układało, zaczynam znikać. Albo kiedy dochodzi do konfrontacji z kimś, na kim mi zależy, dostosowuję się i tłumię swoją złość. Bo chcę być miła, lubiana, godna miłości. Musiałam się tego oduczyć. Ale odkąd zrozumiałam, że lepiej być sobą w pełni niż tylko miłą i wygodną dla innych, wszystko się zmieniło.

Czy to prawda, że tę płytę pisałaś, kiedy się rozwodziłaś, i to był twój sposób na rozładowanie emocji?
– Napisałam ją w środku separacji. Wolałabym, żeby powstała już po wszystkim, ale wciąż nie jestem rozwiedziona.

Przechodziłam wtedy przez bardzo burzliwy okres i nie wiedziałam, co zrobić z tymi wszystkimi emocjami, które we mnie buzowały – ze smutkiem, poczuciem zdrady i oczywiście złością. Postanowiłam wykorzystać to w swojej sztuce, żeby nie oszaleć. Żeby nadać temu wszystkiemu jakiś sens, zrobić z tym coś wartościowego. Ten album to był mój sposób na przetrwanie.

Wyobraź sobie, co by było, gdybyś pracowała w biurze. Dla artystów takie emocje bywają siłą napędową?
– Ja jestem wokalistką, ale jeśli twoją pasją jest gotowanie, gotuj. Jeśli twoją pasją jest ogrodnictwo, zajmuj się ogrodem itd. Nie musisz być zawodowym artystą. Wierzę, że każdy człowiek jest stworzony po to, żeby tworzyć. Wszystko inne to tylko funkcjonowanie – ty musisz zapłacić czynsz, ja muszę zapłacić czynsz. Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, pewnie nie sprzedawałabym swojej muzyki, tylko oddawała ją za darmo. Ale żyję w tym samym świecie co ty i też muszę opłacić rachunki. Każdy z nas czegoś potrzebuje.

Ludzie czasami traktują artystów jak jakieś nadludzkie istoty. A prawda jest taka, że po prostu jesteśmy tylko bardziej wystawieni na widok publiczny.

Myślisz, że kolektywnie doświadczamy podobnych rzeczy? Mówiłaś o tym albumie, że chociaż opowiada o tym, co ty przeżyłaś, masz nadzieję, że to będzie pewien rodzaj wzmacniającego manifestu, w którym odnajdą się też inni ludzie.
– Wierzę, że tak jest. Im bardziej konkretna i osobista jest twoja historia, tym bardziej staje się uniwersalna i autentyczna. A autentyczność może poruszyć i sprawić, że ktoś się odnajdzie w twoim doświadczeniu. Przypominają mi się słowa Mai Angelou: „Za każdym razem, gdy kobieta staje w obronie samej siebie, nie wie o tym, że staje w obronie wszystkich kobiet". Można dodać: wszystkich ludzi. Naprawdę wierzę, że moje wyzwolenie może być twoim wyzwoleniem. I kolejnej dziewczyny, i kolejnego chłopaka. Wszystkich. To niemal nasz obowiązek, bo możemy się stać przykładem dla innych. Na moich koncertach próbuję powiedzieć publiczności, że kiedy wyzwalają siebie, robią to też dla wszystkich wokół. To nadaje życiu głębszy sens i wcale nie jest takie egoistyczne, jak mogłoby się wydawać.

Wyobraź sobie kobietę, która całe życie zajmuje się domem i w końcu mówi: „Dość. Nie chcę już tak żyć. Jestem zmęczona". Może się nam wydawać, że to samolubne, ale to nie jest egoizm. Taka kobieta pokazuje w ten sposób swoim córkom, że ma granice. Pokazuje, że nie można wykorzystywać jej bez końca. Wyzwalając siebie, daje swoim dzieciom poczucie wolności i prawo do własnej przestrzeni.

„Why Don't You" to piękna piosenka o rodzinie. Czego chciałabyś nauczyć o świecie swoją córkę i syna?
– Chciałabym, aby moje dzieci nie tylko były emocjonalnie niezależne, ale też potrafiły akceptować siebie takimi, jakie są. Żeby wiedziały, że nie są idealne, ale że to w zupełności wystarczy. Chciałabym też, żeby kochały siebie na tyle, by umiały powiedzieć „nie", kiedy czują, że coś nie jest dla nich. A jednocześnie chciałabym, żeby były życzliwe. Życzliwość to bardzo niedoceniana cecha. Często uważa się ją za słabość. A przecież gdyby ludzie potrafili troszczyć się o drugiego człowieka, okazywać hojność i empatię, nie zatracając przy tym samego siebie, to sądzę, że byłoby mniej konfliktów i wojen – małych i dużych. Życie jest sztuką równowagi:

FOT. BY.LAWSON; KIRAN RIDLEY/GETTY IMAGES



Imany wystąpi w Polsce 17 kwietnia 2027 r. w NFM we Wrocławiu i 18 kwietnia 2027 r. w Klubie Stodoła w Warszawie

między empatią a umiejętnością stawiania własnych granic.

A jeśli chodzi o rozstania? Jaka tu jest lekcja?
– Że to nie jest koniec świata, że to może być nawet początek czegoś większego i lepszego. Rozwód bywa sposobem na lepsze poznanie samej siebie. Niektóre rozwody przebiegają spokojnie, inne są bardzo bolesne. Ale najważniejsze jest to, żeby przyjrzeć się temu, gdzie po drodze zgubiłaś siebie. Co zostawiłaś w tej relacji? Bywa, że budzisz się pewnego dnia i myślisz: „Już nawet nie wiem, kim jestem". I wtedy rozwód może się stać szansą na ponowne spotkanie ze sobą. Może nawet z pełniejszą, silniejszą wersją siebie.

Jeśli dobrze zrozumiałam jedną z piosenek, twój prawie były mąż „jest dla ciebie martwy". Napisałaś nawet dla niego mowę pogrzebową. Zemsta najlepiej smakuje na zimno?
– To prawda, że ten kawałek to trochę zemsta. Ale przyznaj, jest w tym coś cudownie satysfakcjonującego, prawda? Móc napisać taką piosenkę i śpiewać ją przed publicznością. W końcu nie jestem pierwszą artystką, która tak zrobiła. Chciałam stworzyć utwór w stylu tego, co zrobiła Miley Cyrus w piosence „Flowers" – taki numer, do którego można śpiewać i tańczyć razem z przyjaciółmi. „Jesteś dla mnie martwy. Napisałam już twoją mowę pożegnalną. Miłość, którą mieliśmy, spoczywa pod ziemią. Na zawsze".

Koncerty promujące tę płytę są podzielone na trzy części. W pierwszej przyglądamy się swojej złości, w drugiej się uzdrawiamy, w trzeciej uwalniamy. W tej środkowej części, zanim zapowiem piosenkę, proponuję taki mały rytuał. Proszę wszystkich, żeby zamknęli oczy i wyobrazili sobie, że ich najgorszy albo najgorsza eks nie żyje, a oni są na pogrzebie. Mówię, żeby zamknęli wieko trumny i zabili je gwoździami. Niektórzy się śmieją, na początku jest dość zabawnie, ale później proszę, żeby złożyli te trumny do grobu razem z całym upokorzeniem, bólem i innymi złymi emocjami. No i wtedy już nikt się nie śmieje. Później sypiemy na to ziemię i patrzymy, co wyrośnie. A wyrasta lepsza, silniejsza wersja ciebie. I zaczynam piosenkę.

Trasa nazywa się, jak płyta – „Women Deserve Rage" – i oczywiście wiedziałam, że kobiety od razu mnie zrozumieją, ale nie wiedziałam, jak zareagują mężczyźni. Sądziłam, że będą podejrzliwi. A okazało się, że podczas tej trasy na koncerty przychodzi więcej facetów niż na wcześniejsze, publiczność jest teraz podzielona mniej więcej po połowie i mężczyźni zostają po występie i płaczą w moich ramionach. Bo ten uzdrawiający rytuał działa na wszystkich. Każdy z nas cierpi. Tyle że mężczyźni mają jeszcze dużo więcej pracy do wykonania niż my, jeśli chodzi o uwolnienie się od tego. Bo oni nawet nie wiedzą, że są uwięzieni. My, kobiety, wiemy to od dziesięciu tysięcy lat.

Na płycie umieściłaś krótkie przerywniki, fragmenty wiadomości z poczty głosowej, w których przyjaciółki dodają ci otuchy. Jaką wartość ma dla ciebie ten krąg kobiet, który cię otacza?
– Fundamentalną. Niby zawsze o tym wiedziałam, ale kiedy sama przechodziłam przez trudny czas, okazało się, że relacje z wieloma kobietami, które uważałam za całkiem zwyczajne, były w rzeczywistości o wiele głębsze, niż przypuszczałam. Pomoc przychodziła czasami od kobiet, których właściwie nie znałam, ale które coś we mnie rozpoznawały.

W Paryżu naprawdę trudno wynająć mieszkanie, zwłaszcza gdy jesteś artystką, ale kiedy musiałam nagle wyjechać i w pośpiechu się przeprowadzić, pomogła mi właścicielka lokalu, który zajmowałam. Po prostu dostrzegła, jak pilna to była sytuacja. I pomogła, jak tylko kobieta kobiecie potrafi pomóc.

Jeśli nie masz wokół siebie takiego wsparcia, jest bardzo trudno. System cię zmiażdży. Ja miałam szczęście, że miałam wokół siebie ludzi i że potrafiłam z pokorą poprosić o pomoc.

To jest też ważna lekcja – nauczyć się prosić o pomoc.
– Po francusku mówi się: „Demander de l'aide, c'est pas abandonner", czyli „proszenie o pomoc to nie jest poddawanie się". Wielu ludziom się wydaje, że, prosząc o pomoc, okazujesz słabość, a to nieprawda. Wtedy właśnie jesteś silny, bo podejmujesz świadomą decyzję, żeby się nie poddać, nie rezygnujesz. I wtedy spotykasz kogoś, kto będzie ci w stanie pomóc. Nieważne, czy będzie to mały gest czy wielki czyn. To bez znaczenia. Proszenie o pomoc nie jest poddaniem się.

Kiedy rozmawiałyśmy ostatnio, powiedziałaś, że twój pierwszy album był tak osobisty, że w końcu miałaś już tej wersji siebie dość i postanowiłaś otworzyć się na aktywizm. O co więc teraz walczysz?
– Dobre pytanie. Ostatnio walczyłam o przetrwanie, ale to było bardzo osobiste doświadczenie. Teraz staram się już nie walczyć. Wolę rozmawiać z ludźmi.

Świat jest strasznie podzielony, chcę rozmawiać z ludźmi, którzy są ode mnie zupełnie inni, zrozumieć, co myślą, dlaczego są tacy, jacy są, chcę znaleźć wspólną płaszczyznę. Chcę jedności. Wiem, że to brzmi naiwnie. W Paryżu od razu powiedzieliby ci, że świat jest pełen okrutnych ludzi, ale ja uważam, że największą trudnością jest znalezienie w sobie pokory, żeby podejść i porozmawiać z kimś, kto nie ma z tobą nic wspólnego, kto prawdopodobnie ma zupełnie inne poglądy, może takie, które są dla ciebie trudne do zaakceptowania. Dlatego próbuję już nie walczyć, tylko spotykać się z ludźmi. ▲

veoli
botanica

Złoto dla wymagającej okolicy oka

Regeneracja, lifting i spektakularne rozświetlenie już po 20 sekundach.

Poznaj serum **20 SECONDS MAGIC EYE TREATMENT GOLD,** złotą odsłonę bestsellera pod oczy i na powieki od Veoli Botanica, który pokochały tysiące kobiet.



Zeskanuj i zamów w limitowanej ofercie
z okazji Dnia Mamy na **veolibotanica.pl**

ziaja med

kuracja PEPTYDowa + antyoksydacja SAP



#ziajapewnośćsiebie

INNOWACYJNA PIELĘGNACJA STYMULUJĄCA ODBUDOWĘ SKÓRY

DLA SILNYCH, AKTYWNYCH, DOROSŁYCH KOBIET